

P. 9.786 Clw. Arch.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ **Nr 1/340 - 2/341** **1976**



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

MEMORIAŁ «59-ciu»

ZB. BYRSKI :

o AMERYKAŃSKIM NEO-EGALITARYZMIE

J. KLEWIŃSKI :

KIEDY ROZUM ŚPI - BUDZĄ SIĘ POTWORY

S. KWARC : **KTO TO ZROBIŁ?**

Z OKAZJI VII ZJAZDU PZPR

SPIS RZECZY

Józef Czapski:	<i>Wyrwane strony</i>	3
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	11
Jerzy Klewiński:	<i>Kiedy rozum śpi — budzą się potwory</i> ..	25
Zbigniew Byrski:	<i>O amerykańskim neo-egalitaryzmie</i> ..	42
Seweryn Kwarec:	<i>Kto to zrobił?</i>	71
Andrzej Łuceńczyk:	<i>Przez puste ulice</i>	101
Janina Kowalska:	<i>Kopciuszka przemieniła w królową</i> ..	114

ARCHIWUM POLITYCZNE

—	<i>Z okazji VII Zjazdu PZPR</i>	122
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	128

SĄSIEDZI

Redakcja:	<i>Komentarz do komentarzy</i>	137
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	140
E. Zagiell:	<i>Kronika litewska</i>	146
Wiktor Sukiennicki:	<i>Białoruskie pokłosie</i>	150
Stefan Michnik:	<i>Kronika czeska i słowacka</i>	155
Bohdan Mieczkowski:	<i>Konferencja w Harvard</i>	159

SPRAWY I TROSKI

Jerzy Jankowski:	<i>Spotkanie w Waszyngtonie</i>	161
Benedykt Heydenkorn:	<i>Konferencja „Polonia 75”</i>	168

K R A J

Maria Danilewicz Zielińska:	<i>„O. Zawada”</i>	173
—	<i>Przemówienie Jana Olszewskiego na pogrzebie J. Wolskiego</i>	175
Józef Lewandowski:	<i>Juliusz Wacławek</i>	178
Dokumenty:	<i>Działalność T-wa Polonia</i>	183

KRONIKA KULTURALNA

Maria Danilewicz Zielińska:	<i>Rozważania o literaturze zwanej „emigracyjną” (2)</i>	192
Bohdan Brodziński:	<i>Kisiel w Londynie</i>	197
—	<i>40-ty Kongres PEN w Wiedniu</i>	199

K S I Ą Ż K I

Filip Istner:	<i>„Droga powrotna” J. Kowalewskiego</i> ..	203
Wiktor Sukiennicki:	<i>Ziemska kolonia hybrydów?</i>	205
Maria Danilewicz Zielińska:	<i>Krajowe nowości wydawnicze</i>	211
J. S.:	<i>Biblia otwarta</i>	215
Janina Katz-Hewetson:	<i>Ta zwyczajność</i>	217
—	<i>Nadstawane nowości wydawnicze</i>	221



—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	224
B. B.:	<i>Kronika gospodarcza</i>	233
Z ostatniej chwili:	<i>Memoriał „59-ciu”</i>	235



Czytelnik, J. Lewandowski, E. Thompson:	<i>Liście do Redakcji</i>	238
Z. Czerniakowski, W. Januszewski, i J. Sobieniak oraz Zarząd Spółdzielni im. T. Kościuszki w Melbourne:	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	240

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Styczeń-Luty - Janvier-Février 1976

WYCOPANO ZE ZBIORÓW
BIBLIOTEKI SEJMOWEJ

INSTYTUT



LITERACKI



WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Helena Brzechwa, Los Angeles, Cal. (USA), po raz szósty ..	F. 31,00
Prof. Andrzej Brzeski, Davis, Cal. (USA), po raz 28-my	F. 225,00
Prof. Zbigniew Brzeziński, Englewood, N.J. (USA), po raz 12-ty	F. 88,00
Stanisław Dabowicz, Dorchester, Mass. (USA)	F. 8,50
Jan Dąbrowski, Hartford, Con. (USA)	F. 22,00
Czesław Drabowicz, Kent, Wash. (USA), po raz szósty	F. 13,00
T. Farbisz, Hindas (Szwecja), po raz piąty	F. 107,50
Dr Jan Jerzy Golnik, New York	F. 22,00
Aleksander Grzonka, Gossau (Szwajcaria), po raz 25-ty	F. 56,00
Mieczysław Kościuch, Detroit, Mich. (USA), po raz czwarty ..	F. 66,00
Jerzy Lubiejewski, Caracas (Wenezuela), po raz piąty	F. 127,50
Wilhelm B. Matykiewicz, Old Bethpage, N.Y. (USA), po raz trzeci	F. 53,00
Tadeusz Mączyński, Chicago, Ill. (USA), po raz trzeci	F. 132,00
Jan Pawłowski, Bois-Colombes (Francja) — ku uczczeniu pamięci ministra Juliusza Poniatowskiego, wychowawcy trzech pokoleń działaczy niepodległościowych	F. 100,00
Jan Pawłowski, Bois-Colombes (Francja) — ku uczczeniu pamięci ministra Sylwestra Karalusa, zasłużonego działacza emigracji politycznej	F. 100,00
R. Piątkowski, Mississauga, Ont. (Kanada), po raz drugi	F. 88,00
Alex Poreda, Chicago, Ill. (USA)	F. 8,50
François Prause, Younde (Cameroun), po raz trzynasty	F. 100,00
Franciszek Strociak, Park Ridge, Ill. (USA), po raz szesnasty	F. 102,00
J. Uhmeyer, Portsmout, Va. (USA), po raz czwarty	F. 9,00
J. S. Wiland, Toronto, Ont. (Kanada), po raz dwunasty	F. 40,00
Stanisław Wójcik, Plattsburgh, N.Y. (USA)	F. 150,00
Anonimowo, Göteborg (Szwecja)	F. 85,00
Bezimiennie, Chiasso (Szwajcaria), po raz trzeci	F. 80,00
Bezimiennie, Mediolan (Włochy), po raz trzynasty	F. 100,00

DZIĘKUJEMY!

Imprimé en France.



P. 9. 786 Clw Arch.

Wyrwane strony

W roku 1930 byłem 6 tygodni w Hiszpanii.

Te strony wyrwane są z „Kartek z podróży”, pisanych wówczas, a więc 45 lat temu, u progu najkrwawszej wojny domowej, jeszcze za panowania Alfonsa XIII.*

W czasie długiej agonii Generała Franco i koronacyjnych dni wnuka Alfonsa XIII, Juana Carlosa, o młodej i smutnej twarzy — te kartki, pomimo przestrzeni lat, wydały mi się prawie... aktualne.

J. Cz.

Madryt, maj-czerwiec 1930

Imieniny królewskie. Upalny ranek. Madryt we flagach. Idę przez szerokie rojne ulice ku pałacowi królewskiemu, gdzie na placu w południe ma się odbyć zmiana warty.

Słońce tak praży i świeci, że w tym blasku wszystko wydaje się szare: domy, place, niebo, tylko ostra zieloność trawników i drzew oraz różnokolorowe, od złota kapiące mundury gwardii lśnią i grają.

Na rozległym szarym placu w podkowie pałacu królewskiego defilują oddziały gwardii. Żołnierze wyglądają jak małe zabawki z ołowiu, mundury galowe, hełmy z wysokimi pióropuszcami lub wielkie barankowe czarne czapy, srebrne i złote epolety, naszytą i łańcuchy.

Oddziały wojskowe opuszczają podwórze królewskie poprze-

* Ukazały się one w 1930 roku w *Pamiętniku Warszawskim*, rok II, zeszyt 9.

dzone orkiestrami. Idę za nimi razem z gawiedzią w takt muzyki wojskowej. Widzę wszędzie twarze rozradowane, błyszczące oczy. Co znaczy ten epidermiczny entuzjazm, który porusza nas tak głęboko pod wpływem muzyki wojskowej? Wytwarza się jakieś nastawienie fizyczne na rytm zbiorowy, przekreślający własną odrębność, a jest to tak niezależne od tej czy innej wyrozumowanej idei, że działa także wówczas, gdy rytm ten służy wrogiemu lub obcej sile. Rewolucjonista ze słabą głową może dzięki orkiestrze wojskowej stać się na krótką chwilę wierno-poddanym monarchistą.

Pomimo południowego słońca powietrze jest tak suche i lekkie, że upał nie dolega, nie czuję prawie żadnego zmęczenia, prędzej jakieś pijaństwo słońcem. Kiedyś w chłodny dzień zimowy ta chwila do mnie powróci we wspomnieniu, wolna od poczucia ciężaru własnego ciała i ubrań, oczyszczona ze wszystkiego, co jej czarowi odejmuje jego całkowitą przezroczystość, przez kontrast jeszcze sugestywniejsza.

Dziś, siedząc na tronie, król w przeciągu 3 godzin przyjmuje wszystkich grandów Hiszpanii, składających mu życzenia. Przez cały ten czas korpus dyplomatyczny stoi nieruchomo półkolem w galowych mundurach i orderach. Król na tronie odpowiada na każdy głęboki ukłon ledwo dostrzegalnym opuszczeniem powieki.



Retiro. — Spędzam popołudnie w „Retiro”, głównym parku Madrytu. Mam złudzenie, że jestem w stolicy jakiegoś państewka niemieckiego przed wojną. Niemieckim brakiem gustu odznacza się wielki pomnik Alfonsa XIII. Król na koniu z brązu na wysokim cokole, ustawionym wśród korynckich kolumn; cały pomnik robi wrażenie przycisku, stoi wśród świeżej, prawie północnej zieloności nad kwadratową taflą stawu.

Park pełen żołnierzy, nieociosanych, nierozgarniętych i ogłupiałych. Powolność ruchów, dziwna nieruchomość wyrazu przypominają mi żołnierzy z dawnej armii rosyjskiej. Krzykliwa barwność mundurów — wojska przedwojennych monarchii. Przy wejściu stoi wysoki żołnierz z „Escolta Real” w granatowym mundurze z lampasami i epoletami czerwonymi, oraz potężnym białym pióropuszem; tuż przy mnie siedzi podoficer ze złym, tępym wyrazem twarzy, w wielkiej czapie barankowej i niebieskim ze złotem mundurze. Dziwnie mało kobiet; wszędzie widać przeważnie grupy mężczyzn o znudzonych wyrazach twarzy.



W Madrycie, powiadają, jest trzy miesiące zimy, a dziewięć miesięcy piekła. W te „piekielne” miesiące, teraz o zmierzchu, miasto zaczyna oddychać i rozbrzmiewa życiem do świtu. Gdy patrzę na ten leniwy i wesoły tłum uliczny, zastanawia mnie pytanie: czy i kiedy ci ludzie pracują?

Wszystko, co tu widzę i słyszę, układa mi się w dziwny, nieoczekiwany obraz. Otyli księża, nieruchome i tępe twarze żołnierzy, setki żebraków, śpiących na ulicach pod gołym niebem, przy każdych drzwiach bogatszych domów wyszamerowani lokaje i majordomy.

Madryt ma po Londynie najwięcej Rolls Royce’ów; jedna trzecia majątku narodowego jest skupiona w rękach grandów; majątki klasztorne wynoszą 8 miliardów pesetów; poziom oświaty ludowej niezmiernie niski; na prowincji bezapelacyjne panowanie duchowieństwa. W przeciwieństwie do sąsiedniej Francji płodność bardzo wielka. Fala emigracji ze wsi płynie albo do Madrytu, gdzie chłopci idą przeważnie na lokajów, albo do Ameryki czy Francji. Potężną ilościowo emigracją, osiadającą we Francji, rząd hiszpański nie zajmuje się prawie zupełnie, pozostawiając ją całkowicie własnemu losowi.

A w Madrycie: król i jego dwór, walki byków i złociste mundury gwardii, szerokie ulice wypełnione o zmroku beztrokim tłumem.

„Kto nie znał Francji przed Rewolucją, nie wie, co jest słodycz życia” — mawiał Talleyrand.

Nie jeden mieszkaniec Madrytu upewnia mnie, że kraj ten, dzięki swym patriarchalnym stosunkom, niskiemu poziomowi intelektualnemu mas i ogromnym fortunom skoncentrowanym w nielicznych rękach, zachował tę *douceur de vivre*, o której mówił Talleyrand, tę *douceur*, z której korzysta mała warstwa uprzywilejowanych.

W tych dniach w lasach królewskich pod Madrytem strażnik leśny zastrzelił kłusownika. Podobno partie republikańskie wyzyskały jego pogrzeb dla wielkiej manifestacji przeciwmonarchistycznej.

Na rozległych ulicach Madrytu nie mogę dojrzeć śladu politycznych zaburzeń, tak tłum ten wydaje mi się daleki od wszelkich politycznych napiętności.

Escorial

Już z kolei w drodze do Madrytu widać Escorial: kolosalny gmach z szarego granitu odcina się na tle gór, u których podnóża stoi. Styl Herrery — korygowany przez Filipa II, który osobiście

wpływał przy budowie na plany architektów, działa na widza swym ciężarem, masywną potęgą, wyrazem całej psychiki założyciela; pod kątem jednak czysto artystycznym nie budzi zachwytu to wcielenie reakcji klasycznej przeciw „barbarzyńskiemu” gotykowi i stylowi maurytańskiemu.

Trudno przy tym mieć jakieś całościowe architektoniczne wrażenie, poza potężną nagą fasadą, widzianą z kolei. Escorial zbudowany w formie rusztu (na pamiątkę rusztu św. Wawrzyńca męczennika) składa się z szeregu równoległych i poprzecznych skrzydeł, tak, że możemy tylko fragmenty budowy mieć przed oczami. Jedynie fotografie, wzięte z pobliskich gór, albo zdjęcia z aeroplanu dają pojęcie o jego całości.

Zwiedziliśmy Escorial z przewodnikiem i grupą turystów; przechodzimy z początku przez szereg salonów i niedużych sal, umeblowanych już w XVIII wieku, z pięknymi tkaninami, wykonanymi według kartonów Goyi. To apartamenty następców Filipa II. Wszystko co widzę, łącznie z wielką salą bitew, w której wszystkie freski zostały widocznie odrestaurowane już w XIX wieku, ma tak mało wspólnego z duchem architektury gmachu i z duchem założyciela, że nie umiem się oprzeć rozczarowaniu. Co robią „Ludwiki” w tym ponurym zamku?

Ale nagle to ujemne wrażenie mija. Schodzimy wąskimi schodami do apartamentów samego Filipa. Poprzez mały korytarz, zawieszony misternie wykonanymi drzewami genealogicznymi wszystkich wielkich rodów Kastylii, poprzez apartamenty infantki, córki Filipa, przechodzimy do sypialnego pokoju, w którym król mieszkał i pracował w ostatnich latach swego życia. Tu również umarł Filip po 50 dniach nieopisanych mąk, gdy się żywcem rozkładał; ten przywódca kontrreformacji, który we krwi zatopił Flandrię i Aragonię, spalił na stosie tysiące heretyków i którego przed śmiercią jeszcze dręczyła wątpliwość, czy aby nie spalił ich za mało, posądzony o najstraszniejsze zbrodnie włącznie do zbrodni otrucia żony i syna, umarł tutaj „jak święty” — notują zakonnicy Escorialu w swoich pamiętnikach.

Pokój jest zachowany taki, jaki był w ostatnim okresie życia Filipa. Jest jakaś wymowa atmosfery, ślad żywy, który człowiek po sobie zostawia w miejscu, w którym żył, i na wszystkim co go otaczało, na meblach, obrazach, ich doborze i rozkładzie.

Ten niewielki pokój Filipa nagle „przemówił” do mnie zupełnie inaczej, niż tego oczekiwałem. Wąskie okna z widokiem na wielkie płaskizny. Cały pokój zawieszony obrazami treści religijnej szkoły flamandzkiej, z ustawionymi przenośnymi ołtarzykami, wszędzie na ścianach, na kotarach otaczających łoża, wielkie i małe obrazy, przedstawiające z flamandzkim skrupulatnym naturalizmem świętych o umęczonych i świetlanych twarzach; anio-

ły, płomienie piekielne, tortury grzeszników — cała symbolika katolicka, w którą Filip wierzył dosłownie.

Tylko na jednej ścianie między oknami odkrywam ślad świec-kich upodobań Filipa: szereg małych akwareli Dürera, oprawionych razem w jedną wielką ramię; małe ptaszki, z dürerowską precyzją i wrażliwością wykonany skalisty pejzaż i ten rozkwitły irys, tak znany z licznych reprodukcji.

Ponury król, podejrzliwy samotnik, kochał się w kwiatach, ptakach, naturze. „Posyłam wam róże i kwiaty pomarańczowe — pisze z Lizbony do córeczek swoich w Madrycie — żebyście widziały, że tu już kwitną. Kalabryczyk (ogrodnik) przynosi mi bukiety tych kwiatów. Fiołki mamy już tu od dawna”. Posyła córeczkom skrzynie rzadkich owoców, w każdym liście wspomina o kwiatach i ptakach, żali się, że w tym roku nie usłyszy, będąc w podróży, swych kochanych słowików, tak licznych w parkach Aranjuezu.

U stóp wąskiego łoża, pokrytego purpurową jedwabną pościelą, stoi mały ołtarz, przy którym odprawiano mszę w czasie choroby króla. Ten mały ołtarz przedzielał łóżko od oszklonych drzwiczek, prowadzących do głównego ołtarza ogromnej katedry. Łóżko jest tak ustawione, że z poduszek król widział ołtarz główny i odbywające się przy nim nabożeństwa.

Tu dopiero, w tym miejscu, gdzie umarł Filip, wyczuwam jasno ideę Escorialu, znajduję wytłumaczenie tego królewskiego panteonu, najukochańszego tworu króla, o którym on, wśród najbardziej wyteźonej pracy, wśród ponurych intryg i walk, pamiętał i który czuł miłością otaczał. Wśród ziemskich trosk władcy dwóch światów pamięć o Escorialu była wyrazem nie odstępującej go myśli o śmierci i o życiu wiecznym.

Był to zamek-klasztor, w którym liczbę zakonników stale powiększano ze względu na to, że nie mogli nadążyć ilościom modlitw i mszy, zamawianych przez króla za swego ojca Karola V, którego pamięć Filip czcił, i za wszystkich zmarłych z rodziny królewskiej.

Filip żądał w testamencie, by za jego własną duszę odprawiano tę samą ilość nabożeństw, co za jego ojca, poza tym jednak żądał by „możliwie jak najprędzej” po jego śmierci odprawiono za niego 30.000 mszy! Słusznie mówi biograf Filipa, Bertrand, że nigdy za niczyją duszę nie był przypuszczony do nieba taki szturm modlitw.

Wierząc głęboko w wieczność Kościoła, Filip II budował ten gmach granitowy z wiarą, że do skończenia świata będzie on ostoją katolicyzmu, że będzie również do skończenia świata rozbrzmiewał modlitwami za jego duszę oraz za dusze jego bliskich.

Kiedy spowiednik oznajmił rozkładającemu się żywcem, leżącemu we własnym kale i robactwie królowi, że śmierć jego jest już bliska, przyjął on tę wiadomość jak radosną nowinę, prosił tylko, by mu spowiednik wskazał, co robić powinien, żeby być zbawionym: „Wszystko, czego nie zrobię, będzie na waszym, ojczy, sumieniu, bo jestem gotów zrobić w s z y s t k o”. Wstrząsające jest wrażenie opisów długiej agonii króla: hart jego ducha, zupełna przytomność, która go nie opuszczała do ostatniego tchu, pamięć o wszystkim i o wszystkich, o swoich dzieciach, którym dawał rady i nauki, o biednych i kościołach, na którełożył w ostatnich dniach choroby tysiące dukatów, o wszystkich szczegółach, tyjących się jego ostatniej woli i pogrzebu.

Podobno umierający Ludwik XIV powiedział o sobie: „kiedy byłem królem...”. Filip II do ostatniego tchnienia zachował poczucie, że jest królem; przed samą śmiercią ofiarował synowi swojemu jako ostatni legat dwie dyscypliny, jedną po Karolu V, drugą własną, tłumacząc, że dyscyplina Karola V jest bardziej okrwawiona, bo cesarz był lepszy od niego.

Trzy dni przed śmiercią kazał sobie wydrążyć trumnę z ogromnego pnia, zwanego po portugalsku „drzewem rajskim” a po hiszpańsku „drzewem anielskim”, przywiezionego z Indyj na statku „pięciu ran Chrystusa”. Drzewo to, z którego już wiele lat przedtem był wydrążony krucyfik dla głównego ołtarza, służyło od tego czasu jako ławka dla żebraków u progu kościoła.

Ten człowiek niepopularny, przez wielu znieawidzony, umarł w otoczeniu zakonników, z którymi żył w klasztorze po bratersku, którzy go czcili i kochali prawie jak świętego, umarł, modląc się prawie bez przerwy, z oczami utkwionymi w główny ołtarz.

Wychyłam się przez wąskie okno i patrzę. Czuję na twarzy powietrze lekkie, upalne, przesiąknięte, nasycone aromatem kwiatów. Poda mną na dziedzińcu pałacowym widzę drobny deseń z ciętych krzaków otaczających baseny, dalej kwitnące akacje i wielkie bezlistne drzewo, całe pokryte różowym kwieciami. Za drzewami rozciąga się przestrzeń jeszcze teraz, na wiosnę, zielona, rozległa na dziesiątki mil i tonąca w błękicie nieba, przestrzeń tak wielka, że gdy się patrzy na nią, nie istnieją ani drzewa ani domy, wszystko się zlewa w jeden jak świat rozległy, zielony beżmiar.

W czasach, gdy Filip powziął zamiar zbudowania Escorialu, stworzył komisję, która przez dwa lata szukała odpowiedniego miejsca w okolicach Madrytu. Głównym warunkiem był wybór pejzażu, „który by podnosił duszę króla i podtrzymywał go w pobożnych medytacjach”.

Żaden pejzaż dotychczas widziany, żaden ocean nie dał mi

tak jak te zielone przestrzenie poczucia nicości ziemskiego życia ludzkiego pod beżmierną kopułą nieba.

Po zaledwie kilkutygodniowym pobycie opuszczam Hiszpanię w piękny dzień czerwcowy. Jadę koleją przez Aragonię i okolice Saragossy. I patrzę na ten kraj tak znowu inny, spalony słońcem.

„My, którzy jesteście tyleż samo warci co Ty i którzy możemy więcej niż Ty — wybieramy Cię naszym królem pod prawem aragońskim”.

Taka była dumna formuła, którą się posługiwali Aragończycy przy wyborze nowego króla.

Antonio Perez, sławny intrygant, były ulubieniec i sekretarz Filipa II, tutaj uciekł przed jego pościgiem i płacząc całował tę ziemię wolności, którą Filip potem krwią i podstępem zniewolił do posłuszeństwa.

Po obu stronach toru kolejowego ciągną się spalone czerwone ziemie albo prawie białe wzgórza z piaskowca. Cały horyzont mieni się w słońcu, różowe i żółte pagórki, ani śladu jakiegokolwiek zieloności. Wzgórza te wyglądają jak małe wygasłe wulkany.

Tylko na wybrzeżach rzadkich rzek widać topole, siwe oliwki i trawę.

Wśród wielkich i nagich przestrzeni, na tle żółtej piaskowej góry dostrzegam białe centki wapiennych murów — po chwili wyrasta z ziemi całe miasto, setki domków spiętrzonych jedne nad drugimi, białych, i brunatnych bez śladu zieloności, a w środku miasta wznosi się potężny klasztor i dwie potężne ciemnobrązowe wieże kościoła strzelają w niebo.

Ta ciemna katedra o wielkich wieżach, wśród niskich domków na spalonych słońcem przestrzeniach Aragonii — to ostatnie wrażenie, które wywożę z Hiszpanii.

Józef CZAPSKI

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 234 — MARIA HIRSZOWICZ

KOMUNISTYCZNY LEWIATAN

Wnikliwa analiza biurokracji komunistycznej opracowana przez
znanego socjologa

Str. 132.

Cena F. 15

TOM 251 — MICHAŁ HELLER

ŚWIAT OBOZÓW KONCENTRACYJNYCH A LITERATURA SOWIECKA

Książka, która ułatwia zrozumienie „Archipelagu GUŁag”
Aleksandra Sołżenicyna.

Str. 324.

Cena F. 30 (dol. 8,00)

TOM 254 — MAREK TARNIEWSKI

EWOLUCJA CZY REWOLUCJA

Wnikliwa analiza istniejącego w Polsce ustroju przeprowadzona przez
autora krajowego. Poszczególne części tej pracy noszą tytuły:
WSTĘP. — POCHODZENIE SYSTEMU. — WŁASNOŚĆ, PAŃ-
STWO I PARTIA. — ORGANIZACJA SPOŁECZEŃSTWA,
ELITA WŁADZY. — RZĄDZĄCY I RZĄDZENI. — ŚWIADO-
MOŚĆ SPOŁECZNA. — DZIEDZINY I KIERUNKI PRZEMIAN.
— CZYNNIKI PRZEMIAN. — ZAKOŃCZENIE.

Str. 288.

Cena F. 40

Dziennik pisany nocą

Florencja, 3 października 1975

Przed wejściem do *Santa Maria del Carmine*, kupiłem na wózku książeczkę Berensona *I pittori italiani del Rinascimento* i odszukałem w niej stosowny fragment, niezbyt dobrze zapamiętany z dawnej lektury. Masaccio w opisie wielkiego znawcy, rzecz zatraća o mimowolny komizm. Berenson miał fioła na punkcie „walorów dotykowych”, *valori tattili* (nazwał swą florentyńską willę-kolekcję obrazów, zapisaną w testamencie uniwersytetowi harwardzkiemu, *I Tatti*), ale nigdzie chyba ten jego wynalazek nie okazał się tak kusy i maniakałny jak w przypadku Masaccia. „W malarstwie następców Masaccia znajdziemy bez trudu wyższy poziom umiejętności i mistrzostwa, znacznieszą perfekcję szczegółów; śmiem twierdzić, że nie znajdziemy większej pełni rzeczywistości i znaczeń. Ilekróć oglądam w kaplicy *Santa Maria del Carmine* jego freski, zniszczone i przeżarte kurzem, nie mogę się oprzeć uczuciu gwałtownego zaangażowania całej mojej świadomości dotykowej. Czuję, że byłoby mi łatwo dotykami sprawdzić każdą figurę; oceniam opór jaki stawiałyby moim palcom, wysiłek jaki musiałbym zrobić by ją poruszyć z miejsca; czuję, że mógłbym ją obejść dokoła. Nie potrafię sobie wyobrazić równie pełnego i intensywnego doświadczenia w życiu realnym, gdyż wówczas nasza uwaga koncentruje się na jakiejś właściwości dynamicznej, zanim udaje nam się uchwycić całkowity wyraz plastyczny stojącej przed nami osoby. Jakaż ciężyzna u jego młodych; jakaż powaga i władczość u starych. Podobna rasa zapanowałaby błyskawicznie nad światem; i nie zniosłaby żadnych rywali, z wyjątkiem samych sił przyrody! Wszystko co te osobistości robią,

tylko dlatego że robią to właśnie one, jest przejmujące i ważne; każdy ich ruch, każdy gest, jest w stanie zmienić świat. Kiedy w tej samej kaplicy porównuje się jego figury z figurami jego poprzednika, Masolino wydaje się dziecinny; a następca Masaccia, Filippino Lippi, nie przemawia do nas w ogóle swoimi figurami, którym brak walorów dotykowych. Nawet Michał Anioł, współzawodnik Masaccia, musi się zadowolić drugą lokatą”.

Nie jest łatwo opędzić się przed pociesznym obrazkiem. Małutki Berenson rodem z Kowna, jeden z najwybitniejszych mistrzów ekspertyzy malarskiej i odkrywca wielu zaginionych lub ukrytych pod skorupą brudu arcydzieł Renesansu włoskiego, rozpedza się do tego stopnia w „dotykowej” euforii obmacywania figur na freskach Masaccia, że próbuje je rzeczywiście „poruszyć z miejsca” i „obejść dokoła”. Guz byłby zasłużoną karą dla krytyka, który tak świetnie rozpoznając sztukę, tak mało umie o niej sensownego powiedzieć. Nie, nie jest kluczem do Masaccia delectacja palcowa, choćby pobudzała do snów o panowaniu nad światem po spoju z siłami przyrody... W mrocznej kaplicy Masaccio, uważany słusznie za ojca malarstwa renesansowego, daje wspaniałą lekcję autonomii i bogactwa osoby ludzkiej: Wizerunek zastąpiony przez Postać, Oblicze przez Twarz (Berenson ociera się o to zaledwie, a ja zrozumiałem teraz lepiej skąd u mnie w Asyżu, pół roku temu, odruch zniechęcenia wobec ikonograficznego Giotta *po zobaczeniu Świętego Franciszka pędzla Cimabue*). I nie tyle w słynnym *Placeniu daniny*, gdzie zwykło się wskazywać wielostronną indywidualizację reakcji apostołów na żądanie poborcy podatkowego i na odpowiedź Chrystusa. Raczej w zachwycającym, i rzadziej preferowanym, fresku *Święty Piotr uzdrawia chorych swoim cieniem*. Tego cienia nie dotkniesz palcami, a przecież to on właśnie decyduje o nowym duchu wprowadzonym przez Masaccia do malarstwa, na drodze od znaku do znaczenia.

Florencja ofiarowuje lekkość, cudowną swobodę łożenia bez celu po mieście żyjącym wciąż jeszcze (jak długo?) na miarę ludzką. Wystarczy przejść paroma ulicami, usiąść w kawiarni na którymś placu, by opadła z człowieka zrogowaciała powłoka anonimatu, trądu (według urbanistów i socjologów *trendu*) dużych miast. Albo wstąpić pod wieczór do *Duomo*: jest także placem; kogo nie przyciągają iluminowane ołtarze w niektórych kaplicach czy ciemne budki konfesjonatów pod ścianami, ten włącza się z absolutną naturalnością do cichego szeptu w gromadkach ludzkich, przemierzających i okrążających katedrę.

Zapadła już noc, gdy przystanąłem obok *Ponte Vecchio* nad Arno. Niebo było czerwone jak od łuny pożaru, w dole połyski-

wało zielone szkliwo rzeki. Mogąc wybrać we Włoszech miejsce zamieszkania, wybrałbym jednak Florencję.

Rzym, 5 października

Z Pelikanem umówiłem się na kawę, zaintrygowany notatkami w prasie francuskiej o projekcie założenia pod jego redakcją pisma niemiecko-rosyjsko-czeskiego *L-76*. W *Figaro* bodaj pisano, że ma to być „przeciwwaga” jeśli nie wręcz „konkurencja” dla *Kontynentu*; i że inicjatorami imprezy są Böll i Grass.

Pelikan: „Sprowadźmy *L-76* (L jest inicjałem niegdyś praskich a obecnie rzymskich *Listów*, cyfra oznacza datę danego roku wydania) do właściwych rozmiarów. Po pierwsze, publikowany od czasu do czasu almanach, a nie regularny periodyk. Po drugie, nie mamy zamiaru konkurować z *Kontynentem*, który jest kwartalnikiem dość eklektycznym; chcemy po prostu stworzyć wschodnio-zachodnią platformę myśli socjalistycznej. Po trzecie, zaczęło się od moich starań o edycję niemiecką *Listów*, za radą Bölla i Grassa wydawca postanowił rozszerzyć przedsięwzięcie. Współpracownicy rosyjscy? Roy Miedwiediew, Etkind. Ale w zasadzie osiá almanachu będzie dialog lewicy czechosłowackiej i niemieckiej”.

Skorzystałem z okazji, żeby wypytać Pelikana o sprawę kilkakrotnie poruszaną w moim dzienniku. W marcu 74 roku został ujawniony tekst listu Dubczeka do wdowy po Smrkovskym. Pelikan skomentował go w prasie włoskiej jako akt autokandydatury Dubczeka do sukcesji po Husaku, dając delikatnie do zrozumienia że zachęta przyszła z „liberalnych” kół w Moskwie. W rok później kolejna rewelacja: sam Smrkovsky był w latach 1972-73 potajemnie opukiwany i kokietowany przez funkcjonariuszy sowieckich. Skąd pochodziły te manewry pod adresem pogrobowców „nowego kursu”, kto je inspirował? Pelikan, bez chwili wahania: „Szeliepin”.

A więc to tak. W roku 1972, o czym też mowa w moim dzienniku, przechwycono korespondencję Moczara z Szeliepinem. Moczar alarmował swego moskiewskiego protektora, że Polsce grozi „kontrrewolucja na skalę czechosłowacką”; co stanowiło akt autokandydatury do sukcesji po Gierku. Widać z tego, że w politbiurze sowieckim „liberał” Szeliepin był jedynym rzecznikiem autentycznego „policentryzmu”: w Czechosłowacji popierał dubczekowski „model socjalizmu”, w Polsce moczarowski. I nie byłoby wcale dziwne gdyby się kiedyś okazało, że i wytyczenie drogi do przyszłego berlinguerowskiego „modelu socjalizmu” odbyło się z błogosławieństwem Szeliepina.

Neapol, 7 października

Kartka Andrzeja Kijowskiego do mnie: „Drogi Panie, z *Kultury* dowiedziałem się, że *Financial Times* zamieścił wywiad ze mną. W rzeczywistości wywiadu nie udzieliłem, a tekst, który poznałem w Pana tłumaczeniu, jest zapisem — nieautoryzowanym, oczywiście — przygodnej rozmowy z jakimś korespondentem. Z tonu Pana notatki i sposobu zaprezentowania mojej wypowiedzi zrozumiałem, że zarzuca mi Pan albo kłamstwo, albo zadowolenie ze stanu rzeczy jaki przedstawiłem, albo jedno i drugie. Czy może Pan jaśniej określić co skłamałem, co apróbuję, i dlaczego moja wypowiedź „pasuje” do artykułu w *Życiu Literackim*?”

Moja kartka do Andrzeja Kijowskiego: „Drogi Panie, nie zarzucam Panu ani kłamstwa, ani zadowolenia z przedstawionego stanu rzeczy, ani (tym bardziej) jednego i drugiego. Pana krótki opis w *Financial Times* jest prawdopodobnie ściśły. I właśnie do niego pasuje — przynajmniej według mnie — „huzia na Orłosa” w wykonaniu Załuskiego, Koźniewskiego i towarzyszy”.

Zaskakujące jest przewrażliwienie Kijowskiego. Jak mógł nie zrozumieć, że jego uwagi w rozmowie z dziennikarzem angielskim (stabilizacyjka literacka, w której pisarzom powodzi się co prawda finansowo lepiej, ale „poprawa sytuacji materialnej niekoniecznie oznacza złagodzenie polityki kulturalnej”; posucha wydawnicza w minionych latach, skoro „w obronie swoich nowych zdobywczy autorzy wolą stronić od kontrowersyjnych tematów politycznych”; odblokowanie pisarzy zakazanych, przy jednoczesnym zwęksłowaniu ich na tor „bardzo ograniczonych nakładów”) dobrze tłumaczy panującą w „środowisku” tendencję do pilnowania żeby „nikt się nie wychylał”? Władza mówi: „Zachowujcie się grzecznie, nie brykajcie, opłaci wam się to materialnie; a niepokornym i krnąbrnym pozwolimy, dla świętego spokoju, wygadać się w periodykach i książkach skazanych na nieliczne audytorium”. Pisarze odpowiadają: „Targ ubity, musimy tylko we własnym interesie zadbać o dobre imię cechu pisarskiego, pilnując zasady: jak grzeczni to możliwie wszyscy, żadnych Orłosów czy Madejów”. Rezultatem jest postawa, którą nazwałbym „stróżowaniem cechowym”. Nie twierdziłem, że Kijowski się z nią solidaryzuje. Wypożyczyłem sobie z jego wypowiedzi elementy do diagnozy.

Ale jeśli już wracam do tego tematu, warto posunąć się dalej. Podejrzewam, że pisarze w kraju mają bardzo słabe pojęcie o swoich czytelnikach. Rozmydlonemu cechowi powodzi się z łaski zmyślonego mecenasa partyjno-państwowego lepiej, natomiast gorzej jest z odbiorcami cechowych produktów. Jeszcze dziesięć, powiedzmy, lat temu, kiedy zdarzało mi się rozmawiać z tak zwa-

nym przeciętnym miłośnikiem literatury z kraju, zasypywał mnie tytułami nowych książek które należy „obowiązkowo” przeczytać. Od paru lat — mniejsza o dokładne ustalenie kalendarzowe, zresztą trudne — sygnalizacje wygasły. Więcej: kiedy ja pytam o tytuły rekomendowanych nowości, odpowiedzią jest milczenie podkreślone zrezygnowanym machnięciem ręki. Albo, jak ostatnio w Paryżu, gorzkawe i zirytowane burknięcie: „A coś tam skrobia ci nasi pisarze, ale kto by ich *teraz* czytał!”. Gdyby taki stan rzeczy miał potrwać długo, cech odkryje pewnego dnia że targiem ubitym z władzą podpisał sam gałąź na której siedzi. I trzeba będzie ze smutkiem sparafrazować słowa Zamiatina o literaturze rosyjskiej: „Boję się że literatura polska ma przed sobą jedną tylko przyszłość: swoją przeszłość”.

W Paryżu również spotkałem pisarza z Warszawy, mojego rówieśnika i niegdyś (za studenckich czasów) przyjaciela. Wolno go zaliczyć do opozycjonistów, chociaż jego opozycjonizm działa ze spóźnionym ciągle zapłonem. Pokazał mi swój świeżo wydrukowany esej, upstrzony na marginesach kółeczkami.

— Co to za kółeczka?

— Ślady nożyc cenzora.

— Jak to? Przecież miesięcznik ma ograniczony nakład!

— Ano właśnie. Bywa i tak. Moje życie składa się z serii milczeń, moje życie pisarskie naturalnie...

— Nie spróbowałbyś z nich wyjść?

— Domyślam się do czego zmierzasz...

— Nie zmierzam do niczego. Chciałbym po prostu wiedzieć jaki jest, na dalszą metę, sens literatury kółeczkowej.

— Emigrant nigdy tego nie zdoła pojąć. Przynależność, solidarność, wspólnota... Tekst wydrukowany w kraju, nawet z cięciami cenzury, jest zawsze w jakiś sposób żywy. W każdym razie żywszy, niż ten sam tekst wydrukowany w całości na emigracji.

— Czytelnik miałby o tym podobne zdanie?

— Sądzę, że tak. No i, widzisz, wierzy się mimo wszystko w dobrą wolę pewnych ludzi na szczycie. Na przykład, Tejchmy.

— Wierzysz, że Tejchma umożliwi ci wyjście z twoich milczeń?

— Jest na to za słaby, pamiętaj że mówiłem tylko o dobrej woli. No i, widzisz, tworzy się tu jakaś dodatkowa więź lojalności, pozaśrodkowiskowa.

— Nie przychodzi ci do głowy, że dałeś się wpędzić w paraliż?

— Mocne słowo, straszne słowo, emigranci mają skłonność do dramatyzacji...

W czym tkwi źdźbło prawdy. Lecz jak określić skłonność mojego dawnego przyjaciela, pisarza z Warszawy?

14 października

Dwie plagi, które ze zmiennym nasileniem pokutują jeszcze w świadomości europejskiej: jedna tylko na lewicy, druga na lewicy i na prawicy.

Mit „socjalizmu naukowego”. Do jego bałwochwalców kierował swoje ostrzeżenie Durkheim: „Socjalizm nie jest nauką, socjologią w miniaturze, jest krzykiem bólu i czasem gniewu. Co powiedziano by o lekarzu, który odpowiedzi i pragnienia pacjenta brałby za aforyzmy naukowe?”. Durkheim umarł w roku 1917, kiedy zaczęła się na serio aplikacja „socjalizmu naukowego” (z „naukowymi” poprawkami i retuszami). W rok po jego śmierci, nie znając prawdopodobnie jego dzieł, Gorkij piorunował na łamach piotrogadzkiej *Nowoj Żizni*: „Klasa robotnicza jest dla Lenina tym, czym ruda dla metalowca. Można odlać z tej rudy państwo socjalistyczne? Zapewne nie można. Czemu jednak nie spróbować? Co ryzykuje Lenin, jeśli eksperyment się nie uda? Lenin pracuje jak chemik w laboratorium, z tą różnicą że chemik posługuje się martwą materią, a Lenin żywą”. W krajach „bloku” popularne jest ostatnio, w pół wieku przeszło po inauguracji „eksperymentu”, powiedzonko: „Socjalizm trzeba najpierw wypróbować na zwierzętach”. Nikt w „ojczyźnie rewolucji i proletariatu światowego” (może z wyjątkiem Susłowa i braci Miedwiediew) nie odnosi się poważnie do „socjalizmu naukowego”. Mit trwa jednak na Zachodzie. Byłe studentki z włoskiej lewicy komunistycznej — nie mówiąc już o „teoretykach ruchu” — ma w dyskusjach gębę pełną *socialismo scientifico*. I nie dopuszcza do siebie, rzecz jasna, myśli że „krzyk bólu i gniewu” wzbiera obecnie tam, gdzie „socjalizm naukowy” przeniesiono z leninowskiego laboratorium w życie.

Mit „historii rozumnej”. Szczególnie rozpleniony we Włoszech, za sprawą (wypadałoby dodać: i z winy) filozofii *storicismo* Crocego. Nie dziwi w obrębie władania marksizmu, który swoim adeptom wytłoczył w mózgach Historię z dużej litery i przyuczył ich do wymawiania z rewerencją świętego słowa. Ale oto kluczowy okaz z przeciwnej strony. Riccardo Bacchelli, pomnikowa postać literatury włoskiej, zestawiany z Tołstojem po ogromnym sukcesie *Młyna nad Padem*, konserwatywny liberał i croceański *storicista*. Wczoraj u znajomego księgarza powąchałem jego nową powieść. I odrzucił mnie natychmiast okropny zapach, tym okropniejszy że w stanie stężonym. Historia „sprawiedliwa, gdyż sama wymierza sprawiedliwość”. Stalin, oglądany z sympatią jako wcielenie brutalnego realizmu historii, o sobie:

„Cóż mnie obchodzi ile ofiar wymagało zbudowanie ZSSR, jeżeli beże mnie i bez nich nie dałoby się go zbudować?”.

Badaczom „kompromisu historycznego” we Włoszech zwracam uwagę i na ten podskórny styk: „socjalizmu naukowego”, atrakcyjnego dopóki go się wypróbowuje na cudzej skórze, oraz „historii rozumnej i sprawiedliwej”.

20 października

Nie tylko Gide, także Céline pielgrzymował w tym samym 1936 roku do ZSSR. Z podobnymi, mimo różnicy temperamentów, nadziejami. I z podobnymi, mimo różnicy „optyk”, reakcjami. Jego „powrót z ZSSR”, całkowicie dziś zapomniany, nazywał się *Mea Culpa*. Gwałtowny pamflet, pisany z pianą na ustach, strzępami prozy wyrwanymi z żywego ciała. Konkluzję wyrażało zdanie: „Polityka zgnoiła Człowieka głębiej jeszcze w ostatnich trzech stuleciach, niż w ciągu całej prehistorii”.

Drieu La Rochelle opowiada w dzienniku o „przełomowym” roku 1932, w którym zrozumiał że „świat zachodni wydobywa się ze swego odrętwienia i podzieli się zgodnie z alternatywą faszyzm-komunizm”. Zrozumiałwszy to (wyznaje), „ruszyłem pędem ku mojemu upadkowi pod znakiem zaangażowania politycznego”. Wstępnym, krótkim zresztą, etapem był komunizm; następnym faszyzm, łącznie z kolaboracją. Nazajutrz po „upadku” zanotował w dzienniku: „Mam dosyć polityki; w tej dziedzinie głupota ludzka odślania się ze swego rodzaju monstrem zadowoleniem”.

Totalne odwrócenie się od polityki jest, w większości wypadków, wściekłą odpłatą za złudzenia stracone w służbie czy kulcie polityki totalnej. Zdarza się bez porównania rzadziej u zaangażowanych politycznie intelektualistów, dla których polityka nie była nigdy wszystkim, miarą wszechrzeczy, kluczem otwierającym każdy zamek, instrumentem „odnowy świata i człowieka”, lecz wyłącznie jedną z wielu form działania ludzkiego i myśli ludzkiej w życiu zrzeszonym.

Piszę to w związku z dzisiejszym listem Wirpszy. Chodzi mu o odnotowaną w moim dzienniku wizytę u Etkinda. „Oczywista jestem po stronie Etkinda, i jeśli Pan napisał o 'politycznej Niemożności Absolutnej' i o 'programofobii' Etkinda, to ja się przyznajmniej do programofobii politycznej przyznaję. Polityka jako niższy rodzaj działalności ludzkiej, mającej na celu uzyskiwanie li-tylko sytuacji, powinna być przyporządkowana i podporządkowana działalności wyższego rzędu: twórczości. To znaczy: wymagam od ludzi, zajmujących się polityką zawodowo, aby w miarę możliwości stwarzali takie sytuacje, jakie są dla twórczej pracy ko-

rzystne, aby stwarzali warunki, sprzyjające tworzeniu wartości. Trzeba sobie raz wreszcie dobitnie powiedzieć: wartości politycznych nie ma, są tylko polityczne sytuacje, polityka nie jest pracą, lecz zaledwie zajęciem”.

Mniejsza o dobre samopoczucie autora listu, który chciałby widzieć politykę „przyporządkowaną” twórczości. Budzą we mnie alergię układy hierarchiczne, z ich podziałami na „wyższe i niższe rodzaje działalności ludzkiej”, na prawdziwą „pracę” przeciwstawioną „zaledwie zajęciu”; są przeważnie kompensacyjnym nadymaniem się sfrustrowanych literatów. Nie jest to, Boże broń, przypadek Wirpszy; ale wykreślenie linii między „sytuacją” i „wartością” uprzytamnia, jak dalece rozminął się z istotą mojej notatki o leningradzkim profesorze „wymigrowanym” do Paryża.

W notatce zapomniałem opisać koniec wizyty u Etkinda. Żegnaliśmy się już, gdy zadałem mu pytanie co przygotowuje do druku. Odpowiedział, że książkę pod tytułem *Zapiski niezagoworszczyka*. I dodał, ze znaczącym uśmiechem: *Betrachtungen eines Unpolitischen*. Zmienił teraz ten tytuł i to (jak sam przyznaje w liście do mnie) pod wpływem tytułu mojego włoskiego artykułu o nim: *Dissidente suo malgrado*. Książka wyjdzie wkrótce i będzie się nazywać *Dissident poniewole*. Odsuńmy na bok trochę kokieteryjną a trochę prowokacyjną aluzję do *Betrachtungen*, których Tomasz Mann wyrzekł się i podobno nawet wstydził w okresie hitlerizmu. Wystarczy Etkind „nie-spiskowiec” czy „dysydent wbrew sobie”. Otóż gdyby ustrój sowiecki (wraz z „bratnimi” wersjami lokalnymi) nie był totalitaryzmem, można by ewentualnie przytknąć pobłażliwie oko na sztuczna separację „wartości” i „sytuacji”. Ale *jest* totalitaryzmem i sam odgórnie z taką mocą wprowadził sprzężenie „wartości” i „sytuacji”, że nie sposób bronić pewnych wartości duchowych nie spiskując równocześnie przeciw panującej sytuacji politycznej. Etkind został usunięty za swoją „zbrodnię” z leningradzkiego Instytutu Herzena na żądanie „polityków”, lecz po jednomyślnym głosowaniu „nosicieli walorów kulturalnych”. Jeżeli rzeczywiście łądzi się że *proswieticielstwo* stanowi dostateczną odtrutkę na taki proces deprawacji duchowej, jeżeli na przyzwoity dystans od „polityki” zamierza krzewić „kulturę” z pozycji „nie-spiskowca” albo „dysydenta wbrew sobie”, to wolno powątpiewać czy przemyślał do dna choćby swoje własne doświadczenia.

30 października

Dokładnie dwa tygodnie temu wybuchła we Włoszech „sprawa Siniawskiego”. 5 września nadano w telewizji włoskiej go-

dzinny dialog Siniawskiej-Forcella (znany dziennikarz socjalistyczny). Wkrótce potem wyszło na jaw, że przed nadaniem „wyczesano” go z szeregu ważnych i dramatycznych wypowiedzi Siniawskiego (przypuszczalnie w imię „nie drażnienia” Moskwy i komunistów włoskich). Podczas pobytu w Paryżu ustaliłem z Siniawskim, że zajmę się sprawą w *Giornale*. 16 października ukazał się mój artykuł, złożony głównie z „wyczesanych” fragmentów. Wiedziałem że wywoła echo, nie spodziewałem się jednak że tak głośne. Interpelacje w Senacie i w Izbie Deputowanych, szum w prasie (z wyjątkiem komunistycznej i socjalistycznej). Dyrektorzy telewizji i Forcella bronili się słabo. Poseł liberalny Quilleri, uzbrojony w pełnomocnictwa od Siniawskiego, odwołał się do uchwalonej świeżo ustawy o „prawie do sprostowania”. Telewizja przemówiła innym nieco głosem, wskazującym że gotowa jest skapitulować. Pozostaje otwarta, i ma być przedmiotem negocjacji, techniczna strona „sprostowania”.

Na tym tle dzisiejsza deklaracja Pelikana, podana przez agencję prasową włoskiej partii socjalistycznej, wprawia w osłupienie. Redaktor *Listów* „solidaryzuje się” w niej z telewizją. „Jestem emigrantem politycznym ze Wschodu jak Siniawski, znam jego poglądy i mogę poświadczyć, że zostały wiernie odzwierciedlone w dialogu telewizyjnym (nadany 5 września)... Byłem przez sześć lat naczelnym dyrektorem telewizji czechosłowackiej, znam zawód i wiem dobrze, że istnieje zasadnicza różnica między cenzurą polityczną i cięciami operatywnymi”.

Przy całym szacunku dla Praskiej Wiosny, nie sądzę by sześćdziesięcioletnie dyrektorowanie w telewizji praskiej uczulało szczególnie na ową „zasadniczą różnicę”. Nie mówiąc już tym, że dla uszu emigrantów politycznych ze Wschodu słówko „operatywny” ma dość swoisty i raczej złowrogi wydźwięk.

5 listopada

Wróciwszy późno do domu, zastałem na stole ekspres.

„Szanowny Panie, jestem inżynierem, znajduję się od czterech tygodni za granicą, jutro lecę do Polski. W ciągu tych czterech tygodni miałem okazję zapoznać się u krewnych z *Kulturą*. Po- stanowiłem do Pana napisać, gdyż po namyśle doszedłem do wniosku że to czego się dowiedziałem powinno być wiadome innym.

„W lipcu mój bliski przyjaciel przyniósł mi na dziesięć minut (dosłownie!) trzy wykazy, wykradzione — nie wtajemniczył mnie w jaki sposób — z archiwum Pałacu Mostowskich. Wyjaśnił mi tylko, że są to wykazy zabitych przed pięciu laty na Wybrzeżu,

które najprawdopodobniej służyły celem płacenia zapomóg rodzinom. Postaram się opisać je tak, jak zachowały się z mojej pamięci. Dlaczego dziesięciominutowy ogląd odcisnął w mojej pamięci takie a nie inne szczegóły, tego nie potrafię wytłumaczyć. W każdym razie opisuję to, co pamiętam.

„A więc były to trzy listy (form. A-4) pisane na maszynie, zawierające nazwiska uszeregowane w porządku alfabetycznym, z nagłówkiem. Pierwsza lista wyglądała tak: MSW, G-3 (chodzi tu o departament); sum. ind. R/49/1970, 26.05.75 (z informacji mego przyjaciela wynikało, że chodzi tu o zakodowanie według sumariusza wewnętrznego, wraz z dniem napisania tej konkretnie kopii); dn. 15. 12. 70 (dzień wydarzeń); dalej szły nazwiska, wraz z datą urodzenia i majuskułnym oznaczeniem miasta: G.(dańsk), Gd.(ynia), Sz(czecin), S.(opot).

„Druga lista była taka sama, z jedyną różnicą dnia wydarzeń: 16. 12. 70. Obie zawierały od siedemdziesięciu do osiemdziesięciu nazwisk. Dziwne że nie zapamiętałem najprostszycy zdawałoby się cyfr, dokładnej liczby zabitych na obu listach. Nie zapamiętałem jej też na trzeciej liście (albo szesnaście albo osiemnaście), która mnie i mego przyjaciela najbardziej zastanowiła. Jako dzień wydarzeń figurował na niej 9. 1. 1971. Co to znaczy? Przecież wtedy było już po wszystkim, w Warszawie rządził Gierek. Wytłumaczenie, że akurat tego właśnie 9 stycznia szesnaście czy osiemnaście osób zmarło z ran odniesionych w grudniu, nie trafiało nam do przekonania. A więc? Podejrzeństwo jest tak potworne, że drży pióro w ręce...

„Piszę do Pana w Dzień Zaduszny, za niecałe dwa miesiące przypada piąta rocznica wydarzeń na Wybrzeżu. Nie podpisuję się, co chyba jest dla Pana zrozumiałe. Posuwam nawet dalej moją ostrożność, prosząc by Pan po przepisaniu tego listu natychmiast go zniszczył”.

9 listopada

Zamordowanego Pasoliniego pożegnał oracją pogrzebową Moravia: z trybuny ustawionej obok pomnika Giordano Bruno, na *Campo dei Fiori*. Głosem przejętym, niemal deklamując, mówił o „symbolu poety ściąganego przez świat wrogi kulturze i wolności”, o „zbrodni możliwej jedynie w społeczeństwie, które podeptało i wyrzuciło na śmietnik sakralność kultury”. Ten napuszony i głupi wiatyk towarzyszył Pasolinemu ze strony „kolegów literatów”. Inny, jeszcze głupszy, obmyślił dla niego „kolegów polityczni”: na murach miast włoskich pojawiły się ogromne napisy *Pasolini = Matteotti*. Oba dowodzą w jakim stadium hysterii

weszła „instrumentalizacyjna” mitologia we Włoszech. I na oba pląnałyby z pogardą sam Pasolini.

Był homoseksualistą, nie ukrywał tego, przeciwnie — podkreślał to na każdym kroku, obnosił swoje „zбочnienie” z wyzywającą dumą. Okoliczności śmierci nie są dotąd stuprocentowo wyjaśnione, ale siedemnastoletni morderca z rzymskich przedmieść robi wrażenie prawdopodobnego. Pasolini „poderwał” go wieczorem w okolicach *Stazione Termini* i zawiązał na pustkowiu pod Ostią. Tam wybuchła sprzeczka, chłopak poczuł się czymś głęboko dotknięty, od pyskówki do rozjuszonej masakry. W analogicznej sytuacji robotnik-homoseksualista (z ankiet widać, że bywają i tacy) mógłby też dostać po łbie deską wyrwaną z płotu. I nikt nie wrzeszczałby wniebogłosem o „symbolu człowieka pracy ściąganego przez świat wrogi klasie robotniczej”, ani nikt nie obsmarowywałby murów jakimś odpowiednio obłądnym znakiem równania.

„Instrumentalizacyjną” mitologię zwalczał Pasolini przed śmiercią z niezwykłą zaciekłością i wielką inteligencją. Występował przeciw coraz bardziej jałowemu schematom „podziałów ideologicznych”, wykazywał że gwałt jest naturalnym produktem społeczeństwa wyłącznie „konsumistycznego”, niezależnie od tego czy dokonuje się łapami „kozaków” z rogatek rzymskich, czy rękami „złotych młodzieńców” z Parioli. Był pisarzem o nieprzeciętnym talencie (pokrewnym trochę talentowi naszego Uniłowskiego), jego dwie powieści *Ragazzi di vita* i *Una vita violenta* czytałem jak urzeczony. Zdarzały mu się ładne wiersze w stylu „poezji obywatelskiej”. Sławę jednak przyniosły mu filmy, dość zręczne w estetyzującej „prostocie” i banalne.

15 listopada

Vive la Pologne, Monsieur!, felieton Maurice Clavel'a w *Nouvel Observateur*. Telewizja francuska odgrzebała w *Dossiers de l'écran* film polski *Życie raz jeszcze* (którego nie znam, o którym nawet nie słyszałem). Nakręcono go w roku 1964. Ze streszczenia Clavel'a łatwo odgadnąć, że przemyślał resztki „październikowych” motywów, złagodzone dla niepoznaki na użytek władz „pozytywnym” akordem końcowym.

Kierownicy telewizyjnych *Dossiers* zaprosili do dyskusji w studio przedstawicieli PRL i paryskiego mędrca komunistycznego Ellensteina: ambasada PRL załatwiła zaproszenie odmownie, „nasz wybitny specjalista od tych spraw” (jak Ellensteina nazywa Clavel) zgodził się w pierwszej chwili, aby wycofać się tuż przed transmisją; byłby ewentualnie gotów podyskutować na temat

stalinizmu i destalinizacji w Polsce, lecz za niedopuszczalne nadużycie uważał zamiar (skąd mu wiadomy?) przesunięcia tego tematu na płaszczyznę stosunków „partia-człowiek”. W studio zjawiał się natomiast K. S. Karol. Był *très noble*. Wziął na siebie, *de tout son grand cœur*, niewdzięczną rolę obrońcy z urzędu nieobecnej na rozprawie partii komunistycznej. Mówił o własnej młodości w Polsce, o „wielkiej nadziei zbudowania socjalizmu”. Przyznał że nadzieja zawiodła, ponieważ „warunki okazały się niedojrzałe”; swoją „niepokonaną nadzieję” przeniósł teraz na Zachód. Przyznawszy że nadzieja zawiodła w Polsce, wygłosił „gwałtowną diatrybę przeciw szaleństwu i irrealizmowi polskiego nacjonalizmu”. „Diatrybę (pisze Clavel), której przyjąć nie mogę, sam będąc pochodzenia polskiego. Jakim prawem przykleja się etykietkę nacjonalizmu zwykłemu patriotyzmowi narodu? Jak można robić Polsce wymówki za walkę na dwa fronty? Z jakiego tytułu oskarża się naród, który chce być nade wszystko wolny?... Gdyby Polacy kolaborowali, gdzie i czym byliby dzisiaj?”.

Vive la Pologne, Monsieur!... Razem z felietonem Clavel'a dostałem z Paryża (dzięki uprzejmości Brzezińskiego) urywki wydawnego w Ameryce *Dziennika rosyjskiego cenzora*. Aleksander Wasiliewicz Nikitenko, którego Puszkina i Gogol wychwalali (nie bez racji zresztą) za „dobroć” i „wyróżumiałość”, prowadził regularnie swój dziennik przez pięćdziesiąt lat. 15 stycznia 1863 roku zapisał: „W sobotę przyszła depesza o powstaniu w Polsce. Jakaż zdrada! Zabijają nocą nieuzbrojonych i śpiących żołnierzy!”. 9 kwietnia opisał tłum wiwatujący na cześć cara pod Pałacem Zimowym, dodając (z odcieniem zgorznienia) że „liberalna prasa petersburska pominęła manifestację patriotyczną całkowitym milczeniem”. Nazajutrz: „Jeśli należy dokonać wyboru, Rosja jest ludzkością bardziej potrzebna niż Polska. Tylko naród który nie wyczerpał swych zasobów moralnych może służyć ludzkości; Polska zaś, jak się zdaje, wyczerpała już swoje. Rosja ma przed sobą przyszłość”.

Rosyjski „patriota” przywoływał do porządku polskich „nacjonalistów”. Współcześni polscy „nacjonaści”, szarpani i lżeni przy byle okazji przez zachodnich rzeczników „niepokonanej nadziei socjalistycznej”, niewiele mogą wskórać przeciw *potędze* (bo o nią przecież chodzi, ona uwalnia automatycznie od oskarżeń o „szaleństwo i irrealizm”) sowieckiego „patriotyzmu”. Który jest ludzkością bardziej potrzebny, ma przed sobą murowaną przyszłość...

W paryskim studio telewizyjnym była też obecna Dominique Desanti, autorka *Les Staliniens*. Zagadnięto ją dłaczego, siedząc przed laty wśród dziennikarzy komunistycznych na procesie bułgarskiego „nacjonalisty” Kostowa, pozostała głucha na jego „krzyk niewinności”. Odpowiedziała: „Dla wygody moralnej”. W studio

zapanowała głęboka cisza. „Nacjonalizm” narodów Wschodniej Europy zasługuje przynajmniej, w „wolnym świecie”, na tę minutę zakłopotanej ciszy.

20 listopada

Oui, vive la Pologne, mais socialiste!, replika Karola na felieton Clavel'a. Tytuł gromki, ale użyty w złej wierze. Meritum repliki sprowadza się do dwóch twierdzeń zasadniczych i jednego na przyprządkę (albo na odczepne): 1) w Europie Wschodniej warunki rzeczywistości nie dojrzały jeszcze do zbudowania „prawdziwego” socjalizmu; 2) w Europie Zachodniej za to znakomicie dojrzały; 3) „udanie się *chez nous* (czyli na Zachodzie) projektu socjalistycznego zrehabilituje na Wschodzie samą ideę socjalizmu”. *La Pologne socialiste*, na której cześć Karol wznosi swoje „niech żyje!”, musi więc poczekać aż zostanie z powodzeniem zrealizowany zachodni „projekt socjalistyczny”. To trzecie twierdzenie na przyprządkę (albo na odczepne) odróżnia Karola od głównych „projektodawców”, komunistów włoskich, którzy podkreślają z naciskiem przy lada sposobności, że ich „projekt” nie jest na eksport w kierunku wschodnim. Czasem nawet tracą przy tym cierpliwość, jak było ostatnio z jednym z przybocznych Berlinguera, gdy na zapytanie dziennikarza o „stopień przeszczepialności modelu włoskiego na Wschód” odburknął gniewnie: „Byłoby absurdem oczekiwać, że w specyficznych warunkach doświadczeń socjalistycznych we Wschodniej Europie nasz model miałby szansę zapuszczenia tam korzeni”. Być może, zasada „nieprzeszczepialności” jest ceną płaconą przez zachodnich „projektodawców” za sowiecką licencję na „parlamentarną drogę do socjalizmu”. W każdym razie komuniści włoscy, którzy zdają się szczególnie podsycać w Karolu „niepokonaną nadzieję socjalistyczną”, nie widzą żadnej potrzeby „zrehabilitowania na Wschodzie samej idei socjalizmu”; socjalizm, z takimi czy innymi „omyłkami”, jest tam już dla nich autentycznym socjalizmem; tyle tylko, że „wschodnim”. Karol wie równie dobrze jak ja, że „projekt socjalistyczny *chez nous*” nie wychyla się poza granicę wytyczoną w Jałcie. Jeśli go w ogóle brać na serio...

Na serio nie w sensie dojścia do władzy, bo pod tym względem komuniści włoscy zbliżyli się dziś do niej bardziej niż kiedykolwiek. Na serio w sensie „uwalniania się od hipoteki sowieckiej”, jak to określił jeden z przywódców PCI Amendola cytowany z aprobatą przez Karola. Panuje tu przedziwna mistyfikacja. Proces „uwalniania się PCI od hipoteki sowieckiej” przyjmowany jest coraz powszechniej na Zachodzie jako fakt bezsporny,

natomiast w praktyce ma charakter czysto werbalny, ogranicza się do deklaracji w stylu „oceniaamy krytycznie interwencję naszych towarzyszy z Paktu Warszawskiego w Czechosłowacji”. Oceniając ją „krytycznie”, komuniści włoscy nie odcięli się jednak od Husaka i nie poparli otwarcie Dubczeka. Oceniając „krytycznie” prześladowanie dysydentów w ZSSR, nie kiwnęli jednak palcem by im konkretnie pomóc. A zatem? Pozostaje uroczysta gwarancja respektowania, w zachodnim „projekcie socjalistycznym”, reguł demokracji wielopartyjnej, wolnych wyborów i wolnej prasy. Gwarancja na słowo honoru, któremu może ufać kto nie chce się rozstać z „niepokonaną nadzieją socjalistyczną”. Elena Sacharowa do komunistycznego wiceburmistrza Mediolanu: „Chcecie innego socjalizmu. Podajcie mi przykład innego socjalizmu. To co się stało w Czechosłowacji może się pewnego dnia powtórzyć we Włoszech”. W Belgradzie, gdzie się na tych rzeczach nieźle znają, nowy socjalizm głoszony przez Berlinguera uchodzi za „utopijny”. I znowu: utopijny nie w sensie przeskokowania narzecz, po trzydziestu latach, z opozycji do rządu; utopijny jako „projekt socjalistyczny *chez nous*”, który miałby w dalszej kolejności obdarzyć wolnością *la Pologne socialiste*.

22 listopada

Ciekawa uwaga Stefana Kisielewskiego: nagminna postawa cynizmu czy cwaniactwa w Polsce jest rezultatem dwóch terrorów, hitlerowskiego i stalinowskiego, które ugruntowały w ludziach poczucie absurdu; po takiej lekcji, gdy następuje zelzenie zwane „normalizacją”, wszystko istotnie zaczyna być normalne; u emigrantów irytuje niezdolność do zrozumienia, że w Polsce jest komicznie i normalnie... Na co ja: emigrantów drażni przypuszczalnie łatwość z jaką się pogodzone, że w Polsce jest komicznie i normalnie...

Śluchając go, przypomniałem sobie paryską rozmowę z moim rówieśnikiem-pisarzem, który emigrantom wyrzucał skłonność do dramatyzacji. Miał odrobinę racji, tak zresztą było zawsze, z emigrantami wszystkich epok i krajów. Ale (nawet nie przeceniając roli emigrantów) gdyby tej dramatyzacji zabrakło całkowicie, narzucona normalność „komiczna” przeistoczyłaby się z biegiem lat w poważnie i bezpowrotnie zaakceptowaną.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Kiedy rozum śpi - budzą się potwory

Problem zniewolenia był omawiany już wielokrotnie. „Zniewolenie” i wszystkie pokrewne terminy często występują w tytułach książek traktujących o rozmaitych wytworach umysłowych powstałych w krajach, w których panuje ideologia totalitarna. Od „Umysłu zniewolonego” Miłosza do „Les illusions fascistes” Alastaira Hamiltona ciągnie się nie tylko ta konwencja językowa, ale i ukrywające się poza nią charakterystyczne podejście do całej problematyki ideologii totalitarnych. Celem niniejszego artykułu nie jest polemika z koncepcją zniewolenia, ale od takiego krótkiego sporu musimy zacząć.

„Zniewoleni”, „oszołomieni”, „łudzący się”, wreszcie „opętani” to ci wszyscy, którzy za swoje przyjęli tezy ideologii faszystowskiej czy komunistycznej, by z pełną aprobatą i wigorem służyć jako tych tez interpretatorzy, popularyzatorzy lub przekładać je na język sztuki. Według zwolenników koncepcji zniewolenia „opętanych” jest wśród intelektualistów, głoszących totalitarne ideologie, znaczna większość. Nieliczni tylko w sposób „wolny” tworzyli takie ideologie. Większość im się poddawała. Oczywiście stopień i zakres podporządkowania bywał różny, a jego widzialne przyczyny rozmaite. Kiedy koncepcja zniewolenia bywa (Miłosz tego nie uczynił) posuwana do ostatecznych granic, okazuje się że Lenin w 1924 roku był „zniewolony” przez swoje poglądy wygłoszone w „Państwie i rewolucji”, czyli innymi słowy przez logikę własnej myśli, a zatem że w gruncie rzeczy chciał czegoś zupełnie innego, tylko jakoś tak nieszczęśliwie to wszystko wyszło.

Sławne powiedzenia tych, którzy ocknęli się w okolicy 1956 roku z reguły taką miały treść: „byłem w szpitalu wariatów”,

miał powiedzieć wybitny poeta, „wyszedłem i proszę was, panowie, byćcie rozmawiali teraz ze mną normalnie”. Nie wątpimy więc, że te wyznania wiernie oddawały stan świadomości ich autorów, i w tym — ale w tym tylko sensie — przyznajemy słusność koncepcji zniewolenia. Rozumiana szerzej, a tak jest rozumiana z reguły, powoduje niebezpieczne mnożenie nieporozumień. Przede wszystkim nieporozumieniem jest traktować inteligentów — ideologów totalitaryzmu jako bierne ofiary. Uważamy bowiem, że stalinizm w ideologii i socrealizm w sztuce odpowiadały dokładnie upodobaniom tych myślicieli i artystów, którzy za stalinistów lub socrealistów byli uważani i sami siebie uważali. Nie należy jednak popadać w przeciwne skrzywienie. Przyznajemy więc, że istniała presja administracyjna i prawna, że opornym mogły grozić pewne przykrości (dramatyczne w Rosji przed 1953 rokiem, znacznie mniej poważne, bo niemal wyłącznie finansowe, w Polsce przed rokiem 1956), wreszcie że stalinizm i socrealizm nie były całkowicie spontanicznie wymyślone przez polskich intelektualistów, a po części przejęte z Rosji. Przejęte wszelako z całą radością i dobrą wolą rozszerzania i udoskonalania, a także przygotowane już przez nastawienia ideologiczne lat wojny i pierwszych trzech lat po wyzwoleniu.

Zasadniczo jednak twierdzimy, że nie ma żadnego zniewolenia wtedy kiedy z gotowością przyjmuje się tezy przez innych nawet sformułowane. Innym zagadnieniem jest, jakie były przyczyny tej utraty krytycyzmu u jednych i skłonności do prymitywnego, zamkniętego świata siły u drugich. W artykule nie podejmuję jednak tego tematu, a pragnę wyłącznie pokazać ważne powody, które sprawiają, że lekkomyślna niechęć do wyjaśnienia tych zagadnień obciąża wciąż naszą intelektualną świadomość i uniemożliwia nam jasne widzenie rzeczywistości. Sprawa przedstawia się zatem tak: koncepcja zniewolenia nie wyjaśnia zjawisk ideologicznych sprzed 1956 roku, tylko dostarcza łatwej i fałszywej etykiety, przy pomocy której i sami ongiś „zniewoleni” i badacze ich twórczości załatwiają się z całym zagadnieniem. Takie postępowanie powoduje poważne zafałszowanie obrazu niedawnej przeszłości, a wobec tego uniemożliwia wykrycie reliktywów tej przeszłości. Wielu uważa, iż trzeba tę przeszłość odrzucić i pogrzebać, że trzeba zacząć od nowa. Nie jest to jednak i nie będzie możliwe, dopóki będziemy mieli złudne na temat tej przeszłości wyobrażenia. Trwa zatem stan „post-zniewolenia”, czyli stan utraty rozeznania rzeczywistości, powodowany przez nieprzewycięzenie stalinowskich i socrealistycznych kategorii. Dodam, aby być dobrze zrozumianym: nie sądzę, by wciąż były powielane dawne kategorie w ich historycznym kształcie, stalinowcy i socrealiści to dzisiaj albo państwowi wyrobownicy, albo kuriozalne postacie.

Trwa natomiast przerażające zamieszanie. Nie wiadomo co sądzić o cudzych poglądach, dopóki nie wie się, kto jest ich autorem i jak przedstawia się jego biografia, każdy może być każdego dnia każdym, słowa jak „lewicowy”, „ideowy”, „zaangażowany”, „osobiście przyzwoity” czy „odpowiedzialny” służą jako słowa-klucze, beznadziejnie zaciemniając treść wszelkich poglądów i uśmiercając każdą dyskusję. Zamieszanie takie będzie się potęgowało, o ile nie spróbujemy jasno powiedzieć na początek, że stalinizm w ideologii i socrealizm w sztuce były dziełem ludzi w pełni świadomych tego co czynią, a w każdym razie świadomych na tyle, na ile możemy być świadomi naszych intelektualnych wyborów i ich praktycznych konsekwencji. A nikt nie powie, że świadomości takiej jesteśmy do cna pozbawieni.

Nie wszystkim dzisiejszym trudnościom winien jest ów nieodrzucony i pośredni spadek po stalinizmie, ale tu mamy do czynienia z winowajcą, którego można zidentyfikować i z którym należy się rozliczyć. Nie jest to zresztą zjawisko wyłącznie polskie. Występuje ono w podobnej postaci na Wschodzie i na Zachodzie, tyle że w krajach zachodnich „zniewoleni” nie stanowili nigdy znacznej większości wśród intelektualistów i artystów, stąd też sukcesja po nich jest nieco mniej niebezpieczna. Analizując tę sukcesję będziemy w myśli posługiwali się polskimi przykładami, ale niemal zawsze można znaleźć dla nich odpowiedniki w innych krajach. Nie wymienimy jednak konkretnych przypadków ani nazwisk, bo jak wiadomo każdy konkretny jest nietypowy, a poza tym są to ludzie wciąż aktywni, często godni podziwu, więc wszelkie personalne rozliczenia byłyby nie na miejscu.

Dodajmy na koniec zastrzeżenie ogólne. W Polsce, a i na całym świecie, wielu ludzi młodych (poniżej 35 lat) zna stalinizm jedynie z opowiadań i z jego złagodzonych znacznie wersji albo nie zna go wcale, a mimo to ludzie ci tworzą także w duchu owe go „post-zniewolenia”. Można by na tej podstawie sądzić, że idzie tu o nastawienie duchowe bardziej zasadnicze niż to, jakie mogłaby wywołać owa nieprzewycięzona sukcesja po ideologii totalitarnej. Tak też zapewne jest, w niczym to jednak nie zmniejsza ważności naszego problemu, ponieważ to bardziej zasadnicze nastawienie będzie trwało na pewno, dopóki sukcesja nie zostanie zidentyfikowana, opisana i odrzucona. Próbie jej zidentyfikowania i opisanego poświęcony jest ten artykuł. Do jej odrzucenia potrzeba jednak znacznie więcej, potrzeba poważnej i obszernej analizy przyczyn, które sprawiły, że tak wielu, tak mądrych — jak to wcześniej pokazali, lub jak to się później ujawniło — ludzi, mogło być głosić poglądy, które dziś uważamy za po prostu śmieszne i głupie.

Dwudzielna wizja świata

Na temat wiecznej „lewicy” napisano już nieskończenie wiele książek i artykułów. Posługiwanie się takimi kategoriami jak „lewicowy”, które straciły dzisiaj wszelkie znaczenie, wynika z pewnej potrzeby. Nazwijmy ją potrzebą auto-identyfikacji. Ponieważ na gruzach stalinizmu nie udało się sformułować żadnej ideologii, ani nawet nie ma żadnej jasności na temat podstawowych faktów z tamtych lat, podział świata na swoich i obcych jest niezbędny dla utrzymania iluzorycznego choćby poczucia, że istnieje jakiś ruch, jakaś grupa, jakaś wspólnota.

Im trudniej jest wyodrębnić podobnie myślących na podstawie ich poglądów, tym silniej interweniują oceny zachowań prywatnych czy półprywatnych. W tym sensie właśnie dziedzictwo po totalitarnej ideologii ujawnia się bezpośrednio. Bawimy się opowiadaniem o tym, jak dwadzieścia kilka lat temu zebrania partyjne były poświęcone rozważaniu czy towarzysz X miał prawo zrobić dziecko towarzyszcze Z a potem ją rzucić, ale nasza interwencja i ocena ludzkiego życia ze względów ideowych rozpoczyna się wprawdzie na wyższym poziomie, ale na wyższym niewiele. W czasach porozbiorowych, a zwłaszcza po upadku powstania styczniowego, powszechnie obowiązywał zakaz utrzymywania stosunków towarzyskich z Rosjanami, a przede wszystkim zawierania małżeństw. Był to zakaz konieczny dla utrzymania więzi społecznych zagrożonych przez zaborcę. Dzisiaj w miejsce tego zakazu pojawił się zakaz współpracy z reżymem. Powody, dla których został sformułowany, są równie oczywiste, ale mniej jasne są kryteria. Część kłopotów wynika z normalnej zawilgości ocen występującej zawsze w przypadku ugodowej pracy organizacyjnej. Bez wątplenia każdy kto chce uczestniczyć w życiu publicznym w naszych czasach, w kraju należącym do socjalistycznego bloku, musi zdecydować się na pewne kompromisy, choćby na przemilczanie niektórych spraw, czy na posługiwanie się aluzją, lub na wybieranie neutralnych tematów. Znane są wynikające stąd niebezpieczeństwa. Jednak ocena takich kompromisów, sformułowana w różnych ugrupowaniach intelektualistów, opiera się nie na kryteriach merytorycznych, lecz formalnych i symbolicznych, zmiennych i niepewnych a zarazem z pozoru rygorystycznych.

Niekończące się rozważania na temat tego czy wolno drukować swoje artykuły w danym piśmie, z kim wolno współpracować a z kim już nie, z kim wolno spotykać się na gruncie towarzyskim, a komu ręki podawać nie należy, są niezbędne w naszym kraju, ale powinny być oparte na najbardziej nawet

subtelnych i niepewnych ocenach merytorycznych, a nie na personalnościach. Z tego punktu widzenia tzw. rewizjoniści, mimo wszelkiego zastrzeżenia jakie można mieć do ich działalności, byli jedynym (obok katolików) w dziejach Polski Ludowej ugrupowaniem, które próbowało narzucić społecznej świadomości pewne kryteria merytoryczne. Po rozpadnięciu się tej propozycji ideowej wysiłków takich już całkowicie zaniechano.

Sytuacja jest trudna i brak zewnętrznych odniesień w postaci rozmaitych organizmów politycznych dodatkowo ją komplikuje. Jednakże posługiwanie się podziałem na swoich i obcych, chociaż socjologicznie zrozumiałe i psychologicznie oczywiste, sprawia, że owe trudności spowodowane przez czynniki zewnętrzne wzmagają się niepomierne już z naszej winy. Żyjemy więc otoczeni cieniami i znakami, każde publiczne zachowanie jest znaczące, każdy najdrobniejszy choćby ewenement jest w koło Macieju analizowany i rozpatrywany, zanim zapadnie decyzja jak go traktować, każdy uważa za stosowne mieć zasadnicze zdanie na temat cudzego zachowania czy poglądu i natychmiast gotów jest formułować zupełnie przypadkowe reguły nie mające żadnego poważniejszego oparcia. Jakże bowiem mieć pewność skoro ludzie dziś szlachetni, niegdyś także byli szlachetnymi w swoim przekonaniu, tylko coś ich opętało, dali się zniewolić? Wobec tego nikt nie odważa się już szukać pewności w sobie, swojej prawdy, łapie się cudzych mniemań i tak istnieje nieustający wzajemny sąd, w którym podsądni są zarazem sędziami, adwokaci prokuratorami, a prawem potrzeba autoidentyfikacji.

Postawy i zachowania post-totalitarne są charakterystyczne, w naszym przekonaniu, zarówno dla sympatyków „lewicy”, jak i dla ich równie uwikłanych przeciwników, dla prymitywnych antykomunistów. Dwudzielna wizja świata występuje w obu tych nastawieniach, uniemożliwiając pluralistyczny ogląd rzeczywistości i zamykając obie strony w ramach odwiecznych i beznadziejnych sporów. Najbardziej charakterystyczny pod tym względem jest stosunek do sprawy „narodowej” i sprawy „społecznej”.

Dla jednych każdy objaw najbardziej nawet prymitywnej reakcji, odwołującej się do rudymenarnych więzi narodowych, zwiastuje najpoważniejsze niebezpieczeństwa. Na tej zasadzie do wspólnego mianownika prowadzone są obrzydliwości głoszone przez jakieś podrzędne i niewątpliwie nacjonalistyczne ugrupowania z wszelką refleksją, w której trosce o losy narodu w XIX, dajmy na to wieku, nie towarzyszy troska o rozwiązanie sprawy chłopskiej. Chociaż od czasów tzw. odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego w oficjalnej ideologii nie prowadzi się walki z ideałami narodowymi (a czasem nawet się je cynicznie wykorzystuje), resentymenty trwają i będą trwały dopóki nie zostanie wyjaś-

niony sens takich kategorii jak „naród” i „nacionalizm”, stosowanych we współczesnej Polsce. Na razie uważa się, że najlepiej jest z daleka obchodzić te niepewne sprawy, a w najlepszym razie zabawiać się w naukowe typologie i rozróżnienia w ogóle nie odnoszące się do rzeczywistości.

Równie typowa i wyświechtana jest postawa przeciwnej strony. Dla tych, którzy wszelką lewicę uważają za diabła wcielonego, każdy kto napomyka choćby o nierówności społecznej, o solidarności klasowej i w ogóle podejmuje społeczną problematykę na szerszą skalę, jest już z góry zapredany komunizmowi, bowiem odważył się kontynuować dawne socjalistyczne wzorce. Kto jest za klasami ten jest przeciwko narodowi, bo ważna jest solidarność, a na ewentualne konflikty przyjdzie czas po odzyskaniu pełnej niepodległości. Po obu walczących (kiepsko zresztą) stronach obowiązuje przekonanie, że każdy najmniejszy choćby krok w przeciwną stronę równoznaczny jest ze zdradą.

Słowa i ucieczka od „rozumu”

Kto żyw powtarza do znudzenia pogląd, że w naszych czasach słowa się zużyły. Znaną obserwację (Chiaromonte, Klemperer, Orwell) ukazującą językową specyfikę faszyzmu, i w ogóle sposób posługiwania się słowami przez nowe ideologie, kiedy to raczej chodzi o zaciemnienie sensu niż o klarowność, rozszerza się na język wszelkich ideologii. I tym razem ów brak zaufania jest zrozumiały, ale ponieważ słowami operować musimy, napotyka my na poważne sprzeczności. Charakterystyczny przykład stanowi frazeologia romantyczna, która przecież była wykorzystywana w XX wieku przez najróżniejsze ciemne siły ideowe, i z tej racji uważa się ją często za skompromitowaną. Otóż jest to wyrazem niekonsekwencji, jeśli równocześnie nie uważa się za skompromitowaną frazeologię pozytywistyczno-socjalistycznej. Można albo nadawać słowom nowe znaczenia i w ten sposób próbować odbudować ich zdolność do przekazywania myśli — a jest to zabieg prawie niemożliwy — albo nie zważając na zużycie się pewnych słów posługiwać się nimi w sposób zgodny z duchem języka dbając jedynie o to, by frazes nie zastępował logiki wywodu. Ta druga droga wydaje się może nie łatwiejsza, ale na pewno rozumniejsza.

Na łamach *Kultury* a także w kraju od wielu lat toczą się dyskusje na temat potrzeby programu. Wyrażano już najróżniejsze na ten temat poglądy, najrozsądniejszy wydaje się na pierwszy rzut oka pogląd Leszka Kołakowskiego, że mianowicie programy będą powstawały, kiedy będą potrzebne, że nic tu się nie

da zrobić na siłę, ani wymyśleć bez odpowiedniej sytuacji w rzeczywistości społecznej. Cała dyskusja wokół tej sprawy jest jednak zaskakująco powierzchowna i toczy się na całkowicie ahistorycznym gruncie. Wiadomo przecież, że programy politycznego działania zawsze miały charakter postulatów praktycznych, odpowiadały na pytanie jak zrealizować konkretne cele. Otóż trudno oczekiwać programów dopóki nie rozważa się celów, a właśnie takimi rozważaniami zajmują się ideologie. Cele, nawet tak podstawowe jak wolność i sprawiedliwość, muszą być szczegółowiej zinterpretowane, trzeba rozpatrzyć bądź to sposoby zorganizowania automatycznego krążenia elit, bądź to zapewnienia maksymalnej egalitaryzacji, ale przede wszystkim trzeba zastanawiać się nad tym, czy i dlaczego społeczeństwo ma mieć budowę częściowo hierarchiczną, lub przeciwnie całkowicie horyzontalną czy jeszcze inną. Dopóki zatem nie zostanie przewyżczony nasz paraliż ideologiczny, dopóty wszelkie programy muszą mieć najzupełniej przypadkowy charakter. Ostatni program ideologiczny w Polsce sformułowali Kuroń i Modzelewski przed kilkunastoma laty. Dziś nikt nie myśli już o tym by do niego nawiązywać, ale też nikt nie spróbował przedstawić własnego systemu wartości i własnej hierarchii celów.

Najczęstsza postawa to swoisty solidaryzm ideowy. Powiada się zatem, że musimy korzystać ze wszystkich tradycji, które mieszczą się w szerokich ramach myślenia demokratycznego, z neofickim wigorem gotowi jesteśmy uznawać zasadniczą wspólnotę wielbicieli Dembowskiego, księcia Czartoryskiego, Jarosława Dąbrowskiego i Ludwika Krzywickiego, co samo w sobie nie jest złem naturalnie, co jednak absolutnie nie sprzyja wykształcaniu się ideologii. Przerażeni tym czego udało się dokonać w ferworze toczony przed 1956 rokiem walki ideologicznej odżegnujemy się od ocen, o ile przypadek nie jest na tyle skrajny, że potępienie wydaje się niezbędne i bezpieczne. Sytuacja jest i będzie beznadziejna, bo, jak już mówiliśmy, z jednej strony, całe niemal życie z wyjątkiem obszarów najbardziej prywatnych jest przeniknięte przez oceny polityczno-moralne, z drugiej zaś owe oceny mogą być formułowane tylko z jakichś eklektyczno-solidarystycznych pozycji. Toczony są gorączkowe poszukiwania takiej pozycji, z której można by formułować ideowe kwalifikacje wzniesione ponad poziom wszelkich antagonizmów, jakie mogłyby powstać w owym najszerzej rozumianym obozie demokratycznym. Pozycja taka zaś oczywiście nie istnieje i zająć jej nie można. Nie wynika z tego, że możliwa jest tylko ideowa walka na śmierć i życie. Przeciwnie możliwe i ze wszechmiar pożądane jest porozumienie między różnymi i konfliktowymi nawet ideologiami, porozumienie dotyczące pewnych pryncypiów, porozumienie jakie

przecież jest zawierane *explicite* lub milcząco w wielu zachodnich krajach, a dotyczy podstaw demokracji i elementarnych swobód jednostki. Jest to wszelako porozumienie między istniejącymi już ideologiami, a nie zaplanowany z góry solidaryzm i minimalizowanie odrębności w imię na pozór ideałów moralnych, a w istocie ze strachu przed posłużeniem się prywatnym rozumem.

Chociaż nie brak powodów do wątpienia w skuteczność tego prywatnego rozumu, wszystko co twórcze i wartościowe jest przeciw jego dziełem. Prawda, że jego również dziełem jest wszystko co straszne i zgubne, ale nie mamy gdzie się schronić, ani nie ma czym rozumu zastąpić. Jedyna droga to zbadać jego meandry, odpowiedzieć dlaczego błędził, kiedy dał się uśpić, a kiedy i dla czego sam sobie narzucił sen, aby dokonywać rzeczy na jawie niedopuszczalnych. Utrata zaufania do rozumu oznaczałaby koniec naszej kultury, a nie wydaje się by dzisiaj jeszcze zaufania tego nie dało się przywrócić. Przecież ekscesy rozumu, które obserwowaliśmy w XX wieku, były ekscesami rozumu usamodzielnionego, wyzwolonego z wszelkich więzów: społecznych, ekonomicznych, moralnych i religijnych, rozumu, który wziął rozbrat zarówno z tradycją jak z intuicją, z dobrym smakiem i z logiką. Doprawdy nie znaczy to, by rozum oszalał w ogóle, a tylko że potrafi wkroczyć na manowce, jeśli sam nad sobą utraci kontrolę i ten właśnie mechanizm utraty kontroli trzeba zbadać. A jest to mechanizm działania prywatnego, indywidualnego rozumu, a nie mechanizm zniewolenia. Jeśli był to sen, to nie hipnotyczny czy narkotyczny, ale dobrowolny i jakby świadomy.

Ucieczka od rozumu jest jednak wyjściem łatwiejszym, niż usiłowanie przywrócenia mu zaufania. Ucieczka dokąd? Najczęściej w „piękno”, albo w „dobro”.

Nieodpowiedzialność i esteci

Jeśli mówimy o ucieczce w „piękno” to, rzecz jasna, nie mamy na myśli samego faktu uprawiania sztuki jako sztuki i tego że obowiązkiem i racją bytu artysty jest przekazywanie swoich wrażeń, a nie ilustrowanie, ani nawet podejmowanie zagadnień społecznych i ideologicznych. Nie artyści zresztą są tymi, którzy najczęściej ucieczki tej dokonują, chociaż często i chętnie korzystają z gotowych już wzorców, wzorców dostarczanych przez wszystkich, którzy krążą wokół sztuki. Estetyzm taki deklaratywnie ma ignorować problematykę ideologiczną, a w gruncie rzeczy jest także pewną namiastką postawy ideowej. Automatycznie nasuwają się analogie z myślą modernistyczną i nie przypad-

kowo ekstrawagancje modernizmu znajdują dzisiaj tak wielu wielbicieli. Ale analogii tej nie należy posuwać zbyt daleko, dopóki nie zostanie szczegółowo zbadana. Dla naszych celów wystarczy, że taka ucieczka w „piękno” jest dla tych, którzy jej dokonują równoznaczna ze zwolnieniem od wszelkiej odpowiedzialności intelektualnej. A na tym właśnie im zależy.

Dawniej (przed 1956 rokiem) sądzono, że wszelkie przedsięwzięcie artystyczne musi być podejmowane w sposób zaangażowany. Dziś chciałoby się, by o zaangażowaniu nawet mowy być nie mogło. Paniczny strach, który rządzi umysłami krytyków drżących, że ktoś mógłby ich posądzić o poważny stosunek do rzeczywistości, powoduje, iż posługują się swoim umysłem jak reflektorem w środku wiecznej nocy, reflektorem wyławiającym to ten to tamten fragment pejzażu; z pasją gotowi są opisywać i rozważać ten wycinek, o ile tylko nikt nie zażąda od nich relacji o całości obrazu. Wówczas dzielą się na dwie frakcje: esteci — sceptycy odpowiadają, że kto to wie jak jest naprawdę, że trochę wstyd zadawać w towarzystwie tak poważne pytania, że przecież to raczej wszystko jest jakaś rozrywka umysłowa, i lepiej się za bardzo nie przejmować, bo wiadomo co się stało nie tak dawno, kiedy to niektórzy przejęli się za bardzo. Natomiast esteci-romantycy oburzają się na płaskość stawianych im pytań, na tę niszczącą skłonność do dyskursywnego rozważania faktów artystycznych, na „zreifikowaną” logikę, która ignoruje takie zjawiska jak bezpośredni ogląd intuicji, tylko bowiem ów błysk rozświetla mrok ludzkiego świata.

Obie postawy mają za sobą długą tradycję i nie zostały wymyślone na użytek naszych czasów, doszło tylko do zabawnego ich przeformułowania. Dawniej służyły obronie życia, dzisiaj pomagają od życia uciec. Dawniej stanowiły pewien sposób na ujawnienie zakrytych obszarów rzeczywistości, dzisiaj stanowią sposób na zakrycie widocznych gołym okiem terytoriów. Doprowadza to do takiego pomieszania pojęć, że pewnych rzeczy dzisiaj powiedzieć się właściwie nie da, to znaczy można je łatwo wytłumaczyć ludziom, których pogląd jest na daną sprawę i tak podobny — z czego więc uzyskujemy niewielki pożytek, albo trzeba najprostsze zdanie poprzedzić niekończącymi się zastrzeżeniami i ograniczeniami, co wstyd czynić i co z banału lub oczywistości robi traktat.

O przykłady nie trudno. Choćby problem sztuki zaangażowanej. Jak wiadomo, ludzkość zgłasza najrozmaitsze koncepcje na temat tego w jakim sensie sztuka jest lub być powinna zaangażowana. Koncepcje te były zawsze częścią jakiejś filozofii lub choćby programu artystycznego. Dzisiaj wystarczy powiedzieć, dajmy na to, że sztuka nie powinna być zaangażowana w bezpo-

średnie spory ideologiczne, że zatem demonstracja i ilustracja poglądów ideowych nie jest jej naczelnym zadaniem, by obudziły się głosy równie rozgorączkowane jak sprzeczne i bezkrytyczne. A to, że sztuka nie może uciekać od życia, a to że nawet gdyby mogła to nie potrafi, bo zawsze będzie spontanicznie opisywała rzeczywistość, a to wreszcie, że sztuka i filozofia to tylko różne języki służące do oświeclania pod rozmaitym kątem tych samych przedmiotów. I tak bez końca toczą się dyskusje, trwają seminaria, a ludzie bez cienia wstydu powtarzają w kółko te same pomysły i zupełnie nie wiadomo dlaczego ktoś jest nagle akurat za sztuką zaangażowaną, albo przeciwnie zajmuje stanowisko. A wszystko dlatego tylko, że nie zostały wciąż wyjaśnione podstawowe fakty, że nie wiadomo tak naprawdę jak się ma postulat sztuki zaangażowanej stosowany w XIX wieku w celach narodowych, do tego samego postulatu stosowanego w czasach socrealizmu. Zaiste pojęcie to się zdewałowowało, ale wartość można mu przywrócić jedynie wyjaśniając treści, które kiedyś poza nim stały, a przede wszystkim te treści, jakie z całą jasnością, jak się wydaje, narzucone mu zostały w programie socrealistycznym. Dopóki nie zostanie to zbadane i jasno oraz stanowczo powiedziane, dopóty nie będzie końca owej beznadziejnej gadaninie i beznadziejnym spekulacjom.

Zwolnienie od odpowiedzialności jako skutek i cel zarazem ucieczki w „piękno” ma także bardziej dobitne konsekwencje dla życia ideowego. Ponieważ życie to w Polsce znowu z oczywistych przyczyn jest ogromnie nerwowe, ponieważ wobec braku rzeczywistych ideologii co pewien czas nieco na siłę wyszukuje się ich surogaty, ponieważ czasem coś się komuś z czymś kojarzy, więc bywa, że esteci porzucają swoje schronienie i widząc przed sobą łatwy przedmiot pochwały lub nagany, biorą się za życie i moralność, a to ni stąd ni zowąd zachwyca się twórczością Henry Millera, a to z równie zagadkowych przyczyn nakrzyczą na Sołżenicyna, że tak wprost porusza w sztuce sprawy polityczne. Nieodpowiedzialność ideowa doprowadza zatem z konieczności do nieodpowiedzialności w formułowaniu sądów artystycznych. Autentyczna linia własnego rozwoju jest nieustannie atakowana i narazona na zewnętrzne przypadkowe interwencje.

Ucieczka w „piękno” w latach stalinowskich była zabiegiem często niezbędnym, jedynym wyjściem z sytuacji. Zaś sztuka zaangażowana realizowała ściśle postulaty ideologii. Obecnie tę samą ucieczkę próbuje się opatrywać ideologicznymi interpretacjami, najczęściej są to interpretacje formułowane w duchu konserwatywnym. W zakresie gustów i smaku oraz rzetelnej znajomości warsztatu artystycznego postawa taka przynosi nadzwyczajne osiągnięcia. Rozszerzona jednak na całość problemów życia

społecznego doprowadza do swoistego pesymizmu i zostaje zamknięta w błędnym kole katastrofizmu. Znowu nie jest to fenomen specyficznie polski, ale specyficzne w Polsce są niektóre jego przyczyny. W tej materii do podobnych zresztą konsekwencji prowadzą poglądy estetów-romantyków i ludzi hołdujących konserwatywnym gustom artystycznym. Jedni i drudzy przekonani są, że sztuka się skończyła, że tym bardziej skończyła się ideologia, że wprawdzie coś tam dalej dzieje się ze światem, ale nie ma powodu, ba, nie należy się tym interesować, bo to tylko drobne paskudstwa i przedśmiertne drgawki. Jeśli tak patrzy się na rzeczywistość, jeśli dowodzi się, że Zachód już utracił swoją energię życiową, a Wschód dysponuje jedynie siłą niszczącą, wówczas oczywiście każda diagnoza może łatwo być potwierdzona i katastrofista zaciera ręce radując się, że wszystko ma się jak najgorzej. I z tego także punktu widzenia ideologiczny stalinizm nie musi być przedmiotem systematycznej analizy, a koncepcja zniewolenia znakomicie się godzi z owym pesymizmem. Nie jest to już po prostu ucieczka w „piękno”, ale ucieczka w „piękno” minione, często, powtórzmy, elegancka i ponętna, ale przez swój tradycjonalizm uniemożliwiająca wyważony sąd o współczesności.

Moralisci i Makiawele

Nie wszystkim wystarczają i nie dla wszystkich są interesujące sposoby osądzania świata, ukształtowane na podstawie poglądów na dzieje i współczesną sytuację sztuki. Kiedy niemożliwe jest formułowanie zwartych poglądów ideologicznych, ich miejsce zajmuje moralistyka i taktyka. Nie mamy nic przeciwko jednej i drugiej, dostrzegamy wszakże poważne niebezpieczeństwo w przyznawaniu im przesadnego znaczenia i niewłaściwych funkcji.

Istnieje taki beznadziejny problem, który w Polsce jest nieustannie rozważany. Czy mianowicie słuszniej i zarazem korzystniej dla całego życia społecznego jest pieczołowicie dbać o zachowanie czystych rąk, czy raczej zgrabnie i skutecznie rozgrywać swoją partię w celu osiągnięcia pewnych praktycznych możliwości działania. Wiadomo, że żadnych ogólnych reguł ustalić się nie da, ale poszukiwania są bez przerwy prowadzone, zaś ich skutki żałosne. Kilka powodów składa się na taki stan rzeczy. Zaczniemy od powodu może nie najważniejszego i trochę wstydliwego, ale godnego uwagi.

Większość spośród ludzi dziś aktywnych w polskiej kulturze w jakiś sposób była powiązana z ideologią stalinizmu i programem socrealizmu. Dopóki sami swojej minionej roli nie wyjaśnią, dopóty zawsze znajdzie się ktoś, kto ich patosowi moralnemu

przeciwwstawia ironicznie ich niejasną przeszłość. Dla merytorycznej oceny treści cudzych wypowiedzi nie ma, w każdym razie nie powinno mieć znaczenia co dany osobnik myślał lub robił przed dwudziestu kilkoma laty, nie ma to także znaczenia dla oceny jego życia prywatnego, ale każdy kto chce być Katonem, musi liczyć się z tym, że własna przeszłość zostanie mu wspomniana, powinien więc ewentualne wątpliwości sam wyprzedzić, albo wstrzymać się od ferowania moralnych wyroków. Pierwsze jest niemożliwe z ogólnych względów, o których wielokrotnie była już mowa, drugie także z tych względów, tyle że jako ich skutek pośredni. Nie można się wytłumaczyć z przeszłości, ani nawet jej opisać, dopóki obowiązuje koncepcja zniewolenia, wobec tego nie udaje się sformułować poglądów ideologicznych (filozoficznych nawet), a w tej sytuacji rolę ideologii pełni moralistyką i nie sposób powstrzymać się od ocen jakby moralnych, które stanowią jedyną formę opisu rzeczywistości.

Posługiwanie się kategorią „ideowości” i całym związanym z nią zespołem skojarzeń to druga przyczyna owego rozkwitu moralistyk. Czasy dzisiejsze, czasy ideowej pustki, przeciwwstawia się dziecięcej prostocie ducha osiągalnej w epoce stalinizmu. Tęsknocie za uporządkowanym światem, odwiecznej ludzkiej tęsknocie, towarzyszy wówczas niemal dosłownie przejęte z ideologii rewolucyjnych upodobanie do postaw heroiczych, bezkompromisowych, jednoznacznych. Oczywiście jest oczyszczająca wartość takich wyobrażeń, ale równie oczywisty jest ich infantyлизм. A równocześnie odpowiednio silne jest poszukiwanie okazji do wykrzyknienia, że król jest nagi. Ci sami ludzie gotowi są idealizować najbardziej dwuznaczne postacie z rewolucyjnej tradycji i zarazem podejrzliwie lub z eleganckim cynizmem podawać w wątpliwość moralną czystość innego herosa. Poświęcić życie dla utopii — oto cel, który zawsze spotka się z aprobatą. Stąd powtarzane są słowa Simone Weil o tym, że sprawiedliwość jest zawsze po stronie zwyciężonych, stąd przypominane są wciąż XVIII- i XIX-wieczne pomysły umoralnienia stosunków międzynarodowych, a jednocześnie z lubością przytaczane są przykłady odwiecznej korupcji panującej wśród polityków, łatwości z jaką zmienili zdanie i przypadkowości ich najbardziej poważnych decyzji.

Działanie obu tych czynników doprowadza w sumie do zdecynnienia życia umysłowego. Przykładem mogą być losy odbioru książki Bohdana Cywińskiego „Rodowody niepokornych”, książki niezmiernie wartościowej, ale nie tyle ze względu na jej zalety moralne czy historyczne, ile dlatego właśnie, że prezentowała pewien dość ostro zarysowany pogląd. Powszechny aplauz dotyczył jednak nie tego poglądu, co do którego wypowiadali się tylko

nieliczni, ale takiej jej interpretacji, wedle której sama idea niepokorności jest ważniejsza od tego, w imię czego jest się niepokornym. Był to klasyczny przykład upupienia. Udało się potraktować tę książkę tak, żeby była do przyjęcia dla wszystkich dzisiejszych niepokornych. Nie znaczy to, że wszelka idea jedności opozycji jest w Polsce niesłuszna, ale, powtórzmy, punktem wyjścia do takiej jedności powinny być autentyczne różnice, a porozumienia zawierane na poziomie taktycznych celów, a nie moralistyk.

Wobec braku życia publicznego, a w każdym razie poważnego ograniczenia jego swobody, zrozumiałe jest, że muszą powstawać tego życia namiastki. W XIX wieku taki parlament duchowy składali trzej wieszczowie, a ich poglądy były zdecydowanie różne, a nawet rozbieżne. Dzisiaj parlament ten opanowali moralisci, którzy równie boją się formułować zbyt stanowczo swoje poglądy, jak chętnie we wszystkim dopatrują się wspólnoty myśli. Wtórują im Makiawele, dla których wszystko sprowadza się do taktyki, do tego by dzięki zręcznym posunięciom utrzymać stan posiadania, a zapominają o tym, że ów stan posiadania zmniejsza się z dnia na dzień i że taktyka jest po to, by przy jej pomocy realizować zasadnicze cele. Jedni i drudzy, to w imię „świętości”, to kierowani podejrzliwością, najchętniej cele te ograniczają do kilku ogólników, unikając jakiegokolwiek konkretności.

W takiej sytuacji najprostsze odruchy serca stają się jakimiś konstrukcjami i niemożliwa jest naturalność duchowej i moralnej reakcji. Zwolennicy jakiejś akcji zbierania podpisów będą rozpatrywali ją w moralnych kategoriach, będą oceniali i rozważali, kto też się przyłączył, a kto nie, kto z nami, kto odważny, a kto tchórz, zaś jej przeciwnicy wysuną zastrzeżenia taktyczne, drobno-polityczne wątpliwości, będą się odwoływali do świadomości społecznej i rozróżniali kto ma prawo co podpisać. Dla refleksji merytorycznej nie ma w tym wszystkim żadnego miejsca.

Zasada, że ważniejsze od tego co się mówi, jest kto, kiedy i jak to mówi, stanowiła się ideologii stalinowskiej. Koncepcja zniewolenia także, chociaż z innego punktu widzenia, lekceważyła treść wypowiedzi, i tak dalece przywykliśmy już do takiego okazjonalizmu, że nie dostrzegamy nawet jak myślą naszą rządzi przypadek. Bo przecież kryteria moralistyczne są także przypadkowe, są formułowane ze względu na daną okazję, o ile nie są wywodzone z filozoficzno-ideowych przeświadczeń. Ta ucieczka w „dobro” i w tym sensie jest podobna do ucieczki w „piękno”, że częściowo uwalnia rozum od odpowiedzialności. Każdy grzech może zostać wymazany, jeśli tylko uwidoczniła się intencja poprawy, a ponieważ nie jest to sytuacja księdza i spowiadające-

go się, bo nie ma żadnej nadprzyrodzonej instancji, więc rozliczenie przebiega również w sposób przypadkowy.

Duch ludzki rozmaite przechodził koleje i czasy totalitaryzmu wprawdzie na pewno nie miały równych sobie w dziejach, ale doświadczenie to można spożytkować i tak, by działało ożywiająco, a nie paraliżująco. Natomiast dopóki się tego nie uczyni, dopóty będą trwały czasy post-totalitarne, w których groźba nowych totalitaryzmów będzie wciąż żywa. Przecież esteci i moralści nie zdołają długo utrzymać swojego panowania nad opinią publiczną intelektualistów. Nadchodzą pokolenia, które jako w żadnym sensie osoby nie uwikłane, będą chciały wyrazić swój stosunek do świata. Na czym będą mogły się oprzeć? Nie na naszych poglądach, bo ich nie ma. Nie na moralistyce, bo to grubo za mało. Nie na estetyczno-sceptycznym stanowisku, bo jest wyzute z jakiegokolwiek pozytywności. Z oburzeniem i wzdarcą odrzuca nasz rygorizm moralny, okazjonalizm ocen i letniość poglądów. A co proponują? Zapewne znowu radykalną zmianę wszystkich pojęć i nasze zaczynanie od nowa stanie się dla nich zaczynaniem przeciwko temu co dawne, sięgną po idee proste ale brutalne i będą mówili o sztuce zaangażowanej, o walce i nienawiści. Tego dzisiaj na pewno nie pragniemy, ale z obecnego punktu widzenia jest to jedyna ewentualność.

Znamy świetnie pewne klasyczne nieporozumienia powstałe w dziejach powojennej Polski. Ale oto mimo tej rzekomej wiedzy sami identyczne problemy obracamy na wszystkie strony w niekończących się swarach. Nie co do wszystkiego można uzyskać pełną jasność i jednoznaczność poglądów, ale na pewno w niektórych przypadkach taka jasność jest możliwa, a w innych w każdym razie można określić przedmiot dyskusji. Przytoczmy kilka przykładów.

Bezpośrednio po wojnie znaczna część inteligencji (zwłaszcza inteligencji technicznej) ze zrozumiałą energią przystąpiła do prac nad odbudowaniem kraju ze zniszczeń. Wielu spośród nich przed wojną również ze zrozumiałych względów skłaniało się ku stanowisku umiarkowanie lewicowemu. Kiedy jednak znaleźli się w szeregach budowniczych komunistycznej Polski, ich lewicowość bynajmniej nie osłabła. Podstawowe reformy wydawały się słuszne, a rozmaite nonsensy przejściowe. I do dzisiaj nie nastąpiła żadna istotna zmiana w ich poglądach, jeśli są rozczarowani to co do obywateli, ale nie istoty socjalistycznego państwa aktualnego typu. Dla nich ideologia stalinizmu i socrealizm były czymś odległym, kiedy wymienia się liczbę więźniów politycznych przed 1956 rokiem uważają, że się przesadza. Nikt nigdy im żadnej prawdy o tamtych latach nie przekazał, ale oni swoje postawy przekazują ludziom młodym, którzy znowu z identycznym lewicowym zapa-

łem zabierają się do pracy. W samej rzeczy nie ma nic złego, ale złem jest, że ludzie ci zachowują się jak pijane dzieci we mgle.

Równie tajemnicza jest po dziś dzień ewolucja polityczna wszystkich trzech stanowisk politycznych, jakie przetrwały wojnę. Dlaczego niektórzy spośród socjalistów tak łatwo włączyli się w szeregi stalinowców, dlaczego niektórzy endecy pogodzili się z socjalizmem i stworzyli PAX, dlaczego ruch ludowy tak łatwo się rozpadł po ucieczce Mikołajczyka? Nie chodzi nam o wyjaśnienie podstawowych faktów (choć o to także), ale przede wszystkim o wyjaśnienie przyczyn tak łatwej akceptacji ideologii oficjalnej lub kapitulacji wobec niej, skoro wszystkie te trzy stanowiska ideologiczne były zasadniczo z nią nie do pogodzenia. Jakże można być dzisiaj socjalistą, jeśli się nie wie jak to się stało, że socjalizm (czy pewien nurt w obrębie polskiej myśli socjalistycznej) głoszony przez rozumnych przecież i przyzwoitych ludzi potrafił zaakceptować wszystkie podstawowe a straszne zasady sowieckiego komunizmu? A toczą się spory o socjalizm, w których problem ten nawet nie jest poruszany.

Podobnie na gruncie programów estetycznych i krytyki literackiej przedstawia się sprawa realizmu. Słowem tym wszyscy nieustannie obracają jak gdyby nigdy nic. Jest to sytuacja podobna do tej wcześniej opisywanej gmatwaniny z pojęciem „narodu”. Jednakże kompromitacja endeckiego nadużycia odbyła się już na tyle dawno i jeszcze w czasach wolności, że powierzchownie w każdym razie wiemy co o tym sądzić, a i tak wiele mamy kłopotów wskutek jednotronności podejścia i braku rzetelnych opracowań historycznych. Cóż więc powiedzieć o tym realizmie, który przez równie podejrzane przeszedł koleje? Możemy próbować określić sensowne i przesadne użycie słowa „naród” i całej związanej z nim aury skojarzeniowej. Zanim podobny zabieg będziemy mogli przeprowadzić z takimi słowami jak właśnie realizm, musimy zbadać całą epokę, o której wewnętrznym życiu i faktycznych motywacjach tworzących ją ludzi nie wiemy prawie nic.

Wnioski

Koncepcja zniewolenia jest więc nie tylko, w naszym przekonaniu, fałszywa, ale i szkodliwa. Kiedy Miłosz ją formułował odkrywała pewien aspekt całego fenomenu i pozwalała łatwiej zrozumieć, co się stało. Łatwiej bowiem było uznać, że przemożna siła objęła panowanie nad umysłami tysięcy intelektualistów i artystów na całym świecie, niż że oni sami dobrowolnie głosili i realizowali tak zdumiewające cele ideologiczne. Dzisiaj nie możemy poprzestawać na empatii. Jeśli zaś chcemy przywrócić god-

ność i przydatność społeczną profesjom intelektualnym, musimy zastanowić się także nad tym, co lepiej. Czy lepiej jest trwać w przekonaniu, że z rozumem ludzkim rozmaite siły nieracjonalne mogą wszystko uczynić, że zatem nie można intelektualistów obdarzać zaufaniem, ponieważ nie panują sami nad narzędziami, przy pomocy których wykonują swoje zadania? Czy może słuszniej byłoby przypuścić na razie, choćby przypuścić, że ideologie totalitarne i odpowiednie praktyki artystyczne były dziełem ludzi rozumnych i jako świadomych, którzy pobłądzili, którzy sami uśpiłi swoje zdolności krytyczne? Rozwijając tę hipotezę można rozważać przyczyny tych błędów, można poszukiwać sposobów na zabezpieczenie się przed kolejnymi „złudzeniami”. Można ich poszukiwać w rozumie kontrolowanym czy to przez tradycję, czy to przez świadomość społeczną, czy to przez religię, czy to wreszcie przez intuicję i zmysł harmonii. Możliwości są najrozmaitsze, ale ujawniają się one dopiero wtedy, kiedy przyjmiemy ową wyjściową hipotezę. W przeciwnym wypadku jesteśmy dalej bezbronni, a nasze wysiłki będą zupełnie bezpłodne.

Po drugie, kultura nie może być tworzona od nowa, ani nie można niczego w niej puścić w niepamięć. Od kilkunastu lat w Polsce w rozmaitych kręgach intelektualnych próbuje się przeznosić most ponad dziurą lat stalinizmu i wszystkie te zabiegi okazują się w końcu nieudane. Sztucznie wydłużane korzenie, które na swej drodze nie napotykają na żadne życiodajne soki, albo wysychają, albo wegetują tylko dzięki nieustannemu podlewaniu. Powoływanie się na tradycję XIX-wiecznego pozytywizmu, socjalizmu czy konserwatyzmu wprawdzie korzystnie rozszerza naszą wiedzę o przeszłości, ale w gruncie rzeczy jest tylko grą pozorów. We wszystkich bowiem tych ideologiach nie mamy do czynienia z podstawowym problemem naszych czasów, z problemem nowego świata ideologii, świata totalitarnego. Ta nowa jakość świata nie może być pominięta, jeśli chcemy by nasze diagnozy i oceny odnosiły się jakoś do rzeczywistości. A przecież oddziaływanie tej nowej jakości świata przeżyliśmy wszyscy mniej lub bardziej bezpośrednio na własnej skórze. Od siebie więc musimy zacząć i paraliż umysłowy będzie trwał, będzie się pogłębiał, dopóki ta praca nie zostanie porządnie i systematycznie wykonana.

Wszelako, jak się wydaje, obecnie nikomu na tym nie zależy. Co pewien czas pojawiają się z uśmiechem przez innych przyjmowane głosy dowodzące uprzywilejowanej intelektualnej pozycji, w jakiej znajdują się Polacy. Miałyby ona być uprzywilejowana z dwóch względów. Raz Polska jako położona między Rosją a Europą, między Wschodem a Zachodem, dysponuje szczególnym doświadczeniem historycznym, z którego świat mógłby wiele

skorzystać. Dwa, specyficzna Polska tradycja katolicka i dzieje pomagające do zachowania pewnej czystości moralnej narodu (?) miałyby umożliwić nam przekazanie Europie, czy raczej przypomnienie jej o wartościach, o których skłonna jest zapominać. Obie te ewentualności, być może prawdopodobne, nie mogą zostać zrealizowane, dopóki zrozumienie powiązań z Rosją będzie ograniczone do historii XIX wieku, a czystość moralna Polski mocno nadwątlona niedawną historią. Jeśli się błędziło, jeśli się grzeszyło, to nie ma innego sposobu na odzyskanie czci i cnoty jak przez wyznanie prawdy. A moralistyka prawdy nie zastąpi.

Powtórzmy raz jeszcze: koncepcja zniewolenia jako obowiązująca do dzisiaj interpretacja akcesu intelektualistów i artystów do stalinizmu (używamy tego pojęcia w jego najszerszym znaczeniu) jest niewystarczająca. Nie tocymy na tym miejscu sporów o interpretacje, ale wysuwamy przeciwko tej koncepcji zarzut zaciemniania prawdy. Zaś konsekwencje tego są następujące: brak życia duchowego, dwudzielna wizja świata, w której racje ideowe zostały zastąpione moralnymi, zdziennienie życia umysłowego, utrata wszelkich proporcji oraz poczucia ważności poszczególnych zagadnień, ucieczka w „piękno” i ucieczka w „dobro” od odpowiedzialności intelektualnej, wtórne idealizacje i ponowne przewartościowanie. Można nie chcieć czy nie potrafić wyciągnąć nauzki z błędów przeszłości, ale trzeba choćby spróbować dowiedzieć się, na czym polegały. Bez tego opcje polityczne, moralne i artystyczne dokonywane w pustce filozoficznej i ideologicznej będą przypadkowe, a więc bez kontynuacji i bez historycznego znaczenia.

Jerzy KLEWIŃSKI

PRZEMIANY

BIULETYN INFORMACYJNY PPS W NIEMCZECH

ARTYKUŁY, OPINIE, WIADOMOŚCI I OCENY Z KRAJU.

Ukazuje się od roku 1974 raz na dwa miesiące.

Cena numeru pojedynczego (16 str.): DM 1,00, podwójnego :DM 2,00

Zamówienia prosimy kierować:

T. PODGÓRSKI — 8 MÜNCHEN 40, UNGERERSTR. 47.
W. GERMANY

O amerykańskim neo-egalitaryzmie

Egalitaryzm, czyli dążenie do zrównania wszystkich, stał się w ostatnim dwudziestolecu dominującym kierunkiem we wszystkich prądach liberalno-lewicowych na Zachodzie. W ciągu ostatnich kilku lat rzutuje on również na stosunki międzynarodowe, co wyraża się postulatem krajów tzw. III Świata¹, aby bogaty Zachód podzielił się z nim swymi zasobami, jako że bogactwo i potęga Zachodu wyrosły ponoć wyłącznie z nędzy i zacofania reszty świata. Nie wchodząc w tę ostatnią sprawę, dla której głównym forum stało się ONZ, wypada zastanowić się nad pojęciem egalitaryzmu drugiej połowy XX stulecia. Niewiele ma ono wspólnych cech ze zbliżonymi, przynajmniej w brzmieniu, hasłami ubiegłego stulecia. W XIX stuleciu ideały demokratyczne, których kolebką była Rewolucja Francuska, szły w parze z hasłami wolności. Obecnie wydaje się, że „równość”, tak jak ją rozumieją najzarliwsi jej szermierze, nie tylko nie wymaga wolności, ale coraz wyraźniej staje się ona dla neo-egalitarystów w krajach Zachodu — przeszkodą. Kapitalistyczna wolność, która nie zrównuje ludzi, niewiele jest dla nich warta. Z tego zapewne powodu ujmują ją we wzgardliwy cudzysłów.

1. Ostatnio, jak wiadomo, powstała nowa grupa krajów — IV Świata czyli gospodarczo zacofanych, ale zasobnych w najbardziej pożądaną surowce czyli, po prostu mówiąc, w ropę naftową. W związku z tym powstała nowa klasyfikacja krajów biedno-bogatych, typu Iranu lub emiratów arabskich oraz krajów biedno-biednych, nie posiadających ani przemysłu ani surowców.

Prof. Z. Brzeziński w artykule opublikowanym w kwartalniku *Foreign Affairs* z lipca 1973 roku konstatuje, że: „równość stała się potężnym moralnym bodźcem naszych czasów, który można przyrównać do roli jaką odegrała idea wolności w XIX wieku”. W ten sposób — stwierdza prof. Brzeziński w innym miejscu publikowanej pracy — „sprawa narodów gospodarczo-zacofanych stała się moralnym problemem naszej epoki”.

Podczas gdy wiek XIX, zwłaszcza we wczesnym okresie rozwoju kapitalizmu był w wielu krajach epoką dyskryminacji prawnej i ekonomicznej ludów (której gwarancją było ograniczenie swobód politycznych) wiek XX — jeśli pominąć okresy rządów faszystowskich — przyniósł prawa i swobody, o które walczyli rewolucjoniści ubiegłej epoki.

Przyznanie praw i koniec dyskryminacji nie przyniosły jednak bynajmniej zrównania wszystkich. Odwrotnie — zachodnio kapitalistyczne systemy, mimo znacznego podniesienia stopy życiowej wszystkich — w tej liczbie najbiedniejszych — nie tylko nie zrównały ludzi, ale utrzymały rozwarstwienie społeczne². Okazało się — zresztą już dość dawno, jeszcze zanim neo-egalitaryzm nabrał nowego rozpędu — że zrównanie prawne nie „zrównuje” ludzi. Ponadto okazało się, że w przeciwieństwie do czasów feudalnych i wczesno-kapitalistycznych przywrócenie swobód nie tylko nie posuwa procesu zrównania, lecz przeciwnie — utrudnia, ponieważ pewne indywidualia lub grupy ludności potrafią czynić lepszy użytek ze swobód niż inne. Jeśli zaś tak jest, wynika z tego prosty wniosek, że skoro „równość” nie przychodzi sama, należy ją forsować. Jeśli zaś na przeszkodzie temu stają swobody, które są integralną częścią systemu, należy owe swobody wykorzystać, by anty-egalitarny system zniszczyć. Wszystko w imię szlachetnego celu — zrównania ludzi, dla którego należy poświęcić wszelkie inne niekwestionowane od wieków cnoty i wartości, których rozpaczliwie bronią nie tyle zmajoryzowani liczebnie, ile zastraszeni i terroryzowani, a przede wszystkim źle zorganizowani i nie dysponujący masowymi środkami przekazu — „konserwatyści”³. Egalitaryści, których głos dociera wszędzie, a których cele rzadko kto odważy się kwestionować (któż bowiem ośmieli się twierdzić publicznie, iż nie chce „zrównania” ludzi) wierzą jak najbardziej żarliwie, że ludzie „równi” mogą i powinni być i będą różni od siebie. Więcej — postulat indywidualnej, a zwłaszcza etnicznej identyfikacji w społeczeństwie tak heterogenicznym jakim są Stany Zjednoczone, jest wysuwany z nie mniejszą siłą niż „równość”. I tu neo-egalitaryści znajdują się albo w otchłani groźnych nieporozumień językowych lub też, jeśli nieporozumień tych są świa-

2. Nie sądzę, żeby je pogłębiły, jak twierdzą najbardziej zażarci przeciwnicy demokracji kapitalistycznych. Wprawdzie bogaci stali się w wielu wypadkach bogatszymi, ale biedni — przestali być biednymi w rozumieniu wczesnych lat XX stulecia. Bieda jest, jak wszyscy wiedzą, pojęciem bardzo względnym. Co innego oznacza ona w Ameryce, w Zachodniej Europie, co innego — w krajach komunistycznych, a jeszcze co innego w krajach III-go Świata Azji i Afryki.

3. Por. artykuł Z. Byrskiego pt. „USA — dzisiaj”, *Kultura* Nr 7/334-8/335, 1975 r.

domi, celowo nadużywają mętnej retoryki politycznej z wiarą, że wcielają w życie swoje ideały.

Celem poniższej pracy nie jest potwierdzenie lub zaprzeczenie podstawowej tezy egalitaryzmu, orzekającej że wszyscy ludzie zrodzeni są równi. Zadaniem jej jest uchylene samego zagadnienia, jako fałszywie postawionego, i próba wyjaśnienia związanych z nim nieporozumień.

Zdanie oznajmujące: „Wszyscy ludzie zrodzeni są równi” o ile rozumiemy je dosłownie, a nie jako równoznacznik twierdzeń typu: „Wszyscy ludzie powinni być jednakowo traktowani w obliczu prawa lub „wszyscy ludzie powinni mieć jednakową szansę w zdobyciu oświaty” itp. — nie jest zdaniem ani fałszywym ani prawdziwym. Innymi słowy, nie jest zdaniem logicznym. Zachowuje jedynie pozór zdania sensownego dzięki swej składni, która pozwala wyodrębnić podmiot, orzeczenie i określenie.

Zasadę równości, jakkolwiek szeroko ją rozumiemy, można orzekać błędnie lub fałszywie — eo ipso — sensownie jedynie wobec obiektów, których charakterystyka wyczerpuje się własnościami ilościowymi. Twierdzenie to postaram się uzasadnić.

Idealnymi obiektami ilościowymi są liczby, bez względu na to czy należą one do kategorii ujemnych, dodatnich, rzeczywistych, urojonych lub zespolonych. Abstrakcyjność jednak jaka cechuje niektóre działy matematyki — w tej liczbie arytmetykę — nie jest bynajmniej warunkiem sensownego orzekania słowa „równość”. Znak równości możemy również stawiać pomiędzy wieloma obiektami w dziedzinie fizyki.

Uwzględniając niekwestionowany w zasadzie przez nikogo fakt, że obiekty żyjące, a już na pewno wysoko zorganizowane istoty myślące, posiadają nieprzeliczalną ilość cech, musimy przyjąć pewne nieodparcie wynikające z tego wnioski. Prawie żadna z właściwości charakteryzujących człowieka — z wyjątkiem tylko niektórych, czysto fizycznych — nie da się przedstawić w liczbach. Prawdopodobnie znaczna ilość cech ludzkich nie da się na razie w ogóle wyodrębnić, jako że język nasz jest zbyt ubogi. Gdyby zresztą cechy te dały się wyspecyfikować, nie dysponowalibyśmy „jednostkami miary”, przy pomocy których można by scharakteryzować każde z nich, podobnie jak nie możemy mierzyć żadnymi jednostkami znanych nam już obecnie cech jak np. talenty i uczucia. W rzeczywistości niektóre uzdolnienia ludzkie próbuje się mierzyć bez tworzenia jednostek, za pomocą testów, które określają pewne wyszczególnione uzdolnienia przy pomocy punktów. Metoda testów, znana od dawna, wydaje się najbardziej rozpowszechnioną w Stanach Zjednoczonych. Do testu, który próbuje objąć najszerszą sferę inteligencji głównie pod kątem widzenia przygotowania

do wyższych studiów, jest dobrze znany test „IQ”. Test ten jest szczególnie atakowany przez liberalnych zwolenników egalitaryzmu, głównie dlatego, że daje wyniki wykazujące, przy przeciętnej punktacji, znacznie zaniżone liczby dla etnicznych grup pochodzenia afrykańskiego w stosunku do Białych i Azjatów. W ten sposób próby „porównania” przynajmniej niektórych cech ludzkich metodą ilościową dają wyniki, które wywołują protest w środowiskach, w których „równość” nie jest tylko poglądem, uważanym za najbardziej racjonalny, ale stanowi po prostu religię. W tej sytuacji emocje wykluczają wszelkie próby dociekań, o czym przekonało się nieliczne grono badaczy, dla których „równość” ludzi nie jest dogmatem, ale problemem dyskusyjnym, tak jak szereg innych zagadnień z zakresu antropologii, biologii lub innych działów przyrodoznawstwa.

Gdybyśmy wszelako zdołali wykazać, że cechy ludzkie są przeliczalne i potrafilibyśmy dla każdej z nich ustalić odpowiednie jednostki miary — równość dwóch indywiduów nie oznaczałaby niczego innego jak ich absolutną identyczność. Skądinąd wiemy, że dwóch identycznych istot ludzkich nie ma i nie było i prawdopodobnie nigdy nie będzie, nawet gdyby kiedykolwiek udało się „programowanie” istot myślących.

Jeśli przeto uważamy, że żadne zdanie typu: „Jan jest równy Stanisławowi” tam gdzie Jan i Stanisław są dowolnymi ludźmi, nie jest zdaniem sensownym, musimy przyjąć nielogiczność struktury: „Wszyscy ludzie są sobie równi”. Słynne zdanie George’a Orwella: „Wszyscy ludzie są równi, ale niektórzy są równiejsi” — miało śmieszyć absurdalnością drugiego sformułowania. W istocie śmieszy, ale absurdalne jest również w swej pierwszej części.

W praktyce politycznej współczesnej fali egalitaryzmu nie tyle chodzi o „równość” indywiduów w obrębie tych samych grup etnicznych czy socjalnych, ile o „statystyczną równość” jednych grup w stosunku do pozostałych. Ponieważ jednak w proklamowaniu „równości” ras i narodów nie można przeskoczyć przez etap „równości” poszczególnych indywiduów, musi on pozostać integralną częścią zasady „równości” mimo, iż stanowi pewnego rodzaju kłopotliwy bagaż dla najbardziej zaangażowanych politycznie egalitarystów.

Rola absurdu w pseudo naukowych dyscyplinach, które mają wpływ na kształtowanie się stosunków międzyludzkich ma swój niewątpliwie grunt w naturalnych skłonnościach ludzkich. Pisze o tym sugestywnie w swej książce: „Nauki społeczne jako czarno-księstwo” Stanisław Andreski. Kilka krótkich wyjątków z jego pracy warto tu zacytować zwłaszcza z rozdziału VII pt. „Ponętność posługiwania się absurdem”:

„Nawet najpobieżniejszy przegląd ludzkich wierzeń — pisze Andreski — wykazuje, że człowiek nie ma wrodzonej skłonności do przyjęcia prawdy, i że absurd i mglistość nie tylko, że nie odrzucają, lecz na odwrót mają dla większości nieodpartą atrakcyjność. Jak za chwilę zobaczymy, jest kilka źródeł tej skłonności. Najpowszechniejszym z nich jest to że jasność i logika narzucają naszemu myśleniu surową dyscyplinę, która nie pozwala na nieograniczone folgowanie naszym pragnieniom, nienawiściom, kaprysom”... „Jedną z przyjemności — pisze dalej Andreski — jakie daje uciekanie się do mętne- go mieszania pojęć i absurdów jest możliwość udawania że się wie więcej niż w rzeczywistości. Ścisłe związane z tą korzyścią jest posługiwanie się absurdem i mętnością jako tarczami ochronnymi dla oficjalnych autorytetów osób, których poziom talentu czy wiedzy nie może im zapewnić naturalnej wyższości. Albowiem jasne i logiczne myślenie jest jak gra o ściśle określonych i sprawdzalnych regułach, gdzie pierwszy lepszy zachwał prostacek może rzucić wyzwanie Mistrzowi, a nawet zadać mu klęskę, gdy tymczasem mętność i absurdalność wyzwala od reguł gry, które by uzasadniały degradację mistrza i udowodniły fałsz Jego Słów. Mętność i absurdalność ochraniają uznane oficjalnie autorytety od destrukcyjnych rezultatów różnicy między urzędową hierarchią a naturalnymi różnicami talentu i umiejętności, podobnie jak odzież chroni hierarchię od niwelujących skutków nagości: bo przecież w tłumie nagich ludzi nikt nie rozpozna marszałka czy arcybiskupa”⁴.

Zeby zagadnienia naszego nie zredukować jedynie do jałowych rozważań semantycznych, które bynajmniej nie są celem niniejszej pracy, należy się zastanowić nad tym jaka jest intencjonalna treść zdania, konstatającego, że wszyscy ludzie są równi, które w przekonaniu wypowiadających, jest jak najbardziej sensowne. Otóż wydaje mi się, że stwierdzając fakt, że dwaj osobnicy są istotami równymi, chcemy niewątpliwie uznać, że: obydwaj należą do tego samego ludzkiego gatunku, który posiada liczne cechy wspólne. Że ich talenty — choć odmienne — czynią ich sobie bardzo podobnymi w odróżnieniu od przedstawicieli gatunku zwierzęcego. W tym ostatnim wypadku, gdyby nawet chodziło o mały człokształtne, żadną miarą nie próbujemy formułować tezy o „równości”⁵.

Teza o „równości” byłaby być może przy pewnych przeróbkach semantycznych do przyjęcia i nasze zastrzeżenia graniczyłyby z niewłaściwie zastosowaną pedanterią językową, gdyby nie praktyczne następstwa jakie przyniósł egalitaryzm w ostatnich dziesięcioleciach. Wielu myślicieli, którzy wracają do odwiecznej sprawy „równości” wszystkich ludzi, godzi się w duchu z utopijnością tego ideału. Podkreślają jednak, nie bez racji, wagę „utopii” jako motoru rozwoju historycznego. Nie jest ważne — powiadają — że ludzie nie są i nie mogą być równi. Trzeba dążyć do ziszczenia

4. Autoryzowany przekład książki: Stanisław Andreski, „Social Sciences as Sorcery” — z fragmentu pracy drukowanej w *Wiadomościach*, Londyn, 19/26 sierpnia 1973 roku.

5. Tu bez obrazu uczuć ludzi wierzących wypada zapytać się dlaczego obiektem „zrównania” Stwórca pozostał tylko gatunek ludzki.

nieziszczalnych celów, bo na tym polega historyczna waga ideologii, które przyczyniają się do polepszenia świata. Słusznie. Ale jedną rzecz wypada sobie uświadomić. Cele ideologii mogą być złudne i nieosiągalne, nie przestając być pożytecznymi, stanowiąc motor działań ludzkich, ale nie mogą być bezsensowne. Ideologie, oparte na bezsensie, mogą jedynie doprowadzić świat do anarchii i rozpadu wszelkich więzi społecznych. Tak długo jak idea „równości” oznaczała walkę z pańszczyzną, niewolnictwem i prawami, które dyskryminowały jednych, by darzyć przywilejami innych — tak długo jej dynamizm przyczyniał się do ulepszenia świata. Czas ten jednak przeminał i obecnie zdanie: „wszyscy ludzie powinni być równi” — traktowane jest dosłownie. Wraz z tym okazało się, zarówno ku oburzeniu „zrównywanych” jak i najbardziej zaangażowanych szermierzy neo-egalitaryzmu, że ludzie z jakichś przyczyn nie mogą być „równi”. „Równość” stała się kamieniem węgielnym wszelkich liberalnych kierunków, nabierając coraz większej dynamiki i zyskując sobie sprzymierzeńców pośród niektórych organizacji, będących w ubiegłych wiekach strażnikami i gwarantami rzeczywistego upodlenia człowieka. Do tej kategorii zaliczyć trzeba, poza niektórymi kościołami i pewne środowiska militarne. Te ostatnie, jak okazały najnowsze wydarzenia, potrafiły świetnie pogodzić żądzę dyktatorskiej władzy z hasłami „równości”. Przy okazji niektórzy portugalscy wojskowi — bo o nich oczywiście mowa — starali się pogrzebać krótkotrwałe polityczne swobody, ponieważ stały one na przeszkodzie wyzwoleniu mas i ich społecznemu zrównaniu. Ponieważ procedura była nie nowa i miała liczne precedensy, rozszyfrowano ją szybko⁶.

6. Oczywiście rozszyfrowanie szytego grubymi nićmi schematu sowietyzacji Portugalii, nie wystarczyło bynajmniej do tego, by kraj ten nie znalazł się we władzy komunistów. Potrzebna była kontrakcja. Przy tej okazji można było, nie bez pewnego zdumienia, zaobserwować na jakich kruchych podstawach, opiera się „pryncypialność” niektórych członków Kongresu USA. Ludzie ci, którzy zgodnie ze swymi liberalno-wolnościowymi zasadami zajmują się codziennym (z wyjątkiem licznych przerw wakacyjnych) rozdzieraniem szat z powodu ingerowania CIA w wewnętrzne sprawy Ameryki i innych krajów, włączając w to Chile, zaakceptowali (oczywiście nie oficjalnie i nie w głosowaniu) wielomilionową pomoc finansową Ameryki dla zachodnio-europejskich partii socjalistycznych, które przekazały ją z kolei opozycji antykomunistycznej w Portugalii (*New York Times*, 25. IX. 1975). Zaoponował przeciwko tej informacji Przewodniczący Partii Socjalistycznej Soares, ale wydaje się, że uczynił to jedynie w celach prestiżowych. Senatorzy i kongresmani amerykańscy (z wyjątkiem b. kandydata na Prezydenta, McGoverna), uznali tego rodzaju pomoc za uzasadnioną w przeciwieństwie do ingerencji CIA w Chile. Powodem tego jest fakt, że rząd Allende był konstytucyjny, zaś lewicowi oficerowie portugalscy, przy poparciu Partii Komunistycznej, zignorowali wybory, które przegrali haniebnie, mimo finansowego poparcia Moskwy. Argument legalności niewiele jest jednak wart w świetle historii i najnowszych wydarzeń. Hitler doszedł do władzy jak najbardziej konstytucyjnie. Allende

Co było jednak najbardziej uderzające w Portugalii, przy bardzo szybkim zastąpieniu reżymu dyktatorskiego Caetano przez drugi — gen. Gonçalveza (którego ustąpienie wymuszone było głównie przez konserwatywnie usposobioną rolniczą północ Portugalii) to fakt, że „rewolucyjnymi” przemianami nazwano właśnie zamianę jednej dyktatury na drugą. Po obaleniu caratu w Rosji wiosna wolnościowa trwała przynajmniej kilka lat i nie uległa bezzwłocznemu zniszczeniu wraz z rozpędzeniem konstytuandy przez Lenina — choć niewątpliwie było to początkiem agonii. Po drugiej wojnie Światowej w niektórych krajach późniejszych demokracji ludowych okresy przejściowe trwały co najmniej rok lub dwa zanim Partia usadowiła się mocno w siodle. Mechanizm portugalskiej „rewolucji” działał znacznie szybciej. Samym faktem istnienia dobrze zorganizowanej Partii komunistycznej trudno to wytłumaczyć. Nie można też zapisać wszystkiego na karb kłamliwej retoryki komunistów, która może odnosić sukcesy w krajach przodującego analfabetyzmu, ale nie w Portugalii. Sedno zagadnienia tkwiło więc w czym innym: w kryzysie hasła wolności i promowaniu hasła „równości” jako nadrzędnego ideału, któremu należy podporządkować wszystko. Slogan „demokracji ludowej” znalazł uznanie wśród znacznej części warstw pracujących Portugalii jak również i wśród oficerów i podoficerów nie tylko dlatego, że armia była zmęczona wieloletnią wojną kolonialną w Angoli i Mozambiku — ale dlatego, że instytucje „demokracji ludowej” potraktowała dosłownie. Ponieważ jednak tym, którzy pragną „zrównania” wszystkich — wiadomo już z doświadczeń, że wolność drugiej połowy XX wieku nie jest w ziszczeniu tego ideału pomocą — lecz przeszkodą, dyktaturę wojskową lub niewojskową, kneblowanie prasy i zgłajszaltowanie Związków Zawodowych — przyjmuje się nie jako smutną — ale najbardziej pożądaną konieczność. Tylko faktowi — że większa część ludności, w tym głównie portugalscy rolnicy, nie okazali się entuzjastami „równości”, tak jak nie są nimi ani farmerzy ani robotnicy amerykańscy — zawdzięczać należy, że triumf komunizmu został w Portugalii przynajmniej na razie zahamowany.

Nie od rzeczy też będzie zaobserwować inne niemniej symptomatyczne zjawisko: tam gdzie realizacja pewnych celów politycz-

— również. Tyle tylko, że na propagandę, przekupywanie działaczy związkowych i innych polityków chilijskich Sowiety nie szczędziły milionów, zaś CIA „zainwestowały” 8 milionów dolarów na poparcie niektórych gazet, ustawnie kneblowanych przez rząd Allende i na pomoc dla strajkujących właścicieli ciężarówek, co doprowadziło Chile do kryzysu, grożącego wybuchem wojny domowej. Jeśli „legalność władzy” zależeć ma w dużej mierze od tego kto da więcej pieniędzy konkurującym z sobą kandydatom do władzy — Sowiety, Ameryka czy też w wypadku Angoli również ChRL — to tego typu „konstytucyjność” warta jest tyle co nie.

nych — jak to ma miejsce w wypadku „równości” — jest z racji swej absurdalności niemożliwa, jej najgorliwszym szermierzom wystarcza jawnie oszukańczy substytut, który bardzo często bywa zwykłym szyldem. Pod szyldem socjalizmu (choć nie sowieckiego) funkcjonują reżymy Fidela Castro, algierski — Boumedienne’a, partii BAAS — w Syrii i Iraku i w wielu krajach Czarnej Afryki. Niektóre z nich — jak to ma miejsce z państwami arabskimi — przeskoczyły etap kapitalizmu, tworząc osobliwą formę symbiozy biurokracji i tzw. narodowej burżuazji, w której decydujący głos ma oczywiście — ta pierwsza. W żadnym z tych krajów nie ma ani wolności ani równości. W Algierii, Gwinei, Iraku i wielu innych krajach tzw. Trzeciego Świata nieliczna klasa robotnicza i milionowe rzesze rolników żyją w nędzy i upodleniu, przy jednocześnie wysokiej stopie życiowej elity rządowej⁷. Fakty te, których, być może, nie jest świadoma szeroka opinia Zachodu, nie są żadną tajemnicą dla objeżdżających kontynent afrykański i blisko-wschodni liberalnych dziennikarzy i intelektualistów. Fakt jednak, że państwa te a nie wyliczyłem ich wszystkich — wystawiły sobie coś w rodzaju „socjalistycznego” glejtu, który formalnie nadaje im tytuł demokracji — z braku czego innego, wydaje się wystarczającym źródłem entuzjazmu dla liberalnej elity intelektualnej Ameryki lub krajów skandynawskich. Nędze mas tłumaczy się przeszłą i obecną eksploatacją państw zaawansowanych. A rozpiętości między stopą życiową elit biurokratyczno-partyjnych a ludnością nie tłumaczy się wcale. Brak elementarnych swobód albo pomija się milczeniem albo nie bez racji tłumaczy się, że dla ludzi chronicznie głodnych (za co oczywiście wyłączną winę ponosi kapitalistyczny Zachód) sprawa wolności jest rzeczą prawie że obojętną. Innymi słowy państwa te o ile funkcjonują pod firmą „socjalizmu”, który postuluje równość — mieszczą się w taryfje ulgowej Zachodu.

27 września 1975 roku 5 członków antyfaszystowskich organizacji terrorystycznych w Hiszpanii zostało straconych. Na pewno — z uwagi na dyktatorski charakter rządów gen. Franco i panującą cenzurę — terror indywidualny, stosowany zresztą wyłącznie wobec przedstawicieli faszystowskiej władzy, ma moralne uzasadnienie. W rozumieniu elementarnych zasad sprawiedliwości nie

7. W Tanzanii — która wystawiła sobie szyld „afrykańskiego socjalizmu” podobnie jak i w Kenii — miesięczne pobory członka „Parlamentu” lub wysokiego urzędnika równe są dochodom rolnika liczonemu w plonach, jakie zdoła on zebrać, w ciągu 30 lat. Fakt ten stwierdził publicznie w roku 1968 prezydent Tanzanii Juliusz Nyrere. Od tego czasu sytuacja nie uległa poprawie lecz pogorszeniu. Sytuację tę aktualnie potwierdza T. I. Farer w artykule „Stany Zjednoczone i Trzeci Świat” kwartalnik *Foreign Affairs*, październik 1975, str. 92.

zasługiwali oni na żadną karę. We Francji i Włoszech, Niemczech Zachodnich, Anglii i Skandynawii — doszło przeciw placówkom dyplomatycznym Hiszpanii do gwałtownych wystąpień, które przerozdiły się w rozruchy. Opinia publiczna była wyraźnie wzburzona barbarzyńską decyzją rządu Hiszpanii.

Należy zastanowić się dlaczego w podobny sposób nie reagowała ta sama opinia na liczne egzekucje, dokonywane przez rządy Fidela Castro czy Partię BAAS w Iraku, gdzie odbywają się one publicznie. Nie pytamy się dlaczego opinia Zachodu okazała się prawie zupełnie nieczuła na eksterminację plemienia Ibo po stłumieniu secesji Biafry, na masakrę dokonaną na robotnikach Wybrzeża przez władze PRL. Nie pytamy — bo wiemy. Szyld socjalizmu — czyli rzekomego „zrównania” — bo w rzeczywistości nikt nie wierzy — stanowi tytuł do rozgrzeszenia. Nie pytamy, bo wiemy na pewno, że gdyby w ChRL lub ZSSR dokonano jutro licznych egzekucji i podano by je do wiadomości publicznej (w to ostatnie należy oczywiście jak najbardziej wątpić) — żadna z owych socjalistycznych ambasad nie padłaby pastwą płomieni, a liberalni studenci uniwersytetów Sorbony i Frankfurtu nie wyszliby na ulice. Rewolucja moralna, która czyni nie tylko z neo-egalitaryzmu, ale nawet z jego zafałszowanego szyldu biblię, nie jest przewartościowywaniem starych ideałów na nowe. Jest anty-moralnym, najbardziej zakłamanym kierunkiem w dziejach naszego stulecia.

Spadek po awanturze „Nowej Lewicy”, która otwarcie głosiła hasło zniszczenia amerykańskiego *establishment*'u przy pomocy gwałtu i terroru, przejęli obecnie lewicowi liberałowie, znacznie bardziej od niej ostrożniejsi, potępiający gwałt i nie występujący bynajmniej przeciw podstawowym założeniom systemu. Przeciwnie — skoro jednym z fundamentalnych dokumentów powstania Stanów Zjedn. była Deklaracja Niepodległości oparta na kardynalnej zasadzie, „że wszyscy ludzie zrodzeni są równi”, należy się nią jak najzręczniejszemu posłużyć. „Równość” przestała być dla nich żądaniem politycznym. Jest — według zacytowanej przeze mnie na początku artykułu opinii prof. Brzezińskiego — „kanonem moralnym”. Jeśli społeczeństwo nie jest w stanie istnieć i prosperować w oparciu o zasadę „równości”, trzeba je do tego zmusić. W tej walce liberalna lewica ma za sobą masowe środki przekazu — uniwersytety, sądy a przede wszystkim Sąd Najwyższy, który jest strażnikiem i gwarantem dokumentu spisano 188 lat temu. W oparciu o ten najzupełniej archaiczny zestaw praw, który otwiera szerokie możliwości interpretacyjne, lewicowi liberałowie, działając w aureoli najbardziej świątłych — a więc, zdawać by się mogło — postępowych ludzi, spychają Amerykę w otchłań społecznego nonsensu.

Do roku 1954 obowiązywała w prawodawstwie amerykańskim

skim zupełnie odmienna od obecnej zasada, regulująca stosunki między białą a czarną ludnością Ameryki. Głosiła ona „równość i separację” dla obydwu grup ludnościowych⁸. W istocie praktyka wykonywania tej uchwały nie ograniczała się tylko do separacji, ale i do dyskryminacji czarnych obywateli USA poprzez stosowanie szeregu rodzaju szykan, utrudniających udział w wyborach, dostęp do stanowisk publicznych itd. Nie była to więc wyłączna separacja, ale pozbawianie czarnej ludności praw obywatelskich.

Położenie kresu dyskryminacji nie wymagało teoretycznie decyzji sądu, ponieważ sama tego rodzaju praktyka była od końca Wojny Secesyjnej sprzeczna z prawem. Orzeczenie Sądu Najwyższego z roku 1954, będące największym sukcesem ruchu emancypacyjnego Czarnych, wspieranym w owym czasie nie tylko przez Lewicę ale przez wszystkie światłe środowiska Stanów, kładło kres podziałowi rasowemu (który istniał głównie, choć nie tylko, na Południu). Sąd Najwyższy uznał zasadę „równości i separacji” jako niekonstytucyjną. W uzasadnieniu decyzji stwierdzono, że „separowanie Murzynów od Białych w szkołach stwarza wśród tych pierwszych poczucie niższości”. W konkluzji uznano, że „separacja wyklucza równość”. Pytanie, które się z miejsca nasuwa — to kwestia dlaczego separowanie dwóch ras wytwarzało poczucie nierówności tylko u Czarnych? Innymi słowy, czy milczącym motywem decyzji Sądu nie było przekonanie, że ustępującej w uzdolnieniach czarnej młodzieży nie jest potrzebna integracja z bardziej uzdolnionymi Białymi i Azjatami — przede wszystkim w szkołach, później zaś, we wszystkich organizacjach i instytucjach. Sądzę, że motyw taki mógł, ale nie musiał w owym czasie towarzyszyć decyzji Sądu z dwóch powodów: Po pierwsze — mniejszość — jaką stanowili Czarni odseparowani od Białych — zawsze łatwiej odczuwa upośledzenie od tych, którzy są w większości. Po drugie — wiadome było powszechnie, że zasada „równi ale separowani” jest przestrzegana tylko w drugiej części i że separowaniu towarzyszy dyskryminowanie rzekomo „równych”. Szkoły i uniwersytety murzyńskie, jak można było wówczas zasadnie przedstawić, nie dlatego ustępowały poziomem nauczania białym uczelniom, że te ostatnie reprezentowały wyższą skalę talentów, ale z przyczyny krzywdzącego dla Czarnych podziału funduszy publicznych i prywatnych, pozostających w gestii wielkich fundacji, co z pewnością miało miejsce do roku 1954, a nawet później. Sąd Najwyższy stanął na słusznym stanowisku, że jedynym środkiem do usunięcia dyskryminacji Czarnych jest gruntowne i jak najszybsze przemieszanie obydwu ras. W przekonaniu zarówno Sądu jak i wszystkich rozsądnych ludzi w Ameryce

8. Decyzja Sądu Najwyższego z roku 1896 Plessy v. Ferguson.

dalsze utrzymywanie separacji w szkołach mogło jedynie pogłębić dyskryminację kolorowych, czyniąc z nich coraz bardziej spychaną w dół grupę pariasów. Jak się jednak później okazało, wykonanie uchwały Sądu — które napotykało do początku lat sześćdziesiątych na liczne opory, położyło wprawdzie kres dyskryminacji Czarnych, ale nie uczyniło ich „równymi”.

Lata 1964-1970 były latami, w których ludzi z dawna prześladowanych uczyniono faworytami Narodu. Wyglądało to jakby „Nowa Lewica” i radykalna część opinii publicznej chciała wynagrodzić hurtem wielowiekowe krzywdy. Na nieszczęście, środki które zastosowano do wprowadzenia integracji rasowej, a wraz z nią — jak wierzyło wielu — do zrównania obydwu grup ludnościowych, były i są tego rodzaju, że ani nie przyniosły „równości” ani nie doprowadziły do harmonii rasowej. Przeciwnie. W wielu sytuacjach spowodowały zaostrzenie konfliktów. Cała procedura integracji białej i czarnej ludności Ameryki odbywa się już nie tylko w oparciu o decyzję Sądu Najwyższego z roku 1954, ale w wykonaniu szeregu dalszych orzeczeń sądów federalnych jak również postanowień administracyjnych. Polega to na: 1) wprowadzeniu polityki kwot na wyższych uczelniach i stanowiskach publicznych, przy presji władz federalnych i stanowych w kierunku przyjmowania większej liczby Afro-Amerykanów w przemyśle, bankach, usługach i handlu; 2) wprowadzeniu równowagi rasowo-etnicznej w szkołach poprzez dowożenie białych lub czarnych uczniów do szkół z nieraz bardzo odległych od siebie rejonów. To ostatnie jest następstwem oddzielonych od siebie skupisk ludnościowych, których żadną miarą nie można by zintegrować bez przymusowego przesiedlenia mieszkańców, co w Ameryce jest nie do pomyślenia.

W czasach apogeum polityki integracyjnej w latach 1964-69, gdy opór południowych polityków został ostatecznie przełamany, zabiegi te nie napotykały na żaden godny uwagi opór ze strony ogółu opinii publicznej. W latach rozkwitu „Nowej Lewicy” jej dominująca rola wśród amerykańskiej inteligencji i znacznej części opinii Stanów wzmocniona była rosnącą opozycją wobec wojny w Wietnamie. Najbardziej zarliwi przeciwnicy militarne go zaangażowania się Stanów w Południowo-Wschodniej Azji byli zarazem rzecznikami „forsowanego” zrównania dyskryminowanych grup rasowych z białą ludnością. Te dwie sprawy, logicznie nie związane ze sobą, stanowiły pewnego rodzaju światopoglądowy syndrom liberalnej lewicy. Wraz z katastrofą wietnamską lewica przeniosła swą działalność na front wewnętrzny. Ale tu jej baza polityczna uległa wybitnemu wężeniu. Wyraziło się to oporem przeciwko tym metodom — które, w przekonaniu amerykańskiej

klasy średniej, sprzeczne są z założeniami „jednakowej szansy” dla wszystkich mieszkańców Stanów⁹. Ponieważ polityka preferencji pewnych etnicznych kwot musi się odbywać kosztem innych grup ludnościowych, w praktyce oznacza to ich dyskryminację. Rzecz musiała wywołać protest przynajmniej ze strony bezpośrednio pokrzywdzonych. Ich pretensje wsparte zostały decyzjami lokalnych sądów, które zmusiły do przyjęcia niektórych odrzuconych kandydatów mimo ich „niewłaściwego” (w tym wypadku białego koloru skóry). Były to jednak odosobnione orzeczenia, które nie zmieniły generalnego kierunku stosowania kwot według klucza rasowo-etnicznego. Wpływa to nie tylko na obniżenie poziomu absolwentów szkół wyższych, ale w dalszych konsekwencjach na poziom naukowy amerykańskich *college’ów* i uniwersytetów, które są kuźnią badań i rozwoju nauki. Skutki tej polityki

9. Dostyc gwałtowną reakcję spowodowało w ostatnich miesiącach dowożenie uczniów do odległych szkół, dla uzyskania równowagi etnicznej, przy czym poza południowym stanem Kentucky, gdzie doszło do poważnych rozruchów w Louisville, pierwszym skupiskiem Białych, które oponowało przeciw przewożeniu uczniów, co Amerykanie określają krótkim słowem *busing*, był Boston — dotychczasowa „twierdza” liberalnej Lewicy. Okazało się — jak stwierdził w artykule *New York Times* z dn. 16 października 1975 Michael Novak (autor słynnej książki: „The Rise of the Unmeltable Ethnics”), że sprzeciw powstał właśnie ze strony liberalnych środowisk, które, jak wyjaśnia autor, nie są przeciwne integracji ale metodom jej osiągnięcia, w tym wypadku poprzez *busing*. Wydaje się, że samo to twierdzenie, które znajduje się w tytule artykułu Novaka jest w ogóle błędne. To nie liberałowie sprzeciwiają się obecnej *busingowi*, ale warstwa średnia, która w wielkich miastach jest najliczniejsza i która — jak pokazuje sondowanie opinii publicznej — sprzeciwia się tej metodzie integracji. A ponieważ skądinąd wiadomo, że w perspektywie najbliższych lat inaczej jej przeprowadzić nie można — w rezultacie nie chce integracji wcale. Co proponuje Novak — nie jest jasne. Ponadto w dalszych swych wywodach przeczy własnemu twierdzeniu, jakoby chodziło tu nie o sprzeciw integracji ale metodom jej osiągnięcia. Biała ludność nie żywi już tych uczuć rasistowskich wobec Czarnych jak niegdyś — natomiast lęka się *black under class* — czego chyba najbliższym równoznacznikiem będzie „czarny lumpenproletariat”. Oczywiście — jak pisze szlachetnie Novak — nie chodzi tu o status społeczny czarnego lumpenproletariatu, ale o jego poziom kulturalno-obyczajowy, który jest nie do zaakceptowania przez średnią warstwę — mogą dodać od siebie — nie tylko białą ale i żółtą. Ilustracją tego ostatniego był opór przeciwko *busing* ze strony chińskich środowisk w San Francisco i w chińskiej dzielnicy New Yorku. Ponieważ jednak chińscy Amerykanie okazują większy respekt dla decyzji władz niż ich biali współobywatele — nie doszło do aktów gwałtu i zaburzeń jakie miały miejsce w Louisville i Bostonie. Żeby zlikwidować „czarny lumpenproletariat” Novak proponuje zamiast dowożenia białych, czarnych i żółtych dzieci zainicjowanie takiego kierunku w projektowaniu nowych dzielnic, by miast integrować dzieci w szkołach, zintegrować ich rodziców w nowych dzielnicach. Projekt byłby godny pochwały, gdyby nie był zwykłym „pobożnym życzeniem”. Jak dotychczas przedstawiciele nieco zamożniejszej białej klasy średniej, ilekroć mogą, opuszczają wielkie metropolie, w których coraz większą liczebność przezwagę mają Czarni. Ilustracją jest Nowy York, gdzie liczba kolorowej ludności jest wyższa od białej.

odbijają się na osiągnięciach nauki amerykańskiej, jak dotychczas przodującej w naukach ścisłych, już w najbliższym dziesięcioleciu.

Poza liberalną lewicą-zwolenniczką utrzymywania uprzywilejowanych kwot dla czarnej ludności, zainteresowane są w tym pewne najzupełniej nie-liberalne środowiska ze sfer rządowych, mające po prostu na uwadze konieczność zintegrowania kolorowych nie tyle w białe społeczeństwo w ogóle, ale w amerykański kapitalizm. Ludzie ci — praktyczni politycy i administratorzy, nie mają złudzeń, że możliwości adaptacyjne Czarnych są w kapitalizmie niższe od innych grup Białych i Azjatów i że innej drogi nie ma prócz udzielenia im taryfy ulgowej i na tej drodze stworzenia czarnej warstwy średniej, zainteresowanej nie w zniszczeniu, ale w utrzymaniu systemu. Posługują się oni czystym pragmatyzmem i żadne względy moralne czy filozoficzne nie odgrywają u nich roli.

Inaczej liberalna lewica. Nie jest zainteresowana w utrzymaniu systemu przez wzmocnienie klasy średniej „czarnymi kapitalistami”. Natomiast twierdzi, że udzielenie obecnie „równej szansy” Czarnym w zdobywaniu stanowisk i w szkołach byłoby w istocie szansą *nierówną, ale zniżoną*. Z tego, że „wszyscy ludzie zrodzeni są równi”, jak głosi Deklaracja Niepodległości, nie wynika, żeby należało ich traktować jednakowo. Uwzględnić należy nie aktualny stan rzeczy ale i przeszłość. Ponieważ wieloletnia lub wielowiekowa dyskryminacja prawna i społeczna doprowadziła do gorszych warunków pewnych grup etnicznych, elastyczna zasada egalitaryzmu wymaga „wyrównania warunków” startu poprzez przywileje i ułatwienia¹⁰. Do tej kategorii zaliczyć należy również tych polityków i socjologów, którzy w oparciu o pewne genetyczno-antropologiczne stwierdzenia, wywołujące sprzeciw innych specjalistów, powiadają słusznie lub niesłusznie, że genetyczne dziedzictwo rodziców nie wpływa na ich uzdolnienia; że innymi słowy, jedyną decydującą determinantą są warunki środowiskowe — w tym przede wszystkim ekonomiczne¹¹. W praktyce oznacza to, że dziecko, wywodzące się z grupy etnicznej, której rodzice żyli w biedzie, jest gorzej przygotowane do nauki i z tego tylko powodu wykazuje się gorszymi wynikami. Jeśli by się tak sprawy miały i cykl wyrównania życiowego startu nie wymagał wielu generacji, można by — bez wgłębiania się w nader konfliktowe teorie genetyczne — liczyć na to, że „zrównanie” kolorowego

10. Jednocześnie czyni to zadość moralnym wymogom sprawiedliwości narzucenia obecnym generacji za krzywdy wyrządzone ojcom, dziadkom i pradziadkom.

11. Prawdziwości lub nieprawdziwości tych tez nie zamierzam dyskutować, ponieważ przekracza to zakres tematu i wiedzy autora o tym przedmiocie.

Fernanda z białym Johnem nastąpi w ciągu jednego pokolenia. Rzeczywistość nakazuje stwierdzić, że to drugie pokolenie amerykańskich Czarnych już właściwie weszło do szkół, ponieważ proces prawdziwej emancypacji — jeśli chodzi o Południe Stanów — zaczął się już w późnych latach pięćdziesiątych. Jeśli chodzi o Północ, to w wielu Stanach dyskryminacji Czarnych nie było już od końca drugiej Wojny Światowej — a co najmniej od czasów prezydentury Trumana. Niestety, jak dotychczas, dodatkowych wyników nie widać. Natomiast widoczne są rezultaty negatywne. Poziom przeciętnego amerykańskiego ucznia po ukończeniu *high school* przedstawia się obecnie zastraszająco¹². Jest to rezultatem permanentnego obniżania skali wymagań w szkołach publicznych dzięki wysiłkom politycznych przywódców tzw. mniejszości etnicznych, którzy dysponują nieraz głosem decydującym w sprawach oświaty. Wydaje się więc, że w przeciwieństwie do krajów komunistycznych, w których pochodzenie robotniczo-chłopskie było przywilejem tylko dla pierwszej generacji¹³ — w Ameryce, z jej licznymi grupami etnicznych i kolorowych mniejszości, przywilej ten ma być trwały czyli po prostu związany z przynależnością rasową. Jeśli jednak tak wygląda aktualna rzeczywistość amerykańska — a ostatnie piętnastolecie potwierdza nieomylnie, że przywileje obniżonych wymagań i forsowanych kwot związanych z pochodzeniem etnicznym, mają tendencje przechodzenia z generacji na generację — to zwolennicy tego rodzaju polityki społecznej przynajmniej milcząco, że gorszy start — nie jest sprawą jednego pokolenia. W ten sposób popadają sami ze sobą w konflikt, po-

12. Według słów konserwatywnej publicystki Edith Efron (T.V. Guide z dn. 6. X. 1975), cytującej dawniejsze w tej sprawie wypowiedzi *Times'a* — „w ostatnich czasach profesorowie amerykańskich *college'ów*, miast wprowadzać studentów w świat wielkiej literatury angielskiej, zmuszeni są coraz większą liczbę studentów uczyć umiejętności pisania, czytania, a nawet mówienia po angielsku” (oczywiście chodzi przypuszczalnie o poprawną angielszczyznę, ponieważ miejscowym żargonem potrafia posługiwać się nawet całkowicie analfabeci. — dop. autora). Zresztą owe niedociągnięcia edukacyjne dotyczą nie tylko studentów. „Język wykładowców akademickich — jak cytuje za *Time Magazine* Edith Efron — w szczególności z zakresu nauk społecznych, staje się coraz bardziej mętny, by w rezultacie wpędzić ich w dżunglę wypowiedzi, pozbawionych wielkiego znaczenia”. W swoim esejju o amerykańskiej inteligencji Irving Kristol, profesor New York University, stwierdza ze smutkiem, iż: „W ostatnich czasach udało się nam wyhodować pokolenie młodzieży, które w swej ignorancji o przeszłości, dziełach ich ojców i dziadków prześcignęło wszystkie dotychczasowe pokolenia”.

13. Syn dyrektora o chłopskim czy robotniczym pochodzeniu nie mógł już w późnych latach sześćdziesiątych otrzymywać dodatkowych punktów za pochodzenie społeczne przy egzaminach wstępnych na wyższą uczelnię czy nawet do liceum, jak jego tata. Mogły działać, i oczywiście działały, inne sprężyny protekcyjne, ale to już zgola odmienna materia, wiążąca się ze sprawą tworzenia nowej elity społecznej.

nieważ postępowaniom swym dają argument w ręce tych nielicznych i gwałtownie atakowanych badaczy, przywiązujących większą wagę do czynników genetycznych niż środowiskowych.

Wśród nielicznej, jak dotychczas, liczby intelektualistów amerykańskich, będących świadkami równi pochyłej na jakiej znajduje się ich kraj — a wraz z nim reszta świata zachodniego, rośnie poczucie zbliżającej się katastrofy. Nie czynią jednak niczego, by odwrócić klęskę. W każdym razie nie uczyni tego człowiek, zajmujący eksponowane stanowisko społeczne, polityczne lub naukowe¹⁴. W tych przynębiających objawach, które charakteryzują obecne

14. Z pewnymi wyjątkami — jak pisał w T.V. Guide z dn. 8. IX. 1975 Patrick Buchanan na marginesie dyskusji o programie CBS, kierowanej przez Dana RATHERA, jednego z czołowych komentatorów tej ogłupiającej publiczność rozgłośni. Dyskusja dotyczyła wspomnianego na początku mojego artykułu testu IQ, który przy pomocy szeregu pytań ma określić rozmaite uzdolnienia osób poddanych badaniu. Niedoskonałość testu, jak każdej próby określenia talentów ludzkich, nie budzi wątpliwości. Test IQ zaatakowany został jednak z pewnej określonej pozycji ideologicznej, która jest kamieniem węgielnym współczesnego egalitaryzmu, kompletnie neglizującego elementy genetyczne, a przypisujące wszystko czynnikom środowiskowym. Temat jest dyskusyjny i znajduje zarówno swych przeciwników jak i zwolenników co najmniej od lat, gdy zrodziła się teoria ewolucji. Że nie może być dyskutowany publicznie w kraju „swobodnej wymiany myśli”, przekonał się ostatnio profesorowie Jensen, Herrstein i Shockley — którzy dopatrywali się związków pomiędzy cechami dziedzicznymi a inteligencją. Prof. Shockley'owi starano się przeszkodzić w wygłoszeniu jego prelekcji w New York University w oparciu o prostą zasadę, przypominając nieco argumentację nieboszczyka Łysenki i jego protektorów — że wszelkie dywagacje na ten temat są reakcyjne i rasistowskie. „Swoboda dyskusji”, z której w latach triumfów „Nowa Lewica” korzystała tylko jednostronnie, zapanowała raz jeszcze w murach dostojnej uczelni. Ostatecznie Shockley mimo wrzasków i afrontów ze strony studentów Szkoły Prawa, pod ochroną policji wygłosił swój wykład. Czegóż się obawiało środowisko naukowo-studenckie, do którego kierował swe słowa Shockley? Przecież jeśli nie miał racji, nie należało się go lękać. „To czego rzeczywiście się lękano — pisał Patrick Buchanan — i czym byli przerażeni niektórzy naukowcy i studenci z NYU — to to, że mógł swym słuchaczom ukazać prawdę”. Może niekoniecznie prawdę — dodam od siebie. Może wystarczyła obawa, że w sercach słuchaczy może zasiać ziarno zwątpienia w ewangeliczną świetność teorii o wyłączności warunków zewnętrznych w kształtowaniu osobowości ludzkiej. Oficjalna teza, wspierana przez uczestników dyskusji w programie TV, która nie miała nic wspólnego z sympozjum na Uniwersytecie, a której patronował faworyt CBS Don RATHER, głosiła, że test IQ jest najbardziej perwersyjnym oszustwem, będącym w rękach amerykańskiej klasy średniej, instrumentem ucisku Afro-Amerykanów, południowo-amerykańskich imigrantów i białej biedoty. „Biała biedota” została dodana tu dla ozdoby, żeby odjąć „antyrasistowskiej” tezie rasistowski zapaszek. Nie przypadkowo pominięte zostały mniejszości azjatyckie, które niegdyś dyskryminowane, nie lękają się testów służących do podtrzymywania „klasowo-etnicznego ucisku”.

kierunki procesu rozpadowego, toczącego Amerykę, widać jeszcze jeden symptom beznadziejności. Tak jak południowi Wietnamczycy ratowali się przed komunizmem nie walką ale paniczną i bezładną ucieczką, tak i nieliczne grupy światlejszych Amerykanów miast walczyć i wzorem Sołżenicyna kłaść na szalę cały autorytet swych nazwisk wołając wielkim głosem o *Prawdę*, popadają w stan prostracji. Zachowują się jak przedstawiciele oświeconych krajów Zachodu w ONZ — samobiczujących się „krzywdami” zadanymi Trzeciemu Światu i kładących karki w jarzmo oszukańczej ideologii egalitaryzmu¹⁵. „Równość” — wbrew temu co głosi prof. Brzeziński — stała się nie tyle „moralnym bodźcem naszych czasów” ile szantażem absurdu. Cynizmowi, z jakim posługują się w użyciu tego hasła totalitarni władcy III Świata, domagając się „równego” podziału bogactw, towarzyszy inwazja kłamstwa i dezinformacji w USA — której poddaje się bezwolnie, jak wół prowadzony na rzeź, przeciętny Amerykanin. Prawda — przestała być jakąkolwiek wartością. Amerykańska „swobodna wymiana myśli” dzięki faktycznemu, choć nigdzie nie zadekretowanemu panowaniu *mass media*, potrafiła ją prawie tak skutecznie zatłuc jak uczynił to system sowiecki.

W roku 1960 *New York Times* zamieścił oświadczenie grupy studentów, biorących udział w akcji przeciwko władzom stanowym Alabamy, które usiłowały przeszkodzić nadaniu pełnych praw publicznych czarnej ludności. Ogólnie biorąc, stosunek władz Alabamy wobec czarnych obywateli miał na celu utrzymanie istniejącego od wieku, nie tylko podziału, ale i dyskryminacji ludności kolorowej z oczywistą dla niej krzywdą. Wydrukowane jednak w *New York Times*'ie oświadczenie zawierało szereg oszczerstw skierowanych przeciwko Sullivanowi, wysokiemu urzędnikowi stanowemu, nadzorującemu policję i straż ogniową. Sąd Stanowy uznał pretensje Sullivana wobec *New York Times*'a za uzasadnione i w konsekwencji zasądził na jego rzecz pół miliona dolarów odszkodowania. *New York Times* odwołał się od decyzji Sądu Stanowego do Sądu Najwyższego Stanów i w rezultacie uzyskał anulowanie wyroku.

Co było jednak najbardziej uderzające i pociągające za sobą nieobliczalne konsekwencje, to nie sama decyzja, uchylająca wyrok Sądu Stanowego, ale motywacja orzeczenia najwyższego organu sądowego Ameryki. Sąd Najwyższy zgodził się, że szereg zarzutów

15. Pod tym względem sytuacja w ONZ uległa ostatnio pewnej poprawie głównie dzięki zdecydowanym wypowiedziom niedawno mianowanego delegata USA w ONZ, Daniela P. Moynihana, który w przeciwieństwie do swych poprzedników i swego zwierzchnika Kissingera, nie lakieruje swych wypowiedzi, a nade wszystko nie stara się szukać uznania wśród przedstawicieli III i IV Świata i delegacji komunistycznych.

wydrukowanych w New York Times'ie zawierał fałsz i oszczerstwa, odrzucił jednak poprzednią decyzję w oparciu o pierwszą poprawkę Konstytucji, która w rozumieniu Sądu daje absolutne i bezwarunkowe prawo krytyki osób, odgrywających rolę w życiu publicznym, *nawet w wypadku, gdyby swoboda krytyki była nadużyta*. (podkr. własne). (Opinion of the Court page 298, October Term. 1963 376 U.S.). W uzasadnieniu wyroku sędzieja J. Goldberg oświadczył: „że swoboda prasowej krytyki nie może być ograniczona możliwością zniesławienia”. Jedynym ograniczeniem — jak wynikało z dalszych wywodów członków Sądu Najwyższego USA jest oszczerstwo świadome. Innymi słowy, zniesławiony, o ile chce uzyskać na drodze legalnej satysfakcję, musi udowodnić oszczercy złą wolę. Ponieważ w praktyce jest rzeczą niemożliwą albo prawie niemożliwą udowodnienie zniesławiającemu, iż działał w złej wierze, amerykańskie *mass media* uzyskały od Sądu Najwyższego „zielone światło” na kłamstwa, oszczerstwa i dezinformacje. Trzeba przyznać, że poza nielicznymi dziennikarzami, czynią z tego szeroki użytek. W ten sposób pierwszą poprawkę Konstytucji — kamień węgielny wolności prasy — zamieniono na przywilej braku odpowiedzialności za drukowane lub głoszone słowo.



Zarzut rasizmu jest przez wielu amerykańskich dziennikarzy tak skandalicznie i szeroko nadużywany, iż należy wyjaśnić przynajmniej niektóre nieporozumienia, wynikające z mglistości znaczeniowej samego słowa „rasizm”. W myśl poprzednich wywodów, teza o „równości” ras lub poszczególnych indywidualów jest równie bezsensowna jak teza o ich „nierówności”.

Nie wynika z tego oczywiście, żeby grupy ludzkie klasyfikowane według cech narodowych lub rasowych miały być nieporównywalne w tym sensie, żeby nie można było przypisać pewnych talentów lub wad typowych dla jednych, a odmówić je — innym.

O ile spotkamy się z twierdzeniem, iż jedna rasa lub naród jest „gorszy” lub „niższy” od drugiego — to twierdzenie takie uznamy za fałszywe, ale bynajmniej nie ma powodu uważać je za rasistowskie, co będą starał się poniżej uzasadnić.

Na przykład Cyganie mają zarówno talenty jak i upodobania do życia koczowniczego, którego brak jest innym narodom. Z tego jednak nie wynika, aby Cyganie stanowili „wyższą” grupę etniczną od innych. Przeciwnie — ich skłonności do życia wędrownego, czynią ich znacznie gorzej przystosowanymi do życia w nowoczesnych cywilizowanych społeczeństwach. Z tej racji również bezzasadnie pewni ludzie uważają ich za naród podlejszy od innych. Brakowi poczucia dyscypliny społecznej, który jest obecnie

plagą Amerykanów — a w swoim czasie — cechą Polaków — można było przeciwstawić dyscyplinę Niemców, która szła w parze z ich talentami organizacyjnymi, którymi niewątpliwie górują nad innymi narodami. Niemniej ta sama cecha, która ułatwiła im szybką odbudowę po II Wojnie Światowej, przyniosła, dzięki ślepeму posłuszeństwu barbarzyńskiej władzy, jak najgorsze skutki dla nich samych i dla reszty świata. Innymi słowy, wszystkie tzw. narodowe „wady” lub „zalety” wymagają zrelatywizowania czyli punktu odniesienia do określonych umów społecznych lub okoliczności historycznych. Choć narody, rasy i grupy etniczne posiadają niewątpliwie pewne charakterystyczne cechy, które w pewnych warunkach stawiają jedną grupę narodową lub rasową w sytuacjach korzystniejszych od innych — nie ma żadnego absolutnego kryterium, które by pozwoliło uznać jeden naród za „lepszy” od drugiego, m.in. i z tej przyczyny, że nie ma idealnej umowy społecznej, która by określona cechą typową dla jednego narodu uczyniła wartością uniwersalną.

Nie ulega wątpliwości, że przeciętna przystosowalność czarnej ludności do amerykańskiego kapitalizmu jest niższa od przystosowalności przedstawicieli rasy białej lub azjatyckiej (wielu Murzynów z tego powodu jest przeciwnikami amerykańsko-kapitalistycznego *establishment'u*). Nie daje to jednak żadnego tytułu, by stwierdzać „niższość” Czarnych w stosunku do Białych. Lepsza przystosowalność rasy czarnej niż białej do życia plemiennego w Afryce też nie podlega żadnej kwestii. Przymuszczenie z tego powodu, a nie z powodu przeszłości kolonialnej, funkcjonowanie nowych państw w Czarnej Afryce napotyka na trudności. Jeśli by jednak ktoś utrzymywał, że nowoczesne państwa są lepsze — bo stanowią formę wyższą od wspólnot plemiennych, to wypada zapytać — dlaczego? „Wyższą” — według jakich kryteriów skoro głosy przeciw super-cywilizacji i jej zabójczym skutkom wydają się coraz bardziej uzasadnione? Jeśli system kapitalistyczny i komunistyczny w ich obecnych postaciach, opartych na akumulacji kapitału, uznamy z tego powodu za ustroje szkodliwe, wówczas brak przystosowalności do nich może być potraktowany nie za wadę — ale za zdrową reakcję indywidualów ludzkich. Oczywiście można podzielać ten pogląd — lub nie.

Przy tym wszystkim, jeśli ktoś hołduje błędnej, w moim przekonaniu, tezie, że jeden naród ustępuje drugiemu, to nie jest jeszcze powodem, by piętnować go mianem rasisty. Albowiem za rasistę, wedle jedynej rozsądnej definicji, powinien być uważany tylko ten, kto prześladuje jakąkolwiek grupę ludnościową w oparciu o różnice etniczne lub rasowe, lub jeśli propaguje lub zaleca tego rodzaju postępowanie. Wiara w wyższość własnej rasy może być, ale nie musi przesłanką ze strony prześladowcy. Hitle-

rowcy, w oparciu o tezę wyższości rasy nordyckiej, mordowali Żydów. Eksterminacja, której podlegali Cyganie (pochodzący z najbardziej aryjskiego pnia Indii) nie miała nic wspólnego z tezą o nierówności ras. Niszczono ich dlatego, że w przekonaniu nazistowskich ideologów, byli społecznie szkodliwi. Rząd Południowo-Afrykański dyskryminuje czarną ludność, bo wierzy w wyższość rasy białej, ale rasista i notoryczny morderca swoich współplemieńców, prezydent Ugandy, Idi Amin wypędził z granic swego kraju osiadłych tam od pokoleń Azjatów nie dlatego, że uważał ich za gorszą rasę, ale dlatego, że przy niedołączonych próbach tworzenia nowoczesnych organizmów gospodarczych w Czarnej Afryce, Azjaci okazywali lepszą przystosowalność i mogli wylegitymować się większymi sukcesami niż rdzenni mieszkańcy Ugandy. Podobnie — choć nieco mniej brutalnie — z tych samych przyczyn, postępuje wobec mniejszości azjatyckich prezydent Kenii Jomo Kenyatta.

W niektórych uczelniach amerykańskich na Zachodnim Wybrzeżu chińsko-amerykańscy kandydaci na studia spotykają się z wyższymi wymaganiami, ponieważ inaczej równa szansa oznaczałaby gwałtowny wzrost dyplomów dla przedstawicieli rasy żółtej w porównaniu z Białymi lub Czarnymi. Jest to więc wyraźny objaw dyskryminacji, o której w Ameryce nie mówi się i nie pisze.

W konkluzji należy uznać, że, po pierwsze, rasizmem nie jest taka lub inna fałszywa teoria, ferująca wyroki o wyższości jednej grupy ludzkiej w stosunku do drugiej — ale praktyka, która oczywiście może być podbudowana jakąś pseudo teorią, jak to miało miejsce w wypadku Niemiec hitlerowskich. Po drugie — praktyka rasistowska może wynikać nie z przekonania o wyższości jednej grupy ludzkiej nad drugą, ale przeciwnie — z uznania swej własnej niższości. Oczywiście duma czy szowinizm narodowy lub rasowy zezwala na uznanie własnej wyższości, ale nie dopuści do publicznego orzeczenia niższości własnego narodu w stosunku do narodu prześladowanego.



Neo-egalitaryzm jest tylko jedną z szeregu przyczyn obecnej rewolucji nihilizmu w jakiej pogrążają się Stany Zjednoczone. Choć trudno pokusić się o gruntowną diagnozę zjawisk, sądzę, że można przynajmniej sklasyfikować pewne przesłanki, które determinują rozkład obecnej amerykańskiej współczesności. Są nimi nie znajdujące żadnych hamulców, nadużycia chwalebnych haseł, o które ludzkość — a w szczególności ludy Zachodu — walczyły przez półtora wieku. Obecnie, wraz z rewolucją post-

industrialną, ogólnoswiatową imigracją ludności, wzrostem szowinizmu u tych grup etnicznych i narodów, które w ostatnich stuleciach nie miały nigdy szansy zaimponowania światu czymkolwiek — owe szczytne hasła stały się swą własną karykaturą i zaprzeczeniem.

O równości — czyli neo-egalitaryzmie i jego społecznych skutkach pisałem wystarczająco. Z kolei w skrócie wypada poświęcić kilka słów takim sprawom jak — prawo pracy i strajków oraz nadużycie swobód. Prawo do strajku, którego pozbawiony jest obywatel krajów dyktatorskich i totalitarnych, stało się obecnie w Stanach instrumentem szantażu, stosowanego przez wybrane grupy pracowników, zatrudnionych w usługach, transporcie, policji miejskiej lub innych nie mniej żywotnych dla współczesnego społeczeństwa działach. Na uwagę zasługuje że: 1. Akcje strajkowe są w wielu wypadkach podejmowane nie przez grupy niskopłatne, ale przeciwnie — przez wysokozarabiające. Poziom ich zarobków nie wynika w tym wypadku ani z kwalifikacji, zdobytych wieloletnią nauką czy szczególnie ciężką pracą. Jeśli weźmie się za przykład pracownika transportu miejskiego lub zakładu oczyszczania miasta w wielkich metropoliach — to jasne jest, że poziom ich zarobków jest funkcją nie tyle ich „czarnoroboczego” wysiłku, ale skutków, jakie wyniknąć mogą z przerwania przez nich pracy. W wielkich skupiskach zahamowanie transportu, oczyszczania miasta, działalności straży ogniowej lub policji doprowadzić może do katastrofalnych następstw i jak już widzieliśmy — doprowadza. 2. W zamierzonych czasach, gdy kapitalizm przeżywał wczesny okres rozwoju, strajk robotników wymierzony był przeciwko eksploatatorowi-kapitaliście. Obecnie wiele akcji strajkowych, pozornie skierowanych przeciw przedsiębiorcy (którym w wielu wypadkach jest stan albo miasto) wymierzonych jest przeciw społeczeństwu. Ono — a nie władze stanowe czy zarządy miejskie są obiektem szantażu. Owe wybrane grupy czując swą potęgę, robią z niej użytek nieograniczony żadnymi względami społecznymi. Cofają się jedynie wówczas, gdy skutki ich akcji obrócić się mogą przeciwko nim samym. Szereg strajków, jakie miały miejsce w wielkich miastach, nie jest już dzwonkiem alarmowym dla Ameryki. Jest raczej podzwonem dla tego wielkiego kraju, dla tego co zdołał w ciągu 200-lecia stworzyć. Jeśli, biorąc przykładowo, strajkowi straży ogniowej w Kansas City towarzyszyła kilkakrotnie zwiększona liczba pożarów, przy pomocy których strażnicy-podpalacze usiłowali zmusić burmistrza do kapitulacji; jeśli strajk policjantów w San Francisco, których uposażenie w ciągu ostatniego 5-lecia osiągnęło poziom około 24 tysięcy rocznie (znacznie przekraczając wzrost kosztów utrzymania), zmusiły burmistrza do bezwarunkowej kapitulacji — to nie ma tu miejsca dla

złudzeń — czym stało się prawo do strajku w Ameryce. Dotychczas — i tak było w całym wolnym świecie, w którym prawo do strajku istniało — jego koszty w formie zasiłków dla strajkujących i ich rodzin ponosiły ze swych funduszy związki zawodowe. Wydawało się to słuszne i sprawiedliwe, ponieważ stanowiło manifest solidarności robotniczej. Obecnie w dwóch stanach Ameryki — New York i Rhode Island — obowiązuje nowe prawo. Strajkujący, bez względu na to, jakie warunki stawia pracodawcy, korzysta z ubezpieczenia od bezrobocia lub z publicznej pomocy społecznej. Innymi słowy — robotnik przerywający pracę z własnej woli, utrzymywany jest przez podatników. Amerykańskie Związki Zawodowe usiłują rozszerzyć to prawo na całe Stany Zjednoczone. Leonard Woodcock — prezes Zw. Robotników Przemysłu samochodowego (nie należącego do AFL-CIO) w jednym ze swych przemówień zapytuje demagogicznie: „Dlaczego to karać dzieci za to, że ich ojcowie korzystają z legalnego prawa do strajku” („Memo from Cope” N. 19-75, Sept. 15, 1975 — komunikat wydawany przez Komisję Wychowania Publicznego AFL-CIO). W istocie niewinne dziaćki nie zasługują na karę, ale dlaczego za prawo do strajku, które w wielu wypadkach jest nadużywane, mają płacić inni — nieraz zarabiający znacznie mniej od strajkujących pracowników wybranych działów przemysłu i usług? Sprawiedliwość społeczna — o którą w ciągu wieku walczyły amerykańskie związki i lewicowe organizacje polityczne, zamieniła się w kultywowanie nieróbstwa. Wątpliwości pod tym względem rozwiewa druga cytata z wymienionego wyżej periodydu AFL-CIO — „Meany i Woodcock podkreślają zgodnie, że opieka społeczna (*welfare*) powinna obejmować wszystkich potrzebujących, bez względu na to jakie są przyczyny ich trudnego położenia” (podkreślenia autora). A więc sytuacja jest jasna. Do wsparcia, za które płacić ma całe społeczeństwo, ma taki sam tytuł kaleka, starzec, inwalida, obarczona dziećmi i opuszczona przez męża kobieta, jak i notoryczny wałkoń — czyli, według klasyfikacji tutejszych psychoanalityków, człowiek „sfrustrowany”. George Meany, zacięty wróg *Détente*, widocznie nieświadomy jest tego, że pewna popularność jaką zdobyła sobie ta samobójcza polityka w amerykańskim narodzie, jest ściśle związana z przemianami wewnętrznymi Amerykanów — w ich rosnącym tchórzostwie, wygodnictwie, asekuranctwie, braku dyscypliny i niechęci do pracy.

W Ameryce istnieje obecnie wysokie bezrobocie, wyrażające się około 8-miomilionową rzeszą niezatrudnionych. Bezrobocie to ma jednak drugą stronę medalu. Mianowicie wiele prac nie znajduje chętnych do ich objęcia. Nie przyjmują ich, bo bardziej oplota się być bezrobotnymi i brać zasiłki lub korzystać z opieki społecz-

nej¹⁶. Inaczej trudno byłoby wytłumaczyć kolosalną — bo 8-miomilionową — rzeszę nielegalnie żyjących i pracujących w Ameryce cudzoziemców, tolerowana przez władze gdyż stanowi ona rezerwową siłę roboczą, podejmującą się tych zajęć, których nie przyjmie Amerykanin. Jako nielegalni — nie mają oni możliwości (przynajmniej bez poważnego ryzyka dostania się w ręce władz emigracyjnych) do korzystania z zasiłków czy opieki społecznej.

Na temat tego do jakich nieprawdopodobnych granic dochodzi nadużywanie wolności w Stanach Zjednoczonych można by pisać w nieskończoność. Wystarczy kilka najbardziej jaskrawych przykładów — z których jeden, dający amerykańskim *mass media* prawo do dezinformacji i oszczerstw, przytoczyłem poprzednio. Okazuje się, że „wolność”, choć jest pojęciem znacznie bardziej abstrakcyjnym od bochenka chleba, posiada pewne jego cechy. Jeśli pewna wybrana część społeczeństwa korzysta z niej w nadmiarze — druga cierpi na jej niedostatek. Byłoby przesadą twierdzić, że amerykańscy słuchacze Radia i TV oraz czytelnicy gazet są w niewoli dezinformacji i ignoranckich komentarzy prasowych, których autorzy cieszą się przywilejem braku odpowiedzialności za drukowane słowo. Ostatecznie można nie słuchać komentarzy, a w lekturze gazet ograniczyć się do wyłuskania wszystkich wydarzeń na świecie, które w odróżnieniu od prasy komunistycznej amerykańskie środki przekazu podają do wiadomości. Niemniej „monopol” *mass media*, jeśli nie rozumieć go dosłownie, ma w sobie więcej niż ziarno prawdy. Wynika on z łatwości amerykańskiego życia, z niechęci i lenistwa amerykańskiego odbiorcy informacji, by zadać sobie trud i odrzucić to, co jest najłatwiejsze i co darmo oferują komentatorzy Radia i TV. Po cóż szukać lepszego towaru po przepracowanym dniu, skoro można za darmo otrzymać tandetę? Sowiecki czy polski odbiorca informacji, jeśli nie utracił kompletnie zdolności krytycznych, wie, że jest okłamany i szuka źródeł prawdy. Amerykanin, żyjący w kraju swobody, często nie zdaje sobie sprawy, że informacje i naświetlanie wydarzeń kilku największych zespołów radiowo-telewizyjnych, są tendencyjne — marginesowo wspominające o pewnych wydarzeniach, a uwypuklające inne — po to, żeby ukształtować jego światopogląd na wzór i podobieństwo własne. Jeśli nawet jednak zdaje sobie sprawę z ubóstwa i prymitywnych kamuflaży, które

16. Obydwa typy pomocy w szeregu stanów są wymienne, przy czym po półrocznej pracy przysługuje 15-tomiesięczny zasiłek równy 50 % zarobków z tym, że maksimum nie może w stanie New York przekroczyć 95 dolarów tygodniowo. Nie jest to dużo, ale niektórzy wolą zarobić mniej, nie pracując niż pracować — i zarobić więcej. Czy ze swobody wyboru między tymi alternatywami korzystają mniejszości etniczne — Czarni i Portoricanie czy też „rdzenni” Amerykanie jest rzeczą drugorzędną. Filozofia hodowania, a nawet gloryfikowania nieróbstwa wydaje owoce dla całego narodu.

stosują szermierze haseł liberalnej lewicy z TV i Radia — to jest zbyt leniwy, by szukać prawdy.

Oczywiście amerykańskie środki przekazu obficie informują o wszystkim złym, dziejącym się w Ameryce. Nie można z tej racji czynić im zarzutu. Jest rzeczą naturalną, że prasa winna sygnalizować to co się dzieje w kraju złego. Ale grzech amerykańskich środków przekazu polega na tym, że: 1) pisząc o godnych potępienia praktykach administracji amerykańskiej, a w szczególności jej agencji CIA lub FBI — nie próbują rozszerzyć widnokręgów wiedzy swych słuchaczy i czytelników na cały świat. 2) Pasja i sensacyjność jak również nieproporcjonalna część czasu jaką poświęca się biczowaniu Ameryki może wskazywać na patologiczne objawy masochizmu — tego co prof. Brzeziński nazywa „syndromem auto-nienawiści do własnego kraju” i który właśnie widzi wśród ludzi działających w amerykańskich *mass media* (*Commentary* — lipiec 1975. „America now: Failure of Nerves”, str. 27).

Zubożenie światopoglądu odbiorców amerykańskiej informacji, jest tylko jednym z objawów groźnego zjawiska nadużycia wolności, która stała się swą własną karykaturą. Drugi — wiąże się ściśle z prądem neo-egalitarnym i manifestuje się tym, że wolność dla pewnej kategorii Amerykanów oznacza bezkarność, dając im swobodę gwałtów i zbrodni. Kiedyś immunitet zbrodni wobec Czarnych posiadali biali rasiści Południa. Czasy te minęły. Ale sytuacja nie uległa odwróceniu. Uległa zmianie na gorsze w wielu kierunkach, pozostawiając w niewoli strachu i terroru miliony ludzi, należących do rozmaitych grup etnicznych — ale zawsze z przewagą starych, kobiet i fizycznie niedoświadczonych. Są oni ofiarami tej przestępczości, której sprawcy podobnie jak na całym świecie, rekrutują się ze sfer najniższych. Liberalna lewica gloryfikuje „biedotę”¹⁷ jako pokrzywdzoną przez system. W wielu wypadkach może to być i jest prawdą. Niektóre grupy etniczne gorzej przystosowane do nowoczesnego systemu kapitalistycznego, zepchnięte są do poziomu — który co prawda w krajach gospodarczo zacofanych oznacza dostatek, ale w Stanach Zjednoczonych — biedę. Jakż jednak tytuł do bezkarności może mieć młodzieniec, który dopuszcza się rabunku 80-letniej kobiety, bynajmniej nie lichwiarki z powieści Dostojewskiego, ale staruszki, żyjącej z emerytury? Człowiek normalny, posiadający elementarne zasady moralne, oburza się nie na zamaskowanych bandytów, rabujących bank, ale na miejscowych nastolatów — którzy bez najmniejszego ryzyka zabierają w biały dzień ślepcom, sprzedającym w kioskach

17. Nie jest to przesada. Wystarczy przyjrzeć się istniejącej od wielu lat modzie celowo obdartych portek i sfatygowanej odzieży, produkowanej przez przemysł, żeby nie mieć pod tym względem wątpliwości, że należenie do „biedoty” oznacza dla pewnych ludzi honorowy status społeczny.

gazety, ich dzienny utarg. Tego typu przestępca zyskuje w USA jakby podwójny status. Z punktu widzenia prawa jest kryminalistą i idzie przynajmniej od czasu do czasu — do więzienia. Z punktu widzenia obecnej neo-egalitariańskiej moralności traktowany jest jako ofiara systemu. A ponieważ bardzo wielu sędziów wyznaje tę właśnie moralność, rezultatem jest analogiczna „taryfa ulgowa”, do stosowanej w szkołach i przy uzyskaniu stanowisk pracy. Tam przynosiła ona dyskryminacje — tym, którzy nie mieli „etnicznego” tytułu, aby z niej korzystać, tu — w wielkich metropoliach — zamyka w mieszkaniach starych i niedoświadczonych, którzy są potencjalnymi ofiarami młodości, których przeciętny wiek waha się od 14 do 20 lat. Nadmiar swobody — w tym wypadku — swobody popełnienia przestępstw i zbrodni dla jednych spowodował niewolę innych.

Uzasadnieniem tej praktycznej bezkarności, którą cieszy się pospolita przestępczość w Stanach Zjedn., jest teza, że nie ma możliwości potępienia zbrodni, jeśli nie uwzględni się przesłanek, z których wyrosła. Zasada nie nowa i dyskutowana przez prawników i socjologów od wieku. Brzmi zresztą niezmiernie humanitarnie tak długo, póki nie uwzględni się jej praktycznych następstw.

Ponieważ czynników, pchających pewne kategorie ludzi do łamania prawa lub zbrodni jest w każdym ustroju niezliczona ilość, jest rzeczą oczywistą, że systemy penitencjarne służyć muszą przede wszystkim ochronie społeczności przed przestępcami, a nie ochronie — przestępców przed skutkami ich zbrodni. Chodzi więc tylko o to jaki jest to system, jaka umowa społeczna i w jakim stopniu usprawiedliwia łamanie prawa. Jeśli lewica liberalna krzyczy wielkim głosem, że zastosowanie surowych środków wobec ulicznych przestępców, włamywaczy i morderców jest dyskryminacją „biednych”, bo milionerzy tego rodzaju przestępstw prawie wcale nie popełniają, ma oczywiście w drugiej części swego stwierdzenia rację. Milioner — nie okradnie staruszki i nie obrabuje banku. Ponieważ jednak neo-liberałowie nie są w stanie ukazać żadnej alternatywy umowy społecznej — bez milionerów i bez wzbudzających wstręt bandytów (których jedynym wytłumaczeniem jest „ciężkie dzieciństwo”, trudna młodość i krótki, choć błogi pobyt w więzieniu — jeśli w ogóle do niego dojdzie), wypada dziś po 30-tu latach, przypomnieć surowe orzeczenie Winstona Churchilla, który uznał demokracje kapitalistyczne za ustroje bardzo złe — z tym drobnym zastrzeżeniem, że inne są jeszcze gorsze. Prosimy — o te lepsze. Jak dotychczas — brak ofert. Są tylko negacje lub niesprecyzowane idee. Wszystko razem przyczynia się walenie do rozkładu USA i krajów Europy Zachodniej

z makabryczną wizją Wielkiego Brata — będącego wielokrotnością wszystkich byłych i obecnych dyrektorów FBI, CIA i „Surété”.

Obecny stan rzeczy w Ameryce i na Zachodzie Europy napawa uzasadnionym pesymizmem. Kluczem sytuacji nie jest ani kryzys gospodarczy ani kłopoty finansowe czy trudności energetyczne lub słabość strategiczna Zachodu. Źródło tkwi w postawach ludzkich i dominujących prądach, które operują odwróconą skalą uznanych od wieków, tradycyjnych, ludzkich wartości. Mimo tego nie zaszły na świecie żadne nieodwracalne wydarzenia, które by nakazały uznać, że na wszystko jest już za późno i że należy z rezygnacją poddać się losowi i zaakceptować obecny kierunek historii. Nie ma też możliwości wgłębiania się w źródła duchowego obywatelstwa, jakiego ofiarą stał się zachodni świat, ponieważ nie wydaje się, aby zjawiska te były dla współczesnych rozszyfrowalne.

To co można robić — to szukać w społeczeństwach Zachodu, a w szczególności w Stanach Zjednoczonych tych sił społecznych, które mogą stać się nie tyle sprężyną odrodzenia — bo na to za wcześnie — ale przynajmniej źródłem czy zapłonem fermentu społecznego, mogącego doprowadzić Amerykę do wstrząsów i na tej niezbyt ponętnej drodze zawrócić społeczeństwo amerykańskie z jego samobójczej drogi. Sądzę, że rezerwuariat takich sił społecznych, okazujący rosnące oznaki rebelii i otwartego buntu przeciw obecnym dominującym w elicie amerykańskiej kierunkom, istnieje.

Nie przeciwko „równości” — która absolutnie i wszędzie uważana jest za moralno-polityczny dogmat, ale przeciwko praktycznym skutkom jej forsowania protestują spadkobiercy amerykańskiego proletariatu¹⁸, będącego obecnie częścią klasy średniej. Amerykańska klasa średnia nie jest społecznie jednolita, bo należą do niej zarówno robotnicy, drobni kupcy, farmerzy jak i część warstwy urzędniczej. Posiada ona liczne tradycyjne przywary wszelkich drobnych burżuazji. Jest ciasna i krótkowzroczna w swym egoizmie i gotowa bronić wszelkimi środkami swego stanu posiadania. Nasycona jest ksenofobią — a raczej z przyczyny heterogeniczności Stanów Zj. — licznymi ksenofobiami. Jest podatna na wszelkie tendencje izolacjonistyczne, które były zawsze wyznawane przez przytłaczającą większość Amerykanów. Mimo tych wszystkich cech, przypominających mieszczaństwo minionych epok, żadną miarą nie jest ona jego wizerunkiem. Nie tylko dlatego, że klasa średnia okresu post-industrialnego Ameryki — nawet w tych

18. Biorąc pod uwagę etymologię słowa „proletariat”, współcześni robotnicy amerykańscy, zatrudnieni w przemyśle, transporcie i usługach, z uwagi na ich standard życia najzupełniej na nazwę „proletariatu” nie zasługują, mimo, że ich rola w produkcji nie uległa żadnej istotnej zmianie od czasu powstania rozwiniętej gospodarki kapitalistycznej w USA.

warstwach, które nie mają nic wspólnego z produkcją wielkoprzemysłową — różni się obyczajami i stylem życia od dawnego drobnomieszczaństwa, ale przede wszystkim z tej przyczyny — że znaczny jej procent to właśnie spadkobiercy amerykańskiego proletariatu, którego nawet najbardziej sfilistrzały przedstawiciel ma szersze horyzonty od drobnego kupca czy agenta handlowego. Amerykańscy robotnicy w swej większości przeciwstawiają się polityce *Détente*. Nie dlatego, że dążą do konfrontacji z Rosją, ale dlatego, że zachowują instynkt samozachowawczy, który dyktuje im głęboką i umotywowaną nieufność do notorycznie nie dotrzymującej żadnych umów strony. Paradoks obecnej sytuacji polega na tym, że gdy nosicielami dezinformacji i zwolennikami narzucenia pluralistycznemu społeczeństwu Ameryki światopoglądu liberalno-lewicowego stała się elita intelektualna USA, amerykańska warstwa średnia pozostała jedyną siłą społeczną, przeciwstawiającą się tym presjom społecznym, które doprowadzają do rozpadu USA.

Warstwa średnia nie posiada ani swej Partii ani przywódców, tym mniej teoretyków. Nie jest w stanie i nie ma zresztą ambicji, by wystąpić z programem, który by skutecznie zapobiegł inwazji neo-liberałów, celem zachowania tradycyjnego porządku społecznego. Dla peryferyjnych grup tej klasy — zwłaszcza przedstawicieli drobnego biznesu — wizja Ameryki jest wizją z wczesnych lat pięćdziesiątych, która jest nie do przywrócenia. Wszystko to sprawia, że pozbawiona jest czynników, mogących przyciągnąć do niej nowe pokolenia i nadać jakiś większy rozmach próbom ratowania Ameryki przed ostatecznym upadkiem. Tak jak zmierzch dawnej Nowej Lewicy był między innymi rezultatem jej politycznej bezprogramowości tak i obecnie słabość polityczna amerykańskiej klasy średniej — w proporcji do jej liczebności i społecznego ciężaru gatunkowego — wynika z jej ideologicznej pustki. Proletariat amerykański, uczony od dziesiątków lat, że jedynym jego zadaniem jest polepszenie warunków materialnego bytu na gruncie istniejącego systemu, wyszedł na pewno na swej „apolityczności” lepiej od robotników tych krajów, dla których główny cel stanowiła walka o nowy „bezklasowy ustrój”. Niemniej owa apolityczna droga do dobrobytu, czy nawet bogactwa, przynosi obecnie gorzkie owoce. W amerykańskiej klasie robotniczej nie zakiełkowało nigdy poczucie jej wagi społecznej, świadomość jakiegokolwiek misji, którą ma do wypełnienia. Dotychczas nie było takiej potrzeby. Obecnie, gdy Ameryka, a z nią Świat Zachodni znalazła się w sytuacji — już nie krytycznej a katastrofalnej, potrzeba taka powstała, ale robotnicy amerykańscy są do niej najzupełniej nieprzygotowani. Ich rola wobec inwazji licznych ugrupowań radykalnych od maoistów, trockistów, lewicowych socjalistów o mętnym programie działania, poprzez prosowieckich komunistów aż

do najliczniejszej liberalnej lewicy jest czysto defensywna. Dlatego, mimo niezaprzeczonego faktu, że najpoważniejszą siłą warstwy średniej są robotnicy, do głosu dochodzą coraz częściej elementy peryferyjne, rekrutujące się z drobnomieszczaństwa w klasycznym konwencjonalnym rozumieniu tego słowa. Nie mogąc przywrócić stanu rzeczy z lat pięćdziesiątych, starają się rozbić próby forsowanego egalitaryzmu, uciekając się nieraz do gwałtów. Metoda gwałtu, będąca kiedyś monopolem „Nowej Lewicy”, została obecnie przejęta przez jej „konserwatywnych” przeciwników. Dowodzi to, że amerykańska warstwa średnia, która w głębi ducha zawsze szanowała decyzje Kongresu i Sądu Najwyższego, znalazła się w stanie desperacji. W tych warunkach, gdy niebezpieczeństwo katastrofy systemu staje się coraz widoczniejsze, przy jednoczesnym braku zorganizowanej kontrakcji, część amerykańskiej warstwy średniej może stać się — tak jak to bywało w innych krajach Europy Zachodniej w przeszłości — obiektem zabiegów ze strony nowego typu zręcznych polityków, których może wysunąć na widownię wydarzeń obecny kryzys amerykański, cierpiący po obydwu stronach barykady na chroniczną bezprogramowość. W warunkach rozzuchwalonego absurdu nie są bynajmniej konieczne prowokacje. To, co się w tym kraju dzieje, jest ekwiwalentem wielokrotnego podpalenia Reichstagu. Faktem jest, że jeśli ktoś będzie chciał skinytetyzować narastający bunt i niezadowolony z obecnego rozwoju wydarzeń, to nie będzie to już obecnie człowiek Lewicy ale Prawicy — i to prawicy w swych ambicjach rewanżowych, nie znający żadnego umiaru. Nie znaczy to bynajmniej, by Stanom Zjednoczonym groziła perspektywa państwa policyjnego. Tą wizją naiwnie straszą Amerykanów prymitywni dziennikarze z Lewicy — i to przeważnie ci, którzy za przykładem sowieckiego specjalisty od spraw Ameryki — Arbatowa, nazywają już obecne USA państwem policyjnym. Ameryce nie grozi żadna dyktatura. Nie z powodu zakorzenionego przywiązania do wolności — bo takie uczucia dadzą się na długie lata przytłumić. Dyktatura jest niemożliwa do narzucenia ludności w jakimkolwiek kraju o wysoko zaawansowanej i zdecentralizowanej gospodarce, której jedną z cech jest rozbudowana sieć usług, będąca częścią wysoko rozwiniętej infrastruktury. To natomiast co jest realne i możliwe — to odwrócenie o 180 stopni obecnych lewicowo-liberalnych kierunków, którymi znaczna część ludności jest zniecierpliwiona i zmęczona. Zmęczona — tym bardziej, że czując nabrzmiewający absurd — nie może się z niego wyrwać, że ma przeciw sobie drętwe głosy telewizyjnych pseudo-intelektualistów i autentycznych intelektualistów uniwersyteckich, arystokrację finansową ze starych rodzin amerykańskich z niezagojonym kompleksem winy za grzechy ojców i dziadków wobec

ludności kolorowej... Ci, rezydujący w willach na dalekich przedmieściach, z dala od cuchnących zbrodni i zatrutym powietrzem metropolii, wspierają wszelkie próby integracyjno-egalitarne, przy pomocy kaprałskich metod. Rozgrzeszenie z win praojców odbywa się na cudzy koszt — co przypomina starą anegdotę o Towiańskim, który widząc na drodze nędzarza, kazał swemu lokajowi oddać mu kozuch, otulając się szczerzej swym futrem. Radykalno-lewicowe tendencje szerzą się na szczytach i na samych dołach amerykańskiego społeczeństwa, a liczba zradykalizowanych milionerów i półmilionerów rośnie zastraszająco¹⁹. Od dobrych kilkunastu lat odbywa się „terapia” społeczeństwa amerykańskiego, wprowadzie bez diagnozy, ale za to na koszt klasy średniej. W tych warunkach kandydatów na „ludzi Opatrznościowych”, gotowych do „ratowania” Ameryki według odwróconej recepty liberałów, jest na pewno sporo. Na razie nie ujawnił się żaden wybitny. Ale może być to sprawą najbliższych lat, jeśli nie miesięcy. A gdy wśród bogatej elity, dławiącej się zachwytem nad „zdrowymi” społeczeństwami Dalekiego Wschodu znajdzie się grono „parszywych owiec” czyli kapitalistów z albumu prababki, wówczas łatwo będzie o środki finansowe.

W tej chwili trudno przewidzieć jakie formy organizacyjne może przyjąć tego rodzaju kontrakcja. Ponieważ najsilniejszy sprzeciw wśród warstwy średniej budzi najprawdopodobniej pobłażliwość wobec przestępców, możliwe, że zrodzi ona coś w rodzaju kolidującego z obecnym wymiarem sprawiedliwości — systemu społecznej samoobrony. Tam gdzie — jak w państwach komunistycznych — zawodzi gospodarka, rodzi się podziemie gospodarcze, w Stanach Zjedn., gdzie zawodzi wymiar sprawiedliwości, rzucając społeczeństwo na pastwę bandytów, może powstać „pod-

19. Za klasyczny przykład super-liberalnego milionera, który w okresie rozkwitu lewicowych prądów szybko zmienił front, opuszczając Partię Republikańską, może uchodzić John Lindsay, burmistrz Nowego Jorku w latach 1966-74. Przez swoje dwie kadencje zwiększył $\frac{1}{2}$ -miliardowy deficyt poprzednika do $3\frac{1}{2}$ miliardów. Odbyło się to przy gigantycznym wzroście wydatków miejskich. Nowojorskie zasoby stały się krynica, z której czerpały szeroką garścią miliony próżniaków, którym liberalnie usposobiony burmistrz, wraz ze swą radą udzielał wsparcia, wychowawczo-szkoleniowe imprezy, prowadzone przez mnożące się agencje, z których korzystali głównie organizatorzy, rozdając hojnie posady swym przyjacielom. Przyczyniało się to stopniowo — znacznie bardziej niż bezrobocie — do wzrostu przestępczości. Ponieważ wszelkie te imprezy odbywały się na koszt mieszkańców miasta, jego zamożniejsi podatnicy, włączając w to policjantów, starali się mieszkac jak najdalej co oczywiście zmniejszało kwoty wpływów podatkowych. Mniej zamożni, nie mogli sobie pozwolić na luksus mieszkania poza granicami Nowego Jorku. Zostali więc, bo musieli. W międzyczasie dochody miasta malały, a rozchody rosły, aż do momentu kiedy miasto stanęło w obliczu bankructwa i gdy liberalny gubernator stanu New York — Carey zagroził rządowi federalnemu, że jeśli nie da miastu pieniędzy, będzie musiał wysłać wojsko dla stłumienia rozruchów.

ziemna sprawiedliwość", wymierzająca kary zwolnionym przez sądy złoczyńcom. Wzory organizacyjne już są, oparte na wieloletnich praktykach Mafii, która oczywiście ogranicza się, jak dotąd, do swoich spraw wewnętrznych. Rozumie się, że o ile tego typu bojówki, przypominające dawny Ku-Klux-Klan, ale o innych celach, powstaną, zmienią się w organizacje o szerszych ambicjach politycznych. Niewątpliwie tego typu akcja, o ile powstanie, nacechowana będzie silnymi akcentami prawicowymi, a możliwe również, że i antysemickimi (z uwagi na skład etniczny obecnej elity intelektualno-dziennikarskiej). Momenty antymurzyńskie będą raczej przytłumione, zarówno ze względu na liczebność Czarnych jak i na chęć przyciągnięcia do siebie średniej warstwy murzyńskiej, pragnącej asymilacji z białym kapitalistycznym społeczeństwem Ameryki. Gdyby do owego odwrócenia fali i gwałtownej erupcji prądów prawicowych w Ameryce doszło, to czy nie okazałoby się, że lekarstwo gorsze jest od choroby? ²⁰ Gdyby na tego rodzaju fundamencie rasistowsko-prawicowym miała być budowana przyszłość Ameryki, odpowiedź moja brzmiałaby, że lekarstwo jest albo gorsze — albo co najmniej równe chorobie. Myślę jednak, że gdyby nawet doszło do gwałtownego odwrócenia dominujących kierunków, to tego rodzaju eksplozja byłaby krótkotrwała — bo zrównoważyłyby ją opór tej części społeczeństwa, która przerażona obecną równią pochyłą, w jakiej znalazł się ich kraj — sprzeciwiłaby się równie stanowczo przemodelowaniu Ameryki według wzorów minionych i niepowtarzalnych. Byłaby to jednak kuracja wstrząsowa, której towarzyszyłyby konwulsje wewnętrzne, związane bez wątpienia z licznymi ofiarami. Byłaby to cena, którą Naród Amerykański musiałby zapłacić, skoro zdrowy rozsądek nie jest w stanie przeważyć na innej drodze.

Kiedyś, gdy nieznanne były inne środki, syfilis leczono malarią, ponieważ był to najskuteczniejszy sposób na wywołanie wysokiej temperatury, niszczącej krętki blady. Ataki malarii oznaczały ciężki paroksyzm, ale miały tę zaletę, że trwały stosunkowo krótko, dając poważne szanse wyleczenia, podczas gdy syfilis zwolna w ciągu wielu lat zabijał pacjenta. Choroba, która toczy obecnie Świat Zachodni — a w pierwszym rzędzie Amerykę — ma jeszcze tę wadę, że nie daje nadziei na możliwość przeżycia wielu lat w oczekiwaniu na zastosowania innych środków. Śmierć pacjenta może nastąpić rychło, nie oszczędzając mu i tak przedśmiertnych konwulsji.

Zbigniew BYRSKI

Nowy Jork, 26 października 1975

20. Oczywiście pytanie zaadresowane do tych „nie-liberalnych” czytelników, którzy podzielają zdanie autora, że świat zachodni nie jest w fazie moralnego renesansu, ale jest u progu katastrofy.

Kto to zrobił?

— Kto to zrobił?

Cisza. Pochylone głowy. Znów to samo pytanie. Było to w pokoju kierownika kina. Marks, Lenin, Stalin i Bierut spoglądali z portretów na czerwonej wstędze. Wzywani po pięciu. Naczelnik powiatowego urzędu świdrował ich złymi oczyma. Nie mógł wykręć sprawy. Podczas seansu, kiedy pokazywano nudny, pełen dętych słów i podniosłych scen film o wsi kołchozowej, ktoś trzepnął ogryzkiem w ekran. Huczny śmiech na widowni. Ogryzek rozładował nudę. Przerwano seans. Na widowni znajdował się naczelnik urzędu.

— Robota wroga! — powiedział wystraszonemu garbusowi, kierownikowi kina.

Garbus próbował bagatelizować. Wśród widzów był również jego syn.

— Wroga chcecie osłaniać? — naczelnik urzędu ukłął go swoim wściekłym spojrzeniem.

Garbus zmobilizował resztki odwagi. Pokazał swoje wojenne odznaczenia w klapie.

— Ja... — zapiszczał — od Lenino do Berlino... — rym mu się złożył ze strachu.

Naczelnik urzędu machnął lekceważąco ręką. Był zły, już drugi dzień bolał go ząb.

— Zamknąć wyjścia! — polecił swoim ludziom, którzy wsuwałszy dłonie do kieszeni zajęli stanowiska.

Zaczął przesłuchanie. Po pięciu z balkonu. Z balkonu bowiem rzucono ogryzek. Przeważnie uczniowie tutejszego gimnazjum. Ogryzek leżał na biurku.

— Na, dojrzyj do końca! — wrzeszczał naczelnik. — Twoje jabłko, tak?

Nikt się nie przyznawał. Złorzeczył naczelnik, a co bardziej podejrzanych prał po twarzy lub tłukł linijką po palcach.

Garbus przyczajony za drzwiami drżał o swego syna. Większość widzów z parteru stała milcząc przed budynkiem kina „Tęcza”.

— Kto to zrobił? — nieustępliwe pytanie przygoździło kolejną piątkę przesłuchiwanym.

Przez otwarte okno wpadały beztraskie odgłosy letniego wieczoru; daleki śpiew, chichoty, dźwięk harmonii.

Onio, uczeń 10 klasy 11-letniej szkoły T.P.D., po raz pierwszy wtedy poczuł ciężar upokorzenia i dławiącej przemocy. Uczucie to bólem skurczyło żołądek.

— Ja to zrobiłem — powiedział donośnie.

Ulgą i spokojem, naprężone dotąd mięśnie zwiotczały naraz.

— Ja — powtórzył już cicho.

Noc po kinie spędził w piwnicy tutejszego urzędu. Zgrzyt kluczy, brutalne poszturchiwanie, ciemność. Było to przejście do innego świata. Dotąd żył jak inni jego rówieśnicy. Brał gorliwy udział w manifestacjach pierwszomajowych i przeróżnych masowkach. Skandował aktualne hasła i lubił podśpiewywać buńczucznie — „My Z. M. P., my Z. M. P., reakcji nie boimy się...”. Sam nawet, z własnej potrzeby, podchodził w niedzielne nabożeństwa pod kościół i wystawał tam w białej koszuli i czerwonym krawacie, czyli stroju organizacyjnym związku młodzieży. W ten sposób rzucał wyzwanie klerykalnej potędze i po trosze czuł się romantycznym bohaterem. Ten romantyzm bardzo własny, nieco rozwichrzony, ze świata książkowych egzaltacji brał początek. „Niebo w płomieniach”, pochłonięte z wypiekami, nie mała tu odegrało rolę. Lubił książki i czytanie posiadał rozległe. Nawet chwilami uważał, że zbyt dużo wątpliwości i zastanowień z tego wynika. Szkodliwy więc wpływ na jednolitość światopoglądu. Ale ulotne to były refleksje. Jednolitość jeszcze niczym nie była nadwątlona. Sam również w tej wsi, gdzie wyjeżdżał z rodzicami na letnisko, zwołał zebranie chłopów i wygłosił odczyt o kolektywizacji rolnictwa. Choć tym wyczynem był raczej rozczarowany. Chłopi słuchali w nieprzeniknionym milczeniu, czasem rozdzierające ziewnięcie. I długa cisza, kiedy skończył. Aż wreszcie z głębi izby zasnuł dymem papierosowym i wypełnionej nieformalnymi postaciami w kwaśno cuchnących kozuchach, ktoś powiedział:

— Ale ma gadane... jak nakręcony...

— Głupcze! — wybuchnął później ojciec. — Czy zdajesz sobie sprawę z tego co byś jadł?

Dalszy wywód ojca przyjął Onio wzgardliwym uśmiechem.

— Nie idziesz z duchem czasu — wycedził — ... odstajesz... a nawet... — nie dokończył znacząco. I często z pozycji mentora karmił rodziców swą wiedzą ideologiczną z broszur i referatów. Wkrótce zauważył, że na jego widok urywają rozmowy. Cieszył się tą obcością. Był pewien swoich racji. Sądził również, że czas udowodni rodzicom ślepotę.

— Ofiary... — parował kontry ojca — jasne. Każda rewolucja wymaga ofiar.

W ogóle lubił przekonywać i nawracać. Miał taką potrzebę. Ochoczo więc podejmował się w zarządzie miejskim wygłaszania pogadarek na wszelakie tematy. Jak inni rówieśnicy, też niekiedy korzystał z szyldu organizacji, żeby ratować własną skórę. Więc najchętniej przed lekcją łaciny (tego przedmiotu nie znosił najbardziej) podchodził do profesora zwanego Kaligulą i mówił z naciskiem: — Bardzo przepraszam, ale obowiązki społeczne zmuszają mnie do nieobecności, mam wyjazd w teren z brygadą propagandową.

Kaligula krzywił się jakby z niesmakiem, ale z lekcji zwalniał.

Ponadto brał udział w znęcaniu się nad polonistą, człowiekiem skompromitowanym swoją przedwojenną działalnością.

— Piłsudczyk — mówiono o nim — legionowy oficer, wiersze o 20 roku kropił...

Polonista, stary człowiek w wysokich butach ze sztylpami, przemykał się niepewnie wśród uczniów, przypatrujących mu się z pobłażliwą złośliwością. I wspomniano opowieści dawnych absolwentów szkoły, zetwumowców, którzy uzyskiwali najlepsze oceny z polskiego metodą, jak mówili, łagodnej perswazji.

— Wystarczy — powtarzali rady tamtych — odpowiednią minę uczynić, delikatną aluzją to podeprzeć i od razu wali piątkę z polaka!

Chichotali więc na jego widok jak drapieżniki bawiące się ofiarą i tak już skazaną na wiadomy koniec. W ciemnej piwnicy urzędu, gdzie co jakiś czas przez judasza w drzwiach zaglądał klucznik zwany Francuzem, ten niedawny okres ślepej wiary i beztraski skończył się nieodwołalnie.

Zapamiętał doskonale się pytań, którymi go osaczano.

— Kto był z tobą?

— Jak dawno już działacie?

— Kto kieruje?

— Miejsce spotkań?

— Skrzynki kontaktowe?

— Co jeszcze zrobiliście?

— Co mieliście w planie zrobić?

— Jak przerzucane są dolary z centrali?

Wtedy to rozwiązał się mit jednego z uczniów maturalnej klasy,

który przerwawszy na własne życzenie naukę, zaczął pracę w urzędzie. Marian G. Myślał o nim często i zawsze z podziwem. Utożsamiał z podręcznikowymi życiorysami bohaterów.

Te szczeniackie zapatrzenia sięgały jeszcze czasów, kiedy to w miasteczku tutejsi młodzi desperaci obrabiali w biegu kolejowe transporty niemieckie, a później sowieckie „szałony”, jak tutaj mówiono, jadące z wojennym łupem na wschód. Nieraz słysząc było strzały i zaraz potem jeden z tych opromienionych legendą śmiałków leżał martwy w trawie obok toru. Onio i inni chłopcy patrzyli na ciało przykryte papierem z rdzawymi plamami krwi i odpędzało ich dopiero — Rauss, weg! — banszucą, lub śpiewne — Nielzia! — sowieckiego żołnierza w burym szynelu i uszance.

Właściwie sięgało to jeszcze dalej, aż do starc tutejszych chłopców z tymi co byli w Hitlerjugend, kiedy pewna część mieszkających tutaj od wielu pokoleń Millerów, Wagnerów, Szulców i innych, podpisała niemiecką listę narodowości, a ich dzieci, ubrane w czarne welwetowe spodenki z pięknymi sztylecikami u pasa, maszerowały na pikniki i zbiórki, śpiewając wojskowe piosenki niemieckie. Największymi więc bohaterami dla Onia byli wtedy ci chłopcy z dzielnicy Piachy, którzy zaczęli się w krzakach przy żyrowej drodze i strzelali z proc do tamtych. Taki Bigos, Pyton, Repeta czy Kura. Zapamiętał ich na całe życie. Więc Marian G. jak tamci, bohaterowie jego dzieciństwa. W pierwszej linii. Najbardziej narażony. Wyobrażał sobie niebezpieczeństwa, którym musi stawiać on czoło, i wszystko mu wybaczał. Tak samo jak temu ospowatemu człowiekowi w skrzypiących oficerkach. Wydarzyło to się w letnie popołudnie. Wypadł ospowaty z restauracji „Idylla”, w dłoni trzymał rewolwer i wołał: — Wróć! Wróć!

Mężczyzna idący z kobietą zatrzymał się jak wryty. Zawrócili. Ospowaty pociągnął kobietę do „Idylli”.

— Możecie odmaszerować — polecił już łaskawie osamotnionemu mężczyźnie.

— On jest z urzędu — szeptali ludzie i przechodzili szybko, patrząc tylko przed siebie.

Onia zafascynowała siła emanująca z ospowatego. Upalny dzień. Tyłu ludzi. On zupełnie sam. I bez cienia strachu. Mówił o tym z żarliwym uniesieniem. Powtarzał te wszystkie opowieści Mariana G. o bezlitosnej i jakże niebezpiecznej walce z reakcyjnym podziemiem.

— Boże! — szept matki. — Co z niego wyrośnie?

— Cóż na to poradzić? — w odpowiedzi ojciec. — Nie ma innych wzorów. W takim wieku przecież pragnie się wzorów. Psiakrew... — wzdychał ciężko ojciec.

Onio szczydził z tej bezradnej troski ojca. Bawił się tym, i jeszcze większą bezradność powodował. Choćby to jego ostentacyjne strojenie się na zebrania organizacji. Pogwizdywał przy lustrze, zakładając białą koszulę, czerwony krawat, a na koniec przypinał do piersi znaczek z sierpem i młotem; podarunek od Mariana G.

Tutaj w urzędzie, podczas bezsennych nocy, kiedy płakał lub przeklinał na przemian, Marian G. przestał być dla niego ideałem bohatera. Wyobrażał sobie tego Mariana G. w coraz bardziej haniebnych i upokarzających działaniach. Bywał już tylko w tych jego majaczeniach ślepym oprawcą i katem. Ostatecznie pozbył się swego chłopięcego ideału.

— Klucznik marny — nazywał go podczas tych ciągnących się w nieskończoność nocnych godzin. Przypominał sobie również okrutną niefrasobliwość wszystkich potępień, w których brał udział. Wypełniona młodzieżą sala gimnazjalna, biel koszul przytępiona czerwienią krawatów i ten grzmiący, jednolity chór: — Potępiamy! Potępiamy!

Potępiali często, poczynając od podżegaczy wojennych z Ameryki czy pokazywanego chętnie w karykaturach z toporem sphywającym krwią, dyktatora Hiszpanii. Z tym jeszcze mógł się pogodzić. To były abstrakcje. Ale najlepiej zapamiętał usunięcie z organizacji kolegów, którzy zmienili przez pomyłkę (tak uznał dopiero teraz) litery w hasle wielkiego transparentu, co na początku spowodowało jedynie spontaniczny śmiech widzów... Ich twarze. Ich ręce. Ich samotność. I widział znów historyczkę, panią Wagnerową. I słyszał to brutalne żądanie Mariana G., skierowane do niej: — Żądamy więcej marksizmu! — Mała, drobna pani Wagnerowa, jak ptak wtedy za pulpitem katedry. Przytłoczona żądaniem Mariana G., popartego zgodnym tupotem wszystkich zebranych w klasie. Wstydił się teraz i męczył, tak przemierzając te skąpe kilka lat swego zapamiętanego życia. A z ciemności trzymiesięcznego pobytu w śledztwie jedynym ludzkim wspomnieniem pozostał dla Onia klucznik zwany Francuzem. Ponury, bryłowatej postury mężczyzna. Reemigrant z francuskiego zagłębia węglowego Pas-de-Calais. Oddany swojej służbie bez żadnych wątpliwości. Nienawidził ludzi zamkniętych w piwnicznych celach. Patrzył na nich jak na robactwo i prał pękiem kluczy przy każdej okazji. Jedyną wątpliwość w jego poglądach posiadał właśnie Onio. Ten wąty, bardzo dziecinny z wyglądu, uczeń gimnazjalny zastanowił go jakoś. Zrazu przypatrywał mu się ukradkiem, a kluczami jedynie jego nie trącał po grzbiecie.

— Coś ty narobił takiego? — wyrwało się raz Francuzowi.

Ale nie czekał na odpowiedź. Zatrzasnął drzwi celi. Znów milczał jak zakłęty. Aż wrócił Onio z kolejnego przesłuchania. I słabość przemożna ogarnęła go wtedy. Pragnienie wolności,

domu, rodziców... To wszystko obiecywali ci tam na górze, jeżeli podpisze. Nie podpisał. Więc płakał bezsilnie. Klucznik zwany Francuzem otworzył cicho drzwi, stanął w progu i patrzył. Chrząknął raz, drugi. Rzucił papierosa.

— Zapal — burknął. — Pomaga.

Płacz Onia przykuwał go dalej. Znowu chrząknął.

— Młody taki — powiedział jakby do siebie, a głos miał nadspodziewanie ciepły — *garçon*.

Wątpliwości zakiełkowały w nim znaczne, bo odtąd wyraźnie oszczędzał młodego aresztanta, łamiąc surowe przepisy regulaminu. W zwyczaju też miał uchylać drzwi celi i przypatrywać się chłopcu w milczeniu. Wzdychał i na odchodne rzucał papierosa.

Był to jedyny zapamiętany wizerunek człowieka z tamtej strony. Bardzo pragnął Onio zobaczyć jeszcze tego klucznika, przeżywanego Francuzem. Ale nie zobaczył go już więcej.

A w dalszym tle niczym męczące widziadła przesuwali się ludzie z piwnicznych cel.

Człowieczek ze złotymi zębami, który dygotał w nieustannej febrze strachu.

— Jestem szpiegiem! — wołał. — Dlaczego?

To znów surowy mężczyzna o łysej jak wypolerowana czaszce.

— Podpisałem wszystko — powiadał z uprzejmym uśmiechem. — Jeszcze podpiszę. Co będą chcieli, proszę bardzo.

Onia darzył podziwem za jego upór.

— Młodość — wzdychał. — Ja sam kiedyś...

Starzec o wyglądzie patriarchy.

— Ja — mówił czasem patriarcha po powrocie z góry — tylko sobie liczę, raz, dwa... Dojdę do trzydziestu... Wtedy strach, ból przychodzi... To zaczynam wyc. Lepiej, mówię wam...

I ten chłop z sumiastym wąsem. Rozstawiał on czasem koślawe palce z czarnymi paznokciami.

— Giwer, może być, banda, może być, palnąłem go, może być, judziłem, też może być... Ale Józka wam nie dam, za Boga, nie!! — wołał zaciekle.

Wszyscy oni wstawali niczym manekiny, słysząc zgrzyt klucza w zamku, i na znak strażnika znikali w korytarzu. Wracali milczący i układali się na pryczach twarzami do ścian. Czasem krzyknęli przez sen.

I kiedy wreszcie opuszczał Onio posępny budynek z kratami w oknach, jak drwina zabrzmiały dla niego ostatnie słowa oficera na piętrze: — Ze względu na wasz młody wiek dalszych konsekwencji wyciągać nie będziemy i sądzimy, że zdołacie zmasać tę brudną plamę na swoim życiorysie...

Ostatni zgrzyt klucza, twarz wartownika, brama. Znalazł się na wolności. Oddychać zaczął łapczywie. Cieszył się. Choć równo-

cześniej miał wrażenie, które sekundy tylko trwało, ale było niezwykle przejmujące i wyraziste: Świat cały wydał mu się szary i beznadziejny. Tak jakby ta piwnica, z której wyszedł przed chwilą, rozciągała się wszędzie. A dzień przecież był wtedy słoneczny, ładny. Świeża zieleń, niebo. To krótkie, przygnębiające wrażenie zagasło. Znowu cieszył się tylko. Ulica. Chłopcy grają w piłkę. I buda fryzjera Zygmunta po drodze. „Wódka i Przybyszewski”. Bogowie fryzjera Zygmunta. Tak zawsze mówił. I bardzo lubił ich szczeniackie zasłuchanie.

— Ideały — powiadał — to dobre dla was, ale nie dla mnie, starego wróbla...

— Gniotło cię życie, frajerze — oburzał się pijany Olczak — wyzysk, krwiopijce... I teraz jest szansa, odkuć się, kapujesz?

Fryzjer Zygmunt uśmiechał się uprzejmie, a potem zasypiał. Ta buda mignęła kiedyś jak pociągający swą odmiennością świat. Zamknięty na burzliwe wydarzenia wokół. Słoneczniki melancholijnie zwieszały swoje tarcze. Zawsze tam słoneczniki.

Dom, w którym mieszkał. Dozorca zamiata podwórze. Trzepak na tym samym miejscu. Gołębnik syna dozorca też. Wszystko tak samo. A jednak... Dozorca zastygł z dłonią wspartą na miotle. Odprowadza go uważnym spojrzeniem. Ciężar tego wzroku. Stukot własnych butów po bruku podwórza.

Rodzice nie pytali o nic i Onio też nie chciał o tym niedawnym mówić. Milczące porozumienie, które zapanowało z ojcem było najlepszym tego dowodem. Ojciec wyciągnął papierosy. Poczęstował syna. Po raz pierwszy to uczynił. I tak zaciągali się chciwie dymem. Ojciec i syn.

— W takich miejscach odosobnienia — zauważył ojciec — niełatwo o palenie.

Ojciec. Matka. Oczywiście osoby w jego życiu. Nigdy się nad tym nie zastanawiał. Teraz tak. Niepokój matki. Długie, burzliwe rozmowy. Ojciec zrywa się gwałtownie z fotela. Szybko przemierza pokój. Skrzyypi podłoga.

— Przestań! — głos matki. — Masz dziecko, pomyśl o tym!

I któregoś z pierwszych dni po powrocie zapytał o to właśnie.

Ojciec uśmiechnął się smutno.

— Po prostu — rzekł — inaczej sobie to wszystko po wojnie wyobrażałem. Też pewien anachronizm, przywykłem mówić co myślę — znów smutny uśmiech — więc siłą rzecz miewałem kłopoty. Stąd niepokoje mamy.

Był lakoniczny. Nic więcej nie powiedział.

Tak mijały pierwsze dni rekonwalescencji. Spacerował po parku. Czytał ulubione książki. Kolegów raczej unikał. Na razie chciał być sam. I tak jak zwykle, od tygodnia już, szedł tą

parkową alejką. Minął pomnik Mickiewicza. Doszedł do skweru. Rozglądał się, szukając ustronnej ławki. Naraz drgnął. Znajoma twarz! Ruszył szybkim krokiem. Dopędzał tamtego. Patrzył z napięciem. Nie mylił się na pewno. Tę twarz zapamiętał w każdym szczególe. A przecież raz tylko widział go w życiu. Wtedy właśnie! Ile razy myślał o nim. Niekiedy ze złością, nienawiścią nawet. Lżył go i szcurem nazywał. Małym, oślizłym szcurem, przemykającym się cuchnącymi kanałami przez życie. Pisk jego szczurzy słyszał. Kopniaki i razy, które przyjmuje z pokorą. Nieustannie pogrążony w czujnym przemysłaniu. Choć w momentach rozsądku nie czuł do niego żalu. Sam przecież wybrał tę sytuację. Jednak kiedy zobaczył go znów, wszystko zawirowało raptownie. Tamten chciał zawrócić. Zakreślił się w miejscu. Rozejrzał się jak osaczony. Nie miał odwrotu. Więc chciał go minąć. Udał, że nie poznaje po prostu. Oblekł twarz w minę człowieka zafrasowanego czymś odległym i ruszył energicznym krokiem. Onio zastąpił mu drogę. Tamten zasłonił się odruchowo. I tak stali naprzeciw siebie. Twarz w twarz. Rozbiegane oczy tamtego. Jego palce, niezwykle ruchliwe, chwyciły klapy marynarki, to znów puszczały.

Oto nastąpiło spotkanie z rzeczywistym sprawcą incydentu w kinie.

Onio już był spokojny. Gorąca fala odpłynęła.

— Cześć! Co, nie poznajesz? — zapytał uprzejmie.

— Nic o mnie nie powiedziałeś! — zdumienie, strach w głosie tamtego.

Onio pokręcił przecząco głową.

— Dlaczego przyznałeś się do tego ogryzka? — jeszcze większe zdumienie.

— Wyłącznie z pobudek osobistych — odparł Onio. — Czegoś miałem dość. Sam nie wiem czego. Impulsywna reakcja. A jeszcze jak pomyślałem, za chwilę walnie mnie w pysk!

Tamten nic nie rozumiał. Miał w sobie przebiegłą uległość niewolnika.

— Co z tego — powiedział. — Dostałbyś po pysku, fakt, ale na tym koniec, nic więcej, wychodzisz sobie z kina, śmiejesz się, klawo jest, już po wszystkim...

— Ba! — roześmiał się Onio — żeby tak naprawdę mogło być!

Dalej to już przyjazna pogwarka. Rozładowanie. Rozstali się jednak bez podania rąk.

— Do końca konspiracyjna sprawa — powiedział na odchodne Onio.

Tamten przytaknął skwapliwie. Uległy był i wdzięczny.

Już nigdy więcej nie myślał Onio o tym chłopcu z balkonu w kinie „Tęcza”. Jego twarz rozmasała się zupełnie. Zresztą wkrótce zaczęła się żmudna wędrówka po inspektoratach i gabinetach dyrektorów związana z podjęciem nauki. Kłopoty z powrotem do szkoły były oczywiste. Stracony został rok. Charakterystyczne szeptki i spojrzenia nie opuszczały go przez długi czas. Różnie o nim mówiono w miasteczku. Dla jednych był imponującym śmiałkiem, inni patrzyli na niego wrogo. A w dzień 1 Maja jako jednostkę niepewną, wręcz szkodliwą, zatrzymano go przez dobę w komisariacie policji.

— Profilaktycznie... — zmieszał się dobroduszy sierżant — no co zrobić, takie są instrukcje.

Głupio mu było zapewne. Sąsiad przecież i tak jak ojciec, zamiłowany hodowca królików. Ponadto jemu to Onio udzielał bezinteresownych korepetycji, kiedy uczył się w wieczorowej podstawówce. Więc spędził tę noc w arezjanckiej celi wraz z grupą bikiniarzy, długowłosych chłopaków w wąskich jak kiszeczki spodniach, częstowany gorliwie papierosami przez sierżanta-sąsiada.

Zainteresowanie Oniem przysłało wkrótce. Miasteczko miało nową sensację. Ujęto wtedy przebiegłego i obdarzonego fantazją oszusta, który odwiedziwszy mieszkanie sekretarza Komitetu partyjnego podczas jego nieobecności, zdołał zdobyć zaufanie żony, przedstawiając się jako przyjaciel męża jeszcze z podziemnej pracy partyjnej podczas wojny. Tak więc pozyskawszy jej zaufanie, okradł mieszkanie sekretarza w sposób bezczelny. Schwytano go w trakcie beztronskiej libacji, kiedy przepijał pieniądze uzyskane z kradzieży. Człowiek ów miał w kłapie wizerunek Stalina na czerwonej podkładce i pikanterią był fakt, że nie pozwalał sobie w żaden sposób zerwać tej ozdoby. Skąpe informacje o jego dalszych losach mówiły, że zdołał zachować ten metalowy wizerunek nawet w areście. Płakał i pieścił swoją ozdobę, odnosząc się do niej jak do relikwii najświętszej. Nie wiedziano więc zupełnie, co czynić w tej delikatnej materii. Miasteczkowa plotka przypuszczała, że był to dawny działacz naprawdę lub wariat po prostu.

Natomiast Onio oparcie i azyl znalazł znów w świecie ulubionych książek. Dawały równowagę i pogłębiały niezależność myślenia. Książki. Przypomnił sobie zdarzenie z nimi związane. Znów tu wkracza Marian G. Pałacy wstyd z tego powodu.

Była to pamiętna jego wizyta w domu Onia. Długo oczekiwana i upragniona. Pierwsza wizyta. Marian G. przegląda książki w bibliotece ojca.

— Dużo — mówi.

Twarz ma surową, oczy uważne. Naraz krzywi się z obrzydzeniem. Wskazuje palcem jeden tytuł, drugi, trzeci...

— To należy wyrzucić. Zgniła, burżuazyjna bzdura. Czad tylko...

I spojrzął ostro na Onia. Onio przytaknął skwapliwie. Zaraz potem usunął większość książek, potępionych przez Mariana G. Po prostu zniszczył. Zostawił tylko (jakby nawet skrycie wobec samego siebie) kilka najbardziej ulubionych.

Wtedy również polecił mu Marian G. „Jak hartowała się stal”.

— Bezwarunkowo trzeba czytać. Wiele razy.

Teraz najbardziej zastanawiał pewien przypadek, dosyć istotny. Jednej książki Marian G. nie zauważył. Leżała luzem. Wydawnictwo Roju. Sergiusz Piasecki. Na okładce jaskrawy rysunek przedstawiający czerwonoarmistę w kolczastym hełmie, z krwiożerczą twarzą i dymiącym naganem. Szarżował na przerażone dziecko.

Powiedział o tym ojcu. Ojciec roześmiał się.

— Cóż... — rzekł. — Razem byśmy spędzali czas w piwnicy.

A po „Jak hartowała się stal” przyłapany został przez matkę, kiedy kłuł sobie szpilką do krwi mięśnie naprężonej ręki.

— Żałosny błaznie! — wybuchnął wtedy ojciec. — Mógłbyś na przykład pomóc starej pani Paszkiewiczowej w kopaniu ogródka!

Nienawisć prawie do ojca. Ale coś z tej kpiny dotarło już wtedy do niego, bo zaprzestał tych praktyk z hartunkiem.

Tak wyglądała droga Onia. Uczęszczał już do nowej szkoły w peryferyjnej dzielnicy Warszawy. Z zaciekłością przygotowywał się do matury, zdawał sobie bowiem sprawę, że musi umieć znacznie więcej od innych. Nauką więc zagłuszał wiele, ale bywały przecież smutki, zwątpienia i niepokoje.

Z pomocą przyszły studia. Właśnie nauki ścisłe, które wybrał po maturze. Politechniczne studia. Wybrane chyba przede wszystkim z niechęci do ideologii, która przeniknęła humanistyczne dziedziny, ugniatając je brutalnie jak ciasto. W równaniach i wzorach, w świecie liczb, cyfr i symboli, układanych w logiczny, konsekwentny porządek dopatrzył się Onio najlepszego dla siebie oparcia. Nie był to wybór zupełnie świadomy. Raczej instynktowna ucieczka od niejasności i zamętu. Onio zakotwiczył się na wydziale budowy maszyn. Dzień wywieszenia list w dziekanacie był dniem jego triumfu. Do końca przecież niewiadoma była jego sytuacja. Zapamiętał tych z komisji, którzy grzebali zapamiętane w teczce z papierami i co raz podnosili głowy, przypatrując mu się pilnie.

Wciągnął się szybko w nowe zainteresowania i polubił nawet mozolne przedzieranie się przez podręczniki i skrypty, najeżone formułami, wykresami i wzorami. Ale od powrotu z piwnic urzę-

du pozostał w nim już na stałe strach. Ten strach ożywił się zniechęca.

Pokazano mu po uroczystym wykładzie inauguracyjnym w auli tego starszego nieco od innych studentów faceta w brązowym garniturze, zielonej mundurowej koszuli i takim samym krawacie.

— On jest z urzędu — konspiracyjny szept — opiekuj się naszym rokiem.

Uśmiechnięta twarz tamtego i oczy zimne, bez uśmiechu. Tak przynajmniej zobaczył je Onio. Jakby zatrzymały się dłużej na nim. Wie wszystko? Węszy? Co może z tego wyniknąć? Ogarnął go niepokój człowieka doświadczonego.

Drugi raz to samo. Ten z bezpieki zagadał o jakimś kolokwium. Zdawkowa rozmowa. Ale nie dla Onia. Dlaczego z nim rozmawia?

— Cześć — rzekł na koniec niby beztrąsko, a odchodząc miał przekonanie, że oczy tamtego świdrują go uporczywie. I w toalecie raz się przestraszył. W przerwie między wykładami wszedł do kabiny. Zobaczył napis sztywnym, fekalicznym stylem z Wielkiego Sojusznika. Kałem wysmarowany ten napis. Równocześnie posłyszał kroki na korytarzu. Ktoś idzie do toalety! Przeniósł się do następnej kabiny i zamknął drzwi na haczyk. Tu nie było żadnego napisu. Kroki oddaliły się. Dopiero po długiej chwili wymknął się z tej klozetowej pułapki. „Przy moim obciążeniu — pomyślał mimowolnie — taki napis to koniec”.

Parszywy ten strach. Poniżał go. Rozumiał to doskonale. Ale przecież nie tylko sama histeria była przyczyną tych obaw. Intuicja, drobne fakty, gesty, spojrzenia, przemawiały dosyć wymownie za tym, że w jakiś sposób jest na cenzurowanym.

Starościna jego grupy, Ela, rzetelna i uczciwa dziewczyna, dyskretnie poradziła mu, żeby wystrzegał się nieobecności na zajęciach.

— Musisz szczególnie uważać — powiedziała z naciskiem.

— Dlaczego właśnie ja? — zdziwił się w pierwszej chwili Onio.

— No wiesz... — Ela też się zdziwiła.

Podobała mu się. Jasna, pogodna. On jej też. Ta przyjacielska rada starościny Elżbiety stała się właśnie początkiem znacznie bliższego związku między nimi. Więc miał różne sygnały. Jeszcze ze szkoły. Sprawa Mysikrólika to przecież też fakt.

Bronią przeciw poczuciu zaszczucia i obcości stała się ironia i żart. Nauczył się żonglować jak wirtuoz. Toteż pełen niechęci wzrok kolegi Wojtczaka, aktywisty młodzieżowego z kursu wstępnego zamiast matury, bawił go nawet. Z błazeńską ostentacją rozkładał na swoim pulpicie nie tylko podręczniki i skrypty, ale wiersze Leśmiana, prozę Poego czy Choromańskiego.

— Lektura nieobowiązkowa — tłumaczył zbaraniałemu Wojtczakowi — ale niewątpliwie poszerza horyzonty intelektualne.

Ta ironia nie dawała podstaw do jednoznacznej oceny, ale zastanawiała jednak.

— Słuchaj K....ski — zapytała koleżanka Domagalik, gruba dziewczyna o wyglądzie dojarki. — Czy to prawda? Podobno ty jesteś obcy element... znaczy klasowo... — Speszyla się zaraz tym pytaniem. — Tak mówią — dodała niepewnie.

— Bo ja wiem — odparł Onio — mój stary całe życie dosyć ciężko pracował. — Właściwie nie potwierdził, ani zaprzeczył. Jeszcze uśmiechnął się. Speszyl koleżankę Domagalik do reszty.

Czasem ryzykował. Ryzyko dawało większą satysfakcję. Choćby egzamin z marksizmu-leninizmu czyli diamatu jak mówiono. Na niektóre pytania odpowiadał świetnie, to znów wykazywał absolutną niewiedzę w przedmiocie. Egzaminator jak na huśtawce. Raz z uznaniem. Raz pełen osłupienia dla ignorancji odpowiadającego. Na koniec historia W.K.P.(b). Również doskonałe odpowiedzi.

— Proszę jeszcze powiedzieć pełną nazwę tego skrótu — egzaminator sięga po indeks, chce wpisać ocenę.

Onio odpowiedział pomijając — b — w nawiasie.

— A to w nawiasie? — pyta egzaminator.

Długa chwila namysłu.

— W nawiasie — odpowiedział podniośle Onio — jest sześć.

I znów cisza. Egzaminator miał jednak poczucie humoru. Przygryzł wargi, żeby skryć śmiech, i przedmiot uznał jako zaliczony. Tylko z zastanowieniem przyjrzał się temu układnemu o nieprzeniknionej twarzy studentowi.

— Pan wybaczy — powiedział Onio, kłaniając się głęboko — techniczne studia — skłonność do cyfr, liczb.

Żart z magiczną cyfrą — 6 — nie przedostał się wyżej. Potwierdziło się przypuszczenie. Egzaminator miał poczucie humoru.

Działał Onio skokami. Równocześnie dla umocnienia swej podejrzonej reputacji chętnie brał udział w ochotniczych akcjach społecznych. Na przykład wyjazd na wykopki kartoflane. To było nawet wesołe. P.G.R. gdzieś na Mazurach i oni leniwie człapią w błocie za koparką.

Był tam kierownik, który budził ich o świcie, niechętnych przecież do wstawania, gromkim zawołaniem: — W imieniu klasy robotniczo-chłopskiej, pobudka ,job waszu mać!

A oni umieszczali nad drzwiami kubeł z wodą, która wylewała się na głowę kierownika.

W sąsiednim P.G.R.-e mieli pod ręką dziewczyny, też ochotniczki, z fabryki marmolady. Umawiali się z nimi na spotkania

w stodole, przekupując wódką nocnego stróża. Albo zaprzęgali wóz w dwa perszerony i gnali po okolicznych polach, szeleszczących nacią kartoflaną. Od fabrycznych dziewczyn wiele dowiedział się Onio o niełatwym życiu tych, w imieniu których rządono. A któregoś dnia pojawił się stary Mazur, pragnący bardzo wyjechać stąd. Johann Kępcock. Pykał fajeczkę z metalowym cybuchem i gderał: — Co za robota, co za porządki... I ludzi nie szanują — dodawał ciszej.

— Gdzie pan zamierza wyjechać, do Niemiec? — zapytał Onio.

Stary przyjrzał mu się przenikliwie. Wypłowiawe, niebieskie oczy. Pyknął z fajeczki i rzekł burkliwie: — Gadanie, *mein lieber*, teraz nie popłaca.

Tylko w pożegnalny wieczór rozgadał się i opowiedział, jak tutejsi komuniści wyszli z czerwonymi chorągwiemi witać wkraczające oddziały sowieckie.

— Tra-ta-ta — zakończył beznamiętnie — wysiekli całość. — Położył suchą, twardą dłoń na kolanie Onia i zaśmiał się śmiechem dziwnym jak kaszel.

Wracali z tych pegeerowskich wykopków z wesołym śpiewem jak z wakacji. Nie przeszkadzały sztandary i hasła, cała ta drętwa, grzmiąca obudowa wokół nich; roześmiane twarze, zaczepliwi dziewczyny, wspominali niedawne przygody. Wiało wtedy przez chwilę harcerskim biwakiem i beztróską, z dala od poważnych obowiązków, czujności i smutnych wyrzeczeń. Można powiedzieć, że nadal panowała dobra aura pewnych zdarzeń. Tak to zachował w pamięci. I ciągle tliła się ufność wobec ludzi. Mimo to, że tyle już razy doświadczana dość drastycznie. Kolega, który pożyczka bez ociągania pieniądze. Ktoś zaprasza na wódkę. Ci ze wsi dzielą się swoją smakowitą wałówką. Miłe, ufne dziewczyny. Podwieczorek taneczny w akademiku. Stary profesor ma rozpięty rozporek. Śmieją się wszyscy. I ci z zarządu wydziałowego. I ci z komórki partyjnej też. Nawet ten, o którym mówiono, że jest konfidentem. Solidarnie podrzucają sobie ściągawki na egzaminie. Przegrane z karty stypendium. Przerażony, uległy wzrok sekretarza organizacji partyjnej roku wlepiony w surowego docenta. Jego dziecinne: — Zdałem, hurra!! — kiedy wychodzi i ścisła dłoń koleżki.

— Zapraszam do Fukiera! — woła — wszystkich! — Ciągnie też serdecznie Onia.

Chwilami więc mimo różnic i sztywnych kostiumów, stawali się naturalni, życzliwi wobec siebie i ufni. Ta przedziwna przyjaźń Onia z działaczem studenckim tamtych czasów. Płomienny mówca, obdarzony czystym, porywającym głosem. Jego Wiara

namiętna w obowiązujący katechizm. Fanatyzm bez cienia wątpliwości.

„Savonarola” — myślał o nim Onio.

I było coś elektryzującego, niesamowitego, kiedy tamten wygłaszał swoje improwizacje. Cały ten zestaw nieustannie powtarzanych sloganów, gróźb, zaklęć i pochwał ożywił się jakoś w jego wykonaniu. Dzieliło ich więc prawie wszystko, a jednak trudna do uchwycenia zażyłość zaistniała między nimi. Tamten był przecież inteligentny, myślący i na pewno uczciwy. Wyróżniał się w tym tłumie tępowych, bezmyślnych i zastraszonych studentów. Chwilami Onio miał takie wrażenie jakby siebie niedawnego jeszcze z Działaczem porównywał. Zafascynowany odkrywaniem swego wizerunku z niedawnej przeszłości. A też rozważając swój potencjalny rozwój w teraźniejszości gdyby... Właśnie. To gdyby... Bo wtedy zupełnie już wyblakli i do zwyczajnych wymiarów przywróceniu zostali dawni idole jego dzieciństwa. Ci zetwumowcy, ormowcy, kulawy Olczak, chłopaki z Piachów; ci pionierzy w wieloletniej już sztafecie. Woła ochryple kulawy Olczak słowami pieśni: — „My pokażemy jak szcześnie budować w krąg...”. — Dawaj go, kułacką maciorę! — szarpie przerażonego wieśniaka. — No gdzie masz zboże, gdzie!! — To dla niego właśnie porzucił Onio harcerski zastęp Bobrów, gdzie był kronikarzem i przeszedł do pionierów, młodszych braci Z.W.M.-u, jak mówiło się wtedy. Dla Olczaka porzucił Z.H.P., wszystkie te sprawności i węzły, życiorysy Małkowskiego i Strumiłły, egzaminy na stopnie, młodzik, wywiadowca, harcerz orli i tak dalej. Porzucił wtedy bez wahania... Groteskowe to teraz. Cmy trzepoczące wokół lampy. Ale równocześnie ile lat ślepego, zmarnowanego życia?... Nikomu o tym nie mógł powiedzieć. Jedynie do Działacza ciągnęło go nieprzerwanie i czujna ostrożność zawodziła chwilami.

Tamten też lgnął w jakiś sposób do niego. Może odmiennosc go pociągała. Rozmawiali często. Posługiwał się Onio niezbyt subtelnymi aluzjami.

— Taka anegdota mi się przypominała — zaczynał patrząc w sufit — ...szkoła hitlerowska, wojsko czy policja, nie wiem dokładnie. Podobno prawda. Każdy elew chował psa od szczeniaka, czułość, przywiązanie, Niemcy lubią zwierzęta. A następnie rozkaz komendanta: należy własnoręcznie zatłuc... Sprawdzian hartu i twardości po prostu.

Działacz spoglądał podejrzliwie. Onio nic, poziewywał obojętnie.

— Dwóch jest takich — bombardował dalej — przyjaciele, no powiedzmy, dobrzy koledzy. Jeden myśli inaczej, nie tak jak należy i wcale się z tym nie ukrywa. Co zrobić z takim?

Jak powinien zachować się strażnik obowiązującego porządku? Ciężki problem... — monologował, zachowując kamienny wyraz twarzy, czystą teorią tego przypadku pochłonięty. — Czujność. Wróg nie śpi przecież. Problem ponadto: świadomy tego czy nie? Wychowawczo na niego podzielać czy represyjnie? Co zrobić z takim?

Działacz kręcił się niespokojnie. Wzburzenie ujawnił nieudolną próbą zmiany tematu.

Razem też spotykali się ze swoimi dziewczynami. Wybierali się na potańcówki czy podmiejską ciuchcią gdzieś do lasu. Śmieli się, pili wino, opowiadali kawały. Ta sama łączywa chęć kobiecego ciała i maskowana cynizmem nieśmiałość. Obcość zanikała wtedy zupełnie. Zwierzenia do późna w noc. Mieli podobne marzenia i nadzieje wieku młodzieńczego. Działacz, tak samo jak Onio, pragnął zostać wybitnym specjalistą w obranej dziedzinie studiów. Fascynowały ich biografie Einsteina, Heisenberga, Nielsa Bohra.

— Czy można jeszcze w dzisiejszych czasach zespołowych badań zabłysnąć samodzielnie? — pytał w dzieciennym uniesieniu Działacz.

W takich późnonocnych godzinach rozluźniała się jego dyscyplina i gromka jednoznaczność. A światopogląd, który nazywał marksistowskim, również wielokrotnie nie przystawał do rozmaitych wątpliwości i refleksji. Tak że podczas takich godzin, wydawać się mogło, zupełnej szczerości, przygwoździł Onio tamtego czymś, co przestało być jedynie aluzją mogącą budzić sprzeciw natury ogólnej. Dotyczyło to już osobistych spraw Działacza.

Ale też zaczął przypowieściowo: — Wiesz, to dopiero dylemat, rodzice starego typu, niechętni nowemu, wręcz reakcja, szydzą i złorzeczą. Ten młody, czysty, gorący, nie może tego znieść. Wyczerpał wszystkie sposoby. Próbował przekonać, groził. Nic nie odniosło skutku. Co ma zrobić? Donosi na nich, nie, źle powiedziałem, informuje kogo należy. W imię idei odcina się od nich ostatecznie i oczyszcza, prawda?...

Nie zdołał jednak dokończyć. Działacz zerwał się gwałtownie. Chwilę jakby zmagał się ze sobą.

— Dla wroga — wycodził wreszcie z lodowatym chłodem — trzeba nie mieć litości.

— Czy tu jest miejsce dla Einsteina, ha, ha!! — zawołał Onio.

Tamten wyszedł bez pożegnania. Zaraz ojciec zajrzał do pokoju. Słyszał zapewne tę ostatnią przypowieść i reakcję tamtego.

— Obraził się? — zapytał.

Onio pokiwał głową.

— Chwała Bogu... — powiedział po długiej chwili ojciec — że ty chociaż nie dałeś się zaczadzić... Bo ta wiara ślepa młodych

może niebawem zamienić się w równie straszną niewiarę i cyniczną małoduszność... Według moich domorosłych prognoz — rozważał ojciec — muszą nastąpić pewne wstrząsy... Choćby po to, żeby ciśnienie trochę się obniżyło. Dla częściowego przewietrzenia. — Popatrzył z nagłym niepokojem na syna. — Powinieneś jednak uważać na siebie — powiedział nieoczekiwanie.

Zawstydził się tą niewolniczą radą. Ze zdwojoną gorliwością zajął się przecieraniem okularów.

— Wiesz... — powiedział — głupia ta nasza historia. Poligon ćwiczebny dla rozmaitych szaleńców i bęcwałów. Ani spokoju, ani ciągłości... Wszystko poprzerywane... Ciągłe przemoc, zła geografia, uwikłania. I tyle krwi za tym płynię. Aż dziwne, że żyć tu można. Twarda skóra, skamieniałe serce, pańszczyźniana zgoda, oto jedyne doświadczenie, warunki przetrwania, psiakrew... Z wojny takie zdarzenie mi się przypomniało: było rozporządzenie okupanta, wszyscy mężczyźni posiadający wyższe wykształcenie mają się zgłosić tu i tu. Ogłaszali z megafonu, gestapo chodziło po domach. Ja też początkowo chciałem iść na zbiórkę... Ale tak jakoś, schowałem się za altanką w łopianach. Przyszli, pytają. Mama mówi: chory, w szpitalu. Nie szukali nawet, poszli sobie. A tamtych wywieźli do Oświęcimia. Bezsens, ciągle po krzakach, psich budach... Ukryć się, przeczekać!!

Onio długo jeszcze stał w oknie i patrzył w ciemność. Noc. Nic nie widać. Tylko światełka tu i ówdzie. Ale jakby to dzień, wszystkie elementy pejzażu przed oknem odtwarzał precyzyjnie. Spadzisty dach budynku jego dawnej szkoły. Wieża kościoła. Akacje nad stawem. Buda fryzjera Zygmunta. Niezmienny od lat widok. Zastanawiał się nad prognozą ojca. Nic za tym nie świadczyło. Wszystko było tak stałe i niezmienne jak ten widok.

— ... Heisenberg, Einstein... — powtarzał. — Co my wiemy o świecie? Świat o nas? Co znaczy prawda? Czy wolno dochodzić do niej samodzielnie? A co znaczy spokój? Za jaką cenę? W ciemności pokazały się błyszczące, złe oczy Działacza. Ale wstyd w nich równocześnie... Potem kolej na codzienny realizm przyszła. Co wyniknie z tej przypowieści? Wyrzucą z uczelni czy tylko zawieszają?

I znowu wyobrażenie niezmiennego widoku przed oknem. Niezmienny porządek wszystkiego. I po raz pierwszy miał poczucie czasu, który jałowo marnieje z latami. Czekał więc na reakcję Działacza. Ze studiów jednak nie wyrzucili. Nic się w ogóle w jego sytuacji nie zmieniło. Jedynie Działacz unikał go wyraźnie. Zarty Onia stawały się w tym czasie coraz bardziej nieoponowane. Nie mógł się powstrzymać. Coś korciło nieustannie, niezależnie od rozsądku. Ta rozkosz dziwna balansowania na krawędzi. Działacza też prowokował.

— Heisenberg, Einstein... — mówił niby do siebie — ciekawe co oni by tu robili... — wymowna pauza. — Co by z nimi zrobiono?!!

Większość kolegów z roku nie rozumiała tych pytań. Ale kiedyś wreszcie... Ten konfident Mrozek wyraźnie zagląda już za nim. Śmiał mu się prosto w tępą, tropicielską gębę.

— Pisz! — wołał. — Notuj, bo zapomnisz!

Elżbieta trącała go ostrzegawczo. Patrzył na nią ze złością.

— Właściwie — mówił — nie rozumiem twojego poświęcenia. Z takim typem jak ja...

Ale Elżbieta była łagodna i spokojnie znosiła jego wybuchy.

Wielokrotnie wracając z zajęć na uczelni, patrzył z zaciekawieniem na gromadę chłopaków pod Fotoplastikonem. Dochodziły stamtąd dźwięki dżezu, a oni podrygiwali w takt muzyki. Pikieta. Chłopcy z pikiety. I teraz dopiero ten wyszydany i tępiony świat bikiniarzy wydał mu się sympatyczny i bliski. Kolorowe ptaki tamtych lat. Chłopcy spod zegara na śródmieściu. Chłopcy spod praskiej cerkwi. Długie włosy, przylizane brylantyną, z misternymi czubami nad czołem, wąskie spodnie i bajecznie malowane krawaty.

Podśpiewywali — „Leci figus Targową ulicą za nim dziwka z rozpiętą spódnicą...” — Albo „... Raz Maniana szła pijana...” — Czy — „Szła karawana, wielbłądów ciągnął długi sznur, jakaś moc niezbadana gnała ją sam nie wiem gdzie...”.

Czasem ostrzegawczy okrzyk: — Gliniarze!

Pierzchali wtedy w bramy i zaułki.

Onio próbował zbliżyć się do nich. Korzystał ze swojej erudycji, opowiadał o początkach dżezu, negro spirytuals i blusach. Byli nieufni.

— Czyś ty nie kapuś jaki? — pytali niby żartem, ale poważnie.

Aż wreszcie mógł sobie powiedzieć, że naprawdę pozyskał ich zaufanie. Czynem dosyć ryzykownym to osiągnął. Był wieczór. Szamotanina w bramie. Krzyki. Podbiegł. Dwaj z zetempowskiego aktywu przyciskali do muru bikiniarza. Jeden chwycił za nożyce i czub spiętrzony nad czołem ścinać już chce. Decyzja Onia była spontaniczna. Tego z nożycami uderzył głową. Nie na darmo trenował uliczne bójkę z chłopakami z lumpowskiej dzielnicy Piachy.

Osaczony łatwo już dał sobie radę z drugim aktywistą. Tamci uciekli jak zające.

— Równy z ciebie koleś — podziękował bikiniarz. — Jak chcesz przyjdź do nas na pikietę... Pod zegar...

Rozstali się w przyjaźni. Na chodniku porzucone przez aktywistę wielkie, toporne nożyce do strzyżenia owiec. Onio trącił

je nogą. Zgrzytnęło żelazo. Więc był to jego sukces. I tajemnica. Jak buda fryzjera Zygmunta.

W chwilach gwałtowniejszej rozterki zachodził Onio do gabinetu starego Profesora. Ciemnowo. Regały pełne książek ze złocnymi grzbietami. Masywne biurko jak forteca. Ta siwa, śmieszna bródka Profesora. Jego łagodny uśmiech. Spokój i ład. Znajomość ta zaczęła się od egzaminu. Polubił Profesor tego inteligentnego, z wiedzą rozleglejszą niż wymagano, studenta.

— Spec — mówili o Profesorze młodzieźowi działacze — ale niestety, wczorajszy.

Profesor patrzył na terażniejszość wyrozumiale i z dystansu. Najchętniej rozmawiał z Oniem o najnowszych osiągnięciach fizyki, zapalał się wtedy i szybko w podręcznym notatniku wypisywał równania i wzory. Opowiadał o tajnym nauczaniu podczas okupacji i swojej drodze do nauki. Był chłopskim synem i cechował go upór i głęboka wiara w Boga.

— Przetrwac — mówił cicho, kaszląc astmatycznie — przechować najważniejsze wartości i nie dać się zdemoralizować.

— Czyli bezpieczny azyl, spokojne sumienie i nic więcej! — unosił się Onio.

Był bezsilny. I zagubiony. Cierpliwości dla stanowiska starego Profesora też mu nie starczało. Czekał na coś. Jakby jeszcze nie przyszedł jego czas. Nie wiedział na co czeka. Ale miał nadzieję. Od pewnego czasu pojawiały się przeciwieństwo symptomy zmian. Coś trzeszczało i rysowało się w spoistej dotąd budowli. Coraz wyraźniejsze sygnały. To spotkanie z Olczakiem w tramwaju. Kula wy Olczak był lekko pijany. Pracował w straży przemysłowej jako komendant. Nosił mundur obciśnięty szerokim pasem z pistoletem. Z upodobaniem kontrolował swoje odbicie w szybie.

— Osobiście nie narzekam — wyznał. — Tylko ogólnie... — rozejrzał się i dodał szeptem: — Popatrz, popatrz... Ten Stalin... Na rękach go nosiliśmy... Jak z jajkiem... A to taki.. — nie dokończył.

Przypomniał sobie Onio dzień śmierci Wielkiego Nauczyciela. Syreny, które wyły rozdzierająco. Zastygły tłum na ulicach. Zapłakana twarz koleżanki z Zarządu Uczelnianego. Smutne, ściągnięte żałobnie twarze profesorów, studentów. I teraz to zaskoczenie. Upadek mitu Wielkiego Nauczyciela. Szepczą działacze, szepczą wszyscy. Zrazu tylko szept. Aż wreszcie głośno o tym już mówią wszyscy. Z pasją i oburzeniem. Ta dobrotliwa twarz z portretów. Wszędzie ta twarz. I naraz zanikać zaczyna.

— Jeden zero dla mnie — podsumował Onio z pozorną niefrasobliwością. Kpić zaczynał sobie coraz jawniej. W dzień 1 Maja wypowiedział się od niesienia transparentu.

— Ściągną nadwerężone — tłumaczył z dwuznacznym uśmiechem. Napotkał uważne spojrzenie Działacza. Mrugnął.

W parę dni potem wracał z Elżbietą z ćwiczeń. Był ciepły wiosenny wieczór. Szli parkiem. Wieczór pełen westchnień, chichotów w krzakach. Odurzająca pora. Usiedli na ławce. Objął Elżbietę. Całował coraz łapczywiej. Ale ona siedziała sztywna, naprężona.

— Daj spokój — odsunęła się.

— Elżbieta! — zdziwił się Onio.

— Martwię się — powiedziała po prostu. — Coraz gorzej gadają o tobie.

— Bzdury — próbował bagatelizować Onio. — Co mi mogą zrobić?

— Mogą! — Elżbieta chwyciła go za rękę. — Czy myślisz, że są aż tak ograniczeni i nie rozumieją twoich kpin?

Onio ciągle jeszcze starał się nie przyjmować do wiadomości tego, co powiedziała Elżbieta. Ale już ten wiosenny, beztroski wieczór zmienił swój charakter. Noc też. Nie mógł zasnąć. Począł go nękać pewien obsesyjny motyw. Zebranie właśnie. Cały jego rok. Otwarte zebranie związku młodzieży. Prezydyalny stół okryty czerwonym płótnem. Referuje przewodniczący. Litania zarzutów. Zarzuty obejmują wszystko. I to o czym sądził, że było jego wyłączną tajemnicą. Więc i napis w toalecie. Jest również egzaminator z marksizmu-leninizmu. Dokładnie odtwarza przebieg zdania. Są też tacy, którzy gdzieś na uboczu słyszeli wiele jego powiedzonek i żartów. Kolejno wstają. Podsumowania dokonuje płomienny Działacz. Patrzy na niego zimno, bezosobowo jak na przedmiot. I wreszcie to pytanie: — Czy wykluczyć i usunąć? — Czysto już retoryczne. Las rąk. Patrzy Onio. Rozgląda się. Jest Elżbieta. Więc szuka w jej twarzy oparcia. Elżbieta odwraca głowę. Taka to była huśtawka wyobraźni.

— Bzdury! — zapalił nocną lampkę.

Znów zgasił. I znów niepokój. Tym razem budynek Studium Wojskowego. Zrzucają drelichy, podkute buciory. Chorąży Kłóś podchodzi do jednego z nich. Nawet nie znał go. Z innego wydziału. Tylko razem mieli wojskowe zajęcia.

— Prosi was dowódca kompanii — mówi półgłosem chorąży Kłóś. Tak patrzy jakoś. Tamten odchodzi. I widzieli z okna jak na podwórzu wsiadał do czarnej cytryny. Dwaj faceci w płaszczach z dwóch jego boków. Już nie wrócił.

Mówiono później: — Był w podziemnej organizacji. Stara sprawa. Sprzed studiów. Ale i tak doszli do tego.

To nastąpiło rok temu po powrocie ze strzelnicy na Bielanach. Dokładnie 21 marca. Zapamiętał Onio tę datę. Była to noc pełna strachu. Ten strach nie był ze sfery historii jedynie. Elżbie-

ta miała rację. Otrzymał wezwanie do zarządu wydziałowego Organizacji. Oficjalnie, bez słowa komentarza wręczony świstek. Ciekawe spojrzenia kolegów. Obracał papier w palcach.

W sukurs przyszła historia. Prognozy ojca okazały się realne. Nastąpił czas gwałtownych wstrząsów. Ten nastrój zelektryzował również uczelnię. Odbывał się akurat wykład profesora znanego przede wszystkim z nieprzejednanych wystąpień na wiecach i akademiach. To właśnie Onio krzyknął wtedy zapiekłym z długa hamowanego gniewu głosem. — Tak jak mówiło się dotąd: uczeni, lokaje imperializmu, czy nie należy teraz powiedzieć o was panowie: uczeni, lokaje stalinizmu! Co za różnica? — zapytał jeszcze z szyderstwem.

Chciał mówić dalej, stropił się jednak, machnął ręką, usiadł. Powstał tumult. Klaskali i tupali wszyscy. I ci do niedawna najbardziej zaciekli, pozbawieni rozterek. I ci zawsze bierni, obojętni, znużeni. Wtedy to przez chwilę zaświtała w Oniu niewiara do tłumu, bezwolnego i ślepego podczas wszystkich takich wstrząsów. A nawet współzucie dla milczącego bezradnie wykładowcy. Tylko z satysfakcją podał wezwanie do zarządu wydziałowego. Nie był zadowolony ze swego wystąpienia. Kac. Ale mało miał czasu na refleksje. Dzień po dniu następowały wydania budzące powszechny entuzjazm i uniesienie.

Wkrótce potem ta scena w małej, obskurnej knajpie na praskich peryferiach. Wybrał się tam z kolegą. Więc pili na stojąco w tym brudnym wnętrzu z zaciekami na suficie, oparci łokciami o blat bufetu, wśród węglarzy, rzemieślników, handlarzy z bazaru, robotników z pobliskiej fabryki i innych stałych bywalców tego miejsca, włóczągów i podejrzanych indywidualuów bez określonego zajęcia. Wrzask, bełkot i brzęk kufli, szklanek, butelek. Zwykła atmosfera takiego miejsca. Naraz rozległ się głos z radiowego pudła zawieszzonego nad półkami z różnokolorową baterią butelek. Bufetowa nastawiła na cały regulator. Głos zapanował nad wrzawą. Był to głos nowego przywódcy państwa. Cisza zapanowała w tym brudnym, zatłoczonym wnętrzu. Głos z tego obciążonego szarą materią pudła, zdarty i wiecowy — jak objawienie dla tych nieskorych przecież do uniesień ludzi. Nowy przywódca obiecywał lepsze, inne życie. Ostro rozprawił się z przeszłością. Piętnował przemoc i bezprawie. Przyszłość miała mieć ludzkie, sprawiedliwe oblicze. Krzywdy i cierpienia zostaną odpłacone. Skończył nowy przywódca i cisza zapanowała. Cisza zakłócona jedynie leciutkim sykiem powietrza ulatującego z beczki wypełnionej piwem. Za chwilę jak wybuch zbiorowy toast za zdrowie i pomyślność nowego przywódcy. Roześmiane twarze, obejmują się ludzie.

— Niech żyje! Niech żyje! — huczne i spontaniczne, wypełniło całe wnętrze.

Tylko ci dwaj, umorusani czarnym pyłem, chyba węglarze, bardzo pijani i zajęci sobą, nic z tego nie usłyszeli. Nie dotarło do nich przemówienie, ani toast na cześć nowego przywódcy. Naraz otoczyła ich wroga próżnia. Ocknęli się. Popatrzyli i ogarnęli ich niepokój. Zewsząd zimne, skupione spojrzenia. Więc choć nie wiedzieli zupełnie w czym rzecz, szybko podnieśli swoje szklance. Ale było już za późno. Nie zostali przyjęci do kręgu zbiorowego braterstwa.

— Tym coś nie pasuje jakby — ktoś powiedział przeciągając słowa.

Uciekali chyłkiem niczym szczury, a razy, jakie spadały na nich, pięści i kopniaki stały się wyrazem jednomyślnego potępienia. Tłum wtedy potrzebował ofiar. Onio ochłonawszy później na ulicy, pomyślał o tych dwóch Bogu ducha winnych pijakach, którzy przeciskali się przez wrogi tłum, ukrywając twarze w ramionach. Bito ich i opluwano.

— Ludzie, za co! Za co! — zawadzili tamci.

Równocześnie sam przecież brał udział w tej zbiorowej dinojrze. Krzyczał, pluł i bił.

— Głupio — wyrwało mu się głośno. Wstyd w wyniku tego zastanowienia.

A jego kolega, spokojny, nieskory do uniesień prymus, powtarzał z satysfakcją: — Ale im daliśmy wycisk, fajnie co? — Zaraz spojrzął na zegarek i pośpieszył Onia: — Szybciej, w naszej auli ma być wiec.

Czas był naładowany wydarzeniami. Biegali i krzyczeli ludzie. Biegał i krzyczał jak inni Onio. Czy wierzył? Sam nie wie dotąd. Upajał się po prostu nagłą swobodą. Ale bywały też momenty niejasne. Jak zupełnie inne oświetlenie tego samego miejsca. Powrót wujka z wieloletniego pobytu w Rosji. Radość i podniecenie w domu. Późny wieczór. Wuj moczy nogi w miednicy. Widok jego nóg. Opuchnięte, sinawe banie pozbawione normalnego kształtu. Siedzi wuj i wolno przesuwając palcami w wodzie. Stęka. Domownicy wokół niego. Wuj nie wyrażał żadnej radości. Był apatyczny i milczący. O pobycie tam w ogóle nie chciał mówić.

— Nie wolno — zaszeptał tylko.

— Wypalili go do reszty — powiedział wtedy ojciec. Bo ile czasu może być w człowieku ogień?

„Krzywdy i cierpienia zostaną odpłacone” — przypomniał Onio słowa nowego przywódcy. Czy to można odpłacić w ogóle?...

— Zrehabilitują, dadzą odszkodowanie — powtarzał wuj to co mówiono i machał ręką. — Iiitam. — Jadł tylko i jadł bez końca. Tym cieszył się najbardziej. I powtarzał z upodobaniem opowieść jak to pracował w „chleborezce” przy dzieleniu racji

dziennych dla obozu. Chleb trzymali nad parą, pęczniał, zwiększała się jego waga i w taki sposób dla siebie mieli więcej.

— To była szansa... Jak z nieba — cieszył się wuj. Nic więcej nie mówił. Zresztą Onio nie chciał pytać o nic. Bo raz właśnie powodowany młodzieńczą niefrasobliwością dopytywał się wuja dosyć uporczywie, czy żadnych szans ucieczki nie było stamtąd. Wuj tylko wzruszał ramionami, aż ożywił się nagle, popatrzył przeciągle na Onia i powiedział: — Tylko za bramę wyszliśmy, a strzałki do nas tak: „Szczitajetsja pobieg... Szag w prawo... Szag w lewo, prinimaju oruzja bez priedupriedzenja... Rozumiesz? — zapytał.

Onio kiwnął głową.

Wuj ręce przed siebie wyciągnął. — Tylko gdzie uciekać? Tajga bez końca, zdechniesz i nigdzie nie dojdiesz... — Przymknął oczy, stopy w miednicy znieruchomiły.

Onio też popadł wtedy w dziwny stan. Niemoc, drętwota. Przypkre to. Zupełnie obojędnie. Wyszedł przed dom. Niebo było jasne, błękitne. Jesienne kolory drzew też czyste, pogodne. Ulicą szli ludzie. Uśmiechnięci, beztroscy. Ojciec kopał ogródek. Onio twarz miał zamysłoną.

— A jednak gniecie — powiedział jakby do siebie.

Ojciec wsparł się na łopacie i popatrzył na syna. Ale były to zanikające szybko ciemne plamy na tle powszechnej jasności. Jeszcze ten kolega z klasy maturalnej, Mysikrólikiem nazywany. Drobny, szary i gorliwy we wszystkim do przesady. Nie lubiany raczej. Traktowany lekceważąco, nawet ze wzgardą.

— Lizus — mówiono o nim.

Nie chciał nigdy podpowiadać.

— Nie wolno — mówił krótko.

I on to właśnie, Mysikrólik, podszedł ukradkiem po lekcjach do Onia, rozejrzał się strachliwie i szepotał: — Oni obserwują ciebie, tylko czekają, a mnie kazali też... — I urwał zaraz. Spłoszyły go kroki za węglem. To był gest. Ludzki, uczciwy gest.

Wzruszył się wtedy Onio. Chciał biec za nim. Równocześnie był zdumiony. Mysikrólik zdobył się na to! I teraz w tych hucznych, pulsujących treścią jesiennych dniach spotkali się znów. Mysikrólik nie zmienił się nic. Taki jak zwykle. Wzrok miał zgaszony, nijaki. Ścisnął Onio jego dłoń z wdzięcznością. Nareszcie mógł naprawdę podziękować. Tamten wyraźnie zażenowany.

— Ty jeden wtedy — mówił gorąco Onio. — Dlaczego? Przecież miałeś takiego pietra...

— Miałem — przyznał wstydliwie Mysikrólik. — Ale taka głupia sprawa... — zawahał się — kapować... — Nagle ożywił się. — Tylko — poprosił natarczywie — nie mów o tym nikomu. To mi może bardzo zaszkodzić... Rozumiesz... Na przyszłość.

— Czy ty oszalałeś! — zdumiał się Onio. — Przecież przyzłość nie będzie taka!

— Możliwe — powiedział Mysikrólik. Nie wyglądał na przekonanego. Machnął ręką.

Ale to były jedynie epizody. Tonęły prawie bez śladu.

Te grupki, grupy i zbiegowiska ludzi, pograżonych w żaźranych dyskusjach. To powszechne oczyszczanie się z przeszłości. Stracani możnowładcy. Nowi trybuni, którzy przyszli znikąd. Zmartwychwstałe po tylu latach poczucie sprawiedliwości.

Ta żywiołowa potrzeba prawdy. I odrodzona nagle rola gazet, tygodników. Te redakcje pism młodzieży, pełne gwaru, stukotu maszyn i kłębow dymu. Namętne polemiki i debaty, sprawozdania i propozycje. Pochyleni nad papierami publicyści i reporterzy. Ludzki, zwykły język ich rozmów, myślenia i pisania. Precz wyrzucono fasadowe ogólniki. Każde słowo, zdanie opukiwano podejrzliwie... Te delegacje zewsząd zjeżdżające do redakcji. Kombeinezony, drelichy, mundury i cywilne stroje. Stał Onio w ciemnym korytarzu prowadzącym do takiego redakcyjnego pokoju, pełnego dymu, stukotu i gwaru. Wdychał łapczywie tę gazetową, bałaganiarską atmosferę. I nawet zazdrościł tym młodym dziennikarzom, wybiegającym gdzieś z plikami papierów w dłoniach, zadyszczanym i roztargnionym. Któryś z nich zapytał w przelocie: — Kolega z rezolucją czy z jakimś materiałem? — I strachu naraz nie było. Mówili ludzie co myślą. Mały, obdarty człowieczek w żołnierskiej rogatywce, przedstawiał niezdanym, chropawym językiem swoje krzywdy: — Zamkli... Tłukli... Za nic... Jeszcze siedzieć cicho kazali... To teraz przemawiać chcę pełnym głosem... Pytam ci ja: Dostyc już tego, szlus czy nie?

Burze oklasków. Podrzucają go do góry. Jedną ręką macha zamazyście, drugą przytrzymuje swoją rogatywkę.

Albo te pochody, który zrywały się nagle jak orkan. Rosnący szybko tłum, domorosły przywódca, już sztandary i hasła, pieśni, przeważnie — Jeszcze Polska — Nie rzucim ziemi — Boże coś Polskę.

I idą, idą. Już płynie rzeka, wypełnia chodniki, jezdnię; podąża przed siebie. Zatrzymuje samochody, tramwaje; wymusza przestrzeń dla siebie. Popatrują niespokojnie gapie. Mężczyźni, kobiety, dzieci.

— Co się dzieje?

— Gdzie idą?

— O co idzie?

Przyłączają się wszyscy. Cywile, żołnierze... Starzy, młodzi... I ojciec Onia ożywiony jak nigdy dotąd. Mówił też często o ludziach przegranych, odartych z wszelkich złudzeń i pozbawionych swoich bogów tą nawałnicą.

— Po potopie... — rozmyślał głośno — starzy komuniści... A jednak żal mi ich... Pokazał jednego. Pracował z nim kiedyś. Chudy, drobny mężczyzna o ptasiej twarzy. Wymienił z ojcem chłodny ukłon.

— Zobacz! Całe życie — powiedział ojciec — od szczeniaka... bibuła, Hiszpania, Rosja, wsadzili go, potem puścili i ciągle to samo...

Tamten szedł ostrym, równym krokiem. Wyprostowany jak żołnierz na paradzie. Dumny — patrzył za nim ojciec.

Biegał też Onio. Z pochodu na wiec, z redakcji na uczelnię, z uczelni do fabryki. Podpisywał rezolucje, protestował, klaskał i groził. Takie to było miasto, tętniące życiem do późna w noc, ogłoczone z dawnych, tyle lat panujących hasł, sloganów i portretów.

W tym wszechogarniającym wiecowaniu, skandowaniu i bieganiu spotykał również Działacza z uczelni. Tamten zrazu wstydział się wyraźnie. Opuszczał głowę, peszył się i czerwienił. Aż raz chwycił go za rękę.

— Miałeś rację — powiedział — byłem ramieniem tylko, pięścią, pałką... I ta moja ślepotą, tyle krzywdy, kłamstwa... A ja nic, ohydne? — Czy mu płonęły tym samym ogniem co wtedy. Zapamiętała bebeszył swoją przeszłość. — I rozumiałem wszystko — dodał — tego pieska, o którym opowiadałeś. Tę przypowieść o rodzicach też. Długo o tym myślałem. Uznałem cię za szaleńca, biednego szaleńca. Odczuwałem litość po prostu...

— Uważaj! — przerwał Onio, natchniony olśniewającym ostrzeżeniem — żebyś w nowych bogów ślepo nie wierzył.

Spotykali się często. Działacz znów w pierwszym szeregu. Jego natura pełna energii i potrzeby przewodzenia znów znalazła ujście i na zgromadzeniach młodzieży mocno dźwięczał jego szczerzy, pełen zapału głos. Nie oszczędzał siebie i nie ukrywał tego co robił w przeszłości. Rozumiano go. Był przecież młody.

Tylko raz zdarzył się pewien przykry incydent. Ktoś przeciskał się przez tłum. Obcy jakiś. W ich wieku. Dotarł do Działacza. Chwilę stali naprzeciw siebie. Tamten trzepnął go z rozmachem w twarz. Raz, drugi. Donośne kłaśnięcia. Działacz nie wykonał żadnego ruchu. Nic. Stał i milczał. Więc rzucili się do tamtego. Bić go chcieli.

— Puśćcie go! — zawołał przenikliwie Działacz.

Popatrzyli zdumieni.

— On mnie pamięta z dawnych czasów — powiedział Działacz — nie dopuściłem go do matury.

— Masochista! — zaśmiał się Onio. — Może i ja ci dołożę?...

— Ale śmiech to był wymuszony. Żart też. Groteskowe i wstrętne wydało to mu się zarazem. Nie rozumiał Działacza. Coś ich

jednak dzieliło uparcie. I jak szybko powiedział: z dawnych czasów...

Podobnie wyglądało z tym zapędzonym uciekinierem w sobotni wieczór na pustym placu za domem towarowym. Wracał Onio z zajęć na uczelni. Dzień był intensywny. Wymagał decyzji. Chcieli go koledy do aktywności społecznej wciągnąć. Wyłaniano komitet, ktoś rzucił jego kandydaturę; zaaprobowano jedno-myślnie. Ale odmówił stanowczo.

— Do kierowania nie nadaję się, niestety — powód, który podał, nie był zupełnie szczery. Czuł to. Więc żarcik jeszcze dorzucił. — Liberał i indywidualista ze mnie.

Miał przecież wyraźną inklinację do działań społecznych. Jeszcze od szczeniackich czasów, kiedy jako harcerz-wywiadowca podjął się wygłoszenia cyklu pogadanek o historii skautingu i Baden-Powellu, Andrzeju Małkowskim i Tadeuszu Strumille, założycielach polskiego harcerstwa. Cieszyła go pełna ciekawości cisza wśród zebranych wokół ogniska chłopców. Potrafił mówić przekonująco, żywo i barwnie. Cieszyła go wtedy rola przewodnika, nauczyciela. Może odziedziczył to po ojcu, starym działaczem P.P.S. Może wuj? Ten uparty wielbiciel marszałka Piłsudskiego i rządów silnej ręki, który nosił pięcioletniego Onia na rękach i powtarzał: — Kardynalik, generalik...

— Co ty wygadujesz? — obruszał się ojciec.

— Na pewno będzie kimś — odpowiadał wujek z niezmaconym spokojem.

W każdym bądź razie (porzucając szukanie przyczyny) te porwy do działań dla dobra ogółu nie były mu nigdy obce. Ale tym razem odmówił. Podejrzliwość, obawa o własną niezależność, brak zaufania. Nie czuł się jakoś na siłach, bał się ustępstw. To na pewno. Więc tylko bezradnie rozłożył ręce. Zawstydzony nieco. A też w przemówieniu jednego z nowych przywódców, którego wysłuchali na początku zgromadzenia, podejrzanym wydało mu się zbyt częste nawoływanie do rozwagi: — Towarzysze, należy postępować rozsądnie, musimy na razie wstrzymać się i zastanowić, na obecnym etapie nie należy działać zbyt pochopnie. — Zapamiętał te słowa. Powtarzał i wcale nie był co do słuszności tego przekonany. Ten porywczy okrzyk z głębi sali: — Nie należy zatrzymywać się w połowie drogi! — był jego głosem.

Następnie rozmowa z Profesorem. Też dziwna. Jego sceptycyzm, powściągliwość w wyrażaniu ocen.

— Młody kolego — powiedział Profesor z naciskiem — trzeba na pracy naukowej skoncentrować się wyłącznie, szkoda pana do czego innego... Wyłącznie, podkreślam...

Ciężki to był dzień. Czuł się rozdarty, pełen zastanowień i wątpliwości. Najmilszy w tym dniu spacer z Elżbietą. Elżbieta

dumna teraz z tego za tę samotniczą odmienną postawę w niedawnych czasach.

— Dlaczego odmówiłeś udziału w komitecie? — I ona też zdziwiona.

Odprowadził ją pod dom i wracał. Doszedł do tego placyku za C.D.T.-em. Posłyszał tupot kroków i krzyki. W pustce nocnego miasta zabrzmiały niezwykle donośnie. Zatrzymał się zaciekawiony. Na placyk wpadł mężczyzna w skórzanym płaszczu i kapeluszu. Potykał się i dyszał. Za chwilę grupa mężczyzn dopadła uciekającego.

— Ubek! — krzyтели — Ubek!

Tamten próbował bronić się niezdarnie. Trzepot jego rąk. Upadł. Jęk. Przekleństwa. Sygnał policyjnego gwizdka spłoszył napastników. Na pustym placyku pokurczony jak łachman kształt. Onio nie pomógł leżącemu. Oddalił się. To chyba nienawiść, zastanowił się nad tym. Ale wyrzutów sumienia nie miał żadnych. Brzęk kluczy, zgrzytają podkute buty, żółte, nigdy nie gasnące światło odrutowanej żarówki na suficie i ten głos: — Na przesłuchanie! — który powodował zwierzęcy strach w oczach zrywających się z prycy aresztantów... — takie miał skojarzenia. Wtedy pomyślał o swoim wzorcu z gimnazjalnych lat, Marianie G. Spoktał go przypadkiem pod kinem. Marian G. spłoszył się wyraźnie. Ale Onio nie odczuwał żadnej nienawiści, nawet niechęci. Tylko ciekawość. Zimną, zachłanną ciekawość poznawczą. Więc zachował się całkiem zwyczajnie. — Cześć stary, kopę lat! — I poszli na wódkę. Marian G. był w śmiesznym, białym bandażu spowijającym głowę. Usuwał akurat kaszaki. Wódkę pił łączywie. Silna potrzeba zwierzeń. Zgorzkniały i nienawistny. Przeklinał swą przeszłość.

— Oszukali — mówił — do brudnej roboty najęli. — Przeklinał terazniejszość: — Też sam gnój. Tylko mniej krwi. Popuścili temu bydłu... — Nie wierzył w przyszłość.

— Co może wyniknąć dobrego? Nic!

Pragnienie bliżej nieokreślonej mściwości w nim.

— Jeszcze bym pokazał — syczał przez zaciśnięte zęby. Bez zainteresowania przyjął również do wiadomości, że Onio studiuje i myśli o karierze zawodowej. Coś tylko zamruczał. Ożywił się natomiast, opowiadając o swoim zwierchniku z urzędu. Śmiał się długo i brzydko, pełno srebrnych zębów w ustach.

— Mój szef to dopiero ma mojra — mówił. — Chła na umór. Tylko chła i czeka. A jak się uchła, to na czworakach łązi i szczeka jak pies.

— Dlaczego? — zdumiał się Onio.

— W robocie zbyt wyraźnie przesadzał i chyba pójdzie siedzieć — wyjaśnił Marian G. — To i za wariata woli być.

Marian G. Brudny i ciemny kawał życia. Jak upiór przeszłości. A tak górnę, ostro zaczynał, kiedy na pamięć uczył się niegdyś życiorysu Dzierżyńskiego. — Feliks Edmundowicz... — mógł mówić godzinami.

— Przynajmniej tej bezpieki już nie będzie — zauważył Onio, unikając patrzenia na jego twarz.

— He, he, he! — Marian G. poklepał go protekcyjnie po ramieniu. — Nie bądź frajer. To zawsze musi być. Inaczej ludzie do reszty się rozbewstwią.

— W takim razie ty... — zapytał ostrożnie Onio — w tych kartotekach, no, służby bezpieczeństwa... choć niby zwolniony, ale chyba ciągle jesteś... Prawda, w rezerwie, powiedzmy?

Twarz Mariana G. nagle stężała. Dopiero po chwili znów skrzywił się w brzydkim uśmiechu.

— Zgrywus z ciebie.

Opróżnili butelkę i rozstali się nie wymieniając swoich adresów. Ten wyrazisty, ohydny śmiech Mariana G., chwilami żałosny, jakby resztkami sił... Więc takie wątpliwości dopadały zniecka.

Najbardziej dramat z Węgrami. Krew, coraz więcej krwi. Węgry prześladowały nieustannie. Głosy sceptyków teraz coraz częściej: — Zobaczycie, u nas też ureguje się wszystko, docisną, zgnoją, zobaczycie, ani się nie obejrzymy.

Albo rozważnych: — Trzeba spokojnie, trzeba zastanowić się, wyważyć, nie możemy się zbyt daleko posuwać, bo też nam krwawą łaźnię sprawią, pamiętajcie!

Wtedy Onio znów widział twarz Mariana G., pokurczoną w brzydkich grymasach i wymiętą. Duszno znów.

Burzliwy rytm życia, uczelni, gorące debaty kolegów, wiara Działacza, czułość Elżbiety, stary Profesor... Na nic to. Wątpliwości zarażały gorczą, a nawet bezsilnością. Włóczęga po mieście pomagała trochę. Dawała zmęczenie. W samotności powracała wiara. Wątpliwości stawały się nieważne, śmieszne i gołosłowne. W samotnej włóczędze znajdował najlepsze argumenty przeciw pesymistom, cynikom i malkontentom. Rozprawiał się z łątwością. Szydził również z najbardziej zawsze niepokojących go prognoz ojca.

— Popuścili... — powtarza ostatnio ojciec. — Więcej powietrza dla lepszej regulacji. I nic ponadto. Stop. Rozpaprany śmietnik.

Stary, zmęczony człowiek. Przegrane życie. Oceniał pobłażliwie postawę ojca. Nocne miasto. Beztroski bełkot pijaków. Upiorne prostytutki na rogach. Zakochani. Czasem dorożka. Nocne łążenie. Bardzo to lubił. Wracała równowaga. Miejski pejzaż tamtych lat. Zawsze uciekał bezwiednie od nowej, powstałej na gru-

zach zburzonego miasta zabudowy. Od tych monumentalnych gmachów z płaskorzeźbami robotników i robotnic — gigantów. Od tych rozległych na wszystkie wiatry wystawionych placów z obeliskami i posągami. Od tych ulic z rzędami ponurych jak koszary bloków mieszkalnych. Uciekał więc do tego skurczonego już rezerwatu dawnych, secesyjnych kamienic, studziennych podwórek z kapliczkami i ruder na pół zniszczonych, z czarnymi oczodołami okien. W tych resztkach starych murów skazanych na zagładę czuł się najlepiej. Dlatego jego oazą była brudna, obskurna, ginąca Praga. To miasto po drugiej stronie Wisły, oszczędzone przez wojnę, a więc jakby niezmiennie. Z tą enklawą za rzeką ma również związek finał jego młodzieńczego uniesienia. Był to wieczór. Ostatnie zgromadzenie publiczne na placu przed domem akademickim. Jeszcze docierały do zebranych głosy mówców. Jeszcze entuzjazm wybuchał gorącymi owacjami. Jeszcze domagano się i protestowano. Ale już z ciemności wynurzyły się kolumny policyjne, szczelne jak mur i zdecydowane. Już w ruch poszły pałki. Urwały się w połowie głosy mówców. Tłum zadygotał jak osaczone zwierzę gigantycznych rozmiarów. Dygot wzmagał się. Kolumny policyjne zbliżały się krok po kroku. Powoli, nieustępliwie. Atmosfera napięcia wzrastała. Wreszcie tłum począł pierzchać we wszystkie strony. Strumieniami wlewał się w sąsiadujące z placem ulice. Tam wyłapywano uczestników zgromadzenia i ładowano w odkryte brezentem ciężarówki. Płacz kobiet. Krzyki bitych mężczyzn. Akcja przebiegała sprawnie. Przywódcy na podwyższeniu po środku placu zostali samotni i opuszczeni. Schwytano ich w potrzask jak od dawna wytropioną zwierzyinę. Onio miotał się wraz z innymi. W tym zamieszaniu zgubił się z Działaczem, choć na początku trzymali się razem. Więc miotał się sam, poszukując drogi ucieczki. Wszędzie napotykał policyjne kordony. Wtedy zawracał. Gnał w przeciwną stronę. Wreszcie znalazł w tej sieci lukę. Uchylona brama, nie widać mundurowych, podwórce. Wpadł tam. Przesadził niewysoki mur, drugie podwórce. Wyszedł na spokojną, cichą ulicę. Aż zdumiał się tym spokojem. Martwym, obojętnym na wszystko. Oto skończyła się jego młodość. Miał świadomość tego faktu nieodwołalną. I przypomniał mu się stary woźny, sprzątający zaśmiecone korytarze w budynku uczelni. Podarte portrety, słowa i strzępy słów z niedawnych transparentów, gazetki ściennie, litery haseł, plakaty.

— Pomarnowali tyle — gderał stary woźny — a przecie może się to jeszcze przydać.

Stos papierów na końcu korytarza rósł i rósł. Pomyślał wtedy Onio: „Na nic to nie przyda się już”...

Włóczył się po mieście. Musiał ochłonąć. Wybierał ustronne uliczki, z dala od centrum. Dotarł do Wisły. Mostem przeszedł

na drugą stronę rzeki. Stare mury, rudery, faceci w bramach, kobiety na ławeczkach przed domami. Chwilami wrażenie zatrzymanego czasu. Ciągłość i zasiedziałość, której nie znajdował gdzie indziej. Jego Praga właśnie. Azyl ostatni w tej chwili. Podążył główną ulicą tej prawobrzeżnej dzielnicy. Cisza już i noc. Wrogo zapatrzył się na radosną parę. Młodzi. Obejmują się. Szepczą i całują się. Po tym niedawnym doświadczeniu na placu Onio nie rozumiał w tej chwili miłości, pożądania ani żadnych innych jednostkowych radości i cierpień, które płyną przecież jak rzeka podziemna pod wszystkimi roztrząsami historii. Złorzeczył więc tej parze młodych kochanków. Zatrzymał się przed małym, rachitycznym drzewkiem, oświetlonym latarnią i ostentacyjnie zaczął siusiać. Przeciw tym zakochanym to zrobić. Nawet zgrzytu podkutych butów nie usłyszał.

Dopiero głos: — Co wy! Tak w publicznym miejscu!

Już wiedział. Za nim stał milicjant.

— Pęcherz — odpowiedział Onio. — Ma swoje prawa. Ciśnie. „Milicjant... — powtarzał. — Milicjant...” — Zaraz — odpowiedział. — Już kończę...

Sprężył się cały i tylko pragnienie koncentracji w jednym, precyzyjnym ruchu. Żeby nie pomylić nic... Ale nadal pozornie niedbały, przygarbiony.

— Już, już, panie władzo — wytrząsnąwszy ostatnie krople sposobem podpatrzonym od szczywających na ulicy pijaków, niby to zatoczył się i obejrzał nieznacznie. Milicjant, barczysty, wysoki, gniewna mina, pasek pod brodą, jedna dłoń wsparta na pałce przy boku, druga wsunięta za pas. Niecierpliwiał się. Wtedy Onio obrócił się jak błyskawica. Chwytał milicjanta za ramiona, wczepił się palcami w sukno munduru. Pochyloną głową uderzył w jego brodę z półobrotu. Tak bili chłopcy z Piachów. Zapamiętał to jeszcze z dzieciństwa. W tych kilku sekundach rozległ się skowyt. Zobaczył Onio ogłupiałe oczy, trzepot rąk. Milicjant zwałił się jak ścięte drzewo. Onio oddalił się powolnym, statecznym krokiem. Dopiero po kilku metrach wbiegł w przecznicę. Cieszył się. Szybkość tej akcji. Jej efektywność. Niezła rekompensata za niedawne, ślepe bieganie wśród zapędzonego tłumu. Ale biegł coraz szybciej. Bo równocześnie narodził się w nim strach. Jeżeli dopadną? Więc skoczył w najbliższą bramę. Dalej podwórce z zielonym światełkiem nad figurą Matki Boskiej, następne podwórce, jeszcze jedno. Labirynt komórek. Wreszcie przez dziurę w parkanie wyszedł na ulicę. I wtedy posłyszał stukot kroków. Przywarł do parkanu. Serce biło jak oszalałe. Z ciemności wynurzył się mężczyzna. Zatrzymał się. Onio popatrzył na niego z napięciem. Był w cyklistówce, wypchanej gazetami, na kark opadały długie włosy.

— Rozumiem — rzekł tamten po chwili. — Gliny. Ale tu nie ma ani jednego. — Wyciągnął papierosy. Poczęstował.

Onio odetchnął głęboko. Rozejrzył się. Cicho i pusto. Tylko z tamtej strony rzeki widać było wieżę Pałacu z czerwonym światelkiem na końcu.

Seweryn KWARC

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 257 — MARIA DANILEWICZ ZIELIŃSKA

BIBLIOGRAFIA

„KULTURA” (1958-1973)

„ZESZYTY HISTORYCZNE” (1962-1973)

DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA (1959-1973)

Dawno zapowiadana *Bibliografia* zawartości treści „KULTURY” i „ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH” oraz DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA DO ROKU 1973 łącznie.

Str. 432.

Cena F. 75.

Przypominamy Czytelnikom, że Bibliografia za okres 1947-1957 opracowana przez Jana KOWALIKA ukazała się w roku 1959. Posiadamy ją jeszcze na składzie. Cena egz. F. 15.

Przez puste ulice

Leżący usiadł naraz gwałtownie:

— No to zdejm wreszcie tę jesionkę! Człowieku... Rzuć ją tu gdzieś na krzesło... Szalik, czapkę, rękawiczki... Też gdzieś tutaj, na krzesło, czy na fotel... Co ty tam jeszcze masz? Torbę, walizę? Aha, torbę... Dobrze, niech tu stoi!

Spuścił na podłogę bose stopy i przyglądał się przyjezdnemu. Przetarł dłonią czoło i pokręcił głową. Po chwili bezradnie uśmiechnął się i, tak samo bezradnie, nikłym gestem rozłożył ręce.

— Obłąd, kurwa, zupełny obłąd... Nic nie rozumiem stary, co ja tu muszę zrozumieć?...

— Nic! — powiedział dobitnie przyjezdny. Powiedział to żartobliwie. Wstał, zrzucił jesionkę, na drugie krzesło rzucił czapkę, szalik i rękawiczki, ziewnął, przeciągnął się i głośno roześmiał:

— Chciałbym, żeby ktoś pojawił się tak kiedyś u mnie. Mogłoby się coś takiego zdarzyć. Niezupełnie tak samo jak tutaj, jasne, że to niemożliwe, ale... — zaśmiał się cicho i potrząsnął głową. Mówił dalej, chodząc powoli po mieszkaniu: — z dworca w taksówkę i tutaj. Wysiadłem, trochę postąłem, popatrzyłem...

— Ty, usiądź wreszcie...

Przyjezdny przystanął jakby bezwiednie, potem przysunął sobie krzesło i usiadł. Zapalił papierosa, rzucił siedzącemu na tapczanie wśród pościeli papierosy i zapaliki i z uśmiechem zaczął mówić dalej.

— Wysiadłem, trochę postąłem, popatrzyłem, w kilku oknach światło, idę po schodach, wiem już za którymi i na którym piętrze drzwiami jesteś ty i wydaje mi się, że u ciebie też się świeci. Przypominam sobie te oświetlone okna i jestem pewien, że u ciebie też się świeci. Podchodzę pod drzwi, nasłuchuję, radio cicho w środku szemrze, ale więcej nic. Przez to szemranie radia

jeszcze większa cisza za drzwiami. Jak to się stało, że nie dzwonię, nie pukam, tylko od razu naciskam klamkę — nie wiem, pojęcia nie mam... — urwał na chwilę i roześmiał się głośniej. — Wchodzę do przedpokoju, no tak, w pokoju świeci się, wchodzę do pokoju i widzę... patrzę, a ty leżysz sobie i czytasz książkę. A raczej już nie czytasz, tylko gapisz się na te drzwi...

Siedzący na tapczanie wśród pościeli westchnął głęboko i przetrzął pięścią czoło.

— Stary, przecież to... Wiesz, czasem śnią się takie rzeczy... No jasne, że teraz nie śnię, tylko siedzę w spodenkach i boso i rozglądam się. Wyglądam jak jakiś dupek, co?

Szybko, prawie gwałtownie odrzucił za siebie kołdrę, wstał, włożył spodnie, sweter i skarpetki i rozglądając się jakby niezdecydowanie zaczął przygładzać włosy.

— Będę chyba musiał wyrznąć o coś łbem, żeby się nareszcie wszystko w nim ułożyło — powiedział. Czekaj no, od czego tu zacząć?

Patrzył na przyjezdnego i zaczął się uśmiechać:

— Wiem już, stary! — podszedł i wyciągnął rękę. — No to cześć!

Uścisnęli sobie ręce, przez chwilę nie rozłączając dłoni. I naraz obaj roześmieli się.

— No to cześć! — znowu wykrzyknął gospodarz, mocno ściskając rękę przyjezdnemu. — Człowieku, usiądź teraz już wreszcie normalnie! Albo nie, chodź ze mną! Do kuchni, zaparzę herbaty, chodź... — ciągnął za sobą przyjezdnego. — Siadaj, o, tutaj — pchnął go lekko na taboret przy kuchennym stole, a sam zakrzętnął się koło kuchenki. — Zaczekaj, zaraz przyjdę, włożę ciapy.

Za chwilę wrócił, otworzył kredens i lodówkę i zaczął wyjmować jedzenie i stawiać na stole.

— Chyba nie jestem głodny — powiedział przyjezdny.

— Ale na pewno nieźle wtrząchniesz. Grunt, to tylko zacząć. Zaraz będzie herbata. A tymczasem mów.

Przyjezdny wzruszył ramionami.

— Tylko wszystko po kolei! Stary, ile to już lat?... Cztery, tak? Cztery lata... Zresztą o tym potem. Jak ty się tu wziąłeś?

— Urlop — powiedział przyjezdny.

— Co — urlop?

— Zwyczajnie. Ustawiłem sobie wszystko tak, że w tym roku wziąłem sobie urlop w lutym. Najnormalniej, najzwyczajniej w lutym. Piękna rzecz. Żadne przed urlopem, żadne po urlopie, masz po prostu cholernie dużo wolnego czasu i to wszystko.

— No to zostajesz u mnie!

— Nie wiem — wzruszył ramionami przyjezdny. — Na razie wcale nie myślę o tym, że mógłbym tu zostać przez cały miesiąc.

— Zostaniesz.

— Nie wiem. Ty, słuchaj... — przyjezdny jakby zawahał się — był tu ktoś dzisiaj u ciebie? No, wiesz, otwarte drzwi, światło w pokoju, nie śpisz... Rozstałeś się z kimś tuż przede mną?

— Co?... Ha-ha-ha! — roześmiał się z rozbawieniem gospodarz. — Stary, zupełnie nie to... Napijesz się piwa? Zaraz będzie herbata, ale mam chęć na piwo.

— Daj.

Gospodarz sięgnął do lodówki i wyjął dwie butelki piwa. Podsunął przyjezdnemu szklankę, ale ten upił kilka dużych łyków wprost z butelki i dopiero resztę wylał do szklanki. Upił teraz mały łyk i posmakował.

— Najlepiej tak — powiedział. — Najpierw z flaszki, wypróbuj tak na wycucie około połowy, a resztę przelewasz do szklanki. Upijasz potem łyk, smakujesz i patrzysz na szklankę, ile ubyło. Ostatni, zupełnie mały łyżeczek to coś wspaniałego. Patrzysz na szklankę i zupełnie nie potrzeba ci nawet kropelki więcej.

— Tak? — powiedział z zaciekawieniem gospodarz. — Może kiedyś też przyjdzie mi coś takiego do głowy. Aha... to światło i te otwarte drzwi... Zupełnie normalnie. Od paru dni — zastanowił się — no, chyba gdzieś od tygodnia, kładę się spać zaraz z wieczora to i budzę się bardzo wcześnie. Zapalam wtedy światło i czytam sobie. A drzwi... — wzruszył ramionami — jakoś nie chciało mi się ich przez te dni zamykać. Jednego wieczoru, tak przed zaśnięciem pomyślałem sobie, jakby tu tak zostawić je jeszcze nawet trochę uchylone. Ale — machnął ręką i łyknął piwa — zaraz ktoś wsadziłby łeb, potem wlałyby tutaj cały i stanąłby taki kut w progu albo jeszcze i zacząłby cię tarmosić za ramię, gdybyś już zasnął.

— Tylko w mordę wtedy — podchwycił skwapliwie przyjezdny. — Skopałbym, baranowi, piętami mordę.

Gospodarz roześmiał się (przyjezdny też się uśmiechnął) i skinął z aprobatą głową.

Popijali piwo małymi łykami. Za oknami było jeszcze ciemno.

— Przyjemnie — odezwał się przyjezdny, spoglądając za okno, a potem przenosząc spojrzenie na kuchnię, jakby obejmując ją całą wzrokiem. — Tam jeszcze ciemno, a tutaj światło, ciepło i cicho, skądś przyjechałem, siedzę i piję piwo. Cholera!... — ożywił się i mówił dalej, patrząc przed siebie: — tak to ułożę, żeby wrócić do siebie o takiej właśnie porze. Wejść

do mieszkania, pozapalam wszędzie światło, naszykuję zarcie i usiądę przy stole z butelką piwa. Będę się później zastanawiał, czy zacząć jeść, czy położyć się spać...

— A tymczasem tu herbata już gotowa — odezwał się po chwili gospodarz. — Jesteś tutaj, siedzisz przy stole, coraz bardziej ochoczo wpięprzasz, a mnie... — wzruszył ramionami i pokręcił głową. — Pomogłoby mi może, jakbym przewrócił jakąś cholernie dużą i cholernie ciężką szafę.

Przyjezdny, z pełnymi ustami, machnął tylko ręką.

— Ale to nic — ciągnął dalej gospodarz. — Rozjemy to wszystko, co jest, potem naszykuję i machnę na stół — podniosł palec i zaakcentował dobitnie — zakąskę!... a potem wyciągnę i buchnę na stół pół metrasa. To znaczy, niecałe pół metrasa. Ty wiesz — przysunął się do stołu — od dłuższego już czasu nie znalazłbyś u mnie całej butelki wódki. No, chyba tylko wtedy, jak przyniosę ze sklepu. Przez minutę, najwyżej dwie, mógłbyś wtedy znaleźć u mnie całą butelkę wódki. Kurwa, po prostu zrywam wtedy z siebie kapotę!... Zakładam ciapy, przysiadam na brzezku krzesła, ale też wygodnie, i chylę pół szklany. Zapalam papierosa, siadam wygodnie, odprężam się, jeszcze jeden, zupełnie maleńki łyżczek i zakręcam butelkę i chowam. A mam ich kilka, zobaczysz.

— Solo nic? — zapytał przyjezdny. Przeżuwał teraz powoli, patrząc w talerz.

— Coś ty?... — odpowiedział po chwili gospodarz. — Stary, coś ty?... — zamyślił się. — Ale już coraz rzadziej. Coraz rzadziej... Czasem wydaje mi się, że zaczynam dziadzieć... — Podniósł głowę: — A ty?

— U mnie łatwiej. Trzymam się na razie zupełnie dobrze. Ostatni raz popłynąłem kilka dni temu. Ostatni dzień pracy przed urlopem, wróciłem do domu później, padał gruby, mokry śnieg, chciało mi się trochę położyć, pół kilometra ulicą w jedną stronę, pół kilometra z powrotem, prawie że przemokłem, wróciłem do domu, przebrałem się, sucho i ciepło, jasno, spakowałem od razu wszystko do wyjazdu, położyłem się, ręce pod kark, wiem, że mam półtorej godziny czasu, bo umyśliłem sobie, że zacznę punktualnie o dziesiątej, za siedem dziesiąta wstałem, przyszykowałem wszystko, ze szklanką w rękę odczekałem jeszcze niecałą minutę i — ognia... — dotknął kantem dłoni szyi.

— Po ciemku też już nie pijesz? — zapytał po chwili gospodarz.

Przyjezdny uśmiechnął się lekko.

— Piękne, szczeniackie czasy — powiedział miękko. — Noc, ciemno, a tobie błyski przed oczami, wchodzisz w to morze,

coraz dalej od brzegu, dalej, zaczynasz płynąć, przed siebie, coraz dalej, dalej, tam gdzieś jest brzeg, ale niech on będzie jak najdalej...

— Jak można było wtedy nie powalić się do spania, ale jeszcze zdecydowanie położyć? — przerwał gospodarz.

— Młodość, przyjacielu! — roześmiał się przyjezdny. — Chyba zjemy coś jeszcze?

— Ty, słuchaj... — zastanowił się gospodarz, patrząc po stole. — Wszystkiego nie damy rady zjeść, to jasne. Ale spróbujmy wyjeść coś zupełnie, co?

— Zgoda — przytaknął przyjezdny. Też spojrzął po stole. — Ser?

— Ser.

Po chwili skończyli. Za oknami zaczęło się powoli rozwidniać.

— Teraz zrobimy tak — zdecydował gospodarz. — Zostawiamy ten stół w spokoju i przenosimy się do pokoju. Idź już tam — powiedział. Ja zaraz przyjdę.

W pokoju usiedli naprzeciw siebie przy niskim stoliku.

— Nie mogę się zdecydować — powiedział gospodarz. — Szklanki, czy kieliszki?

Przyjezdny też się zastanowił.

— Bo ja wiem... Może raczej kieliszki? Zaraz będziesz musiał iść?

— No tak.

— Kieliszki — zdecydował przyjezdny. — I to nawet małe. Tak, to będzie dobrze.

Unieśli kieliszki i zamilkli na chwilę.

— Chlustaj — powiedział po tym krótkim milczeniu gospodarz. — Jesteś gościem, to pierwszy. Zresztą... — i, jakby spiesząc się, sam wypił pierwszy.

— To od razu chyba jeszcze po jednym — powiedział przyjezdny, który też już wypił; gospodarz skinął głową i nalał. Wypili.

— No tak... — stwierdził pogodnie gospodarz. — Nareszcie coś mi się tu — stuknął się w czoło — ułożyło i wyprostowało. Wcale nie za sprawą tego — wskazał na butelkę — nie. Wiesz — roześmiał się — wydaje mi się, że gdybym zobaczył cię wchodzącego teraz, spociałbym się w kroku. Fajno jest, kurwa. Jeszcze od czasu do czasu radośnie dziwuję się, patrząc na ciebie, ale przejdzie i to. Zagryź trochę, przełknij i znów się napijemy.

Napili się i przyjezdny zaczął rozglądać się z uwagą po mieszkaniu.

— To tak żyjesz — powiedział. — Wszystko tutaj przypo-

mina mi moje mieszkanie. Nie wiem czy znalazłbym cokolwiek podobnego, ale wszystko razem...

— Na pewno powiedziałbym to samo, gdybym znalazł się u ciebie.

— Chyba tak.

— Będziemy mieć jeszcze po jednym i jeszcze po jednym — nalał znów wódki gospodarz. — Po jednym łyknijemy zaraz, potem ogolę się, przebiorę i tego drugiego machniemy przed moim wyjściem. Zgoda?

— Lu — podniósł kieliszek przyjezdny.

— Możemy gadać dalej — gospodarz wstał od stołu. — Idę się golić, możesz stanąć w drzwiach, albo przysiąść na wannie.

Przeszli do łazienki. Gospodarz zaczął namydlać twarz, a przyjezdny, odwróciwszy się, z zadowoleniem oddawał moc.

— O, kurwa... — jęknął naraz gospodarz. Opuścił rękę z pędzelkiem i wpatrywał się z rozżaleniem w swoje odbicie w lustrze. — O, kurwa... — powtórzył z niechęcią.

— Co takiego? — zapytał przyjezdny patrząc uważnie na odbicie twarzy gospodarza w lustrze. Przeszedł wolno do drzwi i oparł się o futrynę. — No?

— Nic — skrzywił się gospodarz. Szybko dokończył namydlenie i równie szybko zaczął się golić. Przerwał na chwilę, popatrzył w lustro i prychnął niezadowolony.

— Co jest? — zapytał znowu przyjezdny, prawie z przygnaniem.

— Później.. — burknął tylko gospodarz. Golił się bardzo szybko, prawie już kończył. Za chwilę przemył twarz wodą, osuszył ręcznikiem i znów zaczął się uważnie wpatrywać w odbicie w lustrze.

— Nic wielkiego — rozjaśnił się. — Nic wielkiego się nie stało. — Spoważniał, odchylił się nieco i, patrząc ciągle w lustro, lekko skłonił głowę: dzień dobry panu, panie... Aleksandrze Macedoński.

Oparty o futrynę przyjezdny zakrztusił się dymem z papierosa i rozkaszał. Kaszał, nie odrywając szeroko rozwartych, zażawionych oczu od twarzy gospodarza.

— Stary, to nadzwyczajne — roześmiał się gospodarz. — Od drugiego czasu już to ciągnę. Przychodzę rano golić się, staję przed lustrem, pocieram policzki i melduję coś takiego. Dzień dobry panu, panie Mieszko Pierwszy. Dzień dobry panu, najdroższy Panie Boże. Dzień dobry panu, panie Hitlerze...

— Piękne — powiedział przyjezdny kręcąc głową i patrząc z ukosa w lustro. Przeciągnął dłoń po policzkach. — Ja później się ogolę. Po południu.

— A, po południu — powiedział później gospodarz, wiążąc krawat i nakładając marynarkę — po południu, bracie, szykowna i elegancka knajpa. Zasiadaj teraz — zatarł ręce i wskazał stolik. Rozlał ostrożnie resztkę wódki i uniósł kieliszek. — Stukniemy? — uśmiechnął się, patrząc na swój kieliszek.

— Stukniemy — też uśmiechnął się przyjezdny, patrząc na uniesione kieliszki.

Trącili się kieliszkami i wypili.

— Koniecznie musimy przekąsić — powiedział gospodarz.

— I to nawet sporo.

— Postaraj się spać, dopóki nie przyjdę — mówił dalej. — Chyba nie uda mi się wrócić wcześniej. Wrócę, odszukujemy się i spacerkiem pójdziemy do knajpy. Chyba już więcej nic? — Spojrzał na przyjezdnego, który skończył już (jakby ze zdecydowaniem) jeść.

— Nic. Piwa nawet nie proponuj.

— No to chodź — gospodarz wstał i pchnął drzwi do drugiego pokoju. — Tu będziesz spał — powiedział. — O, zaczekaj — dodał przeciągle i podszedł do szafy. Otworzył bielizniarkę, przesunął ręką po półkach, wyjął prawie całą zawartość jednej i rzucił na fotel.

— Sześć — powiedział. — Sześć piżam. Jak nie masz a chcesz potrzebować, to wybieraj. Dawno już temu udało im się wysłać mnie gdzieś. Podróż w nocy, sypialny, no to i piżamisko, kurwa, myślę potrzebne. Kiedy się przebrałem — zaśmiał się — stary, obłęd!... Jakbym tylko co nawiał z Alcatrazu, wiać dalej, przez okno. A później stałem się jakiś taki cholernie do brotliwy, jeszcze trochę a zacząłbym gawędzić. A jeszcze później... Leżę sobie, palę papieroska, strzepuję popiołek i czuję się... stary, czuję się coraz bardziej wcale — wcale. Złazę z koja, wychodzę na korytarz, przechadzam się, rączki do tyłu, przystanę przy oknie, znów papieroszek... Byłem potem przez jakiś czas cholernie aktywny, pchałem się na wszystkie możliwe wyjazdy, i za każdym razem fundowałem sobie nową piżamę. Przeszło, kurwa... No to... — rozejrzał się po pokoju — to ja idę.

Przyjezdny został sam. Przeszedł kilka kroków, przeciągnął się, ziewnął, przygotował sobie posłanie, popatrzył na leżące piżamy, przyniósł swoją, zastanowił się, potem rozłożył ją, rzucił na drugi fotel i zaczął się rozbierać. Odrzucił już koldrę i chciał się położyć, kiedy zatrzymał się, przeszedł do drugiego pokoju, rozgłośnił radio, przyniósł popielniczkę, postawił ją na stoliku przy tapczanie, z kieszeni spodni wyjął papierosy i zapałki, zapalił, papierosy i zapałki położył przy popielniczce, wolno położył się na wznak, popatrzył z uwagą na wijący się pod sufit dym, zacią-

gnął się jeszcze raz głęboko, starannie zdusił papierosa, okrył się najpierw po piersi, potem pod brodę i zasnął.

Znowu było ciemno, była godzina szósta po południu. Szli obaj wolno przez jasne, kolorowo oświetlone ulice.

— Już niedaleko — mówił gospodarz. — Sto, najwyżej sto pięćdziesiąt metrów. Stary! — roześmiał się nagle — ale miałem tu raz numer! Trochę dalej, tam, za skrzyżowaniem. O, widzisz? — wyciągnął rękę i wskazał duży, czerwono-niebieski neon. — Tam się taszczy my. Ale zaraz, opowiem ci. Tak, to było chyba tutaj! — przystanął i rozglądał się z ożywieniem. — Czerwiec, pierwsza w nocy, ciepło, akurat wyszedłem — machnął ręką w stronę restauracji — i kroczę spacerkiem przed siebie, do domu. Patrę — a tu naprzeciwko, też tak samo spacerkiem kroczą sobie dwie panie od nas. Znałem je z widzenia i wiem, że one też mnie znają. Przyjemniutko mi, że hej! Zastępuję im drogę i pytam: „a wy tu, kurwy, czego szukacie?” I parasolem je, parasolem! Na pewno i po łbach oberwały, a po grzbietach to parasol tylko strzelał!... Nazajutrz obie wcale nie przyszły do pracy, weszylem za nimi po wszystkich zakamarkach, wyobraź sobie tylko, jak wszędzie zaglądam, a jak następnego dnia odnalazłem je... Stary, obłęd! Jedna zaczęła prawie uciekać, ja krok w krok za nią, niby to obojętnie, uciekać nie ma już gdzie, spocona, powietrze tylko chlipie, w oczach prawie szła, myślę — zacząć by ją teraz szczypać, to wyskoczy przez okno albo ruszy jak taran i porozbija sobą wszystkie ściany, a ta druga... Stary, jeszcze lepiej, tej drugiej zostałem właśnie tego dnia oficjalnie przedstawiony z jakiegoś powodu. Patrę jej prosto w oczy i ściskam rękę, ściskam, patrę i widzę że jeszcze trochę, a jak zaraz wrzaśnie, to reszta jej życia będzie już tylko tym wraskiem, pofolgowałem więc babie i tylko przez cały czas patrzyłem jej prosto w oczy. I zaraz, bardzo szybko obie odeszły i przeniósły się gdzie indziej. Chyba nawet zupełnie stąd wyjechały.

— Młode były czy starsze? — zapytał przyjezdny, który słuchając opowiadania gospodarza co chwila parskał śmiechem.

— Takie... raczej starsze. Właśnie tak, raczej starsze. Rozumiesz. Za kilka lat będą to wspaniałe starsze panie pod różnięcie. I oto już jesteście my.

Przyjezdny rozglądał się z zaciekawieniem.

— Ty, tutaj chyba naprawdę można czuć się dobrze. Zaczekaj — spoważniał — objaśnij jeszcze tylko gdzie kible.

— Tędy i na dół. No, chodź już.

Przechodząc przez salę do upatrzonego stolika w rogu, gospodarz wymienił ukłony z dwoma kelnerami.

— Dowiedz się, kurwa, jaką kreaturą czasem bywam — po-

wiedział półgłosem. — Nie raz już tutaj porządnie się schlałem, stawiam wtedy draniom wódę i słowiańskim obyczajem serwuję im na pożegnanie łapuchnę. A na drugi dzień lałbym sam siebie w mordę za tę komitywę. Nawet nie wyobrażasz sobie jak mi to przeskadza, kiedy znów nastrajam się na przyjęcie tutaj. Za chwileczkę, panie Władziu — odprawił kelnera — zawałam pana. Skurwiele! — syknął za odchodzącym kelnerem. — Wyobraź sobie tylko, że oni na pewno uważają mnie za pedała. A ja nie lubię, po prostu nie lubię taszczyć tutaj za sobą żadnej dupy. Zawsze bywam tu albo z kumplami, albo sam. Raz trochę pochlałem, przechodziłem obok i tak mnie spieniły te kudłate podejrzenia, że pędem rozejrzałem się za jakąś szantrapą i przywlokłem ją tutaj. Znałem ją nawet trochę. Pijemy, żremy, a ja przez cały czas miącham ją pod stolikiem. Przyzwoicie się oburza, a potem widzę w jej oczach coraz bardziej wariackie pozycje. Jak ją tu wprowadziłem to gotów byłem skopać ją po kostkach, ale potem... Może to dlatego, że była brzydka. Znasz to przecież dobrze sam. Czuję, że kto tylko spojrzal na nas kiedy wychodziliśmy, to zaraz i jemu zaczęło akuratnie przygrzewać. Uff, ledwo ją doholowałem do siebie. Atawizm, stary, najczystszy atawizm bez najmniejszej domieszki żadnej perwersji. Byłem później zupełnie zdrętwiał, rozumiesz, zupełnie zdrętwiał...

— Tak, tak — wtrącił pospiesznie przyjezdny. — Ja miałem raz coś takiego z konduktorką w pociągu. Wiesz, jaki był początek? Co mnie strzeliło? Miała takie czerwone kozaczki z obcisłymi cholewkami i cieniutkie pończochy. Zdjąć, zdjąć jej te kozaczki i pończochy... Też byłem później jak zupełnie otumaniony.

— Tak... — powiedział po chwili gospodarz. — No dobra, stary, a teraz *ad rem*. Najważniejsze — ile pijemy?

Przyjezdny zastanawiał się chwilę, jakby obliczając coś w myślach.

— Wydaje mi się — odezwał się wreszcie — że najlepiej będzie, jeśli zdecydujemy się na dwa el. Cztery butelki, co? Ja będę się czuł bardzo dobrze, a ty?

Gospodarz zastanowił się:

— Cztery butelki... Cztery butelki... Tak — skinął głową. — Rzeczywiście masz cholerne wyczucie. To coś takiego, jakbyś mając trzydzieści lat dowiedział się, że dożyjesz osiemdziesiątki. Cztery butelki — powtórzył jeszcze raz i zatarł ręce. — Piękna sprawa! Mamy teraz kupę swojego własnego, zabezpieczonego czasu. Zaraz przywołam drania i rozpocznę obstalunek — rozejrzał się za kelnerem.

— No tak — powiedział po jakimś czasie gospodarz i odsu-

nał talerz. — Jestem już w rytmie. Teraz pić, zagryzać albo nie, zależnie od ochoty, ale to jest już rytm. A ty?

— Zaczekaj chwilę — odpowiedział przyjezdny. Zjadł z rozmysłem jeszcze dwa kęsy, zastanowił się i zjadł jeszcze trzeci kęs. — Ja też — skinął głową. — Powinniśmy się teraz napić, co?

— Naturalnie. No i... Stary, chyba chciałbym się czegoś dowiedzieć. Czy o tobie, czy o tym, co u ciebie, cholera zresztą wie. Jasne, że wszystko jest mi wiadome, ale... — Zaśmiał się naraz, zachichotał. — Kiedy cztery lata temu powiedziałeś, że wyjeżdżasz stąd i wyjechałeś, to wszystko było zupełnie w porządku. A dzisiaj patrzę na ciebie i coś mnie aż kole, żeby choć pomyśleć o tobie: „pionier”...

— Co?!...

— Tak jest, stary! — roześmiał się gospodarz. — Wielka bu-dowa, jeszcze większe hasła, chodzisz przez jakiś czas zamyślony, śpisz w ubraniu, przykrywasz się jesionką.

Przyjezdny zakrztusił się śmiechem i chciał coś wtrącić, ale gospodarz ruchem ręki nakazał mu milczenie i ciągnął dalej:

— Tak, tak, a potem pakujesz się, mówisz, że właśnie tam wyjeżdżasz. Na pewno było ci to potrzebne. No a teraz? — uśmiechnął się po chwili i pokręcił głową. — Zupełny, zupełny obłąd! Przecież jakbym widział, jak tam u ciebie jest, jakby zresztą mogło być inaczej, a ciągle tylko pytam i gadam. Ech, kurwa, gdzież ci wspaniali, małomówni mężczyźni i ich czasy?... Napiję się ze dwa kieliszki, a ty?

— Pij pierwszy — jakby ocknął się przyjezdny. — Też napiję się tak samo...

W milczeniu wypili po dwa kieliszki wódki, gospodarz jakby bezmyślnie pogmerzał w talerzu, a potem nalał sobie i wypił jeszcze jeden kieliszek.

— A ostatnio u ciebie co? — zapytał naraz z ożywieniem. — Bo u mnie... Coś mnie napadło, że prawie do wariacji analizuję swoje imię i nazwisko. I wydaje mi się to wszystko tak beznadziejnie głupie, że już gorzej być nie może. Posłuchaj tylko uważnie i spróbuj przemyśleć. Marek Walkiewicz... Marek Walkiewicz... Marek Walkiewicz... No i co? — skrzywił się z niesmakiem. — Jak od faceta z taką kombinacją można już nie tylko czegoś wymagać, ale choćby czegokolwiek oczekiwać? Żeby choć przez jakiś czas nazywać się inaczej, jak ja bym wtedy odżył... Tylko coś takiego udało mi się dopasować, posłuchaj: „dzisiaj, w późnych godzinach wieczornych, senator Marek Walkiewicz...”. Bezbłędne, co? A teraz ty... — zastanowił się. — Piotr Libera... Piotr Libera...

— Na przykład: profesor Libera — wtrącił półgłosem, prze-

ciągle przyjezdny i chciał się roześmiać, ale Walkiewicz przerwał mu:

— Niezłe i niegłupie. Ale — zmarszczył brwi — jakieś takie... Profesor Libera... Profesor zwyczajny Piotr Libera... Niezłe i niegłupie, ale i jakieś takie cholernie smutne i skończone.

— No to niech ci będzie tak: „atak Liverpoolu idzie teraz lewą stroną, piłkę otrzymuje Libera, uważaj — przyjezdny podniósł palec do góry i powiedział dobitnie — Peter Libera i...”.

— O, kurwa... Z bigłem to robisz — powiedział z uznaniem Walkiewicz. — Ale wiesz co, stary? Nie wyczułeś mnie tym razem. Nie wyczułeś, to jednak nie to samo...

— Wyczułem cię — uspokoił go poważnie przyjezdny. — Tylko, że mnie to nie dręczy. Ale posłuchaj, to będzie cholernie ciekawe. Raz w niedzielne popołudnie wyszedłem sobie na taki swój spacer, idę i leniwie odczytuję wszystkie szyldy. Naraz zatrzymuję się i odczytuję ten sam szyld już któryś tam raz, tak samo leniwie. „Gabinet kosmetyczny — Izabella Rossa”. Izabella Rossa... I od razu postanowiłem sobie, że muszę, ale to muszę ją przerznąć! Ki diabeł? Mało tego; prawie jakbym ją miał przed sobą: naturalnie, klasyczna starsza pani, wzrost trochę więcej niż średni, włosy rudawe, ciężkie piersi... I czy ty wiesz, że nie było w tym żadnego, najmniejszego odchylenia?

— A później na pewno też było bezbłędnie? — cmoknął z podziwem Walkiewicz. — I przerznięłaś ją na pewno jeszcze w to samo niedzielne popołudnie?

— A czy taki układ pozwoliłby się odczekać?

— Znam to, stary, znam...

Milczeli przez chwilę obaj. Libera pierwszy uniósł głowę i sięgnął po butelkę z wódką.

— Czas już chyba rozpić to — powiedział. Będzie po całym, potem akurat po troszku i zamówimy już następną.

— Sam Bóg wspomaga rewolucję — skłonił głowę Walkiewicz. — Chlустamy.

Rozleli pozostałą wódkę do kieliszków dopiero wtedy, gdy na stoliku pojawiła się nowa półlitrowka.

— I obowiązkowo po jednym z tej — uniósł nową półlitrowkę Walkiewicz. — A już bezwzględnie muszę przynajmniej nalać. Kropnij, stary — poprosił i uniósł kieliszek: — pijemy za wszystkie samotne nauczycielki i lekarki z małych miasteczek!

Libera upił pół kieliszka, przyjrzał mu się i wypił resztę.

— Zupełnie nic! — powiedział ze zdumieniem. — U ciebie jak miasteczko, to od razu też zmierzch, deszcz i samotne nauczycielki czy lekarki.

— Nic takiego nigdy nie szukałeś?

— Czasami, ale już bardzo dawno, rozmyślałem o czymś takim, jak piłem w podłej knajpie.

— A później?

— Bardzo krótko po wyjściu z knajpy.

— Ja nie w tym sensie...

— Stary! — przerwał mu Libera i roześmiał się. — Wyobraź tylko sobie, że jesteś kochany. No?

— Odpieprz się — powiedział pogodnie Walkiewicz.

— Wypijmy po dwa albo trzy kieliszki za to, że nam się udało — ujął butelkę Libera. — Chcesz?

— Masz rację — pokiwał głową Walkiewicz. Mamy cholernie dużo szczęścia. Ulubieńcy natury i fortuny. Unikalne specjalności, w specjalnościach wybitnie uzdolnieni, za to wszystko ciężki szmal, a za ciężki szmal...

— Powiedzmy — swoboda... — powiedział po chwili Libera.

— Taka swoboda, że prawie mogę jej dotknąć i pomacać. Mogę pierwszy wypić swoje dwa kieliszki?

Wypili drugą butelkę i zamówili trzecią. Potem czwartą. Była już druga po północy, kiedy wstali od stolika.

— Najlepsza chwila do wyjścia — mówił Walkiewicz. — Zaraz zaczną ruszać się i wychodzić, a mnie uśmierca wychodzenie z knajpy, kiedy na sali zaczyna się już przerzedzać.

Ulice były puste, szli bardzo wolno, w milczeniu. Walkiewicz, który od dłuższego już czasu patrzył nieruchomo gdzieś przed siebie, zatrzymał się nagle i zaczął bezgłośnie poruszać wargami.

— Gdzie jesteś? — powiedział wreszcie cicho.

— Co? — Libera, który wyminął go o półtora kroku przystanął, odwrócił się i spojrzał na niego.

— Gdzie teraz jesteś? — powtórzył nieco głośniejszym głosem Walkiewicz. Nadal patrzył nieruchomo gdzieś przed siebie. Jakby drgnął, przeszedł kilka kroków i znów się zatrzymał. — Cicho — powiedział. — Zamknij się...

Postać chwilę, znów uszedł kilka kroków i znów przystanął.

— Gdzie ty teraz jesteś? — powtórzył głucho jeszcze raz. Oddychał ciężko, z przerwami. — Poznałem kiedyś kogoś takiego... — zaczął mówić, nie patrząc na Libera. — Niedługo z nim rozmawiałem. Dwa lata temu, miał wtedy trzydzieści lat, tak, jak my teraz. Powiedział, że wie już wszystko. Było mu bardzo dobrze, rozumiesz? bardzo dobrze. Aż w pewnej chwili wszystko zaczęło odsuwać się. Tak właśnie powiedział — zaczęło odsuwać się. Ruszył się wtedy i on, czy może coś ruszyło go za sobą. Musiał coraz bardziej przyspieszać, bo to wszystko odsuwało się coraz szybciej i szybciej. Pędził już, pędził susami, wyciągał ręce, chciał złapać... Nie mógł, nie mógł, pędził już naprzód razem z tym wszystkim. Uważaj, teraz, kurwa, uważaj! — krzy-

knął rozedrganym głosem. — Przewrócił się razem z krzesłem. Kiedy na nie wchodził, poplątał mu się sznur, kiedy wiązał go na haku, mocno, cholernie mocno zaciskał węzeł i wtedy... stał na krześle i raz po raz mocno naprężał sznur. On mówił — linke. Patrzył, jak się napręża i czuł to. Nie targnął ani razu, tylko mocno naprężał. Potem założył sobie pętlę pod pachy i wolno zsunął się z krzesła. Wisiałem tak, mówił, i coraz bardziej czułem swój ciężar. Podkurczyłem nogi, stanąłem na krześle i zaraz znów się zsunąłem. I jeszcze raz, i jeszcze raz. Chodzisz po ziemi i nie czujesz nic, zupełnie nic. Człowieku, powiedział wtedy, to potęga, potęga poczuć swój ciężar! Oglądałem i dotykałem wtedy sam siebie... Zupełnie nie wiem, kiedy i jak odszedł... — dokończył Walkiewicz znów bardzo cicho. Wstrząsnął się, podniósł kołnierz i szczelnie otulił się jesionką. Powoli przeszedł kilka kroków i naraz znowu przystanął.

— Ty... — zaczął głucho i jakby z wysiłkiem. — Ty, po co ty właściwie przyjechałeś? — Kto cię tu prosił? — Wyprostował się, drżał lekko cały. — Kto cię prosił, żebyś przyjeżdżał? Co ty sobie właściwie myślisz? Że co?! — podnosił coraz wyżej schrypięty, rozedrgany głos. — Przyjeżdżasz i sadzisz się komuś we wszystko! A gówno! — krzyknął i szybko ruszył przed siebie. — Zabieraj się draniu!... — krzyknął znowu i zaczął biec. Zataczał się lekko. — Ścierwo, ścierwo! Po prostu przyjeżdża sobie! Po prostu przyjeżdża sobie! Ech, ty!... Nie biegnij za mną! — obejrzał się i zatoczył mocniej. — Nie pozwalam ci! — Znów zaczął biec. — Wyrzucę przez okno! Na chodnik torbę przez okno! Uważaj, bo i sam skoczę ci na łeb! Na łeb! — kołysał się na boki i starał biec coraz szybciej.

Andrzej ŁUCZEŃCZYK

Kopciuszka przemienić w królową

Tydzień przed Wielkanocą w Crowley walnął grom, a był tym bardziej zaskakujący, że wydarzył się tuż po rekolekcjach, które skierowały nasze myśli w inne regiony. Bo przez uprzednie trzy wieczory crowleyanie schodzili się wieczorem do kaplicy, by w skupieniu wysłuchać Księdza Mgra. Siedzieli zasępieni, jakby posypani popiołem, rozważali bezmiar nieprawości własnych, a jeszcze bardziej sąsiadów, żalowali za nie, i tylko najpobożniejsze z niewiast spod pokornie schylonych czoł strzelały oczyma po bliźnich szukając co by im w tym pokutnym okresie wziąć za złe. Trzeba przyznać, że byli wśród nas tacy, których występki szczególnie kłuły w oczy, toteż na generalnej spowiedzi w sobotę wiele osób wyznawało grzechy cudze. Na niedzielnym kazaniu wytknął to Ksiądz Mgr, oczywiście bez bliższych szczegółów pozwalających na identyfikację, bo byłoby to naruszeniem sakramentalnej tajemnicy. Dodał przy tym, że z okazji świętych rekolekcji doszło do czynów godnych ubolewania, choć płynących poniekąd ze świeżo rozbudzonego obrzydzenia do grzechu. W piątek mianowicie, po ostatniej egzorcie, karząca dłoń spadła niespodzianie na chudą panią Szydłową, co klęczała u przejścia kończąc Akty Strzeliste i bijąc się w piersi, gdy reszta zgromadzonych już ruszyła ławą do drzwi. Stąd wszyscy widzieli jak przechodząc koło niej pani Antoszkowa błysnęła raptem pięścią jak maczuga i z okrzykiem „ty pokrako, Uzbeczko, makutro!” trzasnęła klęczącą w kornie schylony kark że mało twarzą nie padła na ziemię. Nikt nie wiedział czy znów poszło o kury, czy o tę Uzbeczkę, ale wszyscy byli zgorszeni takim zachowaniem w domu Bożym i Żywe Różę natychmiast doniosły o zajściu Księdzu Mgrowi, który już był w zakrystii i niczego nie widział.

Gdy rokowania nie dały skutku, a przeciwnie — gorszycielka stanowczo odmówiła pojednania z poszkodowaną, usunięto ją kar-

nie z Pierwszej Żywej Róży Pań. Stało się to trochę później, na miesięcznej wymianie Tajemniczek, i po przykładowym napiętnowaniu jej od ołtarza — oczywiście nie imiennie, a pod kryptonimem „pewnej osoby zamieszkałej w naszym obozie, na górze koło pałacu”, podczas niedzielnego kazania. Działo się to w dzień generalnej Komunii św. wielkanocnej, w Palmową Niedzielę, gdy dziatwa przyniosła na sumę taką masę kotków, że obozowe wierzby z dala świeciły żałośnie skancerowanymi kikutami. Dużo było z tego zamieszania, bo psotniki umiły sobie godziną egzorcję łaskocąc palmami po nogach i puszczając oczka w modnych najlonach ze strzałką, a także wyciągali je nad głowami wiernych niszcząc fryzury i woalki. Ale zgromadzeni czekali z napiętą uwagą jak też się oberwie tej Antoszkowej, tak że nawet mikołajczyki i skarbowcy wierni przysiedze pogasili papierosy i jeszcze przed Ewangelią weszli tłumnie do świątyni. Antoszkowa, rzecz jasna, przezornie się nie stawiła, więc o niczym nie wiedziała — o tym nawet, że przed „Boże coś Polskę” odmówiliśmy za nią chórem Zdrowaśkę. Odmówiliśmy zresztą bez należytego skupienia, bo właśnie poraził nas świeżo ten grom i inne myśli cisnęły się do głowy.

Było zaś tak: po Ewangelii gromadka ministrantów przysiadła jak stadko gołębi na stopniach ołtarza, a Ksiądz Mgr stanął u balustrady, by jak zwykle rozpocząć od biejących ogłoszeń, których tym razem było mnóstwo ze względu na nadchodzącą liturgię Wielkiego Tygodnia. Najpierw głosił je po polsku, potem po angielsku ze względu na Lichutkową Pamelę i małe Lichutki oraz z kurtuazji wobec kraju, który nam udziela gościny w drodze do Wolnej Polski. I jeszcze był jak zwykle wśród nas gruby Mr O'Brian z wioski ze swą hojnie ubłogosławioną irlandzką rodziną. Z takich względów Ksiądz Mgr zwykł powtarzać ogłoszenia po angielsku, co mu szło jak po grudzie, a jednak nie chciał słyszeć, by to za niego uczynił Heniu Smidowicz pierwszy ministrant. Dziś szło mu jeszcze oporniej, bo jak oddać w tym języku bogaty ceremoniał Wielkiego Tygodnia? Bóg jeden wie czy O'Brianowie i Pamela w ogóle co pojęli, a jak nie, to i lepiej, bo by się może obrazili, że ci cudzoziemcy tak od ołtarza wykpiwają ich jadło. Bo Ksiądz Mgr męczył się próbując należycie wyjaśnić im naturę staropolskiego święconego: że do święcenia przynosi się jajka — ale nie te angielskie z czekolady, *inglisz czoklad egg* od Woolwortha, tylko prawdziwe, od *cziken ko ko ko*. I Boże broń angielskie kiełbaski, *inglisz sosydz*, które są *very bad*: do kościoła przynieść należy *polisz sosydz*, taką od wieprza czyli *pig*, którą sprzedaje Mr Wiewiór, jak jadali nasi ojcowie i Pan Bóg przykazał. Także *bring czercz polisz slit butka, buter, salt* i inne smakołyki. Od tego wyjaśniania oczy tubylców zrobiły

się całkiem okrągłe, a zapalczywy piwosz O'Brian aż poczerwieniał i chyba potem zakazał żonie raz na zawsze brudzić ręce tym złowrogim wiktem z za siedmiu mórz. Stąd nie widzieli jak nasi ludzie jedzą smacznie i wystawnie, a szkoda, bo by skonali z zardzości widząc jak nasze panie niosą do kaplicy zwoje czosnykowych kiełbas, ogromne baby zawdzięczające swą zółciutką pulchność crowlejskim kurnikom, kontynentalne salcesony dostarczone bez punktów przez polskie budy z Manchesteru, punktowe masełko mokrą łyżką uformowane w róże, a nawet całą świńską głowę z pisanką w zębach i bukszpanową butonierką frywolnie zakniętą za ucho, którą pani Bielasowa przywiozła do kaplicy w dzieciennym wózku. Jak co roku świętujący szacowali swą wzajemną wartość po obfitości i wystawności przyniesionego w obrusach jabłka, na które wypuszczali resztki zeszłorocznych oszczędności.

To było jednak dopiero w Wielką Sobotę, gdy z tego gromu zostało tylko hurkocące echo. Teraz zaś Ksiądz Mgr męczy się i krztusi, każąc językowi wypowiedzieć co pomyśli głowa. Nic dziwnego że aż poczerwieniał i widać jaka go ogarnia irytacja. Gdy się wreszcie upora ze święconym, następną wiadomość poda z taką pasją jakby ją potępiał, i to jeszcze wzmóże w nas uczucie szoku. Ze mianowicie w święty związek małżeński mają wstąpić następujące osoby: William Lacy, wyznania anglikańskiego, wdowiec, właściciel ziemski zamieszkały w Dunwell koło Longfordu oraz Pelagia Dyderko, panna, wyznania rzym-kat, studentka nauk sekretarskich, zamieszkała w naszym obozie, i że kto by wiedział o przeszkodach, obowiązany jest pod grzechem ciężkim.

Jezus Maryjo, aż nam dech zapiera i tylko patrzymy po sobie, siedzący z przodka odwracają się do tyłu, a od ołtarza Żywe Róże wiercą wszystkich ślepiami — ze zdumienia i na wszelki wypadek, bo przecież panią Dyderkową mają za prezeskę i jakie tu zająć stanowisko? I zaraz po kaplicy niesie się szept, bo bystrzejsi już zmiarkowali, że to ten stary i piekielnie bogaty farmer, u którego co jesień nasze panie drą chmiel i zbierają jabłka, skąd dobrze wiedzą jaki to wielki pan: jego sady, chmielniki, pola i pastwiska ciągną się jak okiem sięgnąć po zboczach pagórków i przelewają na drugą stronę, Bóg jeden wie gdzie ich koniec. Dom ma wprawdzie stary ale godny, prawdziwy dwór, istna pańska rezydencja. Któżby pomyślał, że ta Pela, to słodkie dziewczę, ta Miss Polonia i królowa balów tak tu przez statecznych ojców rodzin podziwiana, a naszej kawalerce niedostępna — ona, co do trzech nie policzy — nie, to ludzkie pojęcie przechodzi! Jak to nosa drze, nad innych się wynosi, pańskość jej zapachniała! Cóż ona lepszego, w baraku jak ludzie siedzieć nie łąska? A jak teraz Dyderki będą zadzierać nosa, strzeż nas Panie Boże! Zaraz więc każdy wiedział o stu przeszkodach do tego

małżeństwa, głównie majątkowych, i w sumieniu czuł się obowiązany o nich zawiadomić, a także wypomnieć, że narzeczony heretyk, ale cóż — należy wątpić czy zatajenie ich byłoby grzechem ciężkim.

Po ezgorcie, której nikt już nie słuchał, nabożeństwo toczy się zwykłą koleją, wierni posłusznie klękają, wstają i siadają, Beno Zawisza-Kwiczół męczy fisharmonię, a wszyscy myślą tylko o jednym i oczu nie spuszczaają z rodziny Dyderków jakby nic rozsiadłej nieopodal ołtarza. Jest szczególnie irytujące, że tak po cichu wszystko załatwili, ani nikt nie przypuszczał, chytrusy podłe. Tymczasem oni udają, że nic się nie stało, pani Dyderkowa dzwoni różańcem i pękniętym sopranem podejmuje pienia, jej mąż jak zwykle pogodnie się uśmiecha, Pela ma na buzi zwykły wyraz anielskiego zagapienia, a Krysia strzela oczyma po dzieciach. Strach pomyśleć jak te Dyderki będą niemożliwie odstawiać państwo, życie nam do reszty w tym Crowleyu obrzydnie. Nic dziwnego, że po wyjściu ze świątyni lud zbija się w gromadki na ścieżkach i korytarzach, zawzięcie rajcuje i niechętnie rozprasza, choć działwa targa za ręce i kapoty, łąskoce święconymi palmami i coraz nachalniej żąda obiadu. Stąd wreszcie dyskutanci podążają na własne osiedla i tu debatują w mniejszych grupkach, tak że gdy przynaglone sarkaniem mężów i natarczywością dzieci nasze panie wezmą się wreszcie za posiłek, to wyjdzie z niego podwieczorek i nie starczy czasu na niedzielną promenadę. Trudno uwierzyć, że tym razem wszyscy się zgodzili: że kto jak kto, ale oni nigdy by nie sprzedali córki za złoto staremu dziadowi i na dodatek heretykowi, a niektórzy dziwili się obłudnie, że Ksiądz Mgr do tego dopuścił. Co zaś mówiono u państwa Dyderków, gdzie pod wieczór wpadło przypadkiem kilka Róż, tego nigdy się nie dowiemy, ale nazajutrz obie Żywe Róże Pań wyjaśniały w sklepiku, na placu i w autobusie stanowisko prezeski. Okazało się, że postanowiła poświęcić córkę — strasznie zresztą zakochaną — dla nawrócenia zięcia, który wierze katolickiej jest bardzo przyjazny i wychrzci się we właściwym czasie z wielkiej miłości do Peli. No i ślub będzie oczywiście katolicki, udzieli go Ksiądz Mgr, a potomstwo wychowa się w prawdziwej wierze. Ten William to świata za Pelunią nie widzi i cały czas ją obsypuje prezentami.

Po takich wyjaśnieniach tylko najzłośliwsze panie wyśmiewały się, ale dyskretnie: że jakie tam potomstwo, skoro pan młody starszy pewno od teścia, siwy i przygarbiony, a przy tym w nogach sztywny jak bocian, pewno mu *remantyzm* kości wykreczał — jednym słowem przykład zgłupienia na starość. Ale była to marna dla nich pociecha w zestawieniu z ogromnym majątkiem, który Pela tak lekko zagarnie, by od codnia chodzić we futrach i jeździć limuzynami.

A ona sama? Co kalkulowało się w ślicznej główce Miss Crowley, tego i poeci nie odgadną. W każdym razie już teraz jest przykładem wszechmocy Sakramentu Małżeństwa, że jak się ożeni, to się odmieni, a czasem jeszcze wpięrw. Bo w tych gorączkowych przedślubnych tygodniach Pela o wiele mniej czasu spędza przed lustrem, a za to po raz pierwszy w życiu zainteresowała się co się robi w kuchni. Matka z radosnym zdumieniem patrzy na tę odmianę, gdy pod jej nadzorem Pelunia owinięta w wielki fartuch obiera, sieka, smaży i gestuje, aż kwaśna kapusta i prażona cebulka rozlegają się na całe osiedle — oto jak poważnie narzeczona szykuje się do odmiany stanu. Mr Lacy wprawdzie zapowiedział, że w domu jest gosposia i sprzątaczką dochodzi ze wsi, tak że młoda żonka nie będzie musiała brudzić sobie rączek i wystarczy, że ozdobi sobą jego samotne dotąd domostwo. Ale Pela słyszeć nawet nie chce, nigdy nie zrezygnuje z obowiązku żony, którym jest karmić męża smacznie i obficie. Słuchając tego stary farmer topnieje ze szczęścia i wcale nie budzi w nim wątpliwości zastanawiający fakt: że narzeczona całą uwagę skoncentrowała na opanowaniu receptury wyłącznie słowiańskich potraw tak angielskim gustom przeciwnych, a szczególnie tych, które samym aromatem wpędzają tubylców w niestrawność i osłupienie: kwaśne barszcze i bigosy, kapuściane pierogi, mleko kwaśne i wszelka tłustość wieprzowa manchesterską słoniną po wierzchu kraszona. Bo Pela ma w tym chyba jakieś kalkulacje i wieść niesie, że zwierzyć się z nich miała przyjaciółce, Tosi Jabłkowskiej, ledwo ta przybyła na ferie do domu. Śliczna i zarumieniona, błyskając ognistym na paluszku brylantem, wyjaśnia Tosi, że choć poświęca się dla jego wielkiej miłości, to jest w tym głębszy sens. Majątek ma ten William pokazy, bez żadnych długów i spadkobierców, bo jedynaka stracił na wojnie. Jak ona go weźmie w opiekę i zacznie opychać słoniną, kwaśnym mlekiem i kiszoną kapustą, to tam-tego i ona zostanie z całym bogactwem, a wtedy weźmie sobie młodego i przystojnego, niechby był i ubogi. To dopiero pożyje! Z tym wyznaniem zostawia romantyczną Tosię pośrodku korytarza, niemą i zgorszona — któż by się czegoś takiego po Pelci spodziewał!

Tak mija Wielkanoc, podczas której ujrzelśmy po raz pierwszy w Crowleyu pana Lacy. Pięknym samochodem przybywa do państwa Dyderków na święcone i tu ma chyba przedsmak czekających go kuchennych rewelacji. Bo jest to dom po staropolsku gościnnie, słynący nie tyle z przymusowego pojenia (bo i za co?), co karmienia gości na *prynukę*, z nakładaniem siłą na talerz i podbijaniem uwagami, że co pan tak gardzi naszą gością. Co się teraz działo, tego nikt z nas nie widział, ale musiało być jeszcze serdeczniej. Przyjmowano przecież takiego bogacza i wkrót-

ce członka rodziny, niech widzi, że my nie od sroki i jak ludzie potrafią jeść i porówna z nędzną angielską kuchnią! Później w pralni pani Dyderkowa opowiadała, że ten William to swój człowiek, może sobie być Anglik, ale zre jak nasz i patrzy co by jeszcze zachapać. Czegóż to się nie robi z miłości! Naturalnie pani Zadrozna i Sitaczka z Burlejką (nazwane przez profesora Opinia Publiczna) zaraz poniosły na Crowley, że pan młody, ślubu nie doczekawszy, życiem to święcone przypłaci albo nawieje póki czas, ale nic podobnego się nie stało i wkrótce po Wielkanocy, która była słoneczna, jakby samo niebo sprzyjało zakochanym, w longfordzkim kościele rzymsko-katolickim odbył się okazały ślub crowlejskiego Kopciuszka z ostatnim potomkiem wielkiego rodu Lacy, który przybył tu przed wiekami z Williamem Zdobycą, i choć potem rozrodził się i zszedł między zwykłe ziemianstwo, to w żyłach jego płynęła lepsza krew, niż w wielu lordowskich. Możemy jednak rzecz śmiało, że o tym aspekcie swego zamążpójścia Pela nie myślała, gdy wsparta o ojcowskie ramie płynęła do tonącego w białym kwieciu ołtarza, spowita w śnieżne tiule i koronki — śliczna i świeża jak wiosenny obłok. Aż żalność ogarniała obecnych tu mężów Żywych Róż, którzy przez ubiegłe lata adorowali ją tak bezinteresownie i nieraz nakładali jej na balach koronę Miss Crowley. A pana młodego trudno było poznać, tak odmłodził i wyprostował się jak na paradzie i, gdyby nie siwe wąsiska, świetnie by się prezentował w czarnej jaskółce z goździkiem w klapie i z eleganckim szarym cylindrem pod pachą — był to bowiem ślub pierwszej kategorii, Ksiądz Mgr błogosławił ich związek, organy grzmiały triumfalnie i kościół był wypełniony więcej niż w połowie.

Była to pierwsza w dziejach Crowleyu okazja masowego zbratania tubylców ze Słowianami, aczkolwiek bez możliwości porozumienia. Słowian nie było zresztą wiele, bo wszyscy zmieścili się w jednym autobusie: dwie Żywe Róże Pań z mężami i dźwiatwą. Panie były wystrojone z weselnym szykiem, panowie na ciemno, a dźwiatwa niczem barwne motyle, które roją się gdzie nie posiał a hałasliwie chcą albo nie chcą. Ale liczbą przytłoczyli crowleyan Anglosasi i Celtowie, którzy zjechali z całej Marchii, naturalnie bez dźwiatwy. Ich zdrowa cera, świadcząca o zażyłości z przyrodą, zdradzała sfery farmersko-ziemniańskie. Ubrani byli wystawnie, a szczególnie panie zwracające uwagę burzą wiosennych kolorów, „szyjkami” z drobnych czworonogów o flakowato wiszących łapach, nadmiarem biżuterii i wielkanocnymi kapeluszkami z kwiatków, pianek i falbanek. Z ledwo ukrytym przestrachem obserwowali wrzaskliwe korowody młodego Crowleyu i przezornie usuwali się pod ściany. Pytano potem panią Dyderkową kto zaczął, ona zaś odpowiadała bezradnie: — Pani, taż nawet Pelunia ich

nie zna! — co świadczyło o szerokich stosunkach pana Lacy. Tak więc te dwa obce sobie światy zgrupowały się po dwu przeciwnych stronach rozdzielonej bufetem sali Pod Mitrą Biskupią, i ponad nim jak zza barykady obmacywały się wzrokiem: crowleyanie ponuro, tubylcy z przepisowym uśmiechem, a jakie za nim kryli poglądy na ten mezalians łatwo zgadnąć. O konwersacji oczywiście nie było mowy, no bo jak? Wprawdzie bardziej wyrobieni towarzysko Anglosasi zagadywali niekiedy Słowian, że piękną mamy pogodę, nieprawdaż?, na co ci skwapliwie kiwali głową, ale na tym urywały się kontakty.

Osobliwe było to przyjęcie w zwierciadlanej sali Mitry Biskupiej. Crowley długo wydziwiał potem i sarkał, bo oglądał coś takiego pierwszy raz w życiu. Zamiast ustawionych jak należy w podkowę stołów, gnących się pod ciężarem wszelakiego jadła, pośrodku stał długi bufet, goście obsługiwali się sami i odszedłszy na bok stali lub siadali wedle gustu. Na bufecie ustawiono kilka tac małych kanapek pięknie garnirowanych rzodkiewką, sałatą i — strach powiedzieć — gotowanym buraczkami, że to spojrzeć ładnie i połkniesz jak aspirynę. Było też troszkę pierożków z angielskimi kielbasami, o których Crowley twierdzi, że je robią z rozmoczonych gazet i czerwonej farbki, kilka tacek biskwitów, parę miseczek solonych orzeszków i kartoflanych płatków, oraz bajecznie kolorowe galaretki, o których każdy wie, że to farbowana woda i nie ma na co lecieć. Wszystko zaś przytłaczał wielki jak baszta tort weselny biało lukrowany i z iluś-tam pięter na gipsowych kolumnkach, przybrany w różne śliczności: podkowy, kwiatki, dzwonki i całujące gołąbki. Wyglądał imponująco i można było liczyć że się wreszcie sobie na nim odbije, skąd większe było potem rozczarowanie. Młoda para kroїła go ceremonialnie i częstowała gości, z czego wiele było dla tubylców zgorzienia, Słowianie bowiem uznali ten przysmak za glinę, obgryzali lukrowane boki, a resztę rzucali gdzie popadło i nawet zwykła zachęta, że w Rosji by ci smakowało, nie skłoniłaby ich do uczciwej konsumpcji — całkiem jakby młodym źle zyczyli. Nic dziwnego, że później w Crowleyu sarkano a wydziwiano, że na takim weselu zdechniesz z głodu, jeśli się wpierv w domu porządnie nie najesz. A Burlejka z Sitaczką głośiły całkiem otwarcie, że by skończyły ze wstydu, gdyby to było wesele ich córki.

Z napitkami było nieco lepiej, ale tu ilość przyćmiła niestety jakość. Te ich różne wińska, to siły w nich co w zdechłym kocie, więc nikt się nie dziwił, że prezes Sitak odszedłszy w kącie wykaraskał z kieszeni flaszkę Smirnoff Vodka, fachowo wybił korek i raczył się godnie, a szyję obtarłszy mankietem częstował całkiem otwarcie przyjaciół i na koniec wznosił resztką zdrowie młodych, na co kilka pań zakrzyknęło bez przekonania, że kwaś-

ne wino, aż tubylcy zaruszali się niespokojnie, choć nic się więcej nie stało. Z tego wszystkiego crowleyanie nie słyszeli weselnych oracji, a zresztą i tak by nie pojęli co mówił drużba oraz pan młody dziękujący teściom za swe szczęście. Po nim tubylczy *savoir vivre* wymagał oracji ojca młodej i Pela przygotowała widać pana Dyderkę, bo podniósł się z ociąganiem, po swojemu uśmiechnięty i zażenowany, wyjąkał że *very najs* i *tank ju ol*, na co pod przewodem zięcia Celtowie i Sasi dali rześiste brawa, wybawiając go miłosiernie od dalszej udręki.

Żeby niczego nie pominąć, wspomnieć jeszcze należy o wystawie ślubnych darów rozłożonej na stołach pod ścianą, każda rzecz z etykietką wymieniającą ofiarodawcę. Oglądano gromadnie, z okrzykami zachwytu, kolekcję elektrycznych czajników, budzików, serwisów do herbaty, dziwacznych przyrządów barowo-koktajlowych oraz olbrzymie pudło wysłane błękitnym aksamitem i napełnione mnóstwem przeróżnych sztucców. Crowley szczególnie na nie sarkał, bo wiadomo: zjeść zawsze potrafisz, żeby tylko było co. Ale zagadywany przez uśmiechniętych tubylców, szczerzył zęby i basował, że a jakże, *very najs*. Tak hojnie wykwipowana Pela wstąpiła na nową drogę życia, choć używać to wszystko zaczęła później, wróciwszy z miodowej podróży do Blackpool.

Na zakończenie trzeba jeszcze dodać, że po powrocie do starego dworu w Dunwell nowożeńcy żyli długo i szczęśliwie. Pela zajeżdżała do rodziców samochodem, odziana w futra i biżuterie, co niemożliwie psuło krew naszym paniom. Bo też nic tak nie prowokuje zawistnych jęzorów jak widok cudzego szczęścia i stąd chyba po Crowleyu chodziły jadowite ploty, że tak naprawdę, to ta Pela jest zrozpaczona, bo temu Williamowi wcale nie w głowie osierocić młodą żonkę wraz z majątkiem. Na tych barszczach, bigosach i kwaśnym mleku nie tylko nie pojechał do wieczności, ale odmłodził i nabrał takiego wigoru, jakby mu parę dekad spadło z karku i nawet wąsy przyciął i uczernił. I nic tylko wbija w krzyże co żona na stole postawi, bo z jej rączek nawet trucizna byłaby słodka, a nawet woła o jeszcze. Taka to błogosławiona siła mieszka w naszym jadle i jemu przypisujemy, że w przystojnym czasie Pela powiła słowiańskiego dziedzica nie tylko imienia starożytnego rodu, ale przede wszystkim tych pól, pastwisk, sadów i chmielników szeroko rozsiadłych po wzgórzach Marchii, a także dochodowych kamienic w Bristolu, placów w Cardiffie, akcji i inwestycji, wszystko zaś czyste jak iza i bez innych spadkobierców.

A myśmy tam byli, obgryzali lukier z tortu i to wino pili, po brodzie kapało, kapało...

Archiwum polityczne

Z okazji VII Zjazdu PZPR

(ARTYKUŁ DYSKUSYJNY)

Walka frakcyjna w PZPR przerodziła się w „zmagania” klik, koterii i grup walczących już tylko o swoje małe wpływy i interesy. W partii nie ma w istocie różnic ideowych w ścisłym tego słowa znaczeniu. Rosjanie pomogli Gierkowi zlikwidować przeciwników. Na dobrą sprawę nie istnieje zarówno dawne skrzydło liberalne jak i nacjonalistyczne. Wszyscy, których nie usunięto z aparatu i władz partyjnych, śpiją na jedną nutę i rozdrapują między siebie sukno Rzeczypospolitej. Najbardziej widać to w przemyśle, w którym każda branża prowadzi walkę przeciw pozostałym, polegającą przede wszystkim na przechwytywaniu środków inwestycyjnych, a głównie kredytów zagranicznych. „Dynamiczny rozwój” — główne hasło VII Zjazdu PZPR — realizowane jest w bezwzględnej walce różnych gałęzi gospodarczych. Nie ma ono nic wspólnego z planowaniem w skali ogólnopństwowej. Środki inwestycyjne dostaje ten, kto jest silniejszy politycznie. Rozwój gospodarczy oparty o olbrzymie kredyty zagraniczne nie jest w gruncie rzeczy centralnie koordynowany i prowadzi do nieuchronnych dysproporcji i musi skończyć się załamaniem. Tak zwane WOG'i czyli Wielkie Organizacje Gospodarcze stały się koncernami branżowymi, ale zarzucono w nich zamierzone reformy gospodarcze. Wyniki ekonomiczne WOG'ów są oceniane nie na zasadzie rzeczywistego zysku, ale produkcji ilościowej. Produkcja wzrosła zaś tak dalece, że nie sposób dostosować do niej systemu płac. Spowodowałyby to wielokrotny wzrost inflacji, będącej i tak najbardziej niepokojącym zjawiskiem ekonomicznym. „Dynamiczny rozwój” za obce pieniądze realizowany jest bez reform, kontroli i sensu i musi skończyć się nieuchronnym załamaniem. Dlatego ważny jest nie VII Zjazd partii, ale to co stanie się w kraju w ciągu roku po Zjeździe. Głęboki kryzys ekonomiczno-polityczny wydaje się nieunikniony. Błędna polityka rolna, przede wszystkim zbyt małe podniesie-

nie cen skupu, aby mogły być interesujące dla chłopów, powodują już fatalne zaopatrzenie w żywność i wszystko wskazuje na to, że sytuacja ta będzie się pogarszać. *Krótko mówiąc — Polsce grozi głód.*

Należy traktować to dosłownie. Nie ma w tym cienia przesady. Pieniądze, znajdujące się w posiadaniu ludności, głównie w PKO, stanowią zmurę dla kierownictwa gospodarczego. Nie tylko sklepy żywnościowe, ale także domy towarowe z artykułami przemysłowymi są puste. W Warszawie wprowadza się gaz ziemny, a odpowiednich kuchenek gazowych nie można kupić, chyba, że da się sowiłą łapówkę ekspedientce. Przed sklepami meblowymi ludzie ustawiają się w kolejkach o 2-3 rano i sprzedają swoje „miejsce” w kolejce za 500 złotych. Często brak jest nawet wódki wyborowej, co w PRL'u uchodzi za zupełną ostateczność. Tego nigdy nie brakowało.

Partia jest przerażona i zdeorientowana sytuacją gospodarczą. *Zwolna dociera do świadomości kierownictwa gospodarczego, że Gierek chciał za dużo naraz. Zamierzał jednocześnie dynamicznie rozwijać przemysł i podnosić stopę życiową. Oddechu, a raczej obcych pieniędzy, starczyło na cztery lata, w piątym zarysowało się załamanie, w szóstym jest ono nieuchronne.*

Kierownictwo PZPR widzi wyjście w drastycznej reformie cen i płac. Od 1 stycznia 1976 roku ceny materiałów budowlanych wzrosną przeciętnie o 70 %, a drzewa o 100 %. Samochody będą droższe o 30-40 %. Wszystko to oznacza totalną klęskę Gierka, który obiecywał, że podniesie stopę życiową, stworzy nową politykę rodzinną i mieszkaniową i udostępni motoryzację szerokim klasom.

Ceny podstawowych artykułów żywnościowych też pójdą w górę, ale tu — w oparciu o „doświadczenia” z grudnia 1970 roku — zastosuje się taktykę bardziej elastyczną. Zmiany będą stopniowe, częściowo ukryte, a zresztą są one od kilku miesięcy po cichu wprowadzane. Zmiany cen będzie się też „konsultować” z załogami większych zakładów pracy. Oczywiście podwyżki płac nie zrównoważą zwyżek cen. *Polska w przyszłym roku zdecydowanie „umocni” swoją pozycję państwa o najniższej stopie życiowej wśród tzw. Kadełków, czyli krajów bloku wschodniego.*

Gierek doskonale zdaje sobie sprawę z tych wszystkich faktów. Ale jest bezradny. Jedyne wyjście widzi w obciążaniu słabych i uprzywilejowaniu silnych. Słynny gierkowski podatek od wzbogacenia stał się zwykłym gangsterstwem gospodarczym. Zrujnowano tysiące ludzi, którzy coś zbudowali i zaoszczędzili. W Zakopanem ludzie sprzedają domki, które sobie pobudowali, by zapłacić podatek od wzbogacenia. Rzemieślnicy likwidują większe warsztaty. Badylarze i właściciele szklarni są zagrożeni. Inicjatywa prywatna przestaje się opłacać. Znane są liczne zawały serca, a nawet samobójstwa w wyniku działalności władz podatkowych. Opłaca się tylko pić. To jedno okazało się w PRL najmniej niebezpieczne dla zdrowia.

Równie wymowne jak niszczenie słabych, jest ustępowanie

silnym, to jest załogom większych zakładów pracy. Panuje bowiem paniczna obawa przed strajkami, przestojami czy rozruchami. Wobec tego w stołówkach wielkich kombinatów mięso jest sześć razy w tygodniu. W sklepach nie ma go w ogóle. No, powiedzmy — z wyjątkiem kilku dni przed Zjazdem partii i przed Bożym Narodzeniem. Oto swoisty hołd dla marksizmu i katolicyzmu jednocześnie, lub raczej, jeszcze jeden przejaw strachu przed masami, widoczny na każdym kroku. Silni nie dadzą się jednak zwodzić bez końca. W wypadku głębszego załamania makroekonomicznego, które w świetle przytoczonych faktów uważam za nieuchronne, czynne wystąpienia większych skupisk robotniczych są także nie do uniknięcia.

Robotnicy nawet dostając mięso w stołówkach fabrycznych, czy kupując je w zamkniętych kantynach wewnątrz-zakładowych, odczuwają braki we wszystkich innych dziedzinach i znają braki zaopatrzenia innych kategorii ludności. Ferment rośnie. W tej chwili ma on jeszcze formę podkpiwania z partii i jej — obrażających poczucie godności wszystkich myślących ludzi — zapewnien, że „byczo jest”. Ale napięcie nawet z drobnego powodu, dotkliwie godzącego w jakąś część klasy robotniczej, może łatwo przerodzić się w stan zapalny i wybuch.

Partia świętuje w tej atmosferze VII Zjazd, który przejdzie do historii, jako swoisty szczyt politycznego zakłamania i obłudy. Już na dzień przed otwarciem Zjazdu pewne jest, że niewiele poza nieistotnymi personaliami może się zmienić. Przede wszystkim ze względu na sytuację gospodarczą, nad którą partia nie panuje, a po wtóre na sytuację w Rosji, która jest niejasna. Breżniew nie spieszy się z ustąpieniem, ale powszechnie wiadomo, że kres jego rządów tak czy inaczej zbliża się. Komuniści polscy plują sobie w brodę, że muszą robić VII Zjazd przed kongresem partii sowieckiej. Ale wcale nie jest powiedziane, że Breżniew ustąpi już na tym kongresie. Przełomy polityczne w świecie komunistycznym nie dokonują się na zjazdach i kongresach partyjnych. Są one zazwyczaj wynikiem spiętrzonych trudności gospodarczych i powstających na tym tle konfliktów i zmian w układzie sił w kierownictwach partyjnych. Taka sytuacja zarysowała się właśnie zarówno w partii polskiej, jak i sowieckiej, ale nie zjazdy i kongresy doprowadzą do zmian. Najpierw musi nastąpić zachwianie równowagi wewnątrz partii. A ten moment w Polsce jest najściślej związany ze zbliżającym się załamaniem gospodarczym, które na ogół przewiduje się w roku przyszłym, ale może odwlec się przez jakiejś przypadkowe koniunktury eksportowe, na które liczy Gierek. W przyszłym roku ruszy większość zbudowanych w tej pięcioletce zakładów produkcyjnych i Gierek chce eksportem ich produkcji pokryć zarówno potrzeby konsumpcyjne kraju, jak i konieczne już spłaty kredytów. Czy jednak będzie to możliwe w warunkach utrzymującej się depresji ekonomicznej na Zachodzie? Rzeczywiście udział krajów zachodnich w obrotach naszego handlu zagranicznego wynosi ponad 50% co jest pewnym ewenementem wobec rosnącej jednoczesnej poli-

tycznej i kulturalnej sowietyzacji Polski. Ale koła ekonomiczne w kraju przewidują, że Zachód nie dostarczy nam rynków zbytu na wytwory nowo zbudowanych fabryk. I wtedy pozostanie tylko możliwość przekazania tej produkcji na zawsze chłonny rynek wschodni. Nie da to Polsce niezbędnych dla spłacania kredytów i importu żywności walut twardych, zaś uzależni ją gospodarczo jeszcze bardziej od Wielkiego Brata. „Dynamiczny” ale nie harmonijny rozwój prowadzi kraj na krawędź katastrofy. Trudno opanować w tej sytuacji oburzenie i zdumienie wobec głupoty zachodnich komentatorów, podziwiających burzliwy rozwój Polski.

W Warszawie ważna i dramatyczna jest sytuacja gospodarcza, a nie zbliżający się Zjazd partii. W partii trwa impas, polegający na niemożności jakichkolwiek zmian i demonstracyjnej ingerencji sowieckiej w wewnętrzne sprawy polskie.

W partii nie ma skrzydeł i jawnych tendencji odśrodkowych, ale są ludzie, którzy do niedawna tendencje te reprezentowali. Teichma i Kępa, Kraśko i Olszowski, Rakowski i Wojna mówią te same frazesy, choć nie myślą tak samo. Przyjęli narzucony przez Rosjan uniformizm polityczny, choć nikt nie ma wątpliwości, że w istocie dzielą ich głębokie różnice. Różnice o których chwilowo żaden z nich nie waży się mówić. Łączy ich wszystkich gorączkowa chęć odcięcia się od Szlachcica i wszystkich tych, którzy nie zdążyli w porę od niego odskoczyć. Szlachcic jest jedynym członkiem kierownictwa partyjnego, który nie został wybrany delegatem na VII Zjazd partii. A wybrano Moczara. Opinia uznała to jako obciążenie Szlachcica odpowiedzialnością za słynne pożary warszawskie. Być może jest to wytumaczenie zbyt proste i pochopne. Ale pozostaje faktem, że silna liczebnie opozycja przeciw Gierkowi wewnątrz partii składa się z ludzi Szlachcica, z tysięcy aktywistów, którzy stracili posady w wyniku reformy administracji.

Ci jednak przegrali już z kretesem i bezpowrotnie. W wypadku zmian na Kremlu lub zaburzeń wewnętrznych w kraju szanse mają tylko ci, którzy utrzymali się w partyjnym *establishment*'cie. Rosjanie wystawili w przededniu VII Zjazdu *carte blanche* Gierkowi, wydając z wielkim szumem w Moskwie książkę ze zbiorem jego przemówień z ostatnich pięciu lat. Grupa ludzi oddanych Gierkowi nie jest jednak tak liczna, by mógł panować bezspornie nad sytuacją w partii. Dlatego Jaroszewiczowi wyznaczono rolę nadzorca i wyreżyserowano rywalizację między tymi dwoma panami, przybierającą nieraz rozmiary wprost humorystyczne. Polska ma w chwili rozpoczęcia Zjazdu aż dziewięciu wicepremierów. Niektórzy z nich z całą pewnością odejdą, przede wszystkim Szlachcic. Ale dwóch zostało dopiero co mianowanych: Gierek wprowadził do prezydium rządu swego człowieka jeszcze z Katowic, skądinąd inteligentnego ekonomistę — Pykę. Jaroszewicz dla równowagi, przeforsował na wicepremiera — Wrzaszczyka. Jest to jeden z typowych manadżerów partyjnych, którzy z brutalnością zagarniają środki dla swojej branży, nie troszcząc się o resztę. Wrzaszczyk stworzył w ten spo-

sób przemysł samochodowy w Polsce. Aktyw gospodarczy orientuje się jednak świetnie, że nie jest on zdolny kierować planowaniem w skali ogólnopaństwowej. Dlatego większość kompetencji Komisji Planowania przeniesiono do różnych działów prezydium rządu. Wszystko to razem sprawia, że rośnie zamieszanie dające wolną rękę brażowym gangom gospodarczym.

Gierek wielokrotnie zadawał sobie trud dementowania wobec aktyw partynego różnic między nim a Jaroszewiczem. Demonstracyjnie podkreślał, że są po imieniu i w przyjaźni. Aktyw gospodarczy wie jednak dobrze, że to nie Gierek i Szydłak, ale Jaroszewicz doprowadzi łądo rezygnacji z planowanych reform gospodarczych, narzucił „dynamiczny rozwój” w dziedzinach najważniejszych dla Rosjan, lub wreszcie nakazał podwojenie drażńskiego podatku od wzbogacenia. Dla Polaków „Piotruś” Jaroszewicz jest dziś tym, kim był kiedyś „Kostia” (Rokossowski) — nadzorcą sowieckim. Nie zmieniają tego żadne uściski ani zaprzeczenia. Ludzie obserwujący rzecz z bliska, do których należy autor tych słów, wiedzą dobrze jak jest w rzeczywistości.

Na czym polega siła Jaroszewicza, pozwalająca mu w dużej mierze dyrygować Gierkiem. Po pierwsze powolni mu są wszyscy agenci sowieccy w aparacie partyjnym i państwowym. Po drugie z Jaroszewiczem sprzymierzili się wszyscy dawni Moczarowcy, którzy zdążyli odskoczyć od Szlachcica w chwili jego klęski. Ci dawni szermierze nacjonalizmu komunistycznego przescigają się w tej chwili w uległości wobec Rosjan, w dogmatyzmie i absolutnym posłuszeństwie wobec „towarzysza Piotra”.

I w ten prosty sposób, sprawujący formalnie władzę Gierek i jego ludzie, są kontrolowani przez nadzorcę sowieckiego, mającego potężny wpływ w aparacie w osobach dawnych nacjonalistów. Do najbardziej znanych popieczników Jaroszewicza z tej ostatniej grupy należą tacy ludzie jak Olszowski, Kępa, Kania itp. Wiele mówi się, że ludzie ci utrzymują się po VII Zjeździe w kierownictwie partyjnym, ale Gierek zmieni im funkcje i nieco ograniczy zakres wpływów — nawet formalnie ich awansując. Być może tak, być może nie. W sumie nie ma to większego znaczenia. W wypadku zmian na Kremlu lub niepokojów w kraju i tak nastąpią w PZPR bardzo głębokie przegrupowania.

Najbardziej charakterystycznym zjawiskiem w partii jest przebijanie się wzwyż ludzi bardzo młodych, którzy z całą bezwzględnością chcą wygnać starszą generację. Ci zimni neandertalczyki osiągną swój cel. Bohaterowie lat sześćdziesiątych rezydujący obecnie na szczytach PZPR być może nie czują się zmęczeni i nie opuścili ich wygórowane ambicje. Rosjanie patrzą im jednak nieufnie na ręce, nawet jeśli występują się Jaroszewiczowi. Ich nacjonalistyczne ciągoty nie zostały w „Kraju Rad” zapomniane. W społeczeństwie zaś ludzie ci budzą wprost odrazę. Trudno zapomnieć Kępie pałki spadające na głowy polskich studentów w 1968 roku i antysemitki sabat czarownic w Sali Kongresowej. Olszowski marzy, żeby zostać kiedyś następcą Gierka i być może

na VII Zjeździe uda mu się podnieść wartość swoich akcji, ale bardzo trudno jest wyobrazić sobie dawnego czołowego Moczarowca na czele „internacjonalistycznej” partii. Ci co byli w Hel-sinkach widzieli, że Breżniew nawet się z nim nie przywitał. Olszowski musiał zadowolić się uściskiem dłoni Gromyki. Najbardziej tajemniczy ze wspomnianej trójki — Kania, stanowi dziś potęgę w partii i państwie. Podlega mu wojsko, bezpieczeństwo, administracja państwowa, służba zdrowia, bardzo ostatnio potrzebna straż pożarna i polityka wyznaniowa. Do wpływów tych doszedł absolutnym posłuszeństwem wobec każdorazowo najsilniejszej grupy partyjnej. Był człowiekiem Moczara i Szlachcica. Jest człowiekiem Gierka, Jaroszewicza i Piłotowicza. Ma tylko jedną wadę, uniemożliwiającą mu stanie się prawdziwym przywódcą politycznym. Jest policjantem i manipulatorem, ale nie ma poglądów, nigdy nie zaryzykuje swojej kariery, a bez tego nawet w komunizmie nie można zostać politykiem. Kania zostanie więc policjantem, niezależnie od formalnych funkcji przez siebie pełnionych.

W tej, jakże smutnej, sytuacji na wice-wodza, pół-formalnego zastępcę Gierka wyznaczono najbardziej bezbarwnego personalnika partyjnego — Edwarda Babiucha. Jest to postać nieco żałosna, choć ma swoje zalety. Ostatecznie to Babiuch, jako kierownik Wydziału Organizacyjnego w partii wylansował Gierka na szefa w grudniu 1970 roku. Wygrał dla niego VI Zjazd partii. Wyśmienity facet, tylko nigdy nie wypowiedział ani jednego własnego zdania i ani jednej oryginalnej myśli. Z tego właśnie powodu jest zapewne najmilszy nie tylko Gierkowi, ale i Rosjanom. Dlatego zepchnął na dalszą pozycję, będącego bądź co bądź jakąś indywidualnością (choć nie bardzo sympatyczną) Jana Szydłaka. Babiuch jako człowiek Nr 2 w PZPR odzwierciedla kapitalnie jej stan, jej upadek ideowy i intelektualny, dominację zakulisowej manipulacji i dogmatycznej ortodoksji połączonej z bieżącym pragmatyzmem. *W dniu swego VII Zjazdu partia jest bez ideologii i programu, nie ma prawdziwych popularnych przywódców, jest zdalnie sterowana z Moskwy i stoi w nadchodzącym roku wobec rosnaących trudności gospodarczych, które mogą skończyć się jakimś nieobliczalnym wybuchem.*

Obraz zaiste nie do pozazdroszczenia. Zna go każdy, choć trochę myślący człowiek w kraju. Toteż obłudne próby oszukania społeczeństwa propagandą radosnego samozadowolenia wywołują odbiór akurat odwrotny od zamierzonego. Pogarda partii wobec społeczeństwa wywołuje wzajemne uczucie pogardy wobec partii. Zaiste komunizm polski upadł tak nisko, że niżej chyba upaść nie można.

Ale, jak wiadomo, państwo komunistyczne w ramach kolonialnego systemu sowieckiego nie może zbankrutować. Jeśli więc dojdzie do nieuchronnego załamania polityczno-gospodarczego, koszta zapłaci znów społeczeństwo. Naturalnie przede wszystkim — przez obniżenie stopy życiowej lub utratę dotychczasowych

relatywnych zdobyczy. W kraju uważa się to za oczywiste. Panuje tylko obawa, żeby znów nie trzeba było płacić ceny krwi polskiej.

Warszawa, 8 grudnia 1975

(Artykuł nadesłany z kraju)

Korespondencja z Rzymu

PRZECIW PRÓBOM SPYCHANIA DO OPŁOTKÓW

„Naród, który nie szanuje swych korzeni staje się lotnym piaskiem”.

bp Ignacy Tokarczuk

Jednym z głównych odcinków frontu na jakim Kościół w kraju walczy nie tylko o własne istnienie, ale zarazem o przetrwanie i rozwój chrześcijańskiej kultury narodowej, jest kształcenie wykwalifikowanej kadry duszpasterzy, pedagogów i naukowców. Partia od dawna podejmuje zabiegi by obniżyć poziom wykształcenia przyszłych wychowawców katolickich. Nie mogąc uzyskać stopnia naukowego katecheci są — a w przyszłości będą jeszcze bardziej — dyskryminowani i upokarzani. Nie chodzi zresztą jedynie o seminaria duchowne. Partia zmierza również do tego, by wśród nowych biskupów-ordynariuszy nie znalazła się przypadkiem wybitniejsza indywidualność. Widać to na przykładzie blokowania wszystkich kandydatów na stolicę metropolitalną we Wrocławiu (pod pretekstem, że nie może być mianowany żaden z obecnych ordynariuszy). Prasa, głównie ateistyczna, oskarża nieraz Kościół i poszczególnych duchownych o zacofanie i zaściankowość, a równocześnie nie dopuszcza się do podwyższenia przeciętnego poziomu wykształcenia.

Episkopat broni się przeciw próbom spychania Kościoła do opłotków. Stoi na stanowisku, że studia w wyższych seminariach duchownych powinny mieć charakter akademicki. Doceniając działalność wyższych uczelni katolickich w Lublinie (KUL) i Warszawie (ATK), episkopat przywiązuje szczególną wagę do sprawy Wydziału Teologicznego w Krakowie. Uważa ponadto, że wyjazdy seminarzystów na Zachód dla pogłębienia studiów powinny być traktowane przez władze państwowe nie jako przywilej, lecz jako prawo niepodlegające kontroli i ograniczeniom. Władze dążą zaś do izolowania Kościoła od kontaktów z zachodnią myślą chrześcijańską.

„Studia seminaryjne są od szeregu lat zakłócanie przez powoływanie pewnej grupy alumnów do wojska” — stwierdza komunikat z konferencji plenarnej episkopatu z 20 listopada. „Władze państwowe zobowiązały się do stosowania odroczeń od służby wojskowej dla alumnów seminariów duchownych (w porozumieniu z 1950 r.) w celu umożliwienia im ukończenia studiów” — przypomina ten komunikat. Episkopat wyraża nadzieję, że władze państwowe „nie będą używały powoływania alumnów do wojska jako instrumentu nacisków na biskupów”.

Podczas inauguracji roku akademickiego na Papieskim Wydziale Teologicznym w Krakowie, przemówienie wygłosił bp Ignacy Tokarczuk, ordynariusz przemyski. Do roku 1954 wydział ten, ufundowany przez bł. królową Jadwigę 578 lat temu, działał w ramach Uniwersytetu Jagiellońskiego. W uroczystej inauguracji uczestniczyli liczni profesorowie i studenci Wszechnicy. Kardynał Wojtyła podziękował za ten „cenny wyraz solidarności z Papieskim Wydziałem Teologicznym, który trwa nadal w wielkiej wspólnocie akademickiej Krakowa”. Podają poniżej obszerny fragment wystąpienia biskupa Tokarczuka ze względu na znaczenie poruszanej w nim problematyki (cenzura nie dopuściła do opublikowania go):

„... Wydział obchodzi inaugurację w okolicznościach specjalnych, został bowiem usunięty z najstarszej wyższej uczelni w Polsce. Z Uniwersytetu, z którym zrósł się organicznie i którego był fundamentem. I dlatego ta inauguracja ma nutę boleści i żalu. I nigdy nasze społeczeństwo nie pogodzi się na zawsze z tym faktem... Wydział ten został pozbawiony praw, które miał od wieków i nawet za czasów zaborów te prawa były szanowane... Pierwszym zadaniem Papieskiego Wydziału Teologicznego w Krakowie w dzisiejszych czasach jest bronić suwerenności osoby ludzkiej... która jest dzisiaj w różnej formie bardzo często zagrożona. Zagrożone i deptane jest sumienie ludzkie; deptana jest godność człowieka; narzuca się jej gwałtem różne prawa i różne cele. Dlatego dzisiaj nie ma większego zadania, nie tylko na płaszczyźnie religijnej, lecz także na płaszczyźnie ogólnospołecznej, jak to, by bronić suwerenności osoby ludzkiej... Kiedy patrzymy na współczesne czasy, nie tylko w naszej strefie, ale w skali ogólnowiatowej, jest to problem bardzo zasadniczy i podstawowy... Aby Wydział Papieski mógł to zadanie spełnić, musi sam być wolny. Ta wolność jest dziś okupiona bardzo drogo. Ateiści doskonale rozumieją tę sprawę i wszystkimi metodami postępują się ażeby przeszkodzić, wyśmiać, sięgając nieraz do niewybrednych pamfletów i anonimowych pism, utrudnić, albo po prostu przynajmniej zmniejszyć zasięg prac, jakie Wydział ma do spełnienia... Broniąc suwerenności osoby ludzkiej, Wydział musi domagać się w imię rzetelnej nauki i rzetelnego dobra narodu, rozdziału ateizmu od państwa. Bo głównym źródłem wszystkich niepokojów w Polsce jest to, że grupa ateistów wprzęga w swoją służbę całą organizację państwową ze wszystkimi jej agendami... W Polsce nie będzie spokoju społecznego, wewnętrznego, dopóki nie nastąpi rozdział ateizmu od państwa. Ateiści chcą propagować swoje idee, niech to robią swoim kosztem — wolno im. Ludzie mają wolność sumienia, wybiorą taką czy inną opinię. Nie wolno jednak używać podatków płaconych przez obywateli wierzących do walki z religią... Oprócz swej normalnej pracy naukowo-badawczej Wydział ma ponadto bronić prawdy na każdym odcinku. Dzisiaj dużo pisze się o ekologii, o środowisku; mówi się że zagrożony jest byt człowieka... Wszyscy to

rozumieją...; ale o jednym nie mówi się. Istnieje czynnik tak samo, a może jeszcze w większym stopniu konieczny by człowiek mógł normalnie żyć: prawda. Prawda jest zagrożona... Nie może na kłamstwie opierać się wychowanie, struktura społeczna... Potrzeba prawdy, prawdy totalnej... Dlatego misją każdej uczelni, a zwłaszcza uczelni katolickiej w randze Papieskiego Wydziału Teologicznego, jest obrona prawdy. Obrona prawdy nieraz w sposób heroiczny nawet, bo zagraża nam konformizm... I jest jeszcze trzecie zadanie jakie stoi przed nami, szczególnie ważne dzisiaj, podobnie zresztą jak i obydwaj poprzednie. W Krakowie wyszła w tym roku arcyciekawa książka wydana przez Wyd. Literackie, pisarza rosyjskiego, Włodzimierza Solouchina, pt. 'Spotkania z ikonami'. Pierwszy raz spotyka się w tego rodzaju książce potępienie strasznych strat jakie poniosła kultura rosyjska na skutek walki z religią, niszcząc świątynie w latach trzydziestych... Autor kończy: "Trzeba chronić każdy korzeń, zwłaszcza te korzenie, które niosą nam prawdę" (książka ta, wydana przez niedopatrznie cenzury, szybko została wycofana z obiegu — przyp. mój). Naród, który nie szanuje swych korzeni, staje się po prostu lotnym piaskiem. Takim korzeniem polskiej kultury narodowej jest właśnie Wydział Papieski. To jest korzeń, który nas żywił, razem z całą Uczelnia Jagiellońską. Żywił poprzez wszystkie stulecia, nawet w okresie zaborów. Stąd, po odzyskaniu autonomii przez Galicję, niósł soki życiodajne razem z uniwersytetem lwowskim dla całej Polski, dla wszystkich zaborów... To jest korzeń potężny... Dlatego wielkim zadaniem całego Wydziału, profesorów i studentów jest by ten korzeń, dzisiaj uciemniony, odcinany, pokazał swą żywotność i obudził w całym narodzie nadzieję, wiarę i miłość głębszą. I to jest zadanie trzecie. Pierwsze — obrona suwerenności osoby ludzkiej, drugie — obrona prawdy, a trzecie — obrona korzeni narodowych, nie tylko Wydziału, ale wszystkich wartości naszego tysiącletniego narodo-wego i religijnego dorobku...".

Z problematyką wyższych studiów, a szerzej biorąc wolności kultury, łączy się sprawa katolickiej prasy i wydawnictw. Ostatnia konferencja plenarna episkopatu konstatuje że działalność wydawnicza „napotyka na trudności, a ilość publikacji katolickich maleje na skutek braku zezwoleń i przydziału papieru; fakt ten jest niepokojący ponieważ świadczy o ograniczeniach dla kultury katolickiej i wolności kultury narodowej w ogólności; stwierdzamy równocześnie, że niektóre publikacje religijne instytucji wydawniczych nie uznawanych za katolickie nie odpowiadają wymaganemu poziomowi” (chodzi prawdopodobnie o Instytut Wydawniczy Paxu).

Konferencja episkopatu wysłuchała ponadto informacji na temat rozmów przeprowadzonych przez ks. Prymasa i bp. Dąbrowskiego w Sekretariacie Stanu (rokowania pomiędzy rządem i Watykanem znajdują się nadal na martwym pukcie) oraz z rozmów z przedstawicielami rządu na temat normalizacji stosunków Kościół-Państwo, które nie posuwają się naprzód. Biskupi przypominają iż „nie jest im obojętna ogólna sytuacja narodu, ani ogrom problemów i trudności jakie pozostają do rozwiązania w dążeniu do zapewnienia całemu społeczeństwu pomyślności i dobrobytu”.

Konferencja wyraziła „przeświadczenie że ewentualne zapowiadane zmiany ustawowe nie będą sprzeczne z zasadami demokratycznymi i wolą przeważającej większości obywateli” (chodzi oczy-

wiście o projektowaną zmianę konstytucji czyli m.in. o przekształcenie PRL na Republikę Socjalistyczną i przekształcenie charakteru partii z klasowego na narodowy).

Trosce o „wspólne dobro” dał wyraz Prymas Polski w kazaniu wygłoszonym w kościele Jezuitów w Warszawie 5 października, w rocznicę koronacji Matki Boskiej Łaskawej, patronki stolicy. Po nawiązaniu do cierpień, zniszczeń i pożarów, jakich doznała stolica w okresie okupacji hitlerowskiej, oraz do dzieła odbudowy, „ofiary całego narodu”, ks. Prymas, mając na myśli serię niedawnych, „tajemniczych” pożarów, mówił dalej:

„...niektóre objawy nieładu i niepokoju zasmucają nas i zastanawiają. Czy to jest następstwo jakiegoś niedbalstwa i bez troski czy też braku poczucia odpowiedzialności, zakulisowych przetargów i walk frakcyjnych, politycznych — nie wiemy. I nie śpieszymy się z wyrokowaniem... Jedno jest pewne, że niszczeje nasz majątek narodowy, gromadzony z tak wielkim wysiłkiem, kosztem wielu niedojedzonych posiłków i wielu ograniczeń bytowych. Jak straszliwa jest odpowiedzialność tych, którzy są winni temu stanowi rzeczy... Chcielibyśmy aby czas, który marnuje się na walki i przetargi frakcyjne, obrócono na służbę narodowi, na lepsze, gruntowniejsze i chrześcijańskie wychowanie młodego pokolenia”.

W zakończeniu kazania mocny akcent położył Prymas na związek narodu z Kościołem. Ten sam akcent jeszcze bardziej wystąpił w przemówieniu Prymasa poświęconym „bezimiennemu bohaterowi, symbolowi ofiarnego poświęcenia dla Ojczyzny” (z okazji 50-letniej rocznicy sprowadzenia zwłok Nieznanego Żołnierza do Warszawy w dn. 31 października):

„Miłość ku ojeźźnie uczy też wielkoduszności, gdy mamy myśleć o innych. Naród prawidłowo wychowany i wychowujący młode pokolenie wie, że bez miłości nie przygotowuje go do wypełnienia przyszłych zadań. Miłość ku Ojczyźnie, jako wartość wychowawcza, uczy też wspaniałomyślności i daje siłę ducha na chwile trudne, gdy trzeba zapomnieć o sobie. Uczy patrzeć daleko w przyszłość Ojczyzny... Uczy też przebaczać innym. Szczęśliwi są tacy sąsiedzi, którym naród, choćby pokrzywdzony, umie przebaczać ich winy wobec niego popełnione. Ma to olbrzymie znaczenie nie tylko dla współżycia sąsiedzkiego, ale także dla umacniania pokoju światowego”.

Dalsze przejawy rewizji strategii Stolicy Apostolskiej

Sygnalizowane w poprzedniej korespondencji pierwsze oznaki rewizji watykańskiej polityki wobec komunizmu nie wyglądają na zjawisko przejściowe. Trudno jednak przewidzieć jak dalece ta rewizja się posunie i czy przyniesie trwałe skutki. Można mieć na ten temat wątpliwości. Są argumenty pro i contra. Miano, sekretarz watykańskiego sekretariatu dla niewierzących, cytując oficjalne źródła sowieckie i czeskie, stwierdza, że tzw. świeckość państw komunistycznych stanowi faktycznie „konfesjonalizm na opak” czyli „ateizm państwowy”. Przestrzega przed próbami „dialektycznego” godzenia materializmu, tzn. filozofii marksistow-

skiej z doktryną chrześcijańską, co uprawiają „katolicy optujący na rzecz marksizmu i przestający być tym samym chrześcijanami”. Zamęt, jaki powstał, prowadzi — jego zdaniem — do przechodzenia pewnego odłamu katolików *impegnati* (zaangażowani) na pozycje komunistyczne lub wręcz do szeregów PCI (włoskiej partii komunistycznej). Kardynał Koenig, prefekt tego samego organu watykańskiego, natomiast, w artykule w *Le Monde*, który odbił się tu głośnym echem, występuje wprawdzie również przeciw ateizmowi państwowemu i zachwycą się przebudzeniem religijnym w ZSSR, z drugiej jednak strony stwierdza, że „marksizm-leninizm i ateizm państwowy nie są z sobą związane w sposób nieunikniony, przynajmniej w łonie komunizmu zachodniego” (powołuje się przy tym dość naiwnie na oświadczenie jednego z przywódców PCI, Luigi Longo z lat 60-tych). Włoscy komuniści i różne *popucziki* (towarzysze etapowi) nie uznali stanowiska Kard. Koeniga za miarodajne i wołają dziś, że „Watykan szykuje nową krucjatę antykomunistyczną” (tytuł artykułu w pro-komunistycznym rzymskim *Il Messaggero*) oraz twierdzą nawet, że Paweł VI przygotowuje encyklikę przeciw „kompromisowi z marksizmem”.

Jedna rzecz nie ulega już dziś wątpliwości: w Watykanie zapadła decyzja porzucenia dotychczasowej neutralności nie tylko w sytuacji włoskiej, lecz i powrotu do bardziej zdecydowanej i jednoznacznej linii w wielkim, światopoglądowym sporze w skali międzynarodowej. Dla nas jest rzeczą obojętną, że wszystko zaczęło się (jak to nieraz bywało w dziejach Stolicy Apostolskiej) od pasztetu włoskiego przyprawionego Machiavellim. Poza wyrachowaniami czysto taktycznymi, usztywnienie Watykanu wobec komunistów dotyczy bowiem strategii i odbije się nie tylko na watykańskiej *Ostpolitik*, lecz i na postępowaniu rządów i partii komunistycznych (świadczą o tym chociażby wyniki niedawnej wizyty u Papieża premiera Węgier, który poczynił duże ustępstwa na rzecz Kościoła).

W każdym razie przygotowywana zapewne przez dłuższy czas, choć przyśpieszona postępami komunistów, zmiana strategii Stolicy Apostolskiej wobec komunizmu, otrzymała błogosławieństwo papieskie. Paweł VI, któremu zarzucano dotąd (także w kołach kościelnych) chwiejność i hamletyzm, wystąpił w ostatnim czasie kilkakrotnie, jasno określając stanowisko Kościoła.

„System marksistowski — zdaniem Pawła VI-tego — zakłada nienawiść i systematyczną walkę, zakłada egoizm kolektywny jako lek na egoizm jednostkowy i partykularny; ignoruje wolne funkcje społeczne, neguje świadome uczestnictwo w procesach gospodarczych, politycznych i kulturalnych i odrzuca solidarne współdziałanie na rzecz wspólnego i sprawiedliwego dobrobytu, zastępując współczynniki duchowe sztywnymi normami państwowymi”.

Proszę zwrócić uwagę: język inny, ale treść zasadniczo ta sama co u humanistycznych socjalistów wschodnio-europejskich (eks-

rewizjonistów), którzy przemyśleli swe doświadczenia i zrewidowali dawne stanowisko.

Elena Sacharowa i wyrzuty sumienia zachodnich demokratów

Wszyscy którzy mieli sposobność zetknięcia się osobiście z żoną Andrieja Sacharowa podczas dwumiesięcznego pobytu we Włoszech (gdzie poddała się operacji oka) byli pod wrażeniem jej niezwyklej osobowości, jej odwagi, inteligencji, prostoty i poczucia realizmu. Wasz korespondent spotkał ją po raz pierwszy 12 listopada na wielkim zebraniu w Rzymie, w którym uczestniczyła liczna grupa parlamentarzystów włoskiej partii chrześcijańsko-demokratycznej. Zbiegiem okoliczności zebranie odbyło się w dniu, w którym sowiecka agencja TASS przekazała informację o odmowie zezwolenia Andriejowi Sacharowowi na wyjazd do Oslo na uroczystość wręczenia przyznanej mu pokojowej nagrody Nobla. Z okazji zaproszenia Eleny Sacharowej oraz pisarza Władimira Maksimowa, redaktora naczelnego pisma *Kontinent*, przybyłego specjalnie z Paryża, wyłowiono na miejscu dwóch przedstawicieli Europy Wschodniej: b. deputowanego czeskosłowackiej Partii Ludowej (chadeckiej) Bohumira Bunze oraz niżej podpisanego. Rosyjsko-czesko-polska czwórka miała za zadanie oświetlić zebranych w dziedzinie aplikacji marksizmu, odpowiadając na pytania (nieraz bardzo naiwne) posłów, senatorów i intelektualistów katolickich. Zebranie zagał jeden z posłów chadeckich, po czym dość nudny referat na temat „marksizmu i demokracji” (zebranie było dawno zaplanowane) wygłosił redaktor *Civiltà Cattolica*, znanego organu jezuitów.

Sacharowa odpowiadała zwięźle i bez ogródek. Nie ukrywała obaw, że odmowa wizy wyjazdowej może spowodować nową serię szykan w stosunku do Sacharowa i całej jego rodziny. Na pytanie czy pojedzie do Oslo w zastępstwie męża, zareplikowała z miejsca: „zamiast pytać mnie o to, dlaczego nie używacie wszelkich środków nacisku by go wypuścili, dlaczego tak szybko i łatwo kapitulujecie?”. Decyzję odmowy określiła jako pogwałcenie układów podpisanych niedawno w Helsinkach, dodając, że „ktokolwiek krytykuje dziś reżym sowiecki jest automatycznie oskarżany o sprzeciwianie się odprężeniu międzynarodowemu”. Aby należycie zrozumieć jak interpretuje się to odprężenie w ZSSR, trzeba — jej zdaniem — uważnie śledzić los tzw. dysydentów, czytać prasę sowiecką i uświadomić sobie fakt, iż „wychowanie wojskowe zaczyna się od wieku 8 lat”. Opinia publiczna na Zachodzie oraz rządy krajów europejskich mogą — jej zdaniem — przyczynić się konkretnie do ulżenia sytuacji prześladowanej opozycji w ZSSR poprzez „maksymalną reklamę” wokół poszczególnych przypadków więźniów politycznych w łagrach i zakładach dla obłąkanych. Wymieniła m.in. Leonida Pliuszczę, matematyka ukraińskiego, którego władze „niszczą systematycznie w zakładzie psychiatrycznym w Dniepropietrowsku”, Władimira

Bukowskiego, Andrieja Twierdochlebowa, sekretarza sekcji moskiewskiej *Amnesty International*, biologa Sergieja Kowaliowa, przyjaciela Sacharowa, uwięzionego od roku w Wilnie za pomoc okazaną katolikom litewskim.

„Nie wystarczy jednak podpisywać apele — podkreśliła — trzeba również domagać się odpowiedzi” i jako przykład braku konsekwencji podała ostatnią, wielką manifestację w Paryżu na rzecz Pliuszczka: „zamiast wymagać odpowiedzi na apel przesłany do Moskwy — zaznaczyła — rząd francuski kontynuował wymianę urzędowych delegacji naukowych z ZSSR, tak jak gdyby nic nie zaszło”. Z nutą ironii, choć może bardziej z goryczą, krytykowała postępowanie Zachodu, który „działa bardzo po chrześcijańsku — dzieli się chlebem z tym, który go chce zniszczyć”. Na wyrazy podziwu i solidarności dla jej postawy, pociągającej za sobą ryzyko osobiste, odpowiadała: „Jeśli będziecie tylko biernie przypatrywać się, ryzykuję nawet że nie wrócę do mego domu”.

Przewodniczący zebrania, podsumowując jego przebieg w organie partii *Democrazia Cristiana*, stwierdził: „Sacharowa pozostawiła u wszystkich głębokie wrażenie połączone z wyrzutami sumienia”.

Nazajutrz 180 deputowanych Dem. Chrz. skierowało pismo do prezydenta Republiki, Giovanni Leone, udającego się z wizytą oficjalną do Moskwy, by interweniował na rzecz Sacharowa (Leone po powrocie z Moskwy powiedział prywatnie: „przywódcy sowieccy na to ucho nie słyszą”). Równocześnie ekstremiści lewicowi *extra-parlamentari* zdzierali na ulicach centrum Rzymu plakaty protestujące przeciw represjom w ZSSR i w obronie Sacharowa i więźniów politycznych.

W ostatnich dniach pobytu Sacharowej we Włoszech, towarzyszyłem jej w oficjalnych spotkaniach w Rzymie z ramienia wydziału zagranicznego Demokracji Chrześcijańskiej. Była m.in. przyjęta w imieniu rządu włoskiego przez ministra nauki, Pediniego. Siedziba tego ministerstwa mieści się w starym pałacu przy Piazza della Minerva, gdzie toczył się proces przeciw Galileuszowi. Minister, przypominając ten fakt, stwierdził że przyjmując ją w miejscu „najbardziej odpowiednim” i wyraził „głęboki podziw” włoskiego świata naukowego dla Sacharowa jako wielkiego uczonego i wybitnego człowieka, który „nie zapomniał o duchowych ideałach ludzkości”. Kiedy wręczał jej oprawione teczki, zawierające ostatnią pracę Sacharowa (drukowaną tu w odcinkach) „Mój kraj i świat” oraz wycinki prasowe odnoszące się do przyznania mu nagrody Nobla, zapytał ją: „Czy pani woli by przesłać to za pośrednictwem ambasady włoskiej w Moskwie?”. Odpowiedź brzmiała: „Niet, pokażę to na cle, nie mam zwyczaju niczego czynić w ukryciu”.

Elena Sacharowa była również przyjęta przez A. Bernassola, zastępcę sekretarza generalnego Światowej Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej i zarazem szefa wydziału zagranicznego włoskiej partii chadeckiej. W tej rozmowie Sacharowa apelowała głównie o Siergieja Kowaliowa, którego proces toczy się obecnie w Wil-

nie, a oskarżonego o pomoc udzielaną katolikom litewskim w rozprowadzaniu wydawnictwa samizdatowskiego „Kronika Kościoła Katolickiego na Litwie”. Przypomniała, że Andriej Sacharow i ona sama (są niewierzący) uważają za jeden z głównych obowiązków obronę praw i interesów grup etnicznych i wszystkich wspólnot wyznaniowych; wśród tych ostatnich największe ciężki spadają na katolików i baptystów. Podkreślała również, że wobec represji najbardziej bezbronni są robotnicy, drobni urzędnicy, nauczyciele — nie intelektualisci, o których Zachód wie dziś więcej. Zwracała uwagę na ciężkie położenie rodzin uwięzionych, którym władze sowieckie utrudniają nawet otrzymywanie pomocy humanitarnej z zagranicy. Od września (już po Helsinkach) podwyższono z 35 % na 65 % podatek nakładany na przekazy pieniężne z Zachodu. Jest to oczywiście zwykły rabunek. Kiedy piszę te słowa poinformowano właśnie Sacharową z Moskwy, że od 25 grudnia nie będą dopuszczane paczki z zagranicy (dotyczy to głównie odzieży i żywności). Prezent gwiazdkowy od Breżniewa dla rodzin uwięzionych, obarczonych dziećmi, starców i chorych!

Opinia publiczna we Włoszech, sfery polityczne i kulturalne okazały Sacharowej czynne zainteresowanie, manifestując sympatię i solidarność. Najwyższe sfery kościelne wołały natomiast nie eksponować się. Taki był *ukaz* z Sekretariatu Stanu Stolicy Apostolskiej. Jedynie kardynałowi Florit abp. Florencji nie wypadło milczeć: przesłał jej pismo pożegnalne, w którym wyraża żal, że nie mógł jej spotkać na skutek „kolejnych przeszkód w czasie”.

Z postępowaniem Stolicy Apostolskiej w tej sprawie kontrastuje stanowisko genewskiej Światowej Rady Kościołów, zrzeszającej wyznania protestanckie i prawosławne. Podczas niedawnego kongresu tej organizacji w Nairobi nie brak było wystąpień i reakcji na listy otwarte sowieckich duchownych prawosławnych i litewskiego arcybiskupa luterańskiego Lisisa, ujmującego się *nota-bene* również za katolikami. Milczenie Watykanu w tej materii nie może być niczym usprawiedliwione.

Po wyczerpaniu programu oficjalnych spotkań wiele godzin spędziłem z tą dzielną, niezwykłą i samotną niewiastą, samotną w obliczu potęgi sowieckiego molocho, samotną, wprawdzie w mniejszej mierze, wobec fali zachodniej ignorancji, bojaźni i konformizmu. Nie będę czytelnikom referować co myśli o Polsce, o koniecznej, historycznej rekonyliacji polsko-rosyjskiej, o *Kulturze*, którą zna i ceni. Dodam tylko że Sacharowa ma przyjaciół w naszym kraju i zna tekst pisma z gratulacjami i wyrazami solidarności, wysłanego do Sacharowa z Warszawy przez kilku odważnych ludzi. Odezwał się również z kraju inny głos: płaski i służalczy. W komentarzu (obrzydliwym paszwiłu) pan podpisany inicjałami H.Z. (Henryk Zdanowski, nowy kandydat do „czarnej listy dziennikarzy PRL” publikowanej co pewien czas w *Kulturze*) pisze w warszawskiej *Polityce* (Nr 43), że proces odprężenia ucierpi na skutek przyznania Sacharowowi pokojowej nagrody Nobla, że jest to „próba windowania na piedestał wojującego antykomu-

nizmu". Nie uchyla się ponadto ten dziennikarzyna od rzucania kalumnii na Sacharowa.

Na lotnisku rzymskim zęgałem Elenę Sacharową przed odlotem do Oslo (towarzyszyła jej w podróży m.in. znana tłumaczka Maria Olsufiewa), wręczając jej białe i czerwone róże, barwy Tej która — jak powiedział poeta — nie będzie nigdy ani biała, ani czerwona.

Dominik MORAWSKI

Pisane 9 grudnia 1975

FRAGMENTS

redaguje

CHARLES JOEL

Zawiera wybrane artykuły i noty z *Kultury* w przekładzie na angielski

Za dol. 8,50 (zamiast 10,50) można otrzymać w *jednej paczce* 16 wydanych dotychczas numerów.

Artykuły i noty Juliusza Mieroszewskiego, Brukselczyka, Michała Hellera, Antoniego Gutowskiego, Zbigniewa Byrskiego, Jerzego Bonieckiego, Adama Kruczka.

Zamówienia kierować na adres:

C.H.S.L., P.O.Box 744, SUTTER CREEK,
CALIFORNIA, U.S.A.

Sąsiedzi

Komentarz do Komentarzy

W numerach czwartym i piątym *Kontynentu* dwie pozycje są dla nas szczególnie ważne: *Rosyjski „kompleks polski”* i *obszar ULB Juliusza Mieroszewskiego*, oraz *Kronika oporu ukraińskiego* Iwana Koszeliwca. Do obu artykułów redakcja kwartalnika rosyjskiego dołączyła krótkie komentarze. Oba komentarze dają dobrą okazję do wyjaśnienia pewnych nieporozumień i uściślenia pewnych punktów w naszym dialogu z rosyjskimi przyjaciółmi.

W komentarzu do artykułu Mieroszewskiego redakcja *Kontynentu* doradza piszącym o „współczesnej odmianie tak zwanego rosyjskiego imperializmu”, aby słowo „rosyjski” zastąpili słowem „sowiecki”; za „zasadniczą skazę” uważa „pomieszenie rosyjskiego imperializmu ubiegłego stulecia o charakterze panslawistycznym z totalnym imperializmem sowieckim”; i przypomina że wojna 1920 roku była „pierwszą wyprawą nie rosyjskiego lecz sowieckiego imperializmu”, gdyż „wielonarodowymi wojskami” dowodzili w większym stopniu *inorodcy* niż Rosjanie.

Powstaje sytuacja dość osobliwa. *Lenin* w *Zurychu* Sołżenicyna jest, w dużym stopniu, obrazem działania spiskujących *inorodców* na zgliszcze imperium rosyjskiego; w kilka lat później ciż sami zwycięscy *inorodcy*, pod wodzą Lenina, wracają na stary szlak imperium którego niegdyś zaprzysięgli zgliszcze. Gdy się o tym pamięta, spór: „imperializm rosyjski” czy „sowiecki”? staje się sporem o słowa a nie o istotę rzeczy. A istota rzeczy polega na tym, że zachowana w głównych zrębach struktura imperialna państwa dawnych autokratów carskich przeniosła do państwa nowych autokratów bolszewickich impuls władania imperialnego, z *inorodcami* na szczycie czy bez nich. Przy wszystkich więc różnicach między „rosyjskim imperializmem panslawistycznym z ubiegłego stulecia” i współczesnym „totalnym imperializmem sowieckim” jakiś rdzeń pozostał ten sam. Dla Polaków z dawnego zaboru rosyjskiego, którzy w roku 1920 bronili niepodległości swego kraju przed najazdem ze Wschodu, było

obojętne że „wielonarodowymi wojskami” z okrojonego imperium zaborczego dowodzili poza Rosjaninem Tuchaczewskim *inorodcy* Stalin, Jakir i Gaj, a za ich plecami stali poza Rosjaninem Leninem *inorodcy* Trockij i Dzierżyński. (No, a kim był generał Brusilow mobilizujący, oficerów b. armii carskiej do wojny z Polską?). A raczej nie tyle obojętne, ile zowieśzyczne: w ich oczach nowemu pochodowi towarzyszył stary cień. O tym cieniu wie coś obecny ambasador sowiecki w Warszawie, gdy znaczną część swego czasu zużywa na „bratnią” kuratelę nad historykami rozbiorów i Polski porozbiorowej.

O tym cieniu nie powinni też nigdy zapominać nasi rosyjscy przyjaciele. Emigranci nie są w stanie przewidzieć przyszłości, nie mają ani prawa pobierać decyzji w imieniu swoich narodów, ani mandatu do ustalania granic. Ale posiadają jeden, dwójaki przywilej: śmiałego, nie cofającego się przed niczym, wyciągania nauk z przeszłości i wytyczania dróg którymi pójdą może następne pokolenia. Z tego przywileju skorzystała *Kultura*, stawiając jasno sprawę przynależności Lwowa i Wilna w interesie przyszłych stosunków polsko-ukraińskich i polsko-litewskich. Od naszych przyjaciół Rosjan oczekujemy podobnej odwagi myślenia, w interesie samego narodu rosyjskiego. Oświadczenie *Miara odpowiedzialności* było faktem o znaczeniu historycznym, jeśli idzie o normalizację stosunków polsko-rosyjskich. Nie ma dziś jednak Rosjan kwestionujących samą zasadę niepodległości Polski, toteż nasze wspólne wysiłki muszą odtańdź zmierzać w kierunku wywalczenia prawa do samodzielnego bytu narodowego dla Ukrainy, Litwy i Białorusi oraz innych narodów wchodzących w skład Związku Sowieckiego. W komentarzu redakcji *Kontynentu* do artykułu Mieroszewskiego pierwszy krok został postawiony: mowa w nim o „przyznaniu świętego prawa samostanowienia każdemu z narodów tak zwanego obszaru ULB”. Rzecz w tym by powtarzane to było nieustannie, pełnym głosem, bez niedomówień zasiewających nieuzasadnioną i szkodliwą nieufność wobec niewątpliwie dobrej woli rosyjskich redaktorów *Kontynentu*. I by znalazło szybko wyraz konkretny, na przykład w dokooptowaniu przedstawiciela ukraińskiego do komitetu redakcyjnego pisma.

Publikacja w *Kontynencie* artykułu Koszeliwca *Kronika oporu ukraińskiego* jest sama w sobie wydarzeniem doniosłym, które z radością kwitujemy. Natomiast kilka refleksji, w duchu przyjaźni krytycznym, nasuwa komentarz redakcji kwartalnika. Czytamy w nim: „Naszym zdaniem w tych tragicznych czasach, gdy cały świat stanął przed śmiertelną groźbą zapanowania totalitaryzmu, trzeba wybrać zupełnie inną tonację rozmowy. Pora zrozumieć wreszcie, że wszystkie nasze wielowiekowe swary, które kontynuujemy na obczyźnie, mogą posłużyć i służyć tylko tym co szkodzą się do ostatecznego zniszczenia cywilizacji... Teraz, jak może nigdy przedtem, nieodzowna jest jedność. Szukajmy więc dróg do niej. Będą to z pewnością długie i męczące poszukiwania, lecz niestety innej alternatywy nie ma. Czas płynie i już

jutro może być za późno. Wyciągnijmy do siebie ręce, a wtedy (jesteśmy o tym przekonani) poszukiwania nowych stosunków między naszymi narodami zakończą się z powodzeniem i bezpowrotnie”.

Łatwo się zgodzić ze słusznym postulatem jedności w obecnej, tragicznej sytuacji. Natomiast trudniej zrozumieć niedocenienie przez redakcję *Kontynentu* jednej ważnej okoliczności, która wymagałaby innej *totalności* *razgowora* właśnie ze strony rosyjskiej. Także my nie jesteśmy za „kontynuowaniem na obczyźnie wielowiekowych swarów”, sądzymy jednak że można im położyć kres tylko formułując stanowiska w sposób bardziej precyzyjny i dobitny. Szlachetny gest wyciągnięcia ręki, połączony z apelem o zaniechanie sporów w obliczu wspólnego śmiertelnego zagrożenia i w imię przyszłości która się jakoś „z powodzeniem” ułoży, nie wystarczy narodom zniewolonym, z natury podejrziwym bo wielokrotnie oszukanym (Ukraińcy pamiętają, że nawet konstytucja stalinowska — nie mówiąc już o Leninie — gwarantowała narodom ZSSR prawo do samostanowienia i niepodległości; widzą również, że szczytną zasadę samostanowienia narodów wypisała dumnie na swoim papierowym sztandarze ONZ...). Powtórzmy raz jeszcze: emigranci zostali pozbawieni wszystkiego z wyjątkiem swego głosu; musi to więc być, jeśli chce być dosłyszany przez adresatów, głos jasny i stanowczy, bez załamania i ostrożnych pauz.

Czas płynie, czas nagli, jutro może być za późno. Jak nagli, niech zaświadczy znamienna ewolucja ukraińskiego ruchu oporu w ciągu ostatnich kilku zaledwie lat. W roku 1970 podziemny kijowski *Wisnyk* robił delikatnie wymówki *Kronice bieżących wydarzeń*, że „uzurpuje sobie pozycję ponadnarodową i wszechzwiązkową”. I dodawał: „Odnosi się wrażenie, że członkowie rosyjskich grup opozycyjnych dążą co prawda do radykalnych zmian w wielu dziedzinach życia publicznego, lecz jeśli idzie o kwestię narodowościową pragną w takiej czy innej formie zachowania *status quo*”. *Wisnyk* przestał wychodzić w roku 1972. O tym okresie Koszeliwiec pisze w swoim artykule na łamach *Kontynentu*, że cechowało go stanie na gruncie „legalnym i konstytucyjnym”. *Wisnyk* odżył, po dwuletniej przerwie, na początku roku 1974. Koszeliwiec pisze: „W nowym wydaniu *Wisnyka* o konstytucyjności nie ma już mowy. Jego redaktorzy uważają władzę na Ukrainie za okupacyjną i odcinają się od leninowskiej i breżniewowskiej polityki narodowościowej, domagając się pełnej niepodległości Ukrainy”. W tej zmianie Koszeliwiec widzi „proces nieodwracalny”. Jak mogą wyjść mu naprzeciw szlachetne, bez wątplenia owiane dobrą wolą, ogólniki o konieczności zaprzestania „wielowiekowych swarów”?

Skoro zajmujemy się tymi sprawami, dorzucmy na marginesie parę słów pod adresem niektórych emigracyjnych publicystów

ukraińskich. Niezbyt uważnie czytują oni widocznie *Kulturę*, a z wyjątkową już nieuwagą przeczytali artykuł Mieroszewskiego o ULB. Węszą w nim propagowanie przez nas projektu federacji, jakiegoś nowego „Międzymorza”, posądzają nas o próbę forsowania polskich wyłącznie interesów pod płaszczykiem „wspólnoty celów”. Sami wspomnieliśmy wyżej o kompleksie podejrliwości narodów zniewolonych i wielokrotnie oszukanych, nie mamy więc żadnych podstaw do oburzenia. Pragniemy jedynie stwierdzić z naciskiem: wysuwając projekt ULB, nie łączyliśmy go ani przez chwilę z formułami federacyjnymi czy konfederacyjnymi; przy obecnym stanie nieufności i urazów z niedalekiej przeszłości byłoby to zwykłą głupotą; głosimy po prostu normalizację wzajemnych stosunków, szacunek dla wspólnej historii (badanej uczciwie, bez uprzedzeń i tendencyjności) i wspólną walkę z imperializmem sowieckim. To wszystko. Reszta będzie może, jeśli nieufność zostanie pokonana, jakimś skromnym choćby owocem naszej wspólnej pracy.

REDAKCJA

W sowieckiej prasie

Nawet wybitni mistrzowie powieści kryminalnych — jak Agata Christie i Alfred Hitchcock — mogliby uczyć się u przywódców sowieckich, którzy — jak nikt na świecie — potrafią stworzyć *suspense*. 2-go grudnia 1975, występując na posiedzeniu Rady Najwyższej ZSSR, przewodniczący Gosplanu Bajbakow, na wstępie nakreślił koszmarny obraz kryzysu, który dotknął kraje kapitalistyczne. Gdy kolej przyszła na główny temat, tj. sytuację w ZSSR, okazało się, że w kraju budującym komunizm także nie wszystko jest w porządku, zarówno w roku bieżącym, jak i w prognozykach na najbliższe lata. W liczbie „pozostających w tyle” dziedzin gospodarki wymieniono rolnictwo. Ale mistrz *suspense*, Bajbakow ograniczył się do mglistego zdania: „Brak paszy odbił się na pogłowie bydła”. O szczegółach — obiecał — dowiedzie się w lutym 1976, na XXV-im Zjeździe. Wystąpienie przewodniczącego Komisji Planowania, Waszeka, zawierało jednak pewne aluzje dotyczące konkluzji. Nawet Sybilla delficka nie mogłaby wyrazić się bardziej nieprzejrzysto: „Średni roczny urodzaj zbóż w bieżącym pięcioleciu przewyższył o 8% średnią za ubiegłe pięć lat”. Obywatele sowieccy przyjęli tę zagadkę obojętnie, wystarczy im bowiem zajrzeć do sklepu, by ją rozwiązać. Ale dziennikarze zagraniczni zaczęli obliczać i łatwo doszli do wniosku: urodzaj w 1975 roku wyniósł około 130 milionów ton zamiast 215 milionów ton, przewidzianych w planie. Deficyt — 60 milionów ton. Gorszy był tylko urodzaj 1965 roku — 121 mi-

lionów ton. Deficyt handlu zagranicznego ZSSR osiągnął wysokość 5 miliardów dolarów. A zadłużenie wobec ginącego od kryzysu, świata kapitalistycznego wynosi obecnie od 10 do 15 miliardów dolarów.

Sytuacja przedstawia się źle nie tylko w dziedzinie gospodarki rolnej, ale i również w innych dziedzinach. Wiemy dlaczego było źle dawniej: był to kult jednostki, następnie był „woluntaryzm”. A dziś?

Przyjrzyjmy się jaką odpowiedź chcieliby dać dzisiejsi przywódcy. Jeśli mówię: przyjrzyjmy się, to mam na myśli przede wszystkim film „Premia”, który uzyskał pierwszą nagrodę na VIII-ym wszechzwiązkowym festiwalu. Film „Premia” według scenariusza b. sekretarza partkomu, A. Helmana, reżyserowany przez Mikaeliana, odniósł niebywały sukces zarówno wśród krytyków, jak widzów, był dyskutowany na zamkniętych zebraniach partyjnych, gdzie podkreślano prawidłowość linii politycznej. To film „o najwyższych moralnych zasadach komunistycznych, o honorze robotnika, o twórczym podejściu do pracy... podsumowujący naukowo-techniczną rewolucję i człowieka”. Tak pisze o „Premii” krytyk filmowy *Izwestii* (4.10.1975 r.): „Premię” można nazwać nowym etapem twórczości sowieckiej kinematografii, który odkrywa tematykę dotyczącą faktycznego gospodarza przedsiębiorstwa — człowieka pracy...” — tak pisze krytyk miesięcznika *Zwiezda* (nr 10 z 1975 r.). Tak pisali wszyscy krytycy, we wszystkich pismach i gazetach. Treść filmu sowieccy krytycy podawali następująco: brygada budowlana odmawia przyjęcia premii, uważając że jest ona niezasłużona. Na posiedzeniu partkomu wyjaśniają się powody odmowy, toczy się podniosła dyskusja o prawidłowym komunistycznym podejściu do pracy, o tym kto jest gospodarzem przedsiębiorstwa w Związku Sowieckim.

Nie zrozumiawszy z recenzji na czym polega atrakcyjność filmu dla widzów sowieckich, zdecydowałem się go obejrzeć. I nie żałuję, gdyż zobaczyłem jeden z przemysłniejszych sowieckich filmów propagandowych ostatnich dziesięcioleci. Film zaczyna się rzeczywiście od nieoczekiwanej sceny: brygada betoniarzy odmawia przyjęcia premii. Brygadzista Potapow gotów jest dać wyjaśnienia, ale wyłącznie na zebraniu partyjnym. Wzywają go więc do partkomu. Cały film to właśnie zebranie odbywające się w małym pomieszczeniu. Scenarzysta i reżyser, dokładnie przestudiowawszy film amerykański „Dwunastu gniewnych ludzi”, potrafili stworzyć napięcie przy pomocy nieoczekiwanych zwrotów w tematyce.

Brygadzista Potapow wyjaśnia dlaczego jego brygada odmówiła przyjęcia premii. Okazuje się, że w wyniku złej organizacji pracy każdy z członków brygady stracił w ciągu roku nie mniej niż 400 rubli, a dają mu jako premię 40 rubli. Brygadzista domaga się ulepszenia organizacji pracy, gdyż zła — nie odpowiada ani jemu ani członkom jego brygady. W czasie zebrania wyjaśniają się wieczne sowieckie nieporządki: budowa została rozpoczęta bez żadnego przygotowania, bez odpowiedniego dojazdu,

bez pomieszczeń pomocniczych, niezbędny materiał jest dostarczany nieregularnie, plany zmienia się codziennie itd. Gospodarz budowy — kierownik zespołu tłumaczy to wszystko odwiecznym sowieckim wyjaśnieniem: cały kraj się buduje, nie ma czasu, trzeba się spieszyć, doganiać, i przeganiać... Zastępca kierownika zespołu daje inne, standartowe, oskarżenia: za plecami brygadziści zaczęli się wróg... To są realistyczne cechy filmu. Nie ma wątpliwości, że właśnie one przyciągają widzów. Ale patos filmu polega na czymś innym. Myśl przewodnią można by sformułować następująco: człowiek pracy — gospodarz kraju jest niezadowolony z nieporządków, ze złej organizacji, co powoduje że nie tylko on cierpi materialnie, ale i przedsiębiorstwo i cały kraj. Idzie więc na skargę do partkomu. Inżynierowie, członkowie partkomu, odnoszą się do niego wrogo. Rozumie robotnika, klasę robotniczą, jedynie partia w osobie sekretarza partkomu. I nie bez powodu sekretarz wypomina kierownikowi zespołu: „Tyś się ze mną nie naradził!”. Jedyne dlatego, że kierownik zespołu nie poradził się sekretarza partkomu na budowie powstały nieporządk. Prawdziwe kierownictwo partyjne wszystko zorganizowałoby tak jak należy.

„Premia” jest jednym z licznych utworów, w których winę za wszystkie braki zwała się na inżynierów, na kierowników miejscowych rad, na inteligencję, i w których — tak jak kawaleria w westernach — zawsze przychodzi z pomocą partia.

Sowiecki pisarz nie może przedstawić rzeczywistej sytuacji w Związku Sowieckim. Ale czasami można i u nich znaleźć aluzje do istotnych przyczyn kryzysu, który przeżywa ZSSR. W nr. 10-tym z 1975 r. miesięcznik *Zwieszda* zamieścił opowiadanie Georgija Gulija „Wszyscy widzieli uśpioną rzekę”. Gulija jest z pochodzenia Abchazcem, piszącym po rosyjsku; stał się głośny w 1948 r. gdy jego powieść „Wiosna w Sakenie” otrzymała nagrodę stalinowską. Było to słodkawo-sentymentalne opowiadanie o egzotycznej Abchazji. Następnie Gulija dużo pisał i w ostatnich latach przerzucił się na powieści historyczne z życia starożytnych Egipcjan i niemniej starożytnych Greków. Jego nowe opowiadanie, to powrót do Abchazji po 25-ciu latach. Bohater, Abchaziec, mieszkający w Swierdłowsku, odwiedza po długiej nieobecności miasto rodzinne. Ma ponad 50 lat, czas więc na podsumowanie. Patrząc na przyjaciół z lat dziecińczych, na siebie, ocenia życie: ich, swoje i miasta rodzinnego. Wnioski okazują się katastrofalne. Miasto — w rękach złodziei i bandytów, w rękach mafii. Niejaki Wozba przekupił całą miejscową władzę: radę, prokuraturę, śledczych, milicję. Ma on „złoto, srebro, kryształy, nowiutkie komplety najdroższych mebli”, cztery samochody. „Rozmawiał ze mną — opowiadał przyjeżdżalnemu bohaterowi jego szkolny kolega — jak przywódca mafii”. Ale i ten właśnie Wozba — przywódca mafii — to również ich szkolny kolega. Bohater chodzi po mieście rodzinnym i widzi, że wszyscy są przekupieni, że korupcja, żądza zysku, pijaństwo, brak wiary w cokolwiek bądź, rozłożyło wszystkich

przyjaciół z jego lat dziecińczych. Z wyjątkiem jednego — Ryżego — nauczyciela, który nie chce uczyć, nie chce pracować, gdyż jedynie nie utrzymując żadnych związków ze społeczeństwem można pozostać uczciwym człowiekiem. „Nie wszystko jest tak straszne, jak się tobie wydaje” — próbuje pocieszyć przyjaciela bohater opowiadania. Ale Ryży wie lepiej. Ryży rzuca się pod pociąg.

Bohater opowiadania wspomina starą abchazką legendę: kto ujrzy śpiącą rzekę, rzekę która na chwilę wstrzymała bieg, ten będzie szczęśliwy. Kiedyś, gdy byli jeszcze uczniakami, bohater opowiadania i wszyscy jego przyjaciele, patrząc długo na rzekę, jednogłośnie zakrzyknęli: zobaczyliśmy śpiącą rzekę. Udając się na pogrzeb Ryżego bohater opowiadania wie, że śpiąca rzeka była złudzeniem, jego przyjaciele chcieli po prostu uwierzyć, że będą szczęśliwi. W maleńkiej abchazkiej mieścinie nie ma szczęścia.

Gulija zrobił jedno ustępstwo wobec redakcji: sekretarz rajkomu partii, pojawiający się w krótkiej scenie, gotów chętnie pomóc chłopom i, w przeciwieństwie do innych, pomóc bezinteresownie. Ale sekretarz ten żyje jakby w innym wymiarze. Rządzącej miastem mafii nie widzi, albo widzieć nie chce.

Obraz sytuacji w Związku Sowieckim dają badania socjologiczne prof. Ilji Ziemcowa. Badania do tego stopnia straszne w swojej ścisłości i dokumentacji, że nawet na Zachodzie dotychczas nie opublikowano tej pracy. Prof. Ziemcow, młody utalentowany socjolog, urodzony w Azerbejdżanie, w pewnym okresie zajmował stanowisko kierownika działu informacji KC KP Azerbejdżanu, co dało mu dostęp do materiałów, które w Związku Sowieckim są udostępniane jedynie najwyższemu kierownictwu i to jako „najbardziej tajne”. Z powodów, o których prof. Ziemcow szczegółowo nie pisze, zdecydował się wyjechać z ZSSR i udać mu się to zrobić. Pracując na uniwersytecie w Jerozolimie napisał już kilka prac, w ich liczbie książkę „Dialektyka przestępstwa”.

Książka ta zasługuje na szczegółową analizę i trzeba będzie koniecznie do niej wrócić, gdy wreszcie — a jestem o tym przekonany — zostanie wydana. Dziś chciałbym tylko przytoczyć niektóre fakty i dane z „Dialektyki przestępstwa”, wyjaśniające — jak mi się wydaje — liczne przyczyny obecnego kryzysu gospodarki sowieckiej.

Przede wszystkim sytuacja materialna obywateli sowieckich. Według bardzo ostrożnych obliczeń sowieckich ekonomistów — pisze Ziemcow — minimum egzystencji wynosi 92,50 rubla na osobę, a średni dochód 53 ruble na osobę. Autor bierze te dane z raportu prof. Gałkina na prezydium Sowieckiego Stowarzyszenia Socjologicznego z 6. 1. 1971 r. Raport został oparty na materiałach zbiorowych badań okręgów kurgańskiego, rostowskiego i nowosybirskiego. Średnia wysokość zasiłków starczych wynosi

59,62 % minimum egzystencji mieszkańców miast, a 47 % jeśli chodzi o ludność wiejską. Liczby te zostały uzyskane z przebadania okręgów: archangielskiego, wołgogradzkiego, saratowskiego i czałowskiego. Według danych działu, którym kierował i Ziemcow, w 1971 r. w Azerbejdżanie żyło w nędzy 3 i pół miliona ludzi, to jest 75 % ogółu ludności, a 300-310 tysięcy w dostatku i nawet bogato.

Przedmiotem badań prof. Ziemcowa jest Azerbejdżan, w którym wady systemu sowieckiego występują ze zdumiewającą oczywistością, ale który w zasadzie nie różni się w niczym od innych republik. Niewielkie rozmiary Azerbejdżanu pozwalają przeanalizować, jak na modelu, wszystkie tendencje charakterystyczne dla Związku Sowieckiego.

Najprostsz obraz: republika w łapach mafii. Niestety, ten obraz nie oddaje sytuacji Azerbejdżanu. Mafii — jak dotąd — takie możliwości nawet się nie śniły. Arystoteles określił formy władzy państwowej, którymi posługujemy się do dziś: oligarchia, tyrania, republika. Żadne z tych określeń nie pasuje do Azerbejdżanu, w którym panuje powszechne złodziejstwo i powszechne łapownictwo.

Kradną wszyscy, gdyż z legalnych zarobków nie można wyżyć, a bez łapówki niczego uzyskać. Prof. Ziemcow podaje przykład: typowe przestępstwo — okres 1970, miejsce — Baku. Oddział fabryczny produkujący farby. Farby przygotowuje się z bieli cynkowej i tłuszczu roślinnego. Zamiast nich bierze się produkty zastępcze, których wartość jest 30-krotnie mniejsza. Roczny dochód z takiej zamiany — 600 tysięcy rubli rocznie. „Wszystko co napisałem na podstawie przykładu jednego oddziału fabrycznego, przełożcie na skalę całego kraju, tysiący i tysiące oddziałów, fabryk, przedsiębiorstw, a otrzymacie bliski rzeczywistości obraz gigantycznego, zorganizowanego, podziemnego biznesu”. Autor badań przytacza szereg przykładów: w 1970 roku okazało się, że w tranzystorach ryzykiego zakładu BEF brakuje po jednym diodzie: diod kosztuje 82 kop., w ciągu roku wypuszcza się 182 tysiące radioodbiorników; w moskiewskiej pierwszej fabryce zegarków nie dodawano po jednym kamieniu do zegarków „Czajka” i „Polet”; kamień kosztuje wszystkiego 42 kop., a zegarków produkuje się rocznie 750 tysięcy, itp., itd.

Jest oczywiście, że zorganizowanie nadużyć w takich rozmiarach nie jest możliwe bez współudziału ogromnej ilości ludzi. Dlatego też przy opracowywaniu planu nadużyć przede wszystkim ustala się jak dać, komu dać i ile dać.

Prof. Ziemcow udowadnia, że rozpracowano tabelę i taryfę: komu i ile (jak dać jest już łatwiej zdecydować). Jako podstawę bierze się zarobek i dodaje współczynnik 10. Powiedzmy — naczelnik rejonowej milicji zarabia 200-250 rubli; należy więc dać mu 2000 miesięcznie. Rejonowy prokurator zarabia 150-180 rubli — dla niego przeznaczają się tysiąc do półtora tysiąca. I tak w stosunku do wszystkich, którzy mogą albo pomóc, albo zaszkodzić. Z drugiej strony nie można odmówić prawa wszystkim do udziału

tu w zyskach z tych nadużyć, gdyż każdy kierownik zapłacił za swoje stanowisko. Prof. Ziemcow daje prawdziwą taryfę: za stanowisko kierownika milicji należy zapłacić 50 tysięcy rubli, za stanowisko sekretarza rajkomu — 300 tysięcy, kierownik kołchozu kosztuje 50 tysięcy, tyle samo akademik, natomiast za stanowisko rektora WUZ-u trzeba zapłacić 200 tysięcy, więcej niż za stanowisko ministra Kultury (180 tysięcy), lecz mniej niż za stanowisko ministra Handlu (250 tysięcy). Stanowisko rektora WUZ-u kosztuje tak drogo, gdyż przynosi ono duże dochody: żeby zostać przyjętym do Instytutu Medycznego trzeba zapłacić 30 tysięcy, na uniwersytet — 20-25 tysięcy, do Instytutu Gospodarki Narodowej — 35 tysięcy. Za każdy zdany egzamin student powinien zapłacić 50-100 rubli.

Porównując ceny, jakie trzeba płacić za stanowiska, łatwo jest ustalić gdzie można najwięcej zarobić: sekretarz rajkomu (co prawda Ziemcow opowiada, że sędzia Sądu Najwyższego został oskarżony o łapówki w łącznej wysokości 987 tysięcy rubli. To było już jednak za dużo. Niemniej nie wydano decyzji o jego aresztowaniu).

Wszystko jest na sprzedaż: od góry do dołu, od KC do sekretarza rajkomu, od Rady Ministrów do rady powiatowej, od Prokuratora Republiki do najmniejszego prokuratora republiki. I po tym wszystkim czyż może zdziwić odmowa lekarzy szpitala „Siemaszko” w Baku zrobienia operacji dziecku gen. Rożkowa, który był akurat w rozjazdach, i nie było nikogo kto mógłby zapłacić wymaganych 200 rubli? Dziecko zmarło na skutek perforacji kiszki.

Jest zupełnie jasne, że jeżeli dyrektor fabryki nie może zorganizować kradzieży bez milczącej zgody sekretarza rajkomu i naczelnika rejonowej milicji, to oszustwa i łapownictwa na skalę republiki nie są możliwe bez aprobaty władz centralnych. I Ziemcow podaje schemat wzajemnego zabezpieczania się na skalę ogólnokrajową. Każdy miejscowy naczelnik w skali republiki ma w Moskwie swojego opiekuna, stosownie do swojej rangi. Gdy miejscowy naczelnik przyjeżdża do Moskwy, przywozi opiekunowi prezenty. Gdy na przykład I sekretarz Azerbejdżanu, Achundow, zdecydował, że już czas poszukać innego stanowiska (mówią, że w zawodzie złodzieja najważniejsze na czas się schować; Achundow umiał to zrobić), przywiózł zastępcy przewodniczącego Akademii Nauk ZSSR, Millionszczykowowi, dekoracyjną tacę ważącą półtora kilo złota, inkrustowaną drogimi kamieniami. Wartość tacy — 22.783 ruble. Achundow dostał czego chciał — został mianowany przewodniczącym Akademii Nauk Azerbejdżanu.

Powszechne złodziejstwo i łapownictwo. Możliwe właśnie, że to są ludzkie cechy komunizmu. Komunizm z ludzką twarzą to, być może, biedne społeczeństwo, w którym jedyne zachowane ludzkie cechy sprowadzają się do dążenia, by za wszelką cenę urwać coś dla siebie od państwa, czy sąsiada.

Powszechna nędza — nie licząc tych 7 %, które dorwały się do koryta — zmusza do spryciarstwa, kombinowania, kradzieży

i oszustw. Powszechna nędza i stały brak towarów pozwalają wypuszczać na rynek zegarki z brakującym kamieniem, radioaparaty z ukradzionym diodem, samochody bez części zamiennych (a zresztą czyż mało jest rzeczy, które można ukraść w samochodzie: tyle w nim różnych części i tylu chcących kupić wszystko, co tylko porusza się na czterech kołach).

Gospodarka sowiecka, żyjąca w fantastycznym świecie planowania i realnym czarnym rynku, nie może wyjść z kryzysu, gdyż jest on jej stanem naturalnym. I możliwe, że najlepszym dowodem beznadziejnej sytuacji gospodarki sowieckiej są sukcesy sowieckiego przemysłu zbrojeniowego. Rakiety, czołgi, samoloty, automaty są jedynymi produktami przemysłowymi, które w Związku Sowieckim są produkowane dobrze. Dlatego, że jedynie one są wykonywane w normalnych, zdrowych warunkach kapitalistycznej konkurencji. Niewątpliwie można by robić oszczędności na wielu drobiazgach w jakiejś rakiiecie czy czołgu, ale przecież nie można ich potem sprzedawać wymagającym odbiorcom zagranicznym. Trzeba więc w tej dziedzinie dobrze pracować.

Ale to właśnie jest dialektyka. Współczesną filozofię sowiecką sformułował znakomicie M. Susłow, definitywnie postawiwszy Hegla z głowy na nogi: „Rzeczywiste jest tylko to, co partia uważa za rozumne”.



W przededniu wręczenia pokojowej nagrody Nobla żonie Andrieja Sacharowa — gdyż, ma się rozumieć, laureatowi nie zezwolono na wyjazd do Oslo, — w Moskwie, w sposób uroczysty, wręczono medal pokoju znanemu bojownikowi, L. I. Breżniewowi. Medal był złoty. Wątpliwe czy ważył półtora kilograma, był jednak ze złota. Innego metalu partyjni przywódca w ZSSR nie uznają.

Adam KRUCZEK

Kronika litewska

Trudno to twierdzenie poprzeć dowodami, ale wydaje mi się, że wytyczne postępowania uciskanego a zawziętego narodu określa stare litewskie przysłowie: „Czy się stanie, co się ma stać, czy nie stanie — Zmudzin się zawsze ostanie”. Czyli, że jego zadaniem jest przetrwanie i zachowanie odrębności narodowej i kulturalnej.

Przeciętny mieszkaniec Związku Sowieckiego o polityce jest w ogóle słabo informowany, ale za to fałszywie. Z uchwał powziętych w Helsinkach, podano fragmenty ale z pominięciem Deklaracji Praw Człowieka i wielu

frazesów, przeznaczonych dla naiwnych czytelników na Zachodzie. Późną jesienią, już po zawarciu licznych kontraktów na dostawy z wielu krajów dziesiątków milionów ton pszenicy — obywatel sowiecki nic o tym nie wiedział. I nawet wierzyć nie chciał, przekonany, że to Związek Sowiecki karmi głodnych w wielu krajach.

Ze spraw bliżej nas obchodzących dochodzą wieści, że stosunek do Polaków, w polskich niegdys okolicach Kowieńszczyzny, jest nadal nieprzychylny. Ruch turystyczny między Polską a Litwą, jak też odwiedziny rodzin, są ograniczone i utrudniane, a poza tym w tamtejszej „rzeczywistości” traktowane cynicznie, bo przecież chodzi nie o rodziny i krajobraz, a możliwości zarobku na towarach przewożonych przez granicę. Ceny biżuterii i złota są znacznie niższe na Litwie i opłaca się je wwozić do Polski. Towary sowieckie są ostatniej jakości i nie ma możliwości wyboru. Kto chce się dobrze ubrać, stara się pojechać do republik satelickich. Obuwie i lekarstwa z Węgier, sprzęt z Niemiec Wschodnich itd. Gdy ktoś wraca z zagranicy nie pytają go o politykę, ale o to co tam można tanio kupić. Toteż udzielanie wiz traktowane jest jako gratyfikacja dla swoich ludzi, niekoniecznie partyjników, ale kombinatorów, którzy zarabiając dadzą i innym zarobić. Innym — znaczy tym, którzy poprą starania o wizę, lub jej udziela.

Jeśli idzie o Polaków, chcących odwiedzić stare kąty, to stosowana jest pewna dyskryminacja w stosunku do tzw. „bezetów” czyli — byłych ziemian. Pochodzenie proletariackie ułatwia starania.

„Błat” — rosyjskie nieprzetłumaczalne słowo, którego kwintesencję oddaje polskie powiedzenie „ręka rękę myje” — kwitnie i przyczynia się do powstawania nowej klasy kombinatorów, ludzi znacznie zamożniejszych niż ogół mieszkańców. Litwin niechętnie przenosi się z miejsca na miejsce, gdyż musiałby na nowo wyrabiać sobie stosunek, niezbędne dla ułożenia znośnego życia. Litwini piją dziś znacznie więcej niż przed wojną, ale mimo to znacznie mniej niż Rosjanie. Należenie do partii nie jest bardzo źle widziane, bo lepiej aby miał w niej głos Litwin niż Rosjanin. Z tychże samych powodów pęd do nauki jest ogromny.

Przeciętny roczny, oficjalny zarobek rodziny inteligenckiej wynosi 3 tysiące rubli, przy czym pracują w niej przeciętnie dwie osoby. W mieszkaniu takiej rodziny przeważnie znajduje się: telewizor, tranzystor, magnetofon, lodówka, pralka i meble identycznie takie same, jak u sąsiadów. Zaopatrzenie w produkty spożywcze było jesienią 1975 roku nieco lepsze niż w Polsce, natomiast w inne towary — znacznie gorsze. Organizacja handlu jeszcze bardziej wadliwa niż w Polsce, powodująca wielkie marnowanie czasu i nie dająca wyboru między towarem złym i jeszcze gorszym. Porównanie tej, na ogół niskiej stopy życia, z Zachodem jest cyfrowo nie do ujęcia, gdyż mieszkania, opał, elektryczność, komunikacja, bilety na widowiska i zwykły chleb są bardzo tanie, a nauka bezpłatna. Za to inne towary są bardzo drogie. Dla orientacji — minimum bardzo skromnego żywienia jednej osoby rocznie wynosi 500 rb. Przy takich zarobkach i cenach kombinatory budują sobie domki jednorodzinne i kupują samochody po 5 tysięcy rubli i więcej. Podobno Kowno ma procentowo najwięcej prywatnych samochodów w Związku Sowieckim. Przyczyniają się do tego ciuchy przysyłane przez emigrantów i lepsza wydajność przemysłu i rolnictwa w krajach bałtyckich niż w Rosji.

System, w którym wydajność pracy, zwłaszcza pod względem jakościowym, nie jest wynagradzana, nie zachęca do sumiennosci i powoduje odwalanie roboty bez troski o jej wyniki. Rosjanie i inne „bratnie” narody, już się do tego wdrożyli. Bałtowie, jeszcze ze starego nawyku, pracują sumiennie, rolnicy na swych półhektarowych działkach gospodarzą umiętniej, a przemysł, powstały później, jest nowoczesniejszy. A może też rząd sowiecki chce ułagodzić tych niespokojnych Litwinów, ślących protesty do ONZ i mających

więcej kontaktów z zagranicą poprzez emigrację, dając im „małą stabilizację” w dziedzinie ekonomicznej?

Paradoksem jest, że w państwie, powstałym pod hasłem solidarności międzynarodowego proletariatu, stworzono warunki dla powstania nacjonalizmu. Litwini cicho, solidarnie i zawzięcie walczą z rasyfikacją i kolonizacją — z zastosowaniem metod i sposobów tam obowiązujących. Wielu księży jest „obkutych” w marksizmie-leninizmie, a litewscy pracownicy stosują metody walki wydoskonalone w ciągu półwiecza w Związku Sowieckim. Rosjaninowi ułatwia się dokonywanie malwersacji lub prowokuje się go do nieprawomyślnych wypowiedzi — a potem następuje donos. Świadców nie brak. Rosjanin wylatuje z posady, na którą albo przysłał nowego Rosjanina, albo też wejdzie Litwin. Jak wiemy, najwięcej Rosjan jest w Wilnie a mało w Kownie i na wsi. Ale są nowe ośrodki przemysłowe, budowane przez wykwalifikowanych robotników rosyjskich, którzy najpierw budują, a następnie zapewniają kadry tych nowych fabryk i tworzą rosyjskie wyspy. Koło Trok powstała gigantyczna elektrownia, buduje się rafinerię w Wencie, obecnie ma powstać ośrodek nuklearny koło Ucian. W Olicie istnieje cała rosyjska dzielnica. W międzynarodowym Wilnie wszystko jest przemieszane, ale w miasteczkach są czasem istne getta rosyjskie.

Programy telewizyjne są w połowie rosyjskie. Konferencje naukowe bywają dwujęzyczne, ale teksty litewskie są tłumaczone dla Rosjan, a rosyjskie nie — te winny być przez wszystkich rozumiane.

Litwini nie mają różowych perspektyw na przyszłość, a terażniejszość też jest niewesoła, zwracając się więc ku przeszłości. Dbają o utrzymanie starych tradycji, obyczajów i obrzędów oraz — po niewczasie — o ocalenie zabytków i nieskażonej przyrody.

Takie dochodzą wieści — chciałyby się rzec — z puszczy litewskich. Ale już i puszcza mało i wsi litewskiej — romantycznej, obszernie opisywanej w polskiej literaturze — prawie nie ma. Szeregi piętrowych gmachów w agrogrodach przy asfaltowej szosie — już jej nie przypominają. Takim relacjom przeczą jednak doniesienia o tysiącach łosi, dzików, saren i innej zwierzyny, przeznaczonych na odstrzał.

Litwini zwracając się ku przeszłości starają się dostosowywać dawne tradycje do nowych warunków. Sławna była Litwa, a zwłaszcza Zmudź, ze swych świątków przydrożnych rzeżanych w drzewie, przedstawiających Jezusczka frasobliwego lub ozdobnych krzyżyków-kapliczek na drewnianych słupach. Przed wojną największym ich znawcą był Józef Perkowski, brat ostatniego wicekomisarza R.P. w Gdańsku. Tak zwane „Smutkielisy” zostały się, ale bez Jezusczka. Na słupach, ozdobionych tradycyjnymi motywami sztuki ludowej, widnieją znaki drogowe lub nazwy kołchozów imienia Lenina czy Czerwonej Armii.

W życiu artystycznym i kulturalnym istnieje na Litwie zasada, że każda tego typu działalność musi złożyć pewną daninę partii i oficjalnej propagandzie. W programach telewizyjnych obowiązuje to w stu procentach — trzeba słuchać (a raczej nie słuchać) godzinami o osiągnięciach indywidualnych dojarów, czy lokalnych Brygad produkcyjnych. W prasie danina ta też jest bardzo wysoka, już trochę jednak mniej w literaturze. Ilość papieru przeznaczona na cały kraj ustalana jest przez Moskwę. Chcąc wydać więcej książek, trzeba ograniczać ich nakłady. Wysokość nakładu jest uzależniona od wysokości owej daniny. Propagatki wydawane są w nakładzie dziesiątków tysięcy egzemplarzy, a dzieła wartościowe ale mniej prawomylne, jak np. Biblia, w małych nakładach. To zróżniczkowanie w udziale materiału propagandowego odcisnęło swoje piętno na rozwoju życia kulturalnego. Teatr jest odzwierciedleniem zwulgaryzowania obyczajów. Pomimo niesłychanej gburowatości w stosunkach międzyludzkich, np. w sklepach, auto-

busach — a więc między ludźmi sobie obcymi — w stosunkach prywatnych, między przyjaciółmi, zachowała się dawna litewska serdeczność. Ogólny poziom teatrów jest bardzo niski zarówno pod względem repertuaru, jak reżyserii i gry aktorów. Natomiast dekoracje zdzierają się pomysłowe, nowoczesne i gustowne. Aktor jest urzędnikiem pobierającym stałe wynagrodzenie, usuwa się go ewentualnie za nieprawomyślność, ale nie za niedbałość. Odwala więc swoje godziny na scenie przez całe lata, choć należałoby go przepędzić ze sceny już pierwszego dnia. Czasami w mniej kontrolowanych prowincjonalnych teatrach zdarza się coś ciekawszego. Jedyny wybitny reżyser, Juraszas, który sprawiał władzom wiele kłopotu, wzorem Sołżenicyna otrzymał pozwolenie-nakaz wyjazdu za granicę i osiadł w Monachium.

W malarstwie króluje socrealizm. Wszystko zatrzymało się przed półwieczem. Powiewy z Zachodu nie docierają do Rosji, zatrzymując się w drobnej mierze u brzegów Bałtyku. Na wystawie międzynarodowej obrazy z dwunastu republik sowieckich nie różniły się od pierwowzorów sprzed lat kilkadziesiąt. Jedynie malarstwo trzech republik nadbałtyckich było nowoczesniejsze — zwłaszcza łotewskie i estońskie. Lenin i Stalin wstrzymali postęp w sztuce i to obowiązuje nadal. Ale Lenin, rozwiązując różne problemy, nie wypowiedział się nigdy w sprawie lepienia garnków. Dzięki temu nie ma w tej dziedzinie wytycznych ideologicznych... i ceramika na Litwie rozwinęła się wspaniale. Wyroby garncerskie i projekty wzorów tkanin są urozmaicone, nowoczesne i gustowne.

Ogólne tendencje dają mniej warunków do rozwoju twórczości indywidualnej, sprzyjają natomiast osiągnięciom zespołowym. Nie ma wybitnych śpiewaków, czy muzyków-solistów, ale za to są dobre zespoły symfoniczne, kameralne czy nawet orkiestra dziecięca z repertuarem muzyki klasycznej.

W wileńskiej prasie ukazała się wzmianka, że „nie ma na Litwie człowieka, który by nie znał i nie cenil naszej niewidomej śpiewaczki B. Grinceviciute, której głos od 40 lat rozbrzmiewa na falach litewskich rozgłośni”. Mowa tu o Bożenie Hrynceviczównie (ciotecznej siostrze p. Arturowej z Młynarskich Rubinsteinowej), która we wczesnej młodości miała swój stały kącik w dyrektorskiej łozie opery warszawskiej, dzięki protekcji wujka, dyrektora Emila Młynarskiego. W ustroju sowieckim jest wielką zaletą gdy ktoś zyskujący popularność za dużo nie widzi, nie może być wówczas groźny, więc gdy jest niewidomy może być na świeczniku, nawet mimo ziemiańsko-szlacheckiego pochodzenia (i — według prywatnych informacji — wielkiej uczciwości).

Inną specjalnością litewską jest śpiew chórny. Widocznie już szkoła daje odpowiednie przygotowanie, gdy bowiem grupa robotników rolnych śpiewa wracając z pracy, to jest czego posłuchać. Odszukano mnóstwo starych pieśni ludowych, regionalnych, obrzędowych i in. i repertuar jest bogaty. Na świecie śpiewaczym w Wilnie występowało jednocześnie kilkaset zgranych ze sobą chórów, ogółem 20 tysięcy osób. Ale i tu obowiązuje danina: po narzuconej pieśni „Szyroka strana moja...” (zresztą w litewskim tłumaczeniu) zaśpiewano „Litwo, ojczyzno moja”, a następnie pieśń pt. „Requiem”. Zresztą polskie chóry na Litwie, na swych skromnych imprezach też składają daninę — numerem popisowym „Lenin z nami...”.

Najbardziej skrupowani i poszkodowani są rzeźbiarze. Tu został narzucony nie tylko styl, ale temat i szablon. Obowiązuje postać przeważnie tego draba z bohatersko wzniesioną ręką. W Leningradzie, dla upamiętnienia obrony tego miasta, każda postać na pomniku jest z drabinem maszynowym, na tle czołgu, z rewolwerem, albo nawet z bagnetem. W Wilnie jest już trochę lepiej — nie ma rewolwerów, ale pozostała wzniesiona ręka, przeważnie zaciśnięta w pięść. W Związku Sowieckim według szablonu Lenin patrzy zawsze — w lewo, a w Wilnie — nie wiadomo dlaczego — w prawo. W Kownie na pomnikach nadal obowiązuje wzniesiona ręka,

ale już bez kułaka i zdarzają się niekiedy siedzące na cokole zatroskane ba-bulki i inne przejawy melancholijno-łagodniejszego rodzimego stylu litew-skiego. Lecz ta heroicznie wzniesiona ręka nadaje sztuce rzeźbiarskiej akcent nakazanego „optymizmu”. Aktorka-kariatyda deklamująca prawie sentymentalny wierszyk czy mówka na wiecu też musi od czasu do czasu heroicznie wnieść rękę — może nawet nie zawsze musi, może po prostu przywykł, bo taki jest już styl życia.

Sowiecka taktyka ucisku uległa w okresie postalinowskim ewolucji. Pięść rzadziej już bije, ale wzniesiona ręka wciąż grozi sterroryzowanej ludności, której stan psychiczny graniczy z manią prześladowczą. Litwini, którym udało się przedostać za granicę, powiadają, że przedsiębrane są raczej środki ostrożności w przewidywaniu oporu, niż bezpośrednie strzelanie do tłumu demonstrantów. W skrajnych przypadkach używa się pałek i kolb karabinowych. Unika się obecnie masowych aresztowań w czasie demonstracji — cierpliwie się ją obserwuje, a aresztowania następują później i stopniowo. Ponieważ masowe aresztowania po demonstracji w Żaduszki wywołały wzbурzenie, wy-ciągnięto z tego odpowiednie wnioski.

Po sławnej mowie Chruszczowa i uwolnieniu wielu zesłańców, w tym i Litwinów, zaszczypliwi oni ducha oporu już nie w stare, sterroryzowane społeczeństwo, ale w młodzież. Powstały liczne tajne kółka młodzieży, nawiązano stosunki ze studentami łotewskimi i estońskimi. Mimo prześladowań ruchy te trwały przez lata, ginąc i znów się odradzając. Aresztowanych przesłuchuje się, terroryzuje, czasem nakłania do współpracy z KGB, trzyma się osoby podejrzane pod stałą obserwacją, aż się zupełnie załamia i uspokaja. Jest to nowa metoda profilaktyczna. Mimo że są wciąż nowe aresztowania, głośne procesy i ciche represje, „Kronika Kościoła Katolickiego Litwy” wciąż się ukazuje i donosi o nowym uwięzieniu księdza za „zbrodnie” przygotowywania dwojga dzieci do pierwszej spowiedzi, lub tłumacza „Archipelagu GULag” na język litewski.

Wiele wiadomości o dziejach powojennej Litwy dopiero teraz dociera na Zachód m.in. o tym, że masowe powojenne deportacje miały na celu nie tylko zwalczanie partyzantów, lecz również likwidację oporu przeciwko wprowadzeniu kolchozów. Ale nie ma dotąd wiadomości czy i w jakim stopniu wywózka 300 tysięcy mieszkańców Litwy dotknęła polską ludność, czy też Polacy na Wileńszczyźnie — wyrugowani z aktywnej działalności przez liczne poprzednie deportacje i repatriację — zostali pozostawieni we względ-nym spokoju. Minęło już prawie 30 lat, a my — mimo ogłoszonej w Hel-sinkach „swobody komunikacji” — dalej nic nie wiemy.

E. ŻAGIELL

Białoruskie pokłosie

I

Po wydrukowaniu kilku białoruskich przeglądów zacząłem otrzymywać dalsze czasopisma, których wydawcy widocznie chcieli, aby i o nich ukazały się wzmianki w paryskiej *Kulturze*.

1) *Dzwonnica*¹, cerkiewno-społeczny organ prawosławnych Białorusinów w Wielkiej Brytanii, jest powielanym wydawnictwem komitetów cerkiewnych w Londynie i Manchesterze. Pierwszy zeszyt (36 stron) ukazał się w grudniu 1974, 1/2 (26 str.) w marcu i 2/3 (24 str.) w maju 1975. Oprócz artykułów religijnych i politycznych oraz kroniki, mamy w nich wiadomości typu raczej kalendarzowego: o różnicach pomiędzy nowym i starym stylem, o układzie systemu słonecznego czy nawet o przepisach towarzyskiego *bontou*. Artykuły polityczne (m.in. „Król Białorusi” — to o Kostusiu Kalinowskim) podają niekiedy wiadomości bałamutne, jak np., że na Kongresie w Mińsku, „18-31 grudnia 1917”, wybrana została Rada Białoruska w składzie 71 osób, w tym 7 Żydów, 4 Polaków, 2 Rosjan i po jednym Ukraińcu i Litwinie (Nr 1/2, str. 1-2). Rozpędzony po dwóch dniach obrad kongres nie zdołał zakończyć normalnie swych prac i wybrać Rady; toteż zasady jej tworzenia nie były nigdy dokładnie ustalone. Drukowane w numerach 1/2 i 2/3 urywki wspomnień anonimowego kursanta Szkoły Dowódców BOK są interesujące. Jeszcze przed oficjalnym otwarciem szkoły ewakuowano ją z Mińska; po miesiącu, przemianowana na „normalną” kompanię 4 pułku 30 niemieckiej dywizji, przez pewien czas przebywała w Polsce, gdzie ponoć chciano ją użyć przeciwko warszawskim powstańcom. Miał się temu sprzeciwić kpt. Witali Mikuła, który też następnie znalazł się w Dachau i został tam zamordowany. Spod Warszawy, Białorusini pomaszerowali do Prus Wschodnich, gdzie woleli pracę przy sianokosach od święcen wojskowych.

2) Za przykładem polskich kombatanów, białoruscy weterani podjęli próbę zorganizowania się w skali światowej. Po odbyciu w sierpniu 1974 roku „pierwszego światowego spotkania” w Manchesterze, powołali Komitet Łączności byłych Białoruskich Wojskowych, z K. Akułą na czele. W listopadzie 1974, w Toronto w Kanadzie, zaczął wychodzić organ owego Komitetu, półrocznik *Zwazaj* (*Baczność!*²) — 8 stron drukowanych na dobrym papierze z ilustracjami. W 1-szym numerze, poza sprawozdaniem ze „Spotkania” mamy tekst przemówienia Akuły na pospotkaniowym bankiecie. Podkreślił w nim, że, odmiennie od żołnierzy powołanych do BOK pod przymusem, elwi Szkoły Dowódców byli ochotnikami, oraz dał zarys ich historii od wyjścia z Mińska do przejścia do francuskiego *Maquis* w sierpniu i pójścia do francuskiej niewoli w listopadzie 1944 roku. Podkreślił, że w 1939 roku powoływani do wojska polskiego Białorusini mieli rzekomo śpiewać:

„Wy nia dumajecie, Palaki,
szo my budziem wajawać.
My zasiadziem u wakopach,
samagonku budziem gnać”.

Natomiast obecni białoruscy weterani *zmagalisia* (walczyli) „koło Tobruku, czy pod Monte Cassino”.

Więcej niż połowę numeru 2-go *Zwazaj* z kwietnia 1975 zajmuje początek monografii polskiego miasteczka Motel, przez anonimowego autora pochodzącego z tamtych stron. W latach 30-tych ścierały się tam wpływy polskie i sowieckie. Polacy wprowadzili powszechne nauczanie, Koła młodzieży i

1. *Zvanica*, cerkowno-gramadzki czasapis prawosławnych Białorusinów w Wielkiej Brytanii, Redaguje Kategoria. Adres 65, Twickenham Rd., Isleworth, Middlesex. Cena numeru 25 p.

2. *Svazhay* — Magazine, published twice-a-year by Liason Comm. of Białorusian War Veterans, 57, Riverdale Ave., Toronto, Ont. M4K 1C2. Cena nie podana.

Strzelca, zaś komuniści swoje „jaczajki”. Ich organizatorem był Jan Macukiewicz-Samaraka, który po dwukrotnym pobycie w Rosji w latach 1930 i 1931, zdołał skupić ok. 30 „młodych fanatyków”, działających niezwykle energicznie. Na jesieni 1935 roku ściągnęło to na miasteczko represje; „jaczajka” została rozgromiona a jej przywódcy skazani na 4 lata więzienia. Zwolniono ich jednak przedterminowo, i we wrześniu 1939 mieli już swoją organizację odbudowaną. Podany ze szczegółami opis ich powrześniejowej działalności jest wstrząsający. Od 18 września organizowali napady na sąsiednie majątki i m.in. zamordowali w Porzeczcu byłego ambasadora w Londynie, Konstantego Skirmunta, a jego siostrę Marię w Mołotowie. Masowe mordy miały również miejsce w Motole. Przeprowadzano je z niezwykle okrucieństwem:

„Młodych chłopców 'strzelców', do których mieli szczególną urażę, komuniści łapali i odprowadzali na żydowski cmentarz. Tam naprzód siekierami odrąbali swym ofiarom ręce, następnie nożami wykluwali oczy, odcinali uszy, nosy, języki i organy płciowe i pozostawiali na miejscu”.

Po podaniu tych szczegółów, autor pisze:

„Gdyby mnie powiedziano kiedyś, że ci ludzie mają zwierzęce instynkty i są zdolni do nieludzkich wyczynów, trudno by było uwierzyć. Nie wszyscy też wierzą temu, co napisałem. Czytelnik może pomyśleć, że przesadzam i na to nie poradzić nie mogę. Trudno uwierzyć w niektóre opisane tu zdarzenia, toteż nikogo przekonywać się nie staram. Sam bym nie uwierzył, gdyby mi ktoś opowiadał coś podobnego. Piszę to, co było i jak było. Na pewno wiele opuszczam i nie wszystko jest mi wiadome...”.

W dalszym ciągu autor podaje nazwiska i uliczne przezwiska kilkunastu mieszkańców Motela, których — pisze — „znam osobiście, a oni mnie znają”, oskarżając ich o dokonanie tych straszliwych mordów, i kończy wydrukowany odcinek:

„Owej jesieni, w ciągu tygodnia od 17 do 24 września, komuniści zamordowali w Motelu około 40 młodych chłopców”.

3) Zamieszkały w osiedlu East Brunswick, New Jersey, Dr P. Markouski w 1970 roku rozpoczął wydawanie czasopisma *Wiecze*. W pierwszym roku był to miesięcznik, w drugim i trzecim-kwartalnik, w czwartym-półrocznik, a od 1974 roku rocznik pt. *Wialitwa*³. Wydawane techniką fotograficzną

Więcej niż połowę rocznika *Wialitwa* — co ma być skrótem „Wielka Litwa”, czyli Białoruś — zajmuje artykuł Dr. P. Markouskiego pod tyt. „Indoeuropejczycy, Słowianie, Bałtowie, Bałtosłowianie — Białorusini”, ilustrowany kilku mapami i wykresami. Największa z map podaje granice terytorialne obszaru, Bałtów, Bałtosłowian (Białorusinów); sięgają one Warszawy na zachodzie, Rygi i Pskowa na północy, Moskwy na wschodzie i Kijowa na południu, pozostawiając te miasta poza granicami obszaru białorus-

3. *Wialitwa*. Białoruski Rewalucyjny Demokratyczny Gramadzki Czasapis. 204 State Highway 18, East Brunswick, N.J. 08816, USA. Cena 1 dol. zeszyty od 16 do 38 stron ilustrowanych, zawierały artykuły i polemiki na różne tematy, przeważnie w tekście dwujęzycznym białoruskim i angielskim.

kiego. Artykuł oraz obszerna polemika redaktora z anty-semicko, czy też anty-syjonistycznie usposobionym czytelnikiem, w której Dr Markouski powołuje się przy definiowaniu pojęć „patriotyzm” i „nacjonalizm” na *American College Dictionary* oraz Białoruską Sowiecką Encyklopedię, świadczą, że aczkolwiek z zawodu jest on bodaj lekarzem, nie są mu obce szersze zainteresowania humanistyczno-polityczne.

II

Poza listami do redakcji i autora, artykuły w *Kulturze* na białoruskie tematy zostały pokwitowane przez notatki w białoruskich pismach.

Nowojorski *Bielarus* w majowym numerze 217, w rubryce „Co słytać”, pod tyt. „Pogląd na białoruską emigrację polskiego profesora”, pisał:

„... nie wiadomo z jakiej przyczyny, autor przyjął sowiecką bujdzę (*chłusniu*), że na berlińskiej konferencji w 1925 r. organy BNR rzekomo same się zlikwidowały i przekazały swe pełnomocnictwa Sowieckiej Białorusi, czego w rzeczywistości nie było; oraz, widocznie z powodu niedostatecznego poinformowania, nieprawidłowo przedstawił sytuację w Białoruskiej Autokefalonej Prawosławnej Cerkwi na obczyźnie. Natomiast w końcowej części artykułu, poświęconej gazecie *Bielarus*, profesor W. Sukiennicki obiektywnie i prawidłowo naświetlił charakter naszej gazety oraz jej rolę w życiu białoruskiej emigracji”.

Twierdzenie, że przyjąłem sowiecką *chłusnię*, prawdzie nie odpowiadało, potrzebna jednak okazała się wymiana korespondencji by spowodować ukazanie się w tej samej rubryce sierpniowego numeru 220 „Oświadczenia”, że „sowieckiej *chłusni*” nigdy nie podzielałem i nie podzielał.

Kanadyjski *Bielaruski Głos* w czerwcowym i lipcowym numerach (234 i 235) w notach pt. „Polacy o białoruskiej emigracji”, dość obszernie omówił trzy artykuły o białoruskim rozbiciu, pisząc m.in.:

„Biorąc pod uwagę, że przegląd napisany jest przez Polaka, pochodzącego z ziem białoruskich (Wilno), czyli prawdopodobnie bardziej stronniczego niż jakiś 'Kongresowiak' czy 'Poznaniak', jest on dość bezstronny i określenie niektórych zdarzeń w życiu emigracji prawidłowe. ... Prawidłowo wytłumaczony został rozłam w BACP pomiędzy Arcybiskupem Tamaszczykiem i jego parafiami (odejście od niego parafii nowojorskiej), jako wywołany przez ich 'mniej lub więcej nieprzejednany stosunek do katolicyzmu i ruchu ekumenistycznego'...”

Trzeci artykuł... jest poświęcony nam, naszej gazecie i poczynaniom w Kanadzie oraz *Bojowej Uskałości*. Krótko, fragmentarycznie, ale bezstronnie, zostały przedstawione główne zdarzenia... Po raz pierwszy *Kultura* zamieściła przegląd działalności białoruskiej emigracji”.

Do not tych dodać należy wydrukowany we wrześniowym numerze 236 *Głosu* obszerny list Białoruskiego Ewangeliczno-Baptystycznego Bractwa, którzy z okazji pastora metodystów Piatrauskiego, niesłusznie zaliczonego przeze mnie do baptystów, podaje historię rozwoju baptystyzmu wśród białoruskich emigrantów, oraz list redaktora do mnie z wymówką, że za dużo miejsca poświęciłem jego osobie, a za mało ruchowi, który reprezentuje.

Inny list wyrażał „zdumienie”, że mogłem pisać o gazecie, która „jest brukową na białoruskim emigracyjnym rynku, i nikt z poważnych myślicieli nie uważa ani „B.H.” ani jego wydawcy-redaktora... za poważne i miarodajne

źródło". To zdanie „białoruskich myślicieli” byłem gotów podzielić, po przeczytaniu w odcinku Nr 236 artykułu Ju. Stasiewiczza pt. „Czymi rękami zostało nałożone jarzmo”. Okazuje się że to nie „czystyja Rasiejcy”, ale „łotewscy najemnicy” i „knechci-Polacy” przyczynili się do „nałożenia nowego jarzma moskiewskiego na naród Białorusi”. Kierowali zaś nimi „Polak-Żyd Berson oraz Polak Lander”; za „Polaka” również został uznany w artykule Frunzel!

Tego było dla mnie za dużo. To, że Białorusini chcą nam zabrać Kościuszkę i Kalinowskiego, pozostawiając Żyda Bersona i Oszmiańczuka Dzierżyńskiego, można by w ostateczności znieść. Ale podrzucanie Kirgiza Frunzego to już doprawdy „kurom na śmiech”! Gazety, która takie *chluśnie* drukuje, istotnie za poważne i miarodajne źródło uważać nie można. Niestety, i w tym wypadku się okazało, że Polak bywa mądry tylko po szkodzie.

„Poważni myśliciele” nie ograniczyli się bowiem do listów prywatnych. W październikowym numerze 222 *Biëlarusa* przeczytałem umieszczone jedna po drugiej dwie notatki. Pierwsza, poświęcona propagandowej broszurce wydanej w Mińsku przez *Gołas Radzimy*, kończyła się wielokropkiem. Po nim następował tytuł drugiej notatki „*U wadzin gołas z "Golasem"*”, poświęconej paryskiej *Kulturze* oraz „W. Sukiańnickiemu”, który rozpoczął w niej drukować przeglądy kulturalno-politycznej działalności białoruskiej emigracji. Zdaniem notatki, autor tych przeglądów zaczął głębiej zaznajamiać z życiem białoruskim dopiero od niedawna i coraz bardziej wprowadza czytelników *Kultury* w błąd zamiast ich informować. „Nagromadzeniem fikcyjnych wiadomości” miał się szczególnie odznaczać artykuł w majowym zeszycie *Kultury* o S. Chmarze, „Burzliwe przygody swego bohatera”, autor opisuje w nim prawie wyłącznie na podstawie informacji zaczerpniętych z „Chmarowego 'Gołasu'”; Chmara zaś nie należy do ludzi skromnych i nigdy nie żałuje „bohaterskich barw” w swojej auto-biografii. Zorientowanie się w tym co jest „prawdą, co wymysłem, samochwalstwem czy demagogią” jest ponad siły osoby obcej, która „nawet uwierzyła, że Chmara, już dawno wyrzucony ze wszystkich białoruskich organizacji w Kanadzie, ma w swojej grupie aż 30 członków”.

Wstrzymując się od komentarzy, zaznaczę tylko, że istotnie doliczyłem się do około 30 nazwisk autorów, którzy drukowali swe utwory w *Bajawaj Uskałosi*, oraz przypomnę że naczelnym redaktorem *Biëlarusa* jest doktor USB Stanisław Stankiewicz.

III

Na początku 1975 roku nowojorski *Biëlorus* poniósł ciężką stratę; 4 stycznia zmarł w South River jego utalentowany felietonista historyczno-polityczny Jurka Wićbicz, o którym pisałem na str. 91 numeru 3/330 *Kultury*. Przy tej okazji ujawniło się, że pod nazwiskiem Juryj Stukalicz był on jednocześnie przez 25 lat stałym współpracownikiem nowojorskiego dziennika *Nowoje Russkoje Slowo*.

Zmarł również nagle 31 sierpnia w Londynie Wiktor Ostrowski, syn 88-letniego Radosława. Z nekrologu dowiadujemy się, że był on aresztowany i więziony do Rosji, którą zdołał opuścić dzięki przyłączeniu się do korpusu gen. Andersa. O tym, że następnie był autorem dzieła, na podstawie którego amerykański profesor dr Lubachko doszedł do wniosku, że GPU i Gestapo wiele mogłyby się nauczyć od polskiej policji, nekrolog nie wspomina.

Wiktor SUKIENICKI

Listopad 1975

Kronika czeska i słowacka

Acta persecutionis

Mam przed sobą ciekawy dokument — listę 143 prześladowanych przez reżym Husaka historyków. Lista ta, nazwana przez jej autorów ACTA PERSECUTIONIS, przedstawiona została w sierpniu 1975 XIV Międzynarodowemu Kongresowi Historyków w San Francisco. Dokument ten jest ciekawy nie tylko dlatego, że zawiera blisko półtorej setki nazwisk ludzi bardziej lub mniej znanych, lecz przede wszystkim dlatego, że zawiera dane pozwalające wyciągnąć wnioski co do charakteru pracy poszczególnych osób, oraz ich późniejszego losu.

Dlaczego ta zemsta i dlaczego właśnie historycy padli jej ofiarą? Ludzie ci nie dopuścili się żadnych czynów karalnych w sensie kodeksu karnego. Odważyli się tylko mieć własne przekonania. Po roku 1956 rzucili hasło przeprowadzenia obiektywnych badań w celu zrewidowania oficjalnej wówczas wersji i zrehabilitowania niewinnie prześladowanych w okresie stalinizmu. Im to przypada główna zasługa w dcele rehabilitacji tzw. słowackich burżuazyjnych nacjonalistów, a więc m.in. Gustava Husaka.

ACTA PERSECUTIONIS zawierają wykaz osób, którym władze dzisiejszej Czechosłowacji zakazały wykonania zawodu. Wykaz ten nie jest kompletny, ponieważ: a) ze względów technicznych nie było możliwe ustalenie, gdzie i czym konkretnie zajmują się obecnie w Czechosłowacji prześladowani historycy. Na ziemiach czeskich — wielu historyków zmuszono do podjęcia prac nie związanych z ich wykształceniem i przygotowaniem; b) akcja prześladowań nie została zakończona.

Spśród wymienionych na liście kilku poddano represjom policyjno-sądowym. Nadal przebywają w więzieniu za swe przekonania: Milan Hübl, Jaroslav Mezník, Jan Tesarž.

Wśród 143-ch jest wielu historyków znanych w Polsce. Należą do nich m.in.: Jaroslav Valenta, były pracownik Instytutu Europy Wschodniej zajmujący się stosunkami czechosłowacko-polskimi, obecnie na emeryturze choć sam wiek nie upoważniałby go do tego (ur. 1930); Radko Brach, były profesor historii Czechosłowacji w wojskowej akademii politycznej, specjalizował się w czechosłowackiej polityce zagranicznej okresu 1939, obecnie pracuje jako robotnik; znani są też polskim kołom naukowym Milosz Hajek, Rudolf Hoffmann (autor kilku prac poświęconych Polsce, polonofil), Milan Hübl, Vojtech Mencl, Jaroslav Opat, Vilem Preczan i Pirzi Sladek.

Nie brak wśród figurujących na liście również osobistości wybitnych, jak (poza wyszczególnionymi wyżej) Karel Kaplan — w latach 1968-69 członek komisji do spraw rehabilitacji ofiar procesów politycznych z „minionego okresu”, w roku 1971 aresztowany lecz po kilku tygodniach zwolniony z więzienia, obecnie pracuje jako robotnik; Lubomir Liptak, wybitny historyk słowacki; kilku było w swoim czasie ściśle związanych z Husakiem (np. Juraj Fabian, Samo Faltan).

Większość prześladowanych to Czesi. Historyków słowackich jest wymienionych 18. Historycy słowacy w ogóle potraktowani zostali łagodniej.

Według danych ACTA PERSECUTIONIS pracowało fizycznie 39 osób. Kilku z nich zostało palaczami (m.in. specjalista z dziedziny historii ruchu

oporu Karel Bartoszek), stróżów nocnych etc. Robotnicą została również Irena Seidlerowa, były pracownik naukowy Czechosłowackiej Akademii Nauk, były więzień Teresina, jej dziedzina — historia fizyki (sic!).

Zdecydowana większość zatrudniona była w różnych instytucjach naukowych, jak akademie nauk, uczelnie partyjne, instytucje badawcze, akademie wojskowe. Bezpośrednio z uniwersytetami związanych było 29 osób, z tego przeważająca liczba z Uniwersytetem Karola w Pradze. Tytuły profesorskie posiadało 11 osób, m.in.: Koloman Gajan — historia nowoczesna — obecnie nauczyciel języków obcych; Frantisek Graus — wybitny mediewista, były redaktor czzechosłowackiego przeglądu historycznego, obecnie na emigracji w Bazylei gdzie wykłada swój przedmiot; Vladimír Kaszik — historia współczesna, obecnie bezrobotny; Frantisek Kavka — mediewista, pracuje jako kustosz muzeum żydowskiego w Pradze, Jaroslav Kládva — rewolucja kulturalna — były więzień obozów koncentracyjnych, obecnie na emeryturze; Frantisek Kratochvíl, profesor akademii politycznej przy KC partii — współczesna historia polityczna — obecnie pracownik biblioteki uniwersyteckiej; Josef Maczek, były dyrektor instytutu historii czzechosłowackiej akademii nauk, wybitny specjalista z dziejów husytyzmu, obecnie pracownik redakcji słownika staroczeskiego; Antonín Šnejdárek, były dyrektor instytutu międzynarodowej polityki i gospodarki, obecnie na emigracji we Francji. *Nota bene* spośród 143 jedynie 7 przebywa na emigracji.

Vilem Preczan, (wybitny historyk, były pracownik naukowy instytutu historii akademii nauk, współautor wstrząsającego dokumentu SIEDEM DNI W PRADZE — 21-27 SIERPNIA 1968, znanego również pod innym tytułem: CZARNA KSIĘGA) wystosował do Kongresu Historyków w San Francisco list, w którym apeluje o pomoc w obronie przesładowanych. Wspomina, że interwencja zachodniemieckiego profesora Eberharda Jaeckela na poprzednim kongresie (w Moskwie) uratowała niejednego z jego kolegów od więzienia. Skuteczność takich interwencji zdaniem Preczana nie ulega wątpliwości, skoro wskutek akcji podjętych w jego obronie przez historyków brytyjskich — Trevor-Ropera, Taylora i Carstena — prokuratura generalna nie zdecydowała się na wszczęcie przeciwko niemu postępowania karnego, mimo że w tym kierunku poczyniono daleko posunięte przygotowania.

Preczan stwierdza, iż nigdy dotąd nie ugiął się przed przemocą, czynił jednak wszystko co w jego mocy w obronie swej integralności jako naukowca tudzież jako człowieka i obywatela. Nigdy nie sprzeniewierzył się temu, co nazywa prawami i obowiązkami historyka. Nigdy jednak dotąd nie ogłaszał żadnej publicznej deklaracji, unikał bowiem konfrontacji z władzami. Pragnął spokoju, by móc wykonywać swój zawód — zawód historyka. Człowiek — stwierdza Preczan — ma wiele do stracenia, nawet jeśli po 20 latach studiów i twórczej pracy zmuszony jest do podjęcia niewolniczej pracy jako niewykwalifikowany robotnik, nawet jeśli traci resztki swych praw obywatelskich.

Preczan zaznacza, iż nie starał się wyemigrować, gdyż wierzył, iż mimo tych czy innych szkwań będzie w stanie wykonywać swój zawód. Nawet pozbawiony pracy w instytucjach naukowych historyk nie przestaje być historykiem. Ma bowiem do spełnienia poważne zadanie: zbadać, jak zachowuje się społeczeństwo w chwilach kryzysu. Historyk posiada coś szczególnie dlań cennego, coś co jest wynikiem wieloletniej pracy — prywatne archiwum. I to właśnie sanktuarium staje się teraz przedmiotem ataków władz, które odebrały mu prywatne archiwum, jego prywatną korespondencję, a listy pochodzące od niego odebrało jego przyjaciółom. Wszystko to czyniono w oczywistym zamiarze — poniżenia, upokorzenia. Preczan nazywa ową politykę obecnego reżymu czzechosłowackiego *apartheid'em* kulturalnym — owo spychanie intelektualistów na najniższy szczebel egzystencji. Intelektualści w Czechosłowacji traktowani są gorzej niż notoryczni złodzieje i inni przestępcy w innych krajach. Dlaczego taka wściekłość wobec historyków? — pyta. Dlatego — odpowiada — iż większość z nich odmówiła politykom prawa identyfikowania nauki historycznej z ideologią.

Preczan podkreśla prawa i obowiązki ludzi kultury — protestować przeciwko dławieniu praw człowieka i obywatela, protestować przeciwko niszczeniu kultury, przeciw przesładowaniu inteligencji. Odmawia on władcom dzisiejszej Czechosłowacji traktowania go jako wasala, jako wiecznego poddanego. Protestuje przeciwko odbieraniu mu najbardziej fundamentalnych praw — zapewnienia ludzkiej i materialnej egzystencji zgodnie z talentem, zainteresowaniami i wykształceniem. Aby to zrealizować, potrzebna jest solidarność. Tylko solidarność międzynarodowego bractwa historyków daje szansę wytrwania.

Preczan podkreśla prawa i obowiązki ludzi kultury — protestować przeciwko dławieniu praw człowieka i obywatela, protestować przeciwko niszczeniu kultury, przeciw przesładowaniu inteligencji. Odmawia on władcom dzisiejszej Czechosłowacji traktowania go jako wasala, jako wiecznego poddanego. Protestuje przeciwko odbieraniu mu najbardziej fundamentalnych praw — zapewnienia ludzkiej i materialnej egzystencji zgodnie z talentem, zainteresowaniami i wykształceniem. Aby to zrealizować, potrzebna jest solidarność. Tylko solidarność międzynarodowego bractwa historyków daje szansę wytrwania.

Znamienny wywiad

We wrześniu 1975 grupa dziennikarzy zagranicznych przeprowadziła — potajemnie nagrany — wywiad telewizyjny z dwoma wybitnymi osobistościami dubczekowskiego kierownictwa: byłym sekretarzem KC KPCz Zdenkiem Mlynarzem oraz byłym ministrem spraw zagranicznych Jirzým Hajkiem. Wywiad ten został później nagrany m.in. w telewizji szwedzkiej, co spotkało się z ostrą reakcją Pragi, nawet sam naczelny ideolog Vasil Bilak uznał za wskazane polemizować — jak się wyraził — „ze zgorzkniałymi bankrutami, którzy nie są w stanie wpływać na losy socjalistycznej Czechosłowacji”.

Wywiad Mlynarza i Hajka stanowi ciekawy przyczynek do oceny współczesnej sytuacji „znormalizowanego” społeczeństwa Czechosłowacji, do warunków życia zwykłego człowieka, ilustruje ponadto tendencje części czzechosłowackiej opozycji. Na wstępie wywiadu obaj w kilku słowach opisali warunki, w jakich przyszło im samym żyć. A więc Mlynarz, z zawodu i wykształcenia prawnik, autor szeregu prac w tej dziedzinie, ma *hobby*, które stało się jego drugim zawodem: entomologię. Pracuje już od sześciu lat w tym swoim zawodzie, ale... nie wolno mu ogłaszać swych prac ani utrzymywać kontaktów z zagranicznymi kolegami. Hajek natomiast, profesor prawa i historii, specjalizujący się w problematyce ONZ, zmuszony był przedwcześnie odejść na emeryturę.

Oto główne punkty wywiadu: o obecnej sytuacji kraju obaj stwierdzają, że choć pełna charakterystyka jest nader trudna, jedno daje się zauważyć — na powierzchni wszystko wydaje się wróciło do normy, ale pod powierzchnią da się wykryć objawy poważnej choroby, których główną przyczyną jest stłumienie naturalnych dążeń społeczeństwa do bardziej racjonalnego ułożenia systemu, do jego demokratyzacji. Obecna polityka sprzeczna jest nawet z „protokołem” moskiewskim z sierpnia 1968. Obaj stwierdzają, że „protokół” nie może stanowić podstawy prawnej do tych wszystkich akcji, jakie reżym przeprowadził po roku 1969 i 1970. Przeciwnie, zawierał sformułowania nawiązujące bezpośrednio do reform styczniowych z 1968 i używał takich określeń jak „demokratyzacja” itp. Mlynarz stwierdza, że „protokół” w istocie rzeczy gwarantował proces demokratyzacji i reform. Obecna polityka nie jest więc skutkiem działania ówczesnego kierownictwa. Co do samego „protokołu”, obaj rozmówcy wskazują, że podpisując go mieli na uwadze również sytuację w Europie, której nie chcieli zaognić.

O obecnej sytuacji wewnętrznej Mlynarz zauważa, iż jej cechą szczególną jest nie tylko daleko posunięta ingerencja policyjna nad życiem społeczeń-

stwa, istnienie więźniów politycznych, lecz jakaś swoista „umowa społeczna”. Istotą tej „umowy” jest to, że obywatel zobowiązuje się, iż nie będzie publicznie wypowiadał swego zdania na tematy polityczne, że przeciwnie — publicznie będzie wyrażał swe poparcie wobec wszystkich posunięć reżymu. Państwo zaś gwarantuje, iż pozostawi go w spokoju, pozwoli mu samemu troszczyć się o odpowiednią egzystencję dla siebie samego oraz rodziny, zapewni mu ubezpieczenia społeczne, zatrudnienie itp.

Hajek w związku z tym nadmienia, że powstał nowy „społeczny podział pracy” — sprawy prywatne są do tego stopnia absorbujące, że na sprawy publiczne niewiele pozostaje czasu i energii;

Obaj rozmówcy podkreślili w dalszym ciągu wywiadu rolę korupcji jako zjawiska społecznego w dzisiejszej Czechosłowacji, kiedy to nie wiedza lecz powiązania decydują o wielu rzeczach. Obaj szczególnie ostro potępili stosowaną przez władze metodę mszczenia się na dzieciach przeciwników. Hajek dodaje, iż świadczy to o braku zaufania ze strony reżymu we własne siły. Przypomniał przy tym, że politykę przeciwstawiania dzieci rodzicom prowadzili w Czechach także jezuita, lecz oni wierzyli we swe siły, nie potrzebowali zamykać przed młodzieżą bram uczelni.

Sprawa wybrnięcia z obecnej sytuacji: Młynarz stwierdza, iż nikt nie pragnie wybuchów masowego niezadowolenia. Hasło „im gorzej, tym lepiej” jest hasłem fałszywym. Należy stopniowo dążyć do złagodzenia sprzeczności w łonie społeczeństwa, należy unikać prowokowania nowych wybuchów niezadowolenia. Tylko wzajemna wymiana poglądów — zdaniem Młynarza — może przyczynić się do rozładowania sytuacji. Problem demokratyzacji pozostaje nadal zasadniczym zadaniem chwili. Hajek zauważa, iż restauracja doprowadziła społeczeństwo do stanu takiego napięcia, jakiego przedtem nigdy nie było.

Młynarz poruszył w swym wywiadzie sprawę apelu Dubczeka do parlamentu zwracając uwagę na powrót do metody wyzwick wobec przeciwników. Wyśmiał przy tym Bilaka, który w wywiadzie dla amerykańskiego pisma komunistycznego *Daily World* zaprzeczył jakoby wykluczeni komuniści byli przesładowani, bowiem chodzi tylko o pewne „niepoprawne jednostki”. Gdzie podzieli się więc owe hordy kontrewolucjonistów, przeciw którym należało sprrowadzić armie Układu Warszawskiego, zapytuje Młynarz.

Zarówno Młynarz jak i Hajek wyrażają się pozytywnie o Helsinkach. Hajek nadmienia, iż program akcji z roku 1968 zawierał punkt o europejskiej konferencji bezpieczeństwa. Hajek podkreślił znaczenie „trzeciego koza”, którego zasady winny też być przestrzegane. Powoływanie się na „wewnętrzne sprawy” jest złudne. W stosunkach między państwami ważna jest zasada zaufania między partnerami. Państwa, wyróżniające się wewnętrznymi cechami sprzecznymi z europejskimi zasadami cywilizacyjnymi, mają oczywiście mniejsze szanse na zdobycie takiego zaufania — konkluduje Młynarz.

Ostatnim punktem poruszonym w wywiadzie była sprawa europejskiej konferencji partii komunistycznych. Obaj rozmówcy przyznają, iż konferencja taka mogłaby mieć znaczenie, gdyby poruszono na niej problem czechosłowacki. Są stanowczo przeciwni jednolitemu ośrodkowi, postępowaniu wedle jednolitego szablonu. Sami — choć pozbawieni legitymacji partyjnych — nadal uważają się za komunistów i tu przebijają — zwłaszcza u Młynarza — pewna nadzieja, gdy sytuację swą porównuje z sytuacją komunistów jugosłowiańskich. Myśl tę — dodajmy — rozwija Młynarz w opublikowanej niedawno książce na temat doświadczeń roku 1968.

Stefan MICHNIK

Konferencja w Harvard

„UKRAINA W ZSSR — BILANS EKONOMICZNY”

26 i 27 września 1975 roku odbyła się w *Harvard University* konferencja na temat gospodarki Ukrainy, zorganizowana przez uniwersytety Harvard i Temple, przy poparciu AAASS (Amerykańskie Towarzystwo Popierania Studiów Słowistycznych). Na konferencji wystąpiło 23 profesorów i specjalistów z dziedziny ekonomii sowieckiej, reprezentujących 17 uniwersytetów amerykańskich i jeden angielski; w sumie zarejestrowały się na niej 82 osoby ze Stanów Zjednoczonych, Kanady, Wielkiej Brytanii i NRF.

Konferencja objęła trzy sesje, posiedzenie przy kolacji (*dinner conference*), oraz okolicznościowe seminarium na temat gospodarki Ukrainy w interpretacji zachodniej, w Harvardzkim Instytucie Badań Ukraińskich. Seminarium to prowadził główny organizator konferencji, Iwan Koropeczky z wydziału ekonomii przy *Temple University*. Wśród autorów zachodnich, interesujących się problemem Ukrainy wymienił on jednego Polaka, Zbigniewa Mieczkowskiego, geografę z Uniwersytetu Manitoba. Obecny stopień rozwoju Ukrainy jest według Koropeczkiego równy przeciętnej rozwoju Związku Sowieckiego jako całości; to samo można powiedzieć o stopniu wzrostu Ukrainy od czasu Drugiej Wojny Światowej. Podczas jednak gdy potencjalny wkład Ukrainy do wzrostu produkcji w Związku Sowieckim (mierzonej produktywnością kapitału) jest większy aniżeli potencjalny wkład mniej rozwiniętych rejonów ZSSR, inwestycje sowieckie na Ukrainie są proporcjonalnie mniejsze od inwestycji sowieckich w innych republikach, i w dodatku udział Ukrainy w tych inwestycjach spadł w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Koropeczky wysunął trzy hipotezy, które mogą tłumaczyć tego rodzaju politykę sowiecką: (1) zwyczajny objaw finansowania przez bardziej rozwinięte rejony rozwoju bardziej ekonomicznie zacofanych rejonów; (2) eksploatacja Ukrainy przez Związek Sowiecki, w którego rządzie dominują Rosjanie; (3) strategiczne i geopolityczne względy polityki wielkomocarstwowej.

Pierwsza formalna sesja konferencji odbyła się pod ogólnym tytułem „Fundamenty i wyniki” (*Framework and Performance*). Koropeczky zanalizował zmiany zachodzące w sowieckim podejściu do federalizmu z punktu widzenia autonomii republik sowieckich w podejmowaniu decyzji ekonomicznych; Stanley Cohn przedstawił nieco dziwną i kontrowersyjną hipotezę, że Ukraina jest gospodarczą w pełni rozwiniętą, i że dlatego właśnie spełnia rolę dostawcy kapitału dla mniej rozwiniętych rejonów Związku Sowieckiego; Gertruda Schroeder opracowała temat bliski piszącemu te słowa, a mianowicie konsumpcję i dochody osobiste rejonu Ukrainy.

Druga sesja miała za temat zasoby gospodarcze Ukrainy. David Bronson i Douglas Whitehouse mówili o „trendach” demograficznych i sile roboczej; Michał Boretsky o postępie technologicznym na Ukrainie; Leslie Dienes o produkcji i eksporcie surowców ukraińskich; Craig ZumBrunnem o ekologicznym zanieczyszczeniu otoczenia na Ukrainie.

Trzecia sesja poświęcona była analizie związków między Ukrainą i resztą Związku Sowieckiego. Lew Melnyk mówił o akumulacji kapitału na Ukrainie i jej związkach finansowych z ZSSR; Valery Bandera o wymianie handlowej i transferach między Ukrainą a resztą Związku Sowieckiego; James Gellul zajął się analizą przepływów międzygałęziowych, związanych z wewnętrznymi ekonomicznymi powiązaniem Ukrainy. Odczyty te będą prawd-

podobnie wydane w 1976 roku w formie książki opracowanej przez Iwana Koropeczkiego.

Krótko po wymienionej konferencji, w październiku 1975, Uniwersytet w Harvard zainaugurował trzy stałe profesury (*chairs*) studiów ukraińskich.

Konferencja na temat gospodarki ukraińskiej nie jest w tej dziedzinie studiów wyjątkiem. W ciągu ostatnich lat np. odbyło się kilka konferencji na temat krajów bałtyckich. Latem 1975, zorganizowana została przez Instytut Bałtycki w Skandynawii konferencja podczas której wygłoszono około 80 referatów. Konferencja Amerykańskiego Towarzystwa Studiów Bałtyckich odbyła się w 1974 w Chicago, przy udziale około 150 prelegentów. Kolejna zapowiadana jest na maj 1976, na Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku.

Wydaje się, że diaspora polska powinna w pełni poprzeć tego rodzaju naukowe konferencje. Trzeba zaznaczyć, że konferencje te obejmują również tematy polskie lub odnoszące się do Polski.

Bogdan MIECZKOWSKI

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 169 — IWAN KOSZELIWEĆ

UKRAINA 1956-1968

Seria „Dokumenty”

Str. 272.

Cena F. 18,50.

TOM 58 — STANISŁAW KOT

JERZY NIEMIRYCZ

INCJATOR UGODY HADZIACKIEJ

Str. 80.

Cena F. 7,00.

Sprawy i troski

Spotkanie w Waszyngtonie

Pierwszy raz po wojnie spotkaliśmy się w Brukseli, w 1946 roku. Czekano wtedy na konflikt między aliantami a Sowiecami, który miał przynieść wolność Polsce. Powiedzonko: „Jedna bomba atomowa i wrócimy znów do Lwowa” — dosyć dobrze odzwierciedlało ówczesne nastroje. Na sali kłócono się o delegatów 2-go Korpusu, a przed hotelem „Cosmopolite” niektórzy widzieli słynnego białego konia gen. Andersa, który urósł później do rozmiarów symbolu.

Jakże inaczej było w listopadzie ub. roku w Waszyngtonie! Zamiast mundurów dobrze skrojone smokingi, zamiast krzyków na sali obrad — dyskretne negocjacje w salonach hotelu „Mayflower”. Minęło 29 lat!

Nie trzeba się dziwić, że organizatorzy spotkania „POLONIA 75” musieli improwizować i zaczynać na wielu odcinkach od zera. To wiele tłumaczy, tak o ile chodzi o materialną organizację tej imprezy, jak i o same obrady.

Jeżeli chodzi o organizację, to przygotowania do „Polonii 75” wykazały jak się mało znamy nawzajem, jak trudno na jednym terenie określić reprezentatywność jakiejś organizacji; nie wiemy ilu nas jest, choćby w przybliżeniu; na poszczególnych terenach polskiego osiedlenia, nie wiemy jakie oblicze mają organizacje, które się zawsze ładnie nazywają; próbowano zaprosić organizacje od lat nieistniejące, o mało nie zaproszono innych, które od dawna jawnie współpracują z reżymem.

Obecni na sali obrad dzielili się na trzy kategorie: delegaci (z prawem głosu na trybunie), goście (honorowi i... inni) i dziennikarze (prasy polonijnej) — w sumie około setki osób. Podział na te kategorie był sztuczny, gdyż niemal każdy z zaproszonych gości, a nawet dziennikarzy był działaczem społecznym czy politycznym, najczęściej dosyć wysokiej rangi.

Komitet Organizacyjny „Polonii 75” próbował przygotować

obrad tak, aby były one jak najbardziej owocne. Przesłano więc — już w czasie lata — zaproszonym do Waszyngtonu teksty trzech referatów: 1) „Postawa polityczna Polonii w stosunku do Polski i rządzącego nią reżymu komunistycznej dyktatury” — Kazimierza ŁUKOMSKIEGO (K.P.A. — Stany Zjedn.); 2) „Rola i zadania Polonii w krajach zamieszkania” — Andrzeja KAWCZAKA (K.P.A. — Kanada) i 3) „Program ramowy i organizacja Światowego Zjazdu Polskiego” — Jarosława ŻABY (Zjedn. Polskie — Wielka Brytania). Uwagi co do tych referatów miały być nadesłane do końca września. Wynik był dosyć żałosny: zaledwie kilka osób podjęło dyskusję z referentami; kilkanaście innych nadesłało teksty, czasem nawet interesujące, najczęściej informacyjne, ale nie mające wiele wspólnego z tezami referentów.

Niestety, powtórzyło się to na obradach: jedni wygłaszali przemówienia patriotyczne „podnoszące na duchu”, inni składali sprawozdanie co się dzieje na ich terenie, a rzadko przypomniano sobie o potrzebie dyskusowania z referentami. Na dobitkę, organizatorzy nie pamiętali, że przewodniczenie na obradach nie jest zaszczytem, ale funkcją i do tego trzeba być przygotowanym!

Jeśli chodzi o skład uczestników zjazdu, to — poza kilkoma osobami reprezentującymi Kongres Polonii Amerykańskiej i przedstawicielem Komitetu Wyborczego Polaków-Naturalizowanych z Francji — wszyscy inni opuścili Polskę w czasie lub po wojnie. Zaden z autorów referatów nie był urodzony poza Krajem. Nie jest to najwierniejsze odzwierciedlenie społeczności polskiej w wolnym świecie w roku 1975, składającej się w przygniatającej większości z „Polaków z wyboru”, to znaczy *nie* urodzonych nad Wisłą. Taki skład spotkania waszyngtońskiego był w dużej mierze wynikiem trudności organizacyjnych, o których wspominaliśmy; mamy nadzieję, że następne spotkanie („POLONIA 197?”) będzie miało inny skład.

Przejdźmy do tematów poruszanych na obradach. Teoretycznie dyskutowano nad referatami. Ponieważ jednak sprawy poruszane przez poszczególnych referentów zahaczały o siebie, a przewodniczący nie zawsze przestrzegali zasady trzymania się tematu, prościej będzie omówić tematykę dyskusji. Z grubsza można ją podzielić na: 1) sprawy międzynarodowe, 2) polskie problemy polityczne i 3) sprawy organizacyjne.

Sprawy Międzynarodowe

Spotkanie „POLONIA 75” odbyło się w 4 miesiące po konferencji w Helsinkach. Ten temat poruszyło kilku mówców, nie tylko piętnując zdradę Zachodu w stosunku do narodów Europy Wschodniej, ale — w kilku wypadkach — także zwracając uwagę na możliwości wykorzystania pewnych sformułowań aktu zamykającego konferencję. Trzeba jednak podkreślić, że wystąpienia w sprawie Helsinek nie miały przeważnie drogiego Polakom charakteru protestu, a były próbą analizy politycznej zarówno jeśli

chodzi o stanowisko Zachodu, jak i akcję zmierną do wyzwolenia krajów „podsowieckich”.

Kilku mówców — przeważnie związanych ze Stronnictwem Narodowym — postawiło zarzut K. Łukomskiemu, że w swoim referacie nie poruszył sprawy grożącego Polsce niebezpieczeństwa niemieckiego. Jeden z nich w swoich uwagach na piśmie o referatach napisał (ale nie powtórzył tego na trybunie), że o ile naszym wrogiem ideologicznym jest komunizm, to wrogiem politycznym są i pozostaną Niemcy i dla odparcia niebezpieczeństwa niemieckiego trzeba się dogadać z Rosją, każdą Rosją — nawet komunistyczną. Jakie Niemcy? Oczywiście zachodnie: Nadreńcy, Bawarzy itd. (Prusaków w Niemczech wschodnich mówca się nie obawiał). Dogadać się z Rosją „białą” — podamy chętnie adres P. A. Stołypina! Z „czerwoną” — od 58 lat wielu próbowało, ale nikt się z nią nie dogadał inaczej niż na warunkach sowieckich (przykład — Helsinki). Ale to nie odstrasza naszego statystę (mówiąc językiem Sienkiewicza). Faktem jest, że w deklaracji politycznej „POLONIA 75” znalazła się formuła o niebezpieczeństwie niemieckim. Przyczyniły się do tego walenie niepotrzebne rozmowy londyńskie z p. Czają, które też niepotrzebnie rozdmuchano.

Innym tematem była konieczność współpracy ze społecznościami krajów Europy Wschodniej. Poruszył ją w swoim przemówieniu na otwarciu spotkania kongresman DERWIŃSKI, a podjęło w czasie dyskusji szereg mówców, często informujących co się w tym zakresie na ich terenach robi. Niestety, wielu uczestników dyskusji, zachęcających do współpracy z Ukraińcami i Litwinami, stawiało jednocześnie problem powrotu do Polski Lwowa i Wilna, nie dając jednocześnie recepty jak te dwie sprawy można połączyć. Stanowi to jeszcze jeden przykład jak często gorący patriotyzm przeszkadza w akcji politycznej, w której należy szukać rozwiązań możliwych do przyjęcia przez obu partnerów. Trzeba przyznać, że temat współpracy z towarzyszami w nieszczęściu był bardzo popularny.

Inni mówcy poruszyli sprawę zjednoczenia Europy, podkreślając jej znaczenie dla narodów Europy Środkowej i Wschodniej.

Wreszcie stosunek do komunizmu, jako fenomenu politycznego o zasięgu światowym. Co do tego nie było zdaje się różnicy zdań. Dobrze się stało, że w deklaracji politycznej zostało wyraźnie stwierdzone, że Rosja sowiecka nigdy nie zrezygnowała z zamiaru podbicia świata, tak w czasie „zimnej wojny”, jak i w okresie obecnego „odprężenia” i że dziś zagraża ona narodom wolnego świata.

Sprawa Polaków w Sowietach była jeszcze jednym problemem, co do którego panowała jednomyślność. Konieczność walki o ich prawa na terenie międzynarodowym nie ulega żadnej wątpliwości. Nie wystarczy przypomnienie tej sprawy reżymowi w Polsce. I tu istnieje możliwość wykorzystania układów podpisanych w Helsinkach.

Polskie problemy polityczne

Pierwszym problemem tej kategorii jest oczywiście stosunek do reżymu komunistycznego w Kraju. Dyskusja wykazała, że stosunek ten jest powszechnie negatywny. Nie padł ani jeden głos, aby z reżymem Gierka nawiązywać jakąś bezpośrednią czy choćby pośrednią współpracę.

Z drugiej jednak strony większość mówców była za utrzymaniem jak najściślejszych stosunków z narodem w Kraju, za odwiedzeniem Polski, za wysyłaniem tam młodzieży, urodzonej poza jej granicami. Do tego potrzebne są kontakty z przedstawicielami reżymu, choćby dla uzyskania wizy. Jak to zrobić? Niektórzy mówcy niepotrzebnie mieszały sprawę o charakterze technicznym z ideologią i widzieli „uznawanie” reżymu tam gdzie nie chodziło o nic innego jak o uzyskanie pozwolenia na przekroczenie granicy. Niestety, tego tematu nie przepracowano jak należy w czasie spotkania waszyngtońskiego.

Innym problemem był stosunek do „rządu na wygnaniu” w Londynie. Dyskusja na ten temat była dość ostra. Obecny na sali (w innym charakterze) członek tego rządu głosu w tej sprawie nie zabrał.

Wachlarz stanowisk zajętych w tej sprawie był bardzo szeroki. Poszczególne punkty widzenia były zresztą znane z polemiki prasowej, która poprzedziła spotkanie w Waszyngtonie. Jedni nie tylko chcieli aby „POLONIA 75” uznała ten rząd za swój, ale i aby dała mu (i londyńskim partiom) wyłączność na prowadzenie akcji politycznej w imieniu Polaków w wolnym świecie. Już były przygotowane teksty wyrażające to stanowisko. Przeciwnicy tego rządu dzielili się z grubsza na dwie kategorie: ludzie związani ze Stronnictwem Narodowym i autentyczni przedstawiciele Polaków urodzonych poza Krajem. W pierwszym wypadku chodzi o londyński spór polityczny, który nie istniał przed tzw. zjednoczeniem, kiedy endecy wchodzili do emigracyjnego *establishment'u*; nie jest to więc takie ważne. W drugim wypadku, ludzie urodzeni poza Polską, nie bardzo rozumieją z jakiego tytułu londyński rząd emigracyjny miałby ich reprezentować, działać w ich imieniu, a nawet zastrzeżać sobie wyłączność w akcji politycznej, pozostawiając im zbieranie pieniędzy, wydawanie książek dla dzieci i utrzymywanie domów dla starców. Oni przecie, np. w Stanach Zjedn., Kanadzie, Brazylii mają swoich polskich przedstawicieli w parlamentach, a więc zdali egzamin dojrzałości politycznej. Ostre sformułowania w przemówieniu powitalnym prezesa Mazewskiego stają się zrozumiałe na tym tle. A także i jego niechęć do wszelkiego rodzaju super-struktur organizacyjnych z udziałem polskiego Londynu. Natomiast wierność Londynowi była odwrotnie proporcjonalna do ilości kilometrów, jaka dzieli dany kraj od siedziby rządu na wygnaniu; i tak najwierniejsi okazali się reprezentanci Polaków w Australii! (Deklaracja polityczna nie mówi o rządzie ale wspomina o „ciągłości państwowej”). Tematów „społecznych” była w przemówieniach

poszczególnych delegatów cała masa. Od problemów szkolnictwa, wydawania podręczników, poprzez opiekę nad młodzieżą (przedstawiciele harcerstwa mieli co najmniej pięćdziesiątkę!), troskę o zabytki historyczne i instytucje kulturalne, biadanie nad zanikiem prasy polskiej, aż do ustalenia adresów w poszczególnych krajach, aby ułatwić porozumienie się — mówiono chyba o wszystkim.

Sprawy organizacyjne

Najgorszy los spotkał referat „Program ramowy i organizacja Światowego Zjazdu Polskiego”. Wobec nieobecności autora, został on w skrócie zreferowany przez p. Miszczaka. Ten skrót dotyczył nie tylko rozmiarów referatu, który dostarczyłby materiału do dyskusji na trzy dni, ale i... wniosków praktycznych. Rzeczywiście, od rozpoczęcia obrad waszyngtońskich wiadano, że Polonia Amerykańska nie zgodzi się na żadne nadbudówki organizacyjne, jaką byłyby już sam światowy zjazd. A jak budować światową organizację Polaków wolnego świata bez Polonii amerykańskiej, która stanowi 2/3 całości? Toteż — po długich kuluarowych naradach — postanowiono zadowolić się krótką rezolucją powierzającą Kongresowi Polonii Kanadyjskiej przygotowanie, przed 1978 rokiem, następnego spotkania w rozszerzonym gronie, w którym Polonia Amerykańska weźmie udział. Nie jest to najgorsze rozwiązanie, tym więcej że Polonia kanadyjska posiada ekipę zdolną do wykonania powierzonych jej zadań. Prezes K.P.K., inżynier GERTLER oświadczył, że zabierze się do przygotowywania następnego spotkania zaraz po swoim powrocie do Toronto. Życzymy mu powodzenia!

Na marginesie spotkania

Rozpoczął i zakończył spotkanie prezes K.P.A. mecenas Alojzy A. MAZEWSKI. Był on czujny przez cały czas dyskusji i zabierał głos szereg razy. W swojej pierwszej mowie A. Mazewski powiedział:

„Nie ma wśród obecnych na sali nikogo, kto by zrezygnował z niepodległości Polski i wolności narodu polskiego... Zebraliśmy się więc, ażeby przeanalizować sytuację międzynarodową, którą cechują stałe postępy komunizmu. Nie mamy wątpliwości, że komunizm jest zbrodniczą doktryną, która niszczy i wypacza charaktery jednostek i narodów. Komuniści mówią, że *détente* nie oznacza rezygnacji z podboju świata przez marksizm-leninizm. My odpowiadamy, że *détente*, uprawiana przez rządy naszych krajów, nie powstrzyma nas przed kontynuowaniem walki o niepodległość Polski... Prowadzimy walkę z komunizmem nie tylko ze względu na Polskę, ale także, a nawet przede wszystkim dlatego, by nie dopuścić do opanowania naszych krajów przez czerwony komunizm. Jesteśmy w centrum globalnej rozprawy z komunizmem, by ochronić nasze dzieci i wnuki przed wywożeniem na 'Archipelag Gułag'”.

W końcowym przemówieniu prezes Mazewski stwierdził, że z Waszyngtonu odjedzie wielu niezadowolonych: „I to jest dobre, bo widać że było się o co kłócić!”.

Z „wychowanków” Kongresu Polonii Amerykańskiej przemówiło do uczestników spotkania dwu wysokich urzędników federalnych: po polsku — Mitchell KOBELINSKI, jeden z dyrektorów „Export-Import Bank”, a po angielsku p. WALENTYNOWICZ, asystent Sekretarza Stanu (Kissingera) do spraw konsularnych i bezpieczeństwa. Było to żywe świadectwo „pchania się w górę” jakie uprawia na wszystkich odcinkach Polonia Amerykańska. Nie ma miejsca, aby wyliczyć tu litanię nazwisk i tytułów osobistości polsko-amerykańskich, które przybyły na bankiet; zasiadło do niego ok. 300 osób.

Godne zanotowania jest przemówienie wygłoszone na jednym ze wspólnych obiadów przez znanego przemysłowca i wice-rektora politechniki Ryerson w Toronto, dr. Jerzego KOREY-KRZECZOW-SKIEGO: „Polonia w ramach kanadyjskiej wspólnoty kulturalnej”. Oto kilka zdań z tekstu, który zasługuje na udostępnienie Polakom na innych terenach.

„... Kim jesteśmy, jak nas widzą inni? Nie będzie przesadą stwierdzenie, że ogromna większość społeczności etnicznej zaakceptowała politykę realistycznej linii integracji. Poczucie przynależności do własnej grupy etnicznej opiera się między innymi także na uznaniu wspólnych interesów grupy i na fakcie, że dana grupa może podlegać jakiemuś specjalnemu czy dyskryminacyjnemu traktowaniu. Wtedy ludzie zaczynają zachowywać się i działać jednakowo. Jeśli udziałem ich jest dumą ze wspólnych osiągnięć, tradycji czy pochodzenia — solidarność ich się wzmacnia. Jeśli, z drugiej strony, stają się oni ofiarami dyskryminacji czy prześladowania — to wówczas solidarność takiej grupy również wzrasta.

„Struktura socjalna opiera się na konwencjonalnym porozumieniu i uzgodnieniu wartości, nie może ona przeto być zmieniona bez współpracy innych, a więc większości. Dlatego każdy ruch polityczny czy społeczny — aby odnieść sukces — wymaga rozszerzenia i zmiany horyzontów myślowych współobywateli. To, z kolei, wymaga oczywiście odpowiednich, nieraz ogromnych wysiłków, a zwłaszcza umiejętności perswazji. W ten sposób grupy etniczne, które nauczą się operować możliwościami oddziaływania na swych współobywateli, za pomocą nowoczesnych metod przystosowanych do obecnych warunków, za pomocą radia, prasy, telewizji oraz własnych tzw. *pressure groups* czy *lobbies*, czy wreszcie poszczególnych jednostek, które odgrywają dużą rolę w życiu kraju, w ten sposób — podkreślam — mogą grupy etniczne osiągnąć swoje cele w życiu publicznym Kanady”.

Jedno z posiedzeń „POLONIA 75” zakończyło się odczytem księcia André Poniatowskiego o Bibliotece Polskiej w Paryżu. Mówca zapoznał uczestników spotkania waszyngtońskiego z dziejami i stanem obecnym tej instytucji, podkreślając jak bardzo potrzebuje ona pomocy finansowej. Odczyt, ilustrowany przezroczami, wygłoszony był niestety po angielsku, a więc nie trafił do tej części delegatów, którzy tego języka nie znali, ale na szczęście była to mniejszość. Obecność Prezesa Tow. Historyczno-Literac-

kiego w Paryżu na spotkaniu „POLONIA 75” była z wielu względów bardzo pożyteczna. Przede wszystkim wykazywała ona, że związek z polskością może istnieć mimo bariery językowej; poza tym była przykładem człowieka, który mimo swego wieku (80 lat) nie waha się „kwestarzować” po Ameryce na rzecz Biblioteki Polskiej, której się poświęcił.

Zainteresowanie Ameryki

Wyraziło się ono w kilku formach. Zaczniemy od przemówienia (w czasie obiadu, a nie na sali obrad) przedstawiciela Departamentu Stanu p. Nicholas G. ANDREWS, który nosi długi tytuł Director of the Office of Eastern European Affairs. To co powiedział p. Andrews dosyć dokładnie odpowiada nazwie „His Master's — Kissinger — Voice”. Była to obrona oficjalnej polityki amerykańskiej w stosunku do Sowietów i Europy Wschodniej: nic czego by każdy z siedzących na sali już dawno nie wiedział. Przyjęcie p. Andrews'a było raczej chłodne.

Gubernator Kalifornii — REGAN, kandydat na prezydenta Stanów Zjednoczonych wysłał do „POLONII 75” sympatyczną depeszę.

Przemówienie jakie na bankiecie wygłosił senator James BUCKLEY (republikanin, New York) było przyjęte entuzjastycznie. Senator (katolik) odbył niedawno podróż do Polski, którą mu jego polscy przyjaciele w Ameryce starannie przygotowali; spotkał się z Prymasem i wieloma osobistościami stojącymi poza reżymem. Toteż jego przemówienie było wyrazem nie tylko sympatii do narodu polskiego, ale i znajomości rzeczy.

Kilka depesz nadesłanych na zjazd zamyka, jak się zdaje, zainteresowanie „POLONIA 75” ze strony amerykańskiego świata politycznego (administracja i parlament).

Jeżeli chodzi o prasę amerykańską (nie-polonijną) — to zupełna plajta. Konferencja prasowa spaliła na panewce. Jeszcze jedna nauka na przyszłość!

Czy było warto i co dalej?

Zgodnie z przewidywaniem prezesa Mazewskiego niektórzy uczestnicy „POLONIA 75” opuścili Waszyngton niezadowoleni. Może, zasugerowani referatem Jarosława Żaby, liczyli, że „POLONIA 75” stworzy od razu (i znajdzie na nie pieniądze!) strukturę organizacji światowej. Tego zrobić nie było można z wielu powodów, z których nie wszystkie są natury materialnej.

A więc, nie było warto zwoływać „POLONII 75”? Czy znaczy to, że wracamy z niczym? Nie, na pewno NIE! Spotkanie waszyngtońskie nie mogło dać więcej niż dało. Było ono jednak wyjściem z mgławicy, w której od 30 lat znajdowała się Polonia w wolnym świecie. Zrobiliśmy pierwszy krok na drodze do upo-

rządkowania spraw polskich poza krajem i do budowy aparatu, który jest nieodzowny dla realizacji wielu celów, o których mówiono w Waszyngtonie. Wiemy, że Ukraińcy czy Słowacy mają już swoje struktury na szczeblu światowym. Ale, musimy sobie zdać sprawę, że jest ich o wiele mniej niż Polaków i ludzi polskiego pochodzenia w wolnym świecie i nie mają wielu problemów politycznych, które są naszym udziałem. No, i wcześniej się do tego zabrali!

Co dalej? Regulamin „POLONII 75” przewidywał, że postanowienia tej konferencji nie będą wiążące dla organizacji, które były reprezentowane w Waszyngtonie. Stanowisko bardzo liberalne i... bardzo ostrożne! Tym niemniej chyba przyniatająca większość uczestników spotkania jest przekonana, że deklaracja polityczna odpowiada nastrojom zjazdu, stanowiąc — jak każdy tego rodzaju tekst — kompromis między różnymi tezami. Poza częścią ściśle deklaratywną, zawiera ona jednak pewne zobowiązania: np. akcja na rzecz Polaków w Sowietach. Te zobowiązania trzeba wykonać. A także inne wnioski, przyjęte rzesistymi oklaskami, choć nie ma ich w deklaracji.

Co dalej? To uporządkowanie spraw organizacyjnych na poszczególnych terenach np. we Francji, gdzie nie istnieją organizacje centralne, skupiające jeżeli nie wszystkie to przynajmniej większość organizacji niepodległościowych (to znaczy praktycznie: nie utrzymujących kontaktów z organami P.R.L.) i ogarniających całość problemów polskich. To natychmiastowy kontakt z Kongresem Polonii Kanadyjskiej, który organizuje nowe spotkanie za dwa lata. A dla imprezy w skali światowej dwa lata — to już jutro!

Jerzy JANKOWSKI

Paryż, 4 grudnia 1975

P.S. — Z inicjatywy Centralnego Funduszu Kultury Polsko-Francuskiej zebrane informacyjne o spotkaniu „POLONIA 75” odbyło się w Bibliotece Polskiej 29 października. Na tym zebraniu wyłonili się kilkuosobowy komitet, który podjął się organizowania zebrań sprawozdawczych. Dotychczas odbyło się ich trzy: w Paryżu, w Vaudricourt (Pas-de-Calais) i w Metz; w projekcie są dalsze zebrania. Ich celem jest także przygotowanie terenu dla stworzenia organizacji centralnej Polonii francuskiej.

Konferencja « Polonia 75 »

Polonia w Stanach Zjednoczonych jest nie tylko najliczniejsza, ale i najzamożniejsza. Odegrała ona pewną rolę w dziejach Polski: polityczną i gospodarczą. W latach niewoli, w skupiskach

polonijnych, prowadzono ożywioną akcją na rzecz niepodległości, która wzmogła się w decydującym okresie pierwszej wojny światowej. Ukoronowaniem jej była niewątpliwie działalność Ignacego Paderewskiego.

Polonia Amerykańska pospieszyła później z pomocą finansową młodemu państwu i pozostała w serdecznych stosunkach z odrodzoną Rzeczypospolitą Polską, choć nie brakło pewnych zgrzytów i nieporozumień. Władze R.P. były na przykład zaskoczone faktem, że delegaci Polonii na zjazd w Warszawie w 1934 roku, odmówili ślubowania na wierność Polsce. Cenzor Świetlik oświadczył wówczas, że oni są Amerykanami i mogą składać przysięgę jedynie na wierność swojemu państwu.

Niewątpliwie przeceniano możliwości Polonii Amerykańskiej, uważając ją za zwartą całość — którą nie była i nie jest — operując ponadto dowolnymi liczbami jeśli chodzi o jej ilość; zapomniano ponadto, że o wiele więcej niż ilość znaczy pozycja społeczna, a ta — jeśli idzie o Polonię Amerykańską — nie była i nie jest wysoka. Pod wpływem wypadków dziejowych, w sierpniu 1944 roku, powstała organizacja nadrzędna pod nazwą Kongres Polonii Amerykańskiej. Kongres bez zastrzeżeń popierał stanowisko rządu R.P. w Londynie, podzielał jego program polityczny i bronił pozycji tego rządu wobec władz amerykańskich. To stanowisko Kongresu nie uległo zmianie nawet po cofnięciu uznania rządowi R.P. w Londynie; Kongres nie pogodził się z nową rzeczywistością w Polsce i nie uznał rządu PRL, mimo tego że w jego skład wszedł Stanisław Mikołajczyk, który posiadał wielu sympatyków wśród działaczy polonijnych. Jednak wkrótce potem stanowisko Kongresu wobec politycznego Londynu uległo całkowitej zmianie. Rozmowy z ówczesnym prezesem Kongresu, Rozmarkiem, na temat ścisłego współdziałania celem uzyskania szerszego poparcia, zakończyły się fiaskiem.

W roku 1956 dr Tadeusz Brzeziński wysunął na łamach *Kultury* projekt utworzenia światowej organizacji polonijnej, która byłaby polityczną reprezentacją Polaków za granicą. Redakcja *Kultury* ustosunkowała się pozytywnie do tego projektu, ale praktycznie nie został on przez nikogo podjęty, mimo że dr Brzeziński wracał do niego kilkakrotnie, zmieniając pewne punkty. Polityczne czynniki emigracyjne zajęły na ogół stanowisko negatywne, a poparcie społecznych organizacji w niektórych krajach, jak np. w Australii i Argentynie, nie wystarczyło do podjęcia konkretnych kroków. Kongres Polonii Kanadyjskiej, wznowiając po latach przerwy kontakty z Kongresem amerykańskim, szukał porozumienia i współpracy i sondował możliwość wypracowania jednego programu dla całej Polonii. Polacy amerykańscy chętnie spotykali się z kanadyjskimi, ale nie zdradzali ochoty na utworzenie jednej, wspólnej organizacji. Nie zrażając się tym, kilku członków Zarządu Głównego Kongresu Polonii Kanadyjskiej uparcie dążyło do zorganizowania wspólnej konferencji. W tym celu trzeba było przede wszystkim pozyskać dla tego projektu prezesa Kongresu amerykańskiego, Alojzego Mazewskiego. I to się osta-

tecnie udało. W czasie spotkania w grudniu 1974 roku w Toronto, przedstawiciele obu Kongresów uzgodnili swoje stanowiska w sprawie zwołania konferencji pod nazwą „Polonia 75”. Wyłoniony został komitet organizacyjny, któremu powierzono przygotowanie Konferencji w Waszyngtonie. Strona kanadyjska, jak również wszystkie organizacje, które pragnęły utworzenia reprezentacji Polaków za granicą, uznały to za sukces.

W oficjalnym komunikacie, określającym cel konferencji zaznaczono, że ma ona charakter konsultacyjny, że chodzi głównie o uzgodnienie stanowisk wobec rzeczywistości polskiej, że stanowiska uzgodnione przez uczestników nie będą obowiązywały organizacji przez nich reprezentowanych, oraz że uczestnicy rozważą możliwość zwołania konferencji międzynarodowej. Nie przeszkodziło to jednak ani szerokiej polemice prasowej, ani wysuwaniu szeregu postulatów. Wysuwano zastrzeżenia odnośnie doboru zaproszonych organizacji — uwzględnienie jednych, a pominięcie innych itp. Ze wszystkich licznych wypowiedzi wynikało, iż z konferencją wiązano wiele nadziei, znacznie wykraczających poza ramy nakreślone przez organizatorów.

Obrady toczyły się w dniach 7-9 listopada w sali hotelu Mayflower, w którym mieściło się biuro konferencji i gdzie zatrzymała się większość uczestników. Prasa polonijna, amerykańska i kanadyjska, przybyły niemal w komplecie, jak również przedstawiciele rozgłośni Wolna Europa i Głos Ameryki. Natomiast z prasy amerykańskiej nie było nikogo. Dlatego też w miejscowej prasie nie było nawet wzmianki o Konferencji. Dwaj członkowie Izby Reprezentantów, Zabłocki i Nedza przybyli w dniu 6. 11. 1975 roku na spotkanie towarzyskie w Woodrow Wilson House, zorganizowane przez miejscowe koło SPK, a trzeci kongresman, Derwiński, wygłosił przemówienie powitalne w dniu otwarcia konferencji. Kierownik wydziału Europy Wschodniej w Sekretariacie Stanu, Nicholas G. Andrews, przybył 7. 11. 1975 na lunch, by wygłosić przemówienie precyzujące obecną politykę USA i bardzo odbiegające od złudzeń uczestników konferencji.

Prezes Mazewski w przemówieniu powitalnym, które miało charakter programowy, z naciskiem podkreślił, że celem tej konferencji nie jest utworzenie nowej organizacji, ani partii politycznej, czy nowego rządu emigracyjnego; że chodzi głównie o przedyskutowanie metod i środków celem dopomożenia narodowi polskiemu do uzyskania wolności i niepodległości. Jako naszych naturalnych sprzymierzeńców w tej walce wskazał te grupy narodowościowe, których kraje znajdują się pod dominacją sowiecką. Dawne nieporozumienia i porachunki między nami, a tymi narodami winny być przekreślone. Zasada samostanowienia odnosi się bowiem do wszystkich, nie tylko do Polaków, powinniśmy zatem zgodnie z nią postępować. Nie możemy wymagać by inni stosowali ją wobec nas, jeżeli my sami nie zechcemy jej stosować w odniesieniu do innych narodowości.

Tezy te występowały we wszystkich przemówieniach delegatów Kongresu Amerykańskiego. Chwilami przemówienia niektórych

Amerykanów — w tym i samego Mazewskiego — przybierały bardzo ostry i zdecydowany ton. W każdym przemówieniu powtarzało się zdanie: „Przybyliśmy tutaj by dyskutować, by znaleźć platformę porozumienia, omówić warunki współpracy, a nie kłócić się”.

W skład silnej reprezentacji politycznego Londynu wchodził m.in. pp. Czerwiński, Soboniewski, Szatkowski i Wąsik. Zmierzano ostrożnie do: 1) utworzenia jakiegoś stałego organu, komitetu czy sekretariatu, co stanowić by miało wstęp do wielkiego zjazdu i powołania organizacji, 2) uznania rządu londyńskiego i emigracyjnych partii politycznych i przyznania im właściwego miejsca w przyszłej organizacji, czy też w jakiegokolwiek innej komórce.

Z pewnymi odchyleniami, i z wyraźnym wyłączeniem delegacji Polonii Francuskiej, podzieliali to stanowisko innej delegacji, najsilniej z Argentyny i Australii. Opozycja amerykańska była jednak zdecydowana. Mazewski zabrał głos w chwili największego napięcia. Powiedział, że nie jest żadnym emigrantem, ale Amerykaninem, i to nie w pierwszym pokoleniu, że jest kombatantem, ale że walczył w szeregach armii amerykańskiej, że kocha Polskę nie mniej, niż jego przedmówcy. Zapytał, czy dzieci tych, którzy mówią tutaj o ciągłości i legalizmie, o partiach, prawach itp. wiedzą cokolwiek o tych sprawach, czy umieli im to przekazać. Powiedział, że istnieją inne drogi niż wysyłanie memoriałów, których nikt nie czyta i które wędrują do kosza, niż ciągłe grożenie mocarstwom i ciągłe protesty; trzeba liczyć się z rzeczywistością. Dlatego też pragnie, by deklaracja tej konferencji była tego rodzaju, by mogła wzbudzić zainteresowanie Sekretariatu Stanu, a nie zostać wrzucona do kosza.

Powoli, krok za krokiem, Amerykanie naciskali na przyjęcie ich koncepcji. Wiceprezes, Kazimierz Łukomski, którego referat był programowy, poszedł na kompromis w stosunku do Londynu. Wycofał swoje, zdecydowanie negatywne, sformułowania i zastąpił je nowymi, przyjętymi przez najbardziej zainteresowanych, ale to spotkało się ze sprzeciwem zarówno niektórych Amerykanów, jak i delegacji francuskiej i belgijskiej. Głównym negocjatorem okazał się p. Wąsik i w ostatecznej formie ustęp, o który toczono długie boje, brzmi następująco:

„Praca polityczna nie polega na samej negacji obecnego systemu w Polsce, ale wymaga systematycznego działania. To zadanie należy i zawsze należało do czynników niepodległościowych, które reprezentują ciągłość państwową i wszystkie ośrodki i ruchy polityczne, przejawiające nieugiętą wolę walki o Polskę niepodległą, z którymi społeczność polska w Wolnym Świecie współdziałała w imię tych zasad”.

Z różnych wypowiedzi po zakończeniu konferencji wynika, że uczestnicy oceniają ją pozytywnie. Na przykład p. Władysław Gertler, prezes Kongresu Polonii Kanadyjskiej, uważa ją nawet

za sukces, który polega przede wszystkim na tym, że w ogóle do tego spotkania doszło, że Amerykanie się na nie zgodzili i odegrali w nim tak wielką rolę. Rozpoczęto dyskusję, stworzono podstawy do dalszych rozmów. Każdy pierwszy krok jest trudny.

Zapewne rozczarowani są ci, którzy oczekiwali powstania jakiejś stałej komórki między polonijnej, ustalenia terminu wielkiego zjazdu oraz ci, którzy sądzili iż jednak będzie można przekonać Kongres Amerykański o potrzebie uznania i współpracy z politycznym ośrodkiem londyńskim.

Wydaje się jednak, że konferencja nie została wykorzystana dla szerszego omówienia problematyki kulturalnej, a szkoda. Mówcy nie szczędzili słów uznania *Kulturze*, mówiono o agencji informacyjnej etc., ale potyczki polityczno-partyjne przesłoniły zagadnienia, których rozwiązanie leży w sferze możliwości Polonii.

Benedykt HEYDENKORN

Kraj

« O. Zawada »

(WSPOMNIENIE O JULIUSZU PONIATOWSKIM)

„... imię Krzemieńca zawsze mi będzie na umyśle, on świętym mi będzie, dla niego większą będę cziłą przejęty, niż ciemny Muzułmanin dla grobu swego Proroka, bom jemu winien, co umiem, żem się nauczył być społeczności użytecznym”. Przed laty wygrzebałam tę cytata w Bibliotece Baworowskich we Lwowie w liście ucznia Liceum Krzemienieckiego Tomasza Towarnickiego do ks. Alojzego Osieńskiego z 25 listopada 1818 roku. Pokazałam ją panu Juliuszowi, jako dowód rezultatów wychowawczych szkoły Czackiego. Przytaknął, pokiwał głową i dorzucił słowa Stan. Szczepanowskiego, który, sławiąc ludzi „spod sztandaru Czackiego” pisał o nich, że „nie bali się historii”.

„Pan Juliusz” (— bo, broń Boże, ani minister, ani kurator) przeżył osiemdziesiąt dziewięć lat, a z Krzemieńcem związany był oficjalnymi funkcjami tylko siedem (1927-1934). Był to jednak okres w życiu jego chyba najistotniejszy, przesłaniający działalność polityczną, sejmową i „ministrowanie”, które łączył z patronowaniem poczynaniom krzemienieckim. Jego było zasługą, że na Wołyniu powstał po raz drugi w dziejach kultury polskiej ośrodek ideowy o szerokim zasięgu promieniowania. Był niewątpliwym autorem koncepcji rozbudowy Liceum Krzemienieckiego w olbrzymi, wsparty internatami i stypendiami, kompleks szkół ogólnokształcących i zawodowych, finansowany dochodami z wzorowo prowadzonych a należących do Liceum majątków rolnych, lasów, tartaków, fabryki mebli, stawów rybnych itp. Powołane do życia w roku 1920 Liceum miało prawa Kuratorium Szkolnego i podlegało bezpośrednio Ministerstwu W.R. i O.P. Jako kurator Juliusz Poniatowski związał z Liceum trzy uniwersytety ludowe i Ogniska Wakacyjne: Muzyczne, Rysunkowe i Pracy Społecznej. Kilka szkół zawodowych mieściło się poza Krzemieńcem: w Wiśniowcu (Szkoła Rzemieślnicza w dawnym pałacu Mniszchów),

Wychodzący od 1932 roku

ZWIĄZKOWIEC

1636 Bloor St. W. - Toronto, Ont. M6P 1A7, Canada

jest jedynym pismem Polonii ukazującym się dwa razy w tygodniu. Chcesz wiedzieć o Kanadzie, być dobrze poinformowanym o życiu Polonii, mieć bezstronne wiadomości i omówienia wydarzeń międzynarodowych, być w kontakcie z życiem Polaków na całym świecie i w dalekiej Ojczyźnie — czytaj i prenumeruj

PÓŁTYGODNIK „ZWIĄZKOWIEC”

W każdym numerze dwie powieści nowoczesnych pisarzy polskich, artykuły z dziedziny wiedzy, wiadomości, specjalnie redagowane działy: „SPORT” — „ZWIĄZKOWIEC DLA DZIECI” — „KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU”

w Leduchowie (Szkoła Ogrodnicza) i w Białokrynicy (Liceum Rolnicze i Leśne). Gdy funkcje Kuratora przejął b. starosta krzemieniecki, zaginiony bez śladu w Rosji, Stefan Czarnocki — utrzymana została w pełni linia ideowa rozwoju „Krzemieńca” a nowopowstałe placówki np. Wołyński Instytut Naukowy były realizacją dawnych pomysłów i rad. Z tą właśnie ostatnią imprezą tj. Instytutem byłam blisko związana, jako autorka szeregu prac o dawnym Liceum Czackiego i współpracowniczką „Rocznika Wołyńskiego”.

W okresie, gdy poznałam „pana Juliusza” tj. około roku 1930, stosunek jego do dawnego Liceum nie był entuzjastyczny. Musiałam przekonywać go długo, że obok tradycji wesolych karnawałów i wybryków złotej młodzieży kresowej ośmieszonych przez „Jarosza Bejłę” (= Henryka Rzewuskiego) w miarę poznawania starych dokumentów i pamiętników rośnie w siłę tradycja „Krzemieńczan” z emigracyjnych biesiad paryskich, gromadzących wychowanków i rejestrujących ich osiągnięcia życiowe.

Zastrzeżenia te były dla niego typowe. Działaczowi „Wyzwolenia”, zbuntowanemu przeciw własnemu pochodzeniu i nazwisku, „poniatowszczyzna” rysowała się jako rejestr grzechów przodków a nie powód do szczylenia się koligacjami. Dawnym tradycjom przeciwstawiał nowe obowiązki a rozumiał je jako konkretną pracę na polu szerzenia oświaty, wychowywania świątliwych obywateli Rzeczypospolitej, służących w pierwszym rządzie Wołyniowi. Z myślą o realizacji tych celów ściągał do Krzemieńca starannie dobranych nauczycieli i wychowawców. Dziś to już galeria cieni, rozsiane po świecie popioły: Stefan Czarnocki, Franciszek Mączak, Mieczysław Zadróżny, Stanisław Sheybal — i tylu innych.

Był przesadnie skromny, ograniczający własne potrzeby do jakiegoś super-minimum. Gdy losy wojenne rzuciły go do Jeruzolimy, pisywał do mnie do Londynu jako „O. Zawada”, obierając jako pseudonim symbol smutnej goryczy. Los nie szczydził mu ciosów w postaci przedwczesnych zgonów najbliższych mu osób. Żona, Zofia, była — według świadectwa samego „pana Juliusza” — „głębiej związana z Liceum i z Wołyniem, niż to się pozornie zdawało”. „Zarówno samo podjęcie pracy w Krzemieńcu, jak i jej charakter wynikły z głównej mierze z postawy jaką Zofia wobec tych spraw zajmowała” — pisał 30 listopada 1943 z Jeruzolimy. Teraz, gdy „pan Juliusz” nie może mnie skarcić, napiszę otwarcie, że była to „wielka dama” w najlepszym znaczeniu tego słowa, rezerwar taktu i spokoju przy Mężu, któremu życie nie układało się łatwo i spokojnie. Drugim ciosem była AK-owska śmierć jedynej córki, Barbary, w której miał prawo widzieć kontynuatorkę swych prac. Osamotniony, zrezygnowany mieszkał po wojnie przez długie lata, do 1956 we Francji. Wrócił do Kraju, by umrzeć. Dalsze lata były czekaniem na wyzwolenie od życia. Utrzymywał bliskie, serdeczne kontakty z Krzemieńczanami w Kraju i w wolnym świecie i był obecny sercem i pamięcią na dorocznych „Biesiadach Krzemienieckich” organizowanych co jesieni w Londynie.

Sledził pilnie literaturę emigracyjną i nie mogę się powstrzymać od przytoczenia fragmentu listu z 15 lutego 1944: „Słowo o prawdziwym wyrazie artystycznym, o nieklamany ucuciowym napięciu — ma dziś tak wielkie znaczenie. Im bardziej jest prawdziwy okrzyk Balińskiego 'o, jak straszny jest ciężar słów starego świata...' tym bardziej musi być zażarte i wytrwałe poszukiwanie prostoty i prawdy nowego Słowa”.

Jako działacz polityczny i entuzjasta reformy rolnej potrafił być bezwzględny i surowy, co jednało mu wrogów. Znam te sprawy tylko ze słyszenia. „Pan Juliusz”, którego znałam, był człowiekiem, którego przyjaźń i autorytet moralny dały mi w życiu wiele. Miał prawo „nie bać się historii”.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

28 listopada 1975

Przemówienie Jana Olszewskiego na pogrzebie Jana Wolskiego

W DNIU 17 LIPCA 1975 ROKU W WARSZAWIE

Żegnamy Przyjaciela!

Dobiegło kresu długie i piękne życie Profesora Jana Wolskiego. Znakomitego Polaka, wybitnego socjalisty, wielkiego nauczyciela. Myślę, że te trzy określenia oddają najistotniejsze wartości, jakie reprezentowała Jego bogata indywidualność.

Był znakomitym Polakiem nie dlatego tylko, że od najmłodszej młodości przez całe życie o Polskę i Jej sprawy walczył. Najpierw o Jej niepodległość, potem o lepszy, społecznie sprawiedliwszy kształt tej niepodległości. Walczył słowem i piórem. Ale walczył też z bronią w rękę. Bo gdy Ojczyzna znalazła się w niebezpieczeństwie, On — zawsze żarliwy pacyfista — złożył dla Niej ofiarę dla siebie najtrudniejszą, ofiarę z własnych przekonań, wstępując jako ochotnik do wojska polskiego w sierpniu 1920 roku.

Był znakomitym Polakiem nie tylko dlatego także, że cały ogromny, ideowy dorobek Jego życia organicznie wyrastał z naszej polskiej gleby, z polskich potrzeb i doświadczeń.

Był znakomitym Polakiem przede wszystkim dlatego, że uosobiał najlepsze cechy polskiej kultury: przywiązanie do wolności, otwartą postawę i wielką tolerancję.

Urodził się, dzieciństwo i pierwsze młodzieńcze lata spędził z dala od Ojczyzny — w Skuratowie w północnej Rosji. Tam zdawał pierwszy, trudny egzamin z polskości. W carskim, ruskifikatorskim gimnazjum kilkunastoletni chłopiec chorowity i nieśmiały, samotny w obcym, często nieprzychylnym środowisku, musiał podjąć walkę o prawo do własnego polskiego języka, o prawo do własnej narodowej godności. Poznał wtedy prawdziwy, gorzki smak przemocy i nauczył się ją nienawidzić.

We wstępie do pisanych u schyłku życia wspomnień stwierdził: „Dojrzywałem w nienawiści do ucisku i przemocy oraz w kulcie dla wolności. Pod tym względem zostałem uczulony na całe życie”.

I może ta pierwsza, samotna walka ukształtowała najsilniejszą cechę Jego charakteru: ogromną cywilną odwagę. Dzięki niej potrafił potem poskramiać nawet policję kilku różnych systemów, z którymi przyszło Mu się zetknąć.

Dojrzywał w nienawiści... Ale to była tylko nienawiść do społeczeńskiej, politycznej i narodowościowej tyranii. Nie było w nim nienawiści do Rosji ani do Rosjan.

Pamiętam, jak jeszcze przed kilku tygodniami, w ostatniej jaką z Nim miałem rozmowie, powrócił pamięcią do lat spędzonych w Rosji. Przypomniał liberalne tradycje rosyjskiej inteligencji, wspomniawszy wielkie nazwiska rosyjskich socjalistów. I bolał nad ich klęską.

Był ze swej polskości niezmiernie dumny. Ale w tej dumie nie było nic z samodurstwa nacjonalistycznego zaścianka, nie było śladu narodowego szowinizmu.

Był tolerancyjny. Sam rzetelnie i głęboko ideowy, cenił i szanował także ideowość odmiennego kształtu. Nie był praktykującym katolikiem — a przecież łączyły Go węzły przyjaźni i współdziałania z ludźmi katolickiego środowiska z Lasek.

Nie był nigdy komunistą. Obcy był mu fetysz przemocy, jako rzekomej akuszerki historii. A przecież do grona swoich przyjaźni — a nie był człowiekiem płytkich ani łatwych przyjaźni — zaliczał także Adolfa Warskiego, zamordowanego później przywódcę Komunistycznej Partii Polski.

Z komunistami wielokrotnie polemizował. Jednak zakładanych i prowadzonych w międzywojennej Polsce przez komunistów spółdzielni pracowniczych bronił przed represjami policji z całą siłą swych nieugiętych wolnościowych przekonań. I bronił skutecznie.

Był wybitnym socjalistą, chociaż w późniejszym okresie swego życia słowa „socjalizm” używał rzadko i nawet niechętnie. Uważał, że starty jego blask praktyki totalitarnych reżymów, przywłaszczających je sobie w sposób równie nieuprawniony jak bezceremonialny.

Przez pewien okres swego życia był związany z Polską Partią Socjalistyczną. Ale Jego socjalistyczne przekonania nie pochodziły z jakiegokolwiek partyjnego przydziału. Wynikały z głębokich

przemysłów i ukształtowanego osobistym doświadczeniem przywiązania do wielkich haseł Wolności, Równości i Braterstwa.

Jako historyk wiedział, że przemoc — także przemoc rewolucyjna — może służyć tylko burzeniu przeszłości. Przyszłość buduje tylko ludzka praca. I dlatego w wyzwoleniu pracy człowieka widział jedyną prawdziwą formułę lepszej przyszłości świata.

Jego oryginalna koncepcja spółdzielczego samorządu pracy, koncepcja nie tylko wąsko-organizacyjna, ale także ustrojowo-społeczna, stanowi bezsprzecznie jedną z najcenniejszych kart w historii polskiej myśli socjalistycznej.

Czy jednak tylko historii? Gdy w 1961 roku Klub Krzywego Koła przyznał Janowi Wolskiemu wraz z Pawłem Jasienicą nagrodę „Zasłużonym dla Kultury Polskiej” — to tym wyróżnieniem dano wyraz przekonaniu, że Jego teoretyczny dorobek nie jest bynajmniej sprawą zamkniętą; że w rozstrzygnięciu najważniejszego ustrojowego dylematu nowoczesnych społeczeństw przemysłowych — dylematu samorządności i biurokracji — wskazania zawarte w pismach Jana Wolskiego znajdują praktyczne zastosowanie i to może nie tylko w ograniczonej polskiej skali. Sądzę, że nie było to przekonanie błędne.

Był wreszcie Wolski Wielkim Nauczycielem, chociaż Jego formalne związki z dydaktyką i nauczaniem były czasowo bardzo ograniczone. Tylko przez trzy pierwsze powojenne lata wykładał na Studium Spółdzielczym Uniwersytetu Jagiellońskiego i w Wyższej Szkole Nauk Społecznych w Krakowie. Potem narastająca w naszym życiu publicznym fala zjawisk, określanych mianem „kultu jednostki” pozbawiła Go tych możliwości.

Ale odebrać prawo nauczania można tylko miernemu nauczycielskiemu wyrobnikowi. Wobec talentu pedagogicznego tej miary wszelkie zakazy administracyjne były po prostu śmieszne. Wolskiemu do nauczania nie była potrzebna uniwersytecka katedra. On nauczał całym swym życiem. W każdym czasie i w każdych warunkach potrafił zgromadzić wokół siebie grono ludzi, których przyciągał głębią i rzetelnością myśli, ogromnym ideowym zapałem i niezaprzeczanym moralnym autorytetem jaki zdobywał sobie szybko w każdym środowisku.

Miałem zaszczyt i miałem szczęście należeć do takiego grona. Poznaliśmy Profesora Wolskiego w Klubie Krzywego Koła. Brał od samego początku niezmiernie aktywny udział w działalności tej placówki wolnego słowa i na jej pracach, obliczu i historii odcisnął niezatarte znamię swej wielkiej indywidualności. Od tego czasu łączył nas z Nim udział w niejednej wspólnej pracy i w wielu wspólnych myślach.

Tytułowaliśmy Go Profesorem. Zzyskał się na to, doszukiwał się w tym niepotrzebnej tytułomanii. Ale myśmy nie mogli, nie potrafili zwracać się do Niego inaczej, bo w tym tytule wyrażał się nasz szacunek dla wzoru ideowego przewodnika i wychowawcy.

Dziś nie ma już w naszym gronie Profesora Wolskiego. Karty Jego pism utrwalił studium historyka, obraz Jego fascynującej

osobowości przekażą młodszemu pokoleniu wspomnienia uczniów i przyjaciół. I tylko nigdy już nie zobaczymy — choć tak trudno o tym myśleć — Jego łagodnego, serdecznego uśmiechu.

Zegnaj Profesorze! Dorobek Twojej myśli, przykład Twego życia, pamięć Twego męznego serca pozostaną z nami.

Juliusz Waclawek

W dniu 30 września 1975, gdzieś w PRL zmarł doc. dr Juliusz Waclawek. Wiadomość o tym gazety stołeczne podały dopiero po upływie tygodnia, 6 października. O dzień później ukazało się podpisane przez grono „przyjaciół i towarzyszy” okolicznościowe wspomnienie. Zmarły od ćwierćwiecza był funkcjonariuszem PZPR, wykładowcą partyjnej uczelni, w przeszłości był również członkiem kolegium *Trybuny Ludu*, sprawował poza tym jakieś inne godności. Gdy umierają funkcjonariusze tego szczebla, nekrologi wypełniają całe stronicę gazet, każda instytucja stara się podkreślić swą zażyłość ze zmarłym, wyliczyć jego zasługi, zaznaczyć pamięć. Nic z tych rzeczy w tym wypadku. Już tygodniowe opóźnienie otwiera pole do domysłów, ale nie na tym przecież koniec: wbrew przyjętej rutynie nie ukazał się bowiem ani nekrolog podpisany przez władze partyjne ani przez uczelnię; również *Trybuna Ludu* i *Nowe Drogi* uważały za stosowne zdystansować się od zmarłego.

Znam rutynę. Nie wątpię, że dopiero w dniu 5 października na wysokim, bardzo wysokim szczeblu, w Sekretariacie KC lub w Biurze Politycznym zapadła decyzja, że należy ujawnić śmierć Waclawka i w jakiej formie należy to uczynić.

Ponadto opublikowana wiadomość roi się także od nieprzypadkowych niedomówień. PRL jest krajem tytułomani, gdzie nawet ministrowie przy każdej okazji podkreślają, że zrobili magisterium. Waclawek został w nekrologu odarty z tytułów naukowych. Nie wiemy nawet, czy śmierć nastąpiła w Warszawie. Nie wiemy, czy chorował długo i ciężko, czy też śmierć nastąpiła nagle. Jeśli ktoś popełnił samobójstwo lub zginął w wypadku pisze się zawsze o „tragicznej śmierci”. Tu nic nie ujawniono!

Waclawek w ostatnich latach żył w dużym odosobnieniu. Ale przecież miał rodzinę, krewnych... Dlaczego nie ukazał się ich nekrolog?

Pogrzeb widocznie także odbył się w tajemnicy. Nie wiemy nawet gdzie został pochowany i gdyby ktoś ze starej załogi Fabryki Samochodów Osobowych na Żeraniu chciał schylić głowę przed miejscem wiecznego spoczynku byłego II-go sekretarza Komitetu Zakładowego, miałby kłopot z odnalezieniem grobu. A wiem, że Żeraniacy nie zapomnieli Julka...

Jeden człowiek, jedna śmierć a ile pytań, na które — oddzielony od miejsca wydarzeń tysiącem kilometrów i kordonem granicznym — daremnie usiłuję udzielić sobie odpowiedzi. Nic nie sugeruję i niczego nie przypuszczam, ale dlaczego umiera człowiek czterdziestopięcioletni, dlaczego śmierć jego przez tydzień jest tajemnicą, dlaczego nekrologi są tak dziwne? Dlaczego, dlaczego, dlaczego...?

Julka znałem od dwudziestu lat. Przypadkowo mogę nawet odtworzyć datę naszego poznania się, 3 maja 1956 roku. Byłem zaproszony przez mego przyjaciela, robotnika F.S.O. na imieniny jego żony, Marii. Na imieninach zastałem Leszka Goździka i jego zastępcę, Waclawka. Ich nazwiska nie były mi obce. Czasy były gorące. XX zjazd i demaskacje referatu Chruszczowa dodały bodźca i bez tego głębokiemu wrzeniu społecznemu w Warszawie. By je stłumić stalinowcy, nazwani niebawem „natolińczycami” rozpętali agitację antyinteligentką i antysewicką. Gen. Witaszewski jeździł z miejsca na miejsce, namawiając i oficerów i robotników, by gazurkami łamali kości malkontentom. W naładowanej nerwowym oczekiwaniem atmosferze zabrzmiał głos Goździka i Waclawka. W imieniu załogi FSO, na łamach zakładowej gazety *M-20 Warszawa* stwierdzili, że robotnicy nie dopuszczą do wbicia klina między inteligencję a siebie, że interesy obu grup społecznych są identyczne, że wyznacznikiem tych interesów jest demokracja życia politycznego oraz naprawa krzywd i błędów.

Goździk i Waclawek trochę wyprzedzili fakty. Pisząc artykuł reprezentowali tylko grupę aktywistów, ale okazało się wnet, że stanowisko obu sekretarzy zostało w mig zaaprobowane i poparte przez załogę. Nie tylko przez nią. „Nie dopuścimy do wbicia klina!” — w ślad za FSO deklarowały załogi wielkich fabryk w całej Polsce. Akcja Natolina spaliła na panewce. Przeżywalismy dni uniesienia. Nasze najpiękniejsze dni przypadły na rok najpiękniejszych złudzeń.

Na imieniny przyszli goście z kwiatami, pito i zakąszano, ale nie była to zwykła uroczystość rodzinna. Sama solenizantka też nie była postacią banalną — kilka miesięcy później, czytając Kazimierza Brandysa „Matkę Królów” odniosłem wrażenie, że autor — podówczas częsty gość naszych spotkań — z gospodyni wziął wzór do tytułowej postaci swej powieści. Na imieninach spotkał się wówczas aktyw Żerania oraz kilku rewizjonistów z miasta. Nie brakowało członków KC, tych frondujących.

Wszyscy byliśmy młodzi, ale Julek chyba był najmłodszy. Miał 25 lat. Pochodził z Mszczonowa, z robotniczej rodziny. Nie wiem nic o jego studiach uniwersyteckich, w latach 1952-1955 był doktorantem Instytutu Nauk Społecznych przy KC PZPR. Nie pamiętam, kto był jego kierownikiem naukowym, ale nauczycieli miał dobrych: Baczko, Kołakowski, Siekierska, Schaff. Mimo

młodego wieku Julek myślał dojrzałe i jako jeden z nielicznych w tym gronie miał intelektualną odwagę wyciągania wniosków. Pamiętam jego pytanie, skierowane do mnie, jak zachowa się wojsko, jeśli robotnicy wyjdą na ulicę. Zakrzyczano go, że nie wolno o takich sprawach myśleć — większość myślała w kategoriach doraźnych i paliatywnych. A przecież już po miesiącu problem zaktualizował się, w czasie Powstania Poznańskiego!

W 1956 roku pozostawaliśmy w systematycznym kontakcie i wzajemnie informowaliśmy się o wydarzeniach. W dniach Października — gdy Leszek spędzał dni i noce na permanentnych wiecach na Politechnice — Julek wespół z Czesławem Mankiewiczem tworzył Komitet Rewolucyjny Żerania i Milicję Robotniczą strzegącą północnych rubieży stolicy. Był jednym z głównych inicjatorów i propagatorów ruchu Rad Robotniczych. Pierwsza Rada powstała właśnie w FSO, stając się wzorem dla ruchu ogólnokrajowego. Wówczas wydawało się, że samorząd robotniczy będzie jedną z głównych form instytucjonalnego przeciwdziałania tendencjom totalitarnym ustroju pseudo-socjalistycznego. Nie powiem by „konserwa” nie bała się tego ruchu. Ambasador sowiecki, Ponomarienko, zaraz po Październiku mówił na spotkaniu z dziennikarzami, że rady zakładowe nie są do pogodzenia z komunizmem, że jest to czyste wody „anarcho-syndykalizm”. I chyba miał rację.



Leszek Kołakowski w jednym ze swych ówczesnych artykułów przestrzegał ludzi Października przed pokusą brania władzy i odpowiedzialności w swe ręce, albowiem sprawowanie jej zawsze jest czynnikiem deprawującym. I wówczas, i po latach, zastanawiałem się nad tym ostrzeżeniem. Myślę, że zagadnienie nie jest takie proste i rozwiązania nie mogą być tak jednoznaczne. Każdy ruch polityczny nie tylko powinien liczyć się z możliwością objęcia władzy ale i do tego dążyć. Ruch ograniczający się tylko do krytyki lub negacji, uchylający się od konieczności podejmowania decyzji politycznych — dowodził pół wieku temu Wojciech Stpiczyński — stacza się, chcąc nie chcąc, na pozycje jałowości, doktrynerstwa i bezradności. To jest jedna strona medalu, znajdująca jak najlepsze zastosowanie w krytyce ruchu „październikowego”.

Ale to tylko jedna strona medalu. Istnieje druga, przeciwstawna. Brać władzę można tylko wtedy jeśli ma się świadomość celów i środków, jeśli się ma program działania i doraźnego i perspektywicznego. W przeciwnym wypadku istnieje niebezpieczeństwo, że się będzie zmuszonym do potakiwania przy realizacji programu cudzego. Pół biedy, jeśli to będzie program, który nas nie ziębi ani grzeje. W warunkach dużych napięć rozchodzi się bowiem zawsze o program bądź „nasz” bądź nam wrogi, inne możliwości nie istnieją.

Program ruchu „październikowego” wyczerpał się szybko. Wiedzieliśmy, że demokracja jest dobra a konserwatyzm jest zły,

że władza winna być praworządna, że stosunki polsko-sowieckie winny być oparte na zasadach „wolni z wolnymi, równi z równymi”, ale te słuszne maksymy nie nadawały się do rozwiązywania spraw bieżących, skoro Polska miała nadal pozostawać peerelem, czyli krajem dyktatury partii, wchodzącym w skład sowieckiego bloku. Wiedzieliśmy kogo popierać, nie zawsze słusznie, a kogo zwalczać (na ogół słusznie), ale to były tylko namiastki rozeznania celów.

Ten stan rzeczy miał swoje konsekwencje praktyczne. Uważano, że nie wolno stać na uboczu, bo to oznaczałoby torowanie drogi najbardziej wstecznym elementom aparatu partyjnego. Niewątpliwie, włączenie się ludzi czynnych w Październiku w aparat władzy w dużym stopniu opóźniło restalinizację, ale nie mogło temu procesowi zapobiec. Gdy po latach, wiosną 1961 roku, spotkałem Czesława Mankiewicza, nosił on co prawda generalskie dystynkcje i był jednym z najwyższych dowódców, ale miał już wtedy pełną świadomość, że jest wymanewrowany z politycznej gry i wpływów.

Najgorzej wypadli ci, którzy się wmanewrowali w sytuację dwuznaczną. Wacławek objął stanowisko zastępcy kierownika działu partyjnego w *Trybunie Ludu*. Miał początkowo złudzenia, że będzie miał wpływ na życie polityczne. Okazało się, że zupełnie odwrotnie, że musiał podporządkować się otrzymywanym dyrektywom. Dziennikarze w PRL zawsze byli skrzępowani, ale Wacławek miał mniej swobody niż np. publicyści *Życia Warszawy*. Jego rola w sumie polegała na powtarzaniu „swoimi słowami” dyrektyw Biura Politycznego i Sekretariatu KC.

Jeden z kierowników *Trybuny Ludu* kiedyś w przystępie alkoholowej szczerości wyjawiał mi, że taką robotę można wykonywać tylko „jeśli się ma poczucie humoru”. A to oznaczało „pisanie całkowicie wbrew własnym przekonaniom, udawanie, przed innymi i przed sobą, że jest to doskonały dowcip”. Wacławkowi poczucia humoru widocznie nie starczało. Wszystko, co spod jego pióra spływało było drętwe. Jego artykuły były typowym żużlem, szarą, niezgrabną, bezkształtną materią. Nie lepiej wypadła w działalności naukowej. Praca w *Trybunie* niszczyła go intelektualnie.

Po latach dowiaduję się, że działania Julka nie były tak jednoznaczne, że coś z młodego buntownika nadal w nim pozostawało, że istniały rozbieżności między tym, co pisał, a tym co próbował w kuluarach forsować, że jego praca w *Trybunie* wielokrotnie stała pod znakiem zapytania, że kiedyś wywołał dużą irytację kierownictwa partyjnego bezspornym dowodem, iż pozycje budżetu na lecnicstwo i ochronę zdrowia, szkolnictwo, opiekę społeczną, kulturę itd. ulegają corocznej redukcji w liczbach względnych i w pieniądzu porównawczym. Ta strona życia Julka była wówczas dla mnie tajemnicą — gdy spotykaliśmy się, nigdy się nie chwalił a jego dowcip przybierał coraz bardziej wisielcze formy. Należąc do ludzi wtajemniczonych wiedział ku czemu idziemy, zdawał sobie sprawę, na jak kruchych podstawach opar-

te są nasze względne zdobycze. Był zmęczony a nie miał siły rozpoczynać życia na nowo, od podstaw. Płacił pesymizmem i głębokimi depresjami. Mówił wówczas, że jest chory na PRL lub PZPR. Tomasz Staliński w „Widzianym z góry” stworzył postać młodego funkcjonariusza partyjnego, który w pewnym momencie nie wytrzymał nacisku wszechobecnej, zakłamanej propagandy, którą sam zresztą fabrykował i zachorował psychicznie. „Widziane z góry” jest nie tylko świetną powieścią, ale również doskonałym zapisem życia i nie wykluczam, że Staliński znał zgrzyoty Waćławka...

Wiosną 1968 roku spędziłem poza krajem, we Francji ogarniętej strajkiem, i wiadomości z kraju dochodziły do mnie w postaci co najmniej niekompletnej. Wróciwszy latem, musiałem uczyć się życia na nowo. Wiadomość, że Waćławek nie tylko przystąpił do partyzanckiej bojówki dziennikarskiej, ale i odgrywa w niej dużą rolę, nie była dla mnie przyjemna. Dużo osobistych rozczarowań przeżyłem w tych dniach, ale to, że Waćławek został „marcowym docentem” urastało do stopnia symbolu degradacji.

Z Waćławkiem już się nie widywałem, wydawało mi się, że nie ma po co. Chyba przesadziłem wówczas. Wiosną 1969 roku spotkałem się z pewnym naszym wspólnym przyjacielem, tłumaczącym postępowanie swoje i Waćławka w sposób następujący: ruch moczarowski jest rzeczywiście mętną pianą, ale podobnie jak wszystkie mętne cieczki jest ponadto ruchem heterogenicznym. Na domiar jest ruchem bez jednoczącej ideologii. Nawet antysemityzm lub antyrewizjonizm nie są w stanie wytworzyć jakiegoś trwalszego poczucia jedności. Moczar, Kępa i ich adiutanci są zadowoleni, gdy coś się dzieje, gdy się kogoś wykańcza lub przynajmniej krzyczy, ale nie bardzo są w stanie wniknąć w sens wykrzykiwanych haseł. Waćławek i mój rozmówca usiłują podrzucić ruchowi kukułka jajo rad robotniczych splecając Moczarowi haracz w postaci nieszkodliwej demagogii antyinteligentkiej, nie pozbawionej elementów antybiurokratycznych, starannie natomiast wystrzegając się akcentów antysemitycznych.

Czy oni doprawdy wierzyli w to, czy też dorabiali dobrą minę do złej gry? Mniejsza o to że z zamordystycznego ruchu partyzanckiego, centralistycznego w założeniu, nie mogła się wyłonić demokracja robotnicza i decentralizacja... Ale w jakim stopniu mogli moi koledzy liczyć na naiwność i brak rozeznania swoich politycznych zleceńodawców? Władcy PRL nie są mądrzy, ale są przebiegli, bardzo przebiegli, a to w doraźnej grze jest najistotniejsze. Kilka miesięcy po tej rozmowie mój rozmówca został usunięty z zajmowanego stanowiska za — jak to zdefiniował Gomułka — uprawianie demagogii robotniczej. Ten sam los — okazuje się — spotkał w 1970 roku, jeszcze za Gomułki, i Waćławka. Nic im się obu nie stało, ale możliwość uprawiania „de-

magonii robotniczej” została im odebrana. To było zresztą do przewidzenia.

Ale nim to się stało, wydarzyła się scenka, o której dowiedziałem się już na emigracji.

Mianowicie mój kolega, opuszczający tak jak i ja kraj, spotkał się przypadkowo na ulicy z Waćławkiem. Wywiązała się rozmowa. Podaje ją dosłownie, tak jak mi ją przekazano:

Julek: — Wiesz, towarzysze na górze są przeświadczeni, że za granicą będziesz szczekał!

Rozmówca: — Ależ to bzdury, Julek, zupełnie bez podstaw. Jedyne, czego pragnę, to spokoju, oderwania się od polityki. Julek, ja będę milczał!

Julek (przystanąwszy w miejscu, po chwili milczenia): — To... po co... jedziesz?

Zastanawiam się nad tą znamieną rozmową i zadaję sobie pytanie, czy w tym ostatnim zdaniu, przez które przebijają i gorycz i świadomość własnej niemocy, nie tkwi klucz do zrozumienia przyczyn śmierci Julka, która — tak czy inaczej — jest śmiercią tragiczną.

Józef LEWANDOWSKI

Działalność Twa Polonia - Dokumenty

CO TO JEST KOMITET BADANIA POLONII ZAGRANICZNEJ PAN?

Redakcja *Kultury* otrzymała z kraju szereg dokumentów obrazujących działalność Komitetu. Zamieszczamy je bez komentarzy.

SKŁAD OSOBOWY KOMITETU BADANIA POLONII ZAGRANICZNEJ PAN KADENCJA 1975 - 1977

Prezidium:

1. prof. dr Gerard Labuda, czł. rzecz. PAN, Poznań;
2. prof. dr Remigiusz Bierzanek, UW w Warszawie;
3. prof. dr Józef Chałasiński, czł. rzecz. PAN, Warszawa;
4. prof. dr Maria Kiełczewska-Zaleska, UW w Warszawie;
5. doc. dr hab. Andrzej Kwilecki, UAM i IZ w Poznaniu;
6. prof. dr Stanisław Lorentz, czł. rzecz. PAN, Warszawa;
7. prof. dr Stefan Nowakowski, czł. rzecz. PAN, UW w Warszawie;

8. prof. dr Lech Trzeciakowski, UAM i IZ oraz ZBnPZ PAN w Poznaniu;
9. doc. dr hab. Hieronim Kubiak, UJ w Krakowie.

Członkowie:

10. mgr Wiesław Adamski, Wiceminister SZ w Warszawie;
11. dr Grzegorz Babiński, IS UJ, Kraków;
12. dr Feliks Bielak, ASW MSW, Warszawa;
13. prof. dr Mieczysław Brahmer, czł. rzecz. PAN, Warszawa;
14. prof. dr Józef Buszko, UJ w Krakowie;
15. doc. dr Józef Byczkowski, ISL w Opolu;
16. prof. dr Józef Chlebowczyk, USL w Katowicach;
17. doc. dr hab. Władysław Chojnacki, IH PAN, Warszawa;
18. prof. dr Tadeusz Cieślak, IH PAN, Warszawa;
19. prof. dr Marian Drozdowski, IH PAN, Warszawa;
20. prof. dr Zygmunt Dulczewski, UAM w Poznaniu;
21. prof. dr Michał Godlewski, PW w Warszawie;
22. dr Grzegorz Gromadzki, TŁzPZ „Polonia”, Warszawa;
23. prof. dr Stefan Ignar, AR w Warszawie;
24. dr Franciszek Jakubczak, IRWiR PAN, Warszawa;
25. p. Wojciech Jaskot, MSZ, Warszawa;
26. prof. dr Włodzimierz T. Kowalski, PISM MSZ, Warszawa;
27. ks. prof. dr Mieczysław Krapiec, KUL w Lublinie;
28. dr Stefan Krzysztozek, IPS MOIW, Warszawa;
29. doc. dr hab. Mariusz Kulczykowski, UJ, Kraków;
30. doc. dr hab. Krzysztof Kwaśniewski, UAM i ZBnPZ PAN, Poznań;
31. dr Łucja Łukaszewicz, ZBnPZ PAN, Poznań;
32. red. Aleksander Małachowski, Tyg. „Kultura”;
33. dr Krystyna Murzynowska, IH PAN, Warszawa;
34. doc. dr hab. Stanisław Otok, UW, Warszawa;
35. doc. dr hab. Longin Pastusiak, PISM MSZ, Warszawa;
36. doc. dr hab. Andrzej Pilch, UJ, Kraków;
37. doc. dr hab. Gwidon Rysiak, UJ, Kraków;
38. doc. dr hab. Walerian Sobisiak, UAM, Poznań;
39. red. Lech Stanisławski, nac. red. Aud. dla Polaków i Polonii Zagr. PR, Warszawa;
40. doc. dr Florian Stasik, INPol. UGd., Gdańsk;
41. ambasador Tadeusz Strzałkowski, TŁzPZ „Polonia”, Warszawa!
42. doc. dr hab. Hieronim Szczegóła, WSP w Zielonej Górze;
43. p. Zbigniew Tomkowski, TŁzPZ „Polonia”, Warszawa;
44. prof. dr Jan Turowski, KUL, Lublin;
45. p. Jan Turski, Wicedyrektor Dep. Konsularnego MSZ, Warszawa;
46. prof. dr Roman Wapiński, UGd., Gdańsk-Oliwa;
47. dr Wojciech Wierzewski, IKiS MKiS, Warszawa;
48. doc. dr hab. Wojciech Wrzesiński, UBB w Wrocławiu;
49. prof. dr Marian Zgórniak, UJ, Kraków.

SPRAWOZDANIE Z DZIAŁALNOŚCI KOMITETU BADANIA POLONII ZAGRANICZNEJ PAN W LATACH 1972 - 1974

Czynności regulaminowe

1. Pracami Komitetu kierowali kolejno:
prof. dr Mieczysław Klimaszewski, czł. rzecz. PAN (do kwietnia 1973 r.)

- prof. dr Gerard Labuda, czł. rzecz. PAN (od kwietnia 1973 r. do końca kadencji).
2. W okresie kadencji Komitet odbył 7 posiedzeń Prezydium oraz następujące posiedzenia plenarne:
 - 2.1. 18 grudnia 1973 r. na temat: Zadania poznawcze w zakresie badań nad Polonią.
 - 2.2. 29 maja 1974 r. na temat: Polityka wydawnicza w kraju w zakresie zagadnień polonijnych.
 - 2.3. 6 listopada 1974 r. na temat: Wieloletni perspektywiczny program badań polonijnych na lata 1975-1980.
 3. Komitet nie powoływał komisji, sekcji, zespołów problemowych itp.

Czynności w zakresie organizacji nauki

1. Komitet działał na rzecz powołania stałych placówek badań polonijnych w kraju. W efekcie tej działalności powstały i okrzepły organizacyjnie, a także programowo:
 - 1.1. Zakład Badań nad Polonią Zagraniczną PAN w Poznaniu,
 - 1.2. Polonijny Ośrodek Naukowo-Badawczy UJ w Krakowie.
2. Komitet opracował i przedłożył do zatwierdzenia koncepcję resortowego problemu badawczego pt.: Przemiany społeczno-kulturalne Polonii po II wojnie światowej. Projekt w załączeniu. Problem powinien zintegrować badania polonijne prowadzone we wszystkich ośrodkach naukowych w kraju niezależnie od ich resortowej przynależności.
3. Komitet opracował i zatwierdził jednolity perspektywiczny plan badań polonijnych w kraju. Był on również przedmiotem dyskusji na posiedzeniu Międzyresortowej Komisji d/s Współpracy z Polonią w dniu 3 października 1974 roku. Tekst w załączeniu.
4. Z budżetu Komitetu częściowo finansowano następujące prace badawcze:
 - 4.1. dr G. Babińskiego, PONDUJ, nt. Mobilności przestrzennej grup etnicznych w północno-wschodniej części USA; praca zostanie zakończona w grudniu 1974.
 - 4.2. Zakład Badań nad Polonią Zagraniczną PAN w Poznaniu nad pamiętnikiem emigranta z Kanady. Opracowany tekst pamiętnika (ok. 10 arkuszy) zostanie oddany do druku w 1975 roku.
5. Na zlecenie Komitetu przygotowano następujące ekspertyzy, prognozy i raporty:
 - 5.1. Pozycja społeczno-zawodowa Polonii w Wielkiej Brytanii, USA i Kanadzie.
 - 5.2. Amerykańska i kanadyjska polityka wobec mniejszości etnicznych.
 - 5.3. Formowanie się nowej inteligencji polonijnej.
 - 5.4. Dyskryminacja mniejszości etnicznych w amerykańskim prawie pracy.
 - 5.5. Stan i potrzeby badań polonijnych w kraju; raport opracowany przez doc. dr hab. H. Kubiaka dla Wydziału I PAN, przedłożony na posiedzeniu Międzyresortowej Komisji d/s Współpracy z Polonią (3 października 1974).
6. Komitet nie utrzymywał stałych instytucjonalnych kontaktów z zagranicą. Plan takich kontaktów jest aktualnie przygotowany. Nasze dotychczasowe kontakty miały wyłącznie charakter indywidualny. Komitet przygotował na sierpień 1975 roku program międzynarodowej konferencji naukowej nt.: „Stan i potrzeby badań nad zbiorowościami polonijnymi”. Komitet współuczestniczył również w przygotowaniu merytorycznym i realizacji dwu imprez międzynarodowych a to: Spotkania Uczonych Polskiego Pochodzenia (Kraków, lipiec 1973 r.) oraz Forum Polonijnego (Kraków, lipiec 1974 r.).

7. Komitet udzielił poparcia dwu imprezom krajowym, a mianowicie:
- 7.1. Kolokwium Komisji historii struktur i ruchów społecznych na temat dziejów Polonii w XIX i XX wieku w ramach XI Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich w Toruniu, jesień 1974 roku.
- 7.2. Konferencji teoretycznej organizowanej przez Zakład Badań nad Polonią Zagraniczną PAN w Poznaniu na początku 1975 roku.
8. Komitet dokonał analizy sytuacji Rocznika „Problemy Polonii Zagranicznej” zmierzającej do ustabilizowania tego wydawnictwa oraz zwiększenia zakresu jego oddziaływania. W tym celu Komitet zdecydował się przejść z rocznego na półroczny cykl wydawniczy, wzmocnić sekretariat techniczny Komitetu Redakcyjnego oraz zmienić tytuł wydawnictwa na „Przegląd Polonijny”.
- Równoległe Komitet dokonał analizy polityki wydawniczej w zakresie polonijnych wydawnictw naukowych oraz podjął decyzje zmierzające do poprawy obecnej sytuacji.

Hieronim KUBIAK

KOMITET BADANIA POLONII ZAGRANICZNEJ PAN
ZAMIERZA W ROKU 1975 FINANSOWAĆ NASTĘPUJĄCE
PRACE BADAWCZE:

Autor opracowania	Temat	Forma opracowania	Potrzebne środki: zł.
1. dr Ł. Łukasiewicz, Poznań	Funkcje polityczne i kulturalne zreszeń polonijnych.	ekspertyza punkt 5 programu zadań poznańskich Komitetu.	6.000
2. doc. dr hab. Walerian Sobisiak, Poznań	Miejsce kultury rodzinnej i jej pielęgnowanie w czasie wolnym od pracy.	ekspertyza punkt 14 programu.	6.000
3. mgr Barbara Golda, Kraków	Stan aktualny i potrzeby w zakresie badań nad folklorem Polonii amerykańskiej.	ekspertyza punkt 14 programu.	4.000
4. mgr Andrzej Kapiszewski, Kraków	Stereotyp grupy własnej wśród Polonii amerykańskiej.	ekspertyza punkt 17 programu.	6.000
5. dr Grzegorz Bałbiński, Kraków	Sytuacja przestrzenna i migracje grup etnicznych w stanie New Jersey, USA.	ekspertyza punkt 18 programu.	5.000
6. doc. dr hab. Andrzej Pilch, Kraków	Stosunek rządu austriackiego i galicyjskich władz krajowych do emigracji zarobkowej z Galicji w XIX i XX wieku.	ekspertyza punkt 1 programu.	6.000
7. doc. dr hab. Gwidon Rysiak	Ewolucja amerykańskiego prawa imigracyjnego w świetle norm prawa międzynarodowego.	ekspertyza punkt 19 programu.	8.000

Autor opracowania	Temat	Forma opracowania	Potrzebne środki: zł.
8. prof. dr Stanisław Nahlik, Kraków	Zasady prawne podwójnego obywatelstwa, a status Polonii amerykańskiej i brytyjskiej.	ekspertyza punkt 10 programu.	8.000
9. mgr Władysław Midduska, Kraków oraz Jean Lajavige, Tuluza	Umowa polska dla Francuzów.	podręcznik 4, 5 arkusza autorskiego, punkt 12 programu.	25.000
10. prof. dr Maria Kiełczewska-Zaleska, Warszawa	Geograficzne rozmieszczenie Polonii.	ekspertyza punkt 6 programu.	10.000
11. dr Irena Paczyńska, mgr Aleksandra Klasa, Kraków	Materiały do bibliografii dziejów skupisk polonijnych w Ameryce Północnej i Południowej w XIX i XX wieku.	bibliografia punkt 22 programu.	10.000
12. mgr Jadwiga Kołpak, KUL, Lublin	Migracje ludności z Lubelskiego w latach 1864-1914.	materiały z kwerend archiwalnych, punkt 1 programu.	5.000
13. mgr Anastazy Nadolny, KUL, Lublin	Działalność duchowieństwa polskiego wśród Polonii Niemiec Zach. 1864-1914.	materiały z kwerend archiwalnych, punkt 7 programu.	5.000
14. mgr Henryk Ogryzko, KUL, Lublin	Problem życia emigrantów polskich między dwoma kulturami — kulturą ojczyzny pochodzenia i ojczyzny zamieszkania.	materiały z kwerend archiwalnych, punkt 8 programu.	4.000
15. doc. dr hab. J. Otok	Opracowanie materiałów do atlasu polonii w Australii.	kartogramy i plany miast	15.000
16. dr W. Kubiak, Studium Afrykanistyczne UW	Polska emigracja w Afryce Północnej do 1945 r.	bibliografia i ekspertyza punkt 1 progr.	15.000
17. Instytut Gospodarstwa Społecznego SGPiS	Bibliografia migracji zewnętrznych ludności polskiej za lata 1971-1975.	bibliografia punkt 2 progr.	4.500
18. Instytut Gospodarstwa Społecznego SGPiS	Uporządkowanie i opracowanie zespołu archiwalnego: Pamiętniki emigrantów do Kanady i Stanów Zjednoczonych (okres międzywojenny).	kwerenda archiwalna, punkt 1 programu.	3.500
Razem:			zł 146.000

Warszawa, 10 luty 1975

JEDNOLITY PROGRAM ZADAŃ POZNAWCZYCH W ZAKRESIE BADAŃ POLONIJNYCH

1. Procesy emigracyjne z ziem polskich do roku 1945.
 - 1.1. Ogólne prawidłowości procesów emigracyjnych. Rozwój i wygasanie ruchów emigracyjnych.
 - 1.2. Typy emigracji (według przyczyn sprawczych i krajów osiedlenia).
 - 1.3. Skutki narodowościowe, ekonomiczne i społeczno-kulturalne emigracji dla ziem polskich w różnych historycznych fazach emigracji.
2. Procesy emigracyjne w okresie Polski Ludowej.
 - 2.1. Polska emigracja polityczna w okresie po II wojnie światowej. Jej przyczyny, kierunki i skutki.
 - 2.2. Tworzenie się nowych zbiorowości polonijnych w NRF. Sytuacja ekonomiczno-kulturowa i przemiany świadomości narodowej tych zbiorowości.
 - 2.3. Wpływ emigracji wojennej i po II wojnie światowej na rytm życia społeczno-kulturalnego, politycznego i ekonomicznego starych Polonii.
3. Emigracje sezonowe.
4. Reemigracja.
 - 4.1. Przyczyny reemigracji po I i po II wojnie światowej.
 - 4.2. Sytuacja reemigrantów w Polsce.
5. Dzieje skupisk polonijnych.
 - 5.1. Proces formowania się zbiorowości polonijnych w poszczególnych krajach osiedlenia.
 - 5.2. Struktura społeczno-zawodowa zbiorowości polonijnych, w poszczególnych krajach osiedlenia do I wojny światowej i w okresie międzywojennym.
 - 5.3. Polonijne instytucje i organizacje. Ich funkcje założone i rzeczywiste oraz dynamika przemian.
6. Geograficzne rozmieszczenie zbiorowości polonijnych.
 - 6.1. Problemy teoretyczne i praktyczne statystyk etnicznych.
 - 6.2. Rozmieszczenie przestrzenne zbiorowości polonijnych w świecie.
7. Zbiorowości polonijne a rozwój krajów osiedlenia.
 - 7.1. Wpływ polskiej emigracji na rozwój ekonomiczny krajów osiedlenia.
 - 7.2. Udział emigrantów polskich w ruchach społeczno-politycznych i zawodowych krajów osiedlenia.
 - 7.3. Udział emigrantów polskich w walkach narodowyzwoleńczych i wojnach światowych, w tym w ruchu oporu.
 - 7.4. Rola emigrantów polskich w rozwoju kultury i oświaty krajów osiedlenia.
 - 7.5. Rola emigrantów polskich w życiu religijnym krajów osiedlenia.
 - 7.6. Rola emigrantów polskich w rozwoju nauki krajów osiedlenia.
8. Asymilacja emigrantów polskich w różnych krajach osiedlenia.
 - 8.1. Ogólne prawidłowości procesów przystosowawczych mniejszości etnicznych do systemu społeczno-kulturowego, ekonomicznego i politycznego krajów osiedlenia.
 - 8.2. Cechy specyficzne procesu przystosowawczego emigrantów polskich do systemu społeczno-kulturowego, ekonomicznego i politycznego krajów osiedlenia.
9. Przemiany struktury społeczno-zawodowej głównych zbiorowości polonijnych po II wojnie światowej i ich przyczyny.
 - 9.1. Mobilność przestrzenna emigracji polskiej: przyczyny, drogi i skutki mobilności przestrzennej.

- 9.2. Ruchliwość społeczna w głównych zbiorowościach polonijnych. Awans społeczno-zawodowy i kulturalny kolejnych generacji Polonii — jego uwarunkowania, przyczyny i skutki.
- 9.3. Przemiany struktury społeczno-zawodowej Polonii a jej stosunek do kraju.
10. Procesy demograficzne w głównych zbiorowościach polonijnych. Ich charakter, przyczyny i konsekwencje.
11. Przeobrażenia świadomości narodowej głównych zbiorowości polonijnych.
 - 11.1. Formowanie się świadomości narodowej emigracji ekonomicznej w okresie do wybuchu I wojny światowej.
 - 11.2. Polonia a obrona niepodległości państwowej Polski.
 - 11.3. Polonia a obrona dobrego imienia Polski i Polaków.
 - 11.4. Polonia a polskie interesy państwowe.
 - 11.5. Wkład Polonii w rozwój ekonomiczny i społeczno-kulturalny Polski.
 - 11.6. Identyfikacja narodowa Polonii współczesnej.
12. Przemiany języka polskiego w zbiorowościach polonijnych.
 - 12.1. Socjolingwistyka polonijna. Społeczno-kulturowe uwarunkowania przemian języka polskiego w różnych generacjach polonijnych.
 - 12.2. Teoretyczne i praktyczne aspekty dwujęzyczności.
 - 12.3. Dialektologia i onomastyka polonijna.
13. Polonijny system oświaty szkolnej i pozaszkolnej.
 - 13.1. Historia szkolnictwa polonijnego.
 - 13.2. Przemiany funkcji szkolnictwa polonijnego. Tradycje i stan obecny tego szkolnictwa, a dynamika potrzeb własnych Polonii.
 - 13.3. Kształcenie kadr nauczycielskich dla szkolnictwa polonijnego.
 - 13.4. Dydaktyka szkolnictwa polonijnego.
 - 13.5. Podręczniki dla szkolnictwa polonijnego, a zwłaszcza w zakresie: praktycznej nauki języka polskiego na różnych poziomach, historii Polski, historii kultury polskiej (literatury, muzyki, plastyki, architektury) na tle porównawczym.
14. Kultura zbiorowości polonijnych.
 - 14.1. Trwanie i przemiany folkloru polskiego w zbiorowościach polonijnych.
 - 14.2. Polonijne środowiska twórcze. Ich przemiany, kontakty z kulturą polską oraz pozycja w krajach osiedlenia.
 - 14.3. Polonia jako odbiorca i popularyzator współczesnej kultury polskiej.
15. Czasopiśmiennictwo polonijne i inne formy masowego przekazu w środowiskach polonijnych. Geneza i przemiany funkcji.
16. Kontakty Polonii z krajem. Płaszczyzny kontaktu, wzajemne oczekiwania i funkcje.
 - 16.1. Polonijny ruch turystyczny do Polski.
 - 16.2. Współpraca polonijnych i polskich organizacji zawodowych oraz społeczno-kulturalnych, w tym młodzieżowych i kombatanckich.
 - 16.3. Współpraca ekonomiczna Polonii z polskimi instytucjami.
 - 16.4. Współpraca polonijnych i polskich instytucji i organizacji regionalnych.
 - 16.5. Kształcenie młodzieży polonijnej w Polsce.
17. Stereotypy przedstawicieli Polonii, Polaków i Polski w zagranicznej sztuce i środkach masowego przekazu.
 - 17.1. Geneza, charakter i przemiany funkcji stereotypów etnicznych w różnych krajach imigracyjnych.
 - 17.2. Ukryte formy propagandy antypolskiej a możliwości przeciwdziałania im.
18. Problemy etniczne we współczesnym świecie.
 - 18.1. Naukowe i pozanaukowe przyczyny odrodzenia się zainteresowania problematyką etniczną po II wojnie światowej.

- 18.2. Główne ośrodki badań etnicznych: założenia teoretyczne tych ośrodków, ich koncepcje metodologiczne i konkluzje.
19. Ruchy emigracyjne w świetle prawa międzynarodowego publicznego i prywatnego.
20. Historia badań polonijnych w Polsce.
- 20.1. Rola Floriana Znanieckiego w rozwoju badań polonijnych w nauce polskiej.
- 20.2. Polskie placówki badań ruchów emigracyjnych i zbiorowości wytworzonych przez te ruchy.
- 20.3. Problematyka emigracji w badaniach naukowych IGS.
21. Metodologia badań polonijnych.
- 21.1. Ogólne problemy metodologiczne interdyscyplinarnych badań nad ruchami emigracyjnymi i zbiorowościami wytworzonymi przez te ruchy.
- 21.2. Polskie tradycje metodologiczne w badaniach nad ruchami emigracyjnymi i zbiorowościami polonijnymi.
22. Ochrona poloniców w świecie.
- 22.1. Zabezpieczenie i gromadzenie źródeł do historii ruchów emigracyjnych i zbiorowości polonijnych.
- 22.2. Opracowanie polonijnego słownika bio-bibliograficznego.

ZAŁOŻENIA PROBLEMU

- 2.2. Nazwa: PRZEMIANY SPOŁECZNO-KULTURALNE POLONII PO II WOJNIE ŚWIATOWEJ.
- 2.3. HORYZONT czasowy: DO ROKU 1980.
3. CELE CZĄSTKOWE: DO ROKU 1980.
4. JEDNOSTKA KOORDYNUJĄCA: Polonijny Ośrodek Naukowo-Dydaktyczny Uniwersytetu Jagiellońskiego.
5. KIEROWNIK PROBLEMU (PRZEWODNICZĄCY ZESPOŁU KOORDYNACYJNEGO): — doc. dr hab. Hieronim Kubiak — Uniwersytet Jagielloński.
- CZŁONKOWIE ZESPOŁU: doc. dr hab. A. Brożek (WSP w Opolu), prof. dr M. M. Drozdowski (IH PAN), doc. dr hab. A. Kwilecki (ZBnPZ PAN), prof. dr G. Labuda (UAM), prof. J. Miąso (ZHONiT PAN), doc. dr hab. A. Pilch (UJ), doc. dr hab. G. Rysiak (UJ), prof. dr J. Turowski (KUL), prof. dr L. Trzeciakowski (Inst. Zachodni — Poznań), prof. dr M. Zgórniak (UJ).
6. RESORT ODPOWIEDZIALNY: MNSzWiT.
7. NADZORUJĄCY Z RAMIENIA RESORTU ODPOWIEDZIALNEGO: Polonijny Ośrodek Naukowo-Dydaktyczny Uniwersytetu Jagiellońskiego.
8. KOMITET NAUKOWY PAN (OCENIAJĄCY PLAN I REALIZACJĘ ZADAŃ): — Komitet Badania Polonii Zagranicznej PAN.
9. PROBLEM ZINTEGRUJE POTENCJAŁ KRAJOWY:
- 9.1. PLACÓWEK PAN: Z-d Badań nad Polonią Zagraniczną PAN, Inst. Historii PAN.
- 9.2. PLACÓWEK MNSzWiT*: Polonijny Ośrodek Naukowo-Dydaktyczny UJ, Inst. Historii UJ, Inst. Socjologii UJ, Inst. Filologii Polskiej UJ, Z-d Prawa Międzynarodowego UJ, Inst. Historyczny UW, SGPiS.
- 9.3. RESTORTÓW: Biblioteka Narodowa, Polski Instytut Spraw Międzynarodowych, Ośrodek Bibliograficzny „Ossolineum” we Wrocławiu, Inst. Śląski w Opolu.

* Ustalenia orientacyjne.

10. ŚRODKI REALIZACJI:

- 10.1 NAKŁADY na B+R ogółem
w tym na lata 1976-1980 — 70 mln. zł.
- 10.2. ZATRUDNIENIE (w przeliczeniu na pełne etaty):
- a) stan 1. I. 1976 roku — 80 osób
- b) stan 31. XII. 1980 roku
przyrost (b-a).
- 10.3. WSPÓŁPRACA Z ZAGRANICĄ: z różnymi Fundacjami polonijnymi oraz z ośrodkami badań etnicznych.
- 10.4. INNE ŚRODKI LUB WARUNKI:
— 60 mln. zł. (wspólnie z MNSzWiT) na potrzeby Ośrodka w Krakowie (Kolegium Polonijne im. K. Pułaskiego) i w Poznaniu.

11. UZASADNIENIE WYBORU:

- 11.1. Realizacja postanowień programu rządowego „Plan pracy z Polonią w krajach kapitalistycznych”.

UCZESTNICY Z KRAJÓW ZACHODNICH NA KONFERENCJI POLONIJNEJ W KRAKOWIE

5. 9. 1975 r.

Informując o polonijnej konferencji w Krakowie (*Kultura* nr 12/339, str. 91-95) z braku miejsca nie zamieściliśmy listy uczestników z Zachodu. Podajemy ją obecnie, uważając że jest to informacja potrzebna dla tych wszystkich, którzy obserwują kontakty emigracji z Krajem. (*Red.*)

ANGLIA: Władysław Bednarowski, Danuta Ganguly, Olga Narkiewicz, Jan Palka, Stanisław Seliga, Michalina Vaughan.

ARGENTYNA: Stanisław Pyzik.

AUSTRALIA: Ruth Johnston, Jerzy Zubrzycki.

BELGIA: Czesław Wielki.

FRANCJA: Monika Ciechanowicz-Zaleska, Zygmunt Markiewicz, Marian Mroczek, Michel Joel.

HISZPANIA: Jorge Chmielewski.

KANADA: Teodor F. Domaradzki, Isabelle Jost, Rudolf Kogler, Benedykt Heydenkorn, Jost Szabela, Stan Zybala.

NIEMCY ZACHODNIE: Christoph Klessman, Ludomira Maria Rippich, Czesław Sawicki.

NIGERIA: Edwin Plato Bernat.

STANY ZJEDNOCZONE: Imre Boba, Ludwik Chudy-Williams, Bogdan Deresiewicz, Włodzimierz Marian Drzewieniecki, E. Gearhardt, Stanley Joseph Gold, Tadeusz Gromada, Maria Teresa Halstaed, Richard Kolm, Eugene Kusielewicz, John Lesiński, Susanne Lotarski, A. Lubers, Raymond Mayer, Jarosław Piekałkiewicz, Jan Piekoszewski, Edward Puacz, Frank Renkiewicz, Francis Siemankowski, Maria Starczewska, Józef Wieczorek, John Wisniewski, Zdzisław Wesołowski, Waclaw Zajęczkowski, Marian Zakrzewski.

SZWAJCARIA: Marian Ignacy Janiak.

WŁOCHY: Aldo Cantarini, A. Gawroński, J. Langman, J. Żurawska-Citarelli.

Kronika kulturalna

Rozważania o literaturze zwanej "emigracyjną" (2)

LUKI W OBRAZIE NAJNOWSZEJ LITERATURY POLSKIEJ

Literaturę Dwudziestolecia dzieli od Młodej Polski okres kilku-nastu lat niewygodnie mieszczących się w „neoromantyzmie” pomiędzy pozytywizmem, przedłużonym o naturalizm, i „neorealizmem międzywojnia” (według nomenklatury prof. Juliana Krzyżanowskiego). Pewne wycinki zbadane są i opisane starannie. Tak np. przejście od Prusa i Orzeszkowej do Sygietyńskiego i Zapolskiej zostało rozpracowane przez historyków literatury w okresie mody na wpływy Zoli i polski naturalizm. Młoda Polska (modernizm, neoromantyzm) doczekały się odkrywczych ocen Kazimierza Wyki i ciekawie ujętej dokumentacji w „Obrazie literatury polskiej XIX i XX wieku”. Opracowania te urywają się jednak w okolicy 1905-10 roku, gdy otwiera się okres poprzedzający wybuch I Wojny Światowej, jej trwania i wczesnego powojennego chaosu. O znaczeniu tej luki mówi najdobitniej fakt, że działali wówczas Żeromski, Reymont, Kasprówicz, Przybyszewski, Berent, Staff, by wymienić najważniejsze nazwiska. Strug, wczesny Kaden, poezja wojenna (Słoński, Mączka) zawiśli w pamięci odchodzącego pokolenia albo znani są w oderwaniu od wydarzeń stojących u genezy ich utworów. Brak zarówno zarysu dziejów literackich tej epoki, jak i monografii poszczególnych twórców. Z wyjątkiem Reymonta, którego umiejętnie przybliżyła B. Kocówna, żaden z „wielkich” tego okresu nie doczekał się zarysu życia i twórczości na wzór np. monografii Conrada pióra Jocelyn Baines’a. Pożyteczne i ciekawe „kalendarze życia i twórczości” czy studia nad recepcją utworów są tylko przygotowaniem opracowań syntetycznych i namiastką źródłowych monografii.

Dwudziestolecie zadawała się dotąd zwięzłymi podsumowaniami w podręcznikach historii literatury (np. Krzyżanowskiego, Kridla, Miłosza) — a w opracowaniach krajowych, zwłaszcza przeznaczonych dla szkół, zniekształcone jest interwencją cen-

zury, eliminującą lub pomniejszającą znaczenie pisarzy tej klasy co Józef Wittlin, Ferdynand Goetel czy Herminia Naglerowa. Najgłębiej i, jak na stosunki krajowe, najuczciwiej wszedł w epokę Lesław Eustachiewicz w próbie obrazu literatury okresu „Między współczesnością a historią”. Ale i tu powtórzyć trzeba dezyderat monograficznych opracowań czołowych postaci.

Po roku 1939, w trwającym do dziś okresie, literatura polska rozłamuje się na:

- 1) literaturę podziemną krajową z okresu okupacji,
- 2) literaturę Polski Walczącej, powstałą na Zachodzie w latach 1939-1945,
- 3) literaturę o wyraźnie pro-sowieckim nastawieniu publikowaną w ZSSR,
- 4) literaturę polską PRL’u,
- 5) literaturę polską na Obczyźnie, potocznie zwaną emigracyjną.

Podziemna literatura krajowa nie doczekała się dotąd ani systematycznego wydania tekstów, ani opracowania całokształtu zjawiska a przecież nie był to okres bezrobocia warsztatów pisarskich, ale czas w osobliwym sensie bogaty w debiuty młodych talentów. Ukazały się dotąd tylko wydania pism poszczególnych autorów (Krzysztofa Baczyńskiego, Andrzeja Trzebińskiego, Tadeusza Gajcego i in.), antologie i wybory artykułów publicystycznych, wspomnienia i sylwetki i niezmiernie cenne, choć niepełne, bibliografie czasopism i druków zwartych. Unaoczniają one, jak wiele jest do zrobienia i jak śpieszyć się trzeba, by zdążyli wypowiedzieć się ci, co z własnego doświadczenia znają losy poszczególnych ugrupowań, czasopism i wydawnictw. Fatum ciężące nad młodymi twórcami Podziemia dotyka, jak się zdaje, i tych co nad twórczością ich pracują. Przedwcześnie zmarł Kazimierz Wyka, który z najwyższym pietyzmem podszedł do twórczości Krzysztofa Baczyńskiego. Odszedł nagle, zaledwie czterdziestoletni, Zdzisław Jastrzębski, zapamiętały badacz literatury konspiracyjnej. Do opuszczenia Kraju zmuszony był Lucjan Dobroszycki, bezkonkurencyjny znawca prasy Podziemia.

Aneksem krajowej literatury podziemnej jest skromna ilośćowo ale ważna i wymowna twórczość więźniów obozów koncentracyjnych i obozów jenieckich.

Ważną i tylko dotkniętą badaniami grupę stanowi twórczość Getta.

Literatura Polski Walczącej zbadana jest stosunkowo najlepiej dzięki dwutomowemu opracowaniu zbiorowemu pt. „Literatura polska na Obczyźnie” pod red. Tymona Terleckiego. Brak jednak monograficznych opracowań produkcji literackiej związanej z poszczególnymi krajami czy środowiskami, a więc np. Wielką Brytanią, Stanami Zjednoczonymi, Bliskim i Środkowym Wschodem, Włochami, Szwajcarią czy Francją. Oddzielnych opracowań domaga się Szkocja, jako adres wielu poczynań wydawniczych, Szwajcaria i działalność literacka internowanych, Jerozolima, jako

niezmiernie żywe i zasłużone pogotowie ratunkowe polszczyzny, Rzym, w którym narodziły się do dziś aktualne koncepcje wyuczonych literatury na Obczyźnie itd., itd.

Literatura prosowiecka z ZSSR jest swoistą Targowicą nie ujętą w ramy opracowań syntetycznych, wstydliwie ukrytą w pokaznej ilości broszur, książek i czasopism firmowanych przez Wydawnictwo Literatury w Językach Obcych Narodów ZSSR i Zw. Patriotów Polskich. Są to dokumenty upodlenia i słabości posuniętej tak daleko, że wyraźnie starają się wykreślić je ze swych życiorysów pisarze czynni w owym okresie, może i „milionym” dla wielu istotnie. Rozmiary tego kataklizmu uświadamia przejrzanie dochowanych na Zachodzie roczników „Nowych Widnokręgów” i zapoznanie się z typowymi próbkami publikowanych na ich łamach „utworów”.

W roku 1944/45 zarysowuje się nowy podział na *literaturę polską* a) *krajową*, b) *na Obczyźnie* (potocznie zwaną „emigracyjną”, co jest określeniem nieściśłym).

Literatura krajowa, oparta o publikacje wydane w PRL-u oczekiwała się wielu opracowań syntetycznych za kolejne okresy dziesięcio-, dwudziesto- i trzydziestolecia (Maciąg i in.). Opracowania te cechuje zmienność ocen i składu osobowego branych pod uwagę autorów i pomijanie twórczości „dysydentów”, choćby byli nimi pisarze tak wybitni jak ukrywający się pod pseudonimem Tomasz Stalińskiego. Przykrawaniu podlega niejednokrotnie część życiorysu lub twórczości, to znów na skutek zmiany koniunktury przywracani są do łask bądź pisarze zmarli poza Krajem (w odpowiednio spreparowanych wyborach pism) bądź ci, którzy do Kraju powrócili. *Vice versa*: przekreśla się lub przemilcza zbuntowanych (jak Tyrmand) lub zmuszonych do opuszczenia Kraju (jak Wirpsza, Wygodzki czy Grynberg).

Najczulszym termometrem wahań koniunktury są podręczniki szkolne i zestawy lektury obowiązkowej. Warto przestudiować na przykładzie ocen Ryszarda Matuszewskiego stosunek autora podręcznika do np. Lechonia, który z drugoplanowego członka grupy „Skamandra” wyrasta na wielkiego poetę — po samobójczej śmierci. O *literaturze emigracyjnej* głucho, jeśli nie liczyć kilku brukowych paszkwili. Nikt w Kraju nie odważył się dotąd na omówienie tego istotnego rozdziału *literatury polskiej*. Na porządku dziennym jest nadal przemilczanie nazwisk, firm wydawniczych czy tytułów czasopism. Od niedawna rozpoczęto jednak uwzględniać wydawnictwa emigracyjne w fachowych bibliografiach specjalnych, np. „Roczniku Literackim”, „Polskiej Bibliografii Literackiej”, w biogramach ogłaszanych w „Polskim Słowniku Biograficznym”, antologiach itp.

Próby spojrzenia na literaturę emigracyjną podejmowali natomiast kilkakrotnie Niemcy (Hartmann, Dedecius). W Stanach Zjednoczonych Queens College w New Yorku przełamał swoistą zmwę milczenia, wydając tom studiów o literaturze emigracyj-

nej w języku angielskim, otwierając nim serię „Queens Slavic Papers”.

Podstawowym opracowaniem pierwszego 20-lecia literatury polskiej na Obczyźnie (od września 1939) jest wspomniana wyżej „Literatura polska na Obczyźnie” pod redakcją T. Terleckiego, doprowadzona do roku 1960. Po dalszych piętnastu latach oznacza to, siłą rzeczy, niepełny obraz osiągnięć i pilnym postulatem jest kontynuacja, względnie nowe uzupełnione wydanie. Roboczą podbudową jest bibliografia druków polskich i Polski dotyczących, rozpoczęta w Bibliotece Polskiej przez śp. J. Zabielską a po śmierci jej dotąd kontynuowana w formie t. III (za lata 1958-1963) i kartoteki, zawierającej materiały do t. IV i V, czekających na możliwości wydania.

Wiek dwudziesty wchodzi w czwarte ćwierćwiecze. Siedemdziesiąt pięć (tak!) milionów już lat rozpada się na kilka rozdziałów z licznymi dalszymi rozdrobnieniami. Próba wytworzenia poglądu na całość okresu, którego początkiem jest schyłek Młodej Polski, wymaga w chwili obecnej ekwilibrystycznego przerzucania się od „Korbuta” do „Słownika współczesnych pisarzy polskich” (dziś już równie przestarzałego jak „Literatura” Terleckiego), od Feldmana do Czachowskiego, od Eustachiewicza do Bartelskiego, od Maciąga do Miłosza. Anormalność tego stanu rzeczy wyolbrzymia fakt, że w latach ostatnich, po roku 1945, posunięto wybitnie naprzód badania nad literaturą staropolską, Oświeceniem, niektórymi aspektami romantyzmu, pozytywizmem, naturalizmem i przełomem XIX i XX wieku. Z drugiej strony — i to ma w tym kontekście szczególną wymowę — „przedłużono” tematykę prac magisterskich i doktorskich tak daleko, że zasięgiem ich objęty jest Różewicz, Konwicki czy Białośzewski. Ekskuzy, że opracowania np. okresu Pierwszej Wojny Światowej utrądnia rozproszenie czy zagłada materiałów czy że syntezy wymagają uprzedniego przeorania terenu tracą z każdym rokiem na sile przekonywującej.

Anomalia sytuacji ma swoje „robocze” usprawiedliwienie we wspomnianych wyżej zmianach urzędowych ocen pisarzy i ich hierarchii, co stoi w jaskrawej sprzeczności z elementarnymi wymaganiami stawianymi pracy historyka czy krytyka literatury, którego — choć nie składa przysięgi jak lekarze — obowiązuje analogiczna uczciwość w wykonywaniu zawodu.

Opowieść o sytuacji w okresie powojennego chaosu brzmi dotąd, niestety, tylko częściowo jak bajka o żelaznym wilku. Przyjmijmy, że podjęto wówczas chwalebna akcją zakładania bibliotek powszechnych i wyruszono na podbój czytelnika masowego. Aby zapełnić półki podejmowano wydawanie w wielotyśięcznych nakładach książek nadających się do tego typu pracy oświatowej. Czym zapełniano owe półki bibliotek i księgarń? Lekturą zalecaną przez Partię. Gorliwość neofitów nakazywała skrupulatną cenzurę. Dziś filmuje się „Trylogię”, ale wówczas Sienkiewicz podległ redukcji do „Szkiców węglem” i „Krzyżaków”. „Snobizm i postęp” i większość pism publicystycznych Żerom-

skiego jest dotąd na indeksie, świecąc szczerbą w zbiorowym wydaniu. Przez długie lata czytelnictwo powszechne opierało się na Prusie, Orzeszkowej, Konopnickiej — i dotąd niedoczytanym dorobku Kraszewskiego. Historia ruchu wydawniczego w PRL'u jest tragikomiczną rewią przemian w „ponownych odczytaniach” podstawowego repertuaru literatury a łamańce interpretacyjne autorów obowiązujących w danej chwili wykładni, ukryte w przedmowach i postwóciach, zasługują na obszerne omówienie. Po iluż to latach odmrożono Norwida i jak niedawno doczekał się zbiorowego wydania Krasiński! Przeskoki są równie gwałtowne jak nieoczekiwane. „Trylogia” po długim okresie wahań, dopuszczona do łaski, wysunęła się na czoło nie objętych przymusem lektur ogółu, choć stanowisko Sienkiewicza w stosunku do „Septentriónów” nie uległo zmianie. Niekonsekwencje dotyczą nie tylko literatury emigracyjnej, ale i dawno zmarłych pisarzy.

Manipulowanie literaturą nie ogranicza się do przemilczania lub wyolbrzymiania pewnych autorów czy utworów. Dodatkowym regulatorem są wysokości nakładów i opóźnianie lub odmowa dalszych wydań. Na zewnątrz stwarza to wrażenie wypełniania luk („Patrzcie! wydano „Bez dogmatu” i „Rodzinę Połanieckich!”). Nie usuwa to jednak zniekształceń obrazu i nie wypełnia luk na półkach księgarń i bibliotek.

Inną formą defiguracji dorobku pewnych pisarzy czy okresów literatury jest dobór tekstów pod kątem ich łatwej poczytności i szybkiego zbytu nakładów (o co oskarżano wydawców „kapitalistycznych”). Publikuje się więc ostatnio bardzo wiele ciekawie ujętych ale nie pozbawionych akcentu sensacji ciekawostek z okresu np. Oświecenia („Kalendarz półstuletni”, „Sensacje z dawnych lat”) w efektownych i kosztownych wydaniach ilustrowanych, podczas gdy brak na półkach księgarskich wydań pisarzy tej klasy, co Ignacy Krasicki czy Stanisław Trembecki. Jak słusznie zauważył prof. D. J. Welsh (w artykule o Naruszewiczu w XIX t. „Antemurale”) łatwiej jest o wydanie drukiem listów Trembeckiego niż o podstawowe teksty jego pióra. Najgorzej przedstawia się pod tym względem okres pseudoklasycyzmu i preromantyzmu. Uwidocznili to ostatnio świeżo wydany tom (przestarzałych skądinąd) studiów prof. Kleinera, dotyczących okresu przed wystąpieniem Mickiewicza. Wczesne powieści, poematy i tragedie pseudoklasyczne znane są nadal studentom z tytułów i streszczeń. Im dalej w lata tym gorzej. Nabycie zestawu najgłośniejszych a wartościowych pozycji z okresu Dwudziestolecia jest marzeniem ściętej głowy, bo te nawet tytuły, które uznano za godne wznowienia, są już od lat wyczerpane, bez szans dalszych wznowień, albo wyklęte jak „Z dnia na dzień” Goetla. To także źródło luk w obrazie literatury współczesnej.

Rzetelne opracowania muszą ogarniać wszystkie nurty i wszystkich pisarzy z prawdziwego zdarzenia bez względu na ich poglądy polityczne, miejsce druku i siedziby wydawców ich utworów. Prześmak takiego ujęcia dał Czesław Miłosz w szkicowym i przystosowanym do potrzeb czytelników obcych zarysie „The

history of Polish literature”, zasługującej na wydanie polskie, po wprowadzeniu pewnych korektur, których potrzebę starały się uzasadnić recenzje.

Przyszłość przekreśliłaby periodyzację podyktowaną datami wydarzeń politycznych czy sztucznymi podziałami narzucanymi przez cenzurę, a trzy czwarte wieku skurczy się do rozmiarów jednej z wielu epok w historii literatury. Zauważmy, że np. Druga Wojna Światowa przecina twórczość Staffa, raz już przeciętą Pierwszą. Że do różnych rozdziałów należy „Próchno” i „Nurt” Berenta. Że „Noce i dnie” i „Przygody człowieka myślącego” wyszły spod pióra tej samej autorki. Że Tuwim, Słonimski, Choromański i in. są w pewnych okresach pisarzami emigracyjnymi, a w dalszych — krajowymi. Wat i Tyrmand — ditto, ale w odwrotnej kolejności. Że na horyzoncie zarysowuje się fala utworów pisarzy polskich nie odzęgających się od polskości, ale piszących w językach krajów osiedlenia (Pietrkiewicz, Kosiński).

Przypuszczać należy, że w przyszłości podziały chronologiczne i geograficzne ulegną osłabieniu, jeśli nie zatarciu, ustępując miejsca normalnym kryteriom badań historyczno-literackich, a rok 1975 czy 1976 nie oznacza ani finału epoki ani zamknięcia wyraźnego okresu. W rozważaniach roboczych nie można uniknąć owych niejako orientacyjnych dat czy podziałów. Ale może dlatego luki występują tak wyraźnie.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Fejój, 17 listopada 1975

Kisiel w Londynie

Nieprzebrane tłumy, mówiąc konkretnie blisko 300 osób, udały się w dniu 5 grudnia 1975 roku do „Ogniska Polskiego”, aby usłyszeć prosto od krowy, a mianowicie z ust przybyłego z Warszawy Stefana Kisielewskiego, jaka będzie przyszłość Polski.

Teza mówcy, że w dającej się przewidzieć przyszłości nie zaistnieją chyba żadne istotne zmiany, została zaatakowana, a może nawet zupełnie obalona, z lewa i z prawa. Uderzenie z prawej zrobił Tadeusz Bielecki, emerytowany prezes Stronnictwa Narodowego. Zauważył on słusznie, że trudno mówić o niezmienności, gdy cały obóz komunistyczny jest w rozprężeniu, a Chiny nie-dwuznacznie szykują się do obalenia moskiewskiego „hegemonu”. W tych warunkach upadek sowieckiego imperium jest rzeczą zupełnie możliwą.

Atak z lewej poprowadził Adam Ciołkosz, operując analizą Marksa w adaptacji Władysława Bienkowskiego. Z cytatów wynikało jasno, że obecny ustrój sowiecki, oparty na wyzysku klasy robotniczej przez pasożytniczą burżuazję partyjną, będzie przechodził coraz głębsze kryzysy aż w końcu ulegnie dezintegracji.

Teza teza, a publiczność bawiła się znakomicie. Kisiel jest świetnym mówcą, prelekcja jego przetykana była dowcipami, anegdotami i dygresjami o wielkiej wartości rozrywkowej i informacyjnej.

Wieczór zorganizowany był przez Związek Pisarzy, przewodniczył prezes Związku, Józef Garliński.



10 grudnia, w ostatnim dniu swego pobytu w Londynie, Stefan Kisielowski mówił o swych wspomnieniach politycznych z okresu 1945-65. Ta żywo i bezpośrednio podana nieoficjalna historia Polski Ludowej zrobiła na słuchaczach ogromne wrażenie. Dyskusja trwała długo po północy i była typową „nocną rodaków rozmową”, zwłaszcza że wśród 51-osobowej publiczności było wielu przyjezdnych z Kraju. W dyskusji zabierali głos pp.: Bończa-Tomaszewski, Jagodziński, Adam Ostaszewski, Rowmund Piłsudski, Józef Poniatowski, Prus-Chąciński, Eugeniusz Smolar, Stypiński, Andrzej Stypułkowski, prof. Stanisław Swianiewicz, S. Wąsik, goście z Kraju.

Tekst „Wspomnień politycznych” Stefana Kisielowskiego zamieścimy w jednym z następnych numerów *Kultury*.

Z mojego wprowadzenia do wieczoru Kisiela:

Nasz emigracyjny wieszcz, Marian Hemar, napisał kiedyś fraszkę o pewnym polityku z epoki Mao Tse-tunga, fraszkę jak litania wymieniającą dziedziny działalności owego polityka, w taki mniej więcej sposób:

... *Stalin jako inżynier*
Stalin jako kosyńier...

Ale nie tylko za Bugiem wzrastać mogą tak wszechstronne talenty. Gdy przyszli badacze będą starali się ustalić ramy twórczości Stefana Kisielowskiego, to otworzy im się ogromny wybór. Na przykład:

Kisiel jako powstaniec
Kisiel — misji narodowej postaniec
Kisiel jako kompozytor retro
Kisiel jako wróg budowy metro
Kisiel jako poseł „Znaku”
Kisiel jako znak epoki braków
Kisiel jako pianista

Kisiel jako cyklista
Kisiel jako ekonomista
Kisiel jako traktorzysta
Kisiel jako redaktor
Kisiel jako atomowy reaktor
Kisiel w Paryżu, Kisiel w Rzymie
No i nareszcie — Kisiel w Londynie!

Bohdan BRODZIŃSKI

40-ty Kongres PEN w Wiedniu

W dniach od 16 do 22 listopada odbył się w Wiedniu 40 Kongres PEN Klubów. Brało w nim udział około trzystu pisarzy z całego świata. Wschodnia Europa była dość licznie reprezentowana. Szczególnie dwa kraje: Węgry (Guyla Illyes, Tibor Dery, Magda Szabo i inni) oraz Polska (Władysław Bartoszewski, Roman Brandstaetter, Paweł Hertz, Tadeusz Kudliński, Irena Parandowska, Michał Rusinek). Mniej delegatów przyjechało z NRD i Bułgarii, przeważali wśród nich zresztą funkcjonariusze partyjni. Nie zjawili się delegaci PEN Klubów w Pradze i Bratysławie. Nie było też obserwatorów sowieckich, natomiast z Paryża wybrali się na kongres Wiktor Niekrasow i Władimir Maksimow (utknął w Monachium, odmówiono mu wizy austriackiej ze względu na nieważny paszport po pozbawieniu go obywatelstwa sowieckiego). *PEN in Exile* reprezentowali Pavel Tigrid, Ota Filip i Gabriel Laub.

Na posiedzeniu Egzekutywy omawiano sprawę Czechosłowacji. Trzej pisarze czescy Pavel Kohout, Vaclav Havel, Ludwik Vaculik przysłali do austriackiego Klubu telefoniczny *message*, dziękując za zaproszenie, wyrażając ubolewanie że uniemożliwiono im wyjazd do Wiednia i jednocześnie nadzieję że „dokument podpisany w Helsinkach stanie się prawem moralnym ściśle przestrzegany przez wszystkie rządy”. Oba Kluby, czeski i słowacki, są od kilku lat zamknięte. Egzekutywa zaproponowała zwrócenie się z apelem do władz czechosłowackich, by umożliwiły ich otwarcie. Wniosek został przyjęty przytłaczającą większością głosów. Długą dyskusję wywołał natomiast kolejny wniosek Egzekutywy: protest przeciw „stałemu nękananiu pisarzy, artystów i uczonych w Czechosłowacji”, połączony z wezwaniem do władz by zwolnili więzionych wciąż jeszcze pisarzy, oraz z żądaniem zwrotu prawowitym właścicielom wszystkich skonfiskowanych rękopisów i książek. Wniosek w końcu przyjęto, przeciw głosom delegatów z kadełców (z wyjątkiem delegatów polskich, którzy wstrzymali się od głosowania). Równoległe z dyskusją na temat Czechosłowacji toczyła się dyskusja na temat Chile (PEN chilijski reprezentowany był na kongresie przez obserwatora). Klub w Chile został zawieszony dwa lata temu; w Wiedniu dyskutowano dwa warianty: albo przedłużyć zawieszenie, albo usunąć w ogóle Klub chilijski z organizacji międzynarodowej. Dla usunięcia zabrakło wymaganej większości dwóch trzecich głosów; odnowa zawieszenia rozbiła się o jeden głos. Skończyło się więc na „surowej reprimendzie”. Na znak protestu przeciw tak „łagodnej” decyzji delegaci

bułgarzy i wschodniemieccy opuścili salę obrad. Specjalny Komitet do Spraw Więzionych Pisarzy ogłosił listę ośmiu (prócz Chile) krajów napiętnowanych: Czechosłowacja, Indonezja, Iran, Południowa Korea, Hiszpania, Irak, Związek Sowiecki, Południowa Afryka. Następny Kongres PEN Klubów odbędzie się w Londynie w sierpniu 1976. Delegacja polska złożyła do protokołu w pierwszym dniu obrad następujące oświadczenie:

„Powołując się na wystąpienie delegacji polskiej podczas spotkania Rady Wykonawczej PEN Klubów w Ohrid w czerwcu 1974 roku, oraz pragnąc ułatwić w obecnym okresie aktywne uczestnictwo wszystkich ośrodków we wspólnych decyzjach i działaniach, PEN Klub polski ogłasza co następuje:

„Zgodnie z kartą PEN Klubu (unikając wszelkiej stronniczości politycznej, czy to wypowiedzianej w formie ogólnej, czy też odnoszącej się do konkretnego kraju) zarówno wszystkie Ośrodki narodowe jak i Międzynarodowy PEN Klub mają za zadanie i obowiązek obronę indywidualnej wolności pisarzy całego świata i troskę o ich postawę moralną.

„Podpisana na zakończenie konferencji w Helsinkach deklaracja 36 państw otwiera nowe możliwości ożywienia działalności naszej organizacji. W pierwszej części tego dokumentu (paragraf VII) czytamy co następuje: 'Państwa uczestniczące szanują prawa człowieka i jego podstawowe wolności, a więc wolność myśli, sumienia, religii i przekonań dla wszystkich, bez względu na różnice rasy, płci, języka czy religii. Sprzyjają realnemu spełnianiu praw i swobód obywatelskich, politycznych, ekonomicznych, społecznych, kulturalnych i wszelkich innych nierozdzielnie związanych z przyrodzoną jednością ludzkiej godnością, koniecznych dla jej pełnego i swobodnego rozwoju'.

„W rozdziale 'Informacja' (druga część tego samego dokumentu) czytamy: 'Sprzyjać coraz lepszemu rozpowszechnianiu, na swoim terytorium, czasopism i druków, periodycznych, nieperiodycznych, pochodzących z innych państw uczestniczących'.

„Opierając się na tych stwierdzeniach PEN Klub polski zwraca się do delegatów i uczestników 40 Międzynarodowego Kongresu PEN Klubów w Wiedniu z apelem o powzięcie energicznych kroków, mających na celu rozwój międzynarodowych kontaktów zarówno instytucjonalnych jak i osobistych”.

Kongresowy wieczór literacki poświęcony był pamięci zmarłego dramaturga austriackiego i b. przewodniczącego PEN Klubu wiedeńskiego, Franza Theodora Csokora. Obecny prezes międzynarodowego PEN, Sir V. S. Pritchett, jego austriacki kolega Ernst Schönwiese, pisarz węgierski Deszö Keresztury i Irena Parandowska mówili o swoich spotkaniach i rozmowach z Csokorem. Csokor jest szczególnie bliski pisarzom polskim: w latach trzydziestych przebywał przez pewien czas na emigracji w Warszawie; przełożył na niemiecki *Nieboską Komedie*. Ufundowana przez austriacki PEN nagroda im. Csokora przypada w tym roku węgierskiemu pisarzowi emigracyjnemu György Sebestyén. Poprzednimi laureatami byli Pavel Kohout, Wolfgang Bauer i Thomas Bernhard.

Na kongresowej konferencji prasowej wystąpił Wiktor Niekrasow. Omówił dokładnie położenie pisarzy-dysydentów i stan literatury w ZSSR. Niekrasow powiedział m.in.: „Literatura rosyjska znajdowała się zawsze w ciężkiej sytuacji, a mimo to powstały wielkie dzieła, które przebiły się jak trawa przez asfalt”. Autor *W okopach Stalingradu* i laureat nagrody stalinowskiej,

od roku na Zachodzie, przyrównał pracę pisarzy sowieckich do „sztuki cyrkowej”, używając takich zwrotów jak „zonglerka”, „balansowanie na linie”, „ekwilibrystyka”.

Do przewodniczącego Kongresu, Ernsta Schönwiese, zaadresowana była depesza z Paryża:

„Jako wydawca dzieł Witolda Gombrowicza po polsku pozwalam sobie zwrócić uwagę Kongresu na fakt, że pełne wydanie książek Gombrowicza jest nadal w Polsce niemożliwe mimo umów podpisanych w Helsinkach. Wiedząc jak bardzo czytelnikom polskim zależy na udostępnieniu im książek Gombrowicza, proszę prezydium Kongresu o poinformowanie delegacji polskiej, że pełne wydanie dzieł Gombrowicza — bez cięć i opuszczeń — nie natrafiłoby na żadne przeszkody z mojej strony. Jerzy Giedroyc, dyrektor Instytutu Literackiego”.

Podczas pierwszego dnia obrad doszło do kontrowersji. Pierwsza wynikła podczas zatwierdzania sprawozdania skarbnika. Niemiecki pisarz Thilo Koch, sprawujący tę funkcję, znalazł się pod mocnym ostrzałem. Otóż w roku budżetowym 1974 — powstał deficyt w wysokości około 7 tysięcy funtów szterlingów. Dzięki staraniom Thilo Kocha, dziura w budżecie została pokryta przez dotację Fundacji Kruppa. Ostro zaprotestowały delegacje wschodnioeuropejskich PEN Klubów, nie chcąc się zgodzić na przyjęcie pieniędzy „od Fundacji rodziny, której jeden z członków był konstruktorem i producentem nieszawnej 'Grubej Berty'”. Poskutkowało jednak argumenty prezydenta PEN'u, Sir Victora Pritchetta, który nadmienił, że Alfred Nobel, wynalazca dynamitu, ufundował nagrodę pokojową; tegorocznym laureatem jest Andriej Sacharow. W końcu budżet zatwierdzono. Warto przy tej okazji zaznaczyć, że najwyższą składkę roczną — prawie 2 tysiące dolarów — płaci amerykański PEN Klub, zaś najniższą w 1974 roku zapłacił polski PEN — zaledwie 22 dolary. Francuzi w ogóle nie zjawili się na Kongresie z powodu zalegania od lat ze składkami.

Podczas pierwszego posiedzenia Egzekutywy głosowano nad wnioskiem delegacji pisarzy austriackich, domagających się wprowadzenia języka niemieckiego, obok angielskiego i francuskiego — jako trzeciego oficjalnego języka PEN Klubu. Język niemiecki był dopuszczony w początkowych latach PEN'u; przestano się nim posługiwać w 1933 roku, po objęciu władzy przez Hitlera.

Po burzliwej dyskusji i zarządnym głosowaniu — padło 15 głosów za i 12 przeciw — język niemiecki uznano za oficjalny.

Polscy delegaci na Kongres: Wł. Bartoszewski i P. Hertz spotkali się po powrocie do kraju z ostrą krytyką „czynników miarodajnych” za zachowanie się na Kongresie PEN Klubu, a specjalnie za wstrzymanie się od głosowania w sprawie Czechosłowacji (tj. niegłosowania przeciw, tak jak wszystkie KDL'e).

W 1975 roku przypada 50-letnia rocznica powstania polskiego PEN Klubu. Uroczysta inauguracja miała miejsce 12. 6. 1925 na Zamku Królew-

skim w Warszawie w obecności Prezydenta RP i najwyższych dostojników państwowych. Założycielami byli m.in. Juliusz Kaden-Bandrowski, Jan Lechoń, Jan Lorentowicz, Leopold Staff, Stefan Żeromski. Prezesami polskiego PEN Klubu byli: Stefan Żeromski, Ferdynand Goetel a od 1933 roku do dziś — tj. w ciągu 42 lat Jan Parandowski. W chwili wybuchu 2-giej wojny światowej PEN Klub liczył 155 członków. Obecnie 232. PEN Klub od 1929 roku przyznaje (z przerwą wojenną) doroczne nagrody tłumaczom polskim i zagranicznym, a od 5 lat dorocznie nagrodę im. Mieczysława Lepeckiego (z fundacji prywatnej p. Janiny Lepeckiej) „za wybitne dzieło piśmiennictwa polskiego wydane drukiem w Polsce”. Z okazji 50-lecia PEN Klub wydał książkę (w nakładzie 1000 egzemplarzy) „Polski PEN Klub 1925-1975”.

POLSKA KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

7970 SUMMERDALE AVE., PHILADELPHIA, Pa. 19111, USA.
Tel.: (215) RA 5-9723.

Posiada na składzie książki w języku polskim, m.in. wydawnictwa Instytutu Literackiego w Paryżu. Przyjmuje prenumeraty *Kultury* i *Zeszytów Historycznych*. Prowadzi antykwariat. Kupuje stare polskie książki, obrazy, monety i wszelkie polonica. Katalogi, informacje, — bezpłatnie

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynie pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Książki

«Droga powrotna» J. Kowalewskiego

Zastanawiałem się jak zakwalifikować „Drogę powrotną”: Autobiografia? Wspomnienia — Powieść? Obrachunek z własną przeszłością? Ta właśnie trudność „zaszufladkowania” stanowi moim zdaniem największy walor książki Janusza Kowalewskiego, wydanej w ubiegłym roku nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej w Londynie.

Jest to książka wyjątkowa nie tylko z powodu „pomieszczenia żywiołów”, ale przede wszystkim dzięki talentowi narracyjnemu autora, jego pasji i niezwyklej szczerości.

O umiejętnościach pisarskich Kowalewskiego mieli czytelnicy okazji przekonać się już po przeczytaniu zbioru opowiadań zatytułowanych „O żołnierzu ciułaczu” (Londyn 1955 r.) i wydanym w dziesięć lat później kolejnym tomie — „Miłość i hazard”. „Droga powrotna” jest więc właściwie trzecią książką, wydaną w ciągu lat trzydziestu. Trudno byłoby mi jednak powiedzieć, ile tomów należałoby wydać dla ogarnięcia wszystkich opowiadań, reportaży i artykułów publicystycznych, które ukazały się — od 1945 r. — w prasie emigracyjnej głównie zaś w londyńskich *Wiadomościach*? Wiele z tych utworów posiada trwałą wartość.

Janusz Kowalewski, w „Drodze powrotnej” pragnął ukazać „swoje ja”, czyli mówiąc uczenie „integralną osobowość”. „Byłem uparty i krnąbrny” — pisze — „Nie pozwalałem sobą nikomu kierować. Uciekałem od każdego kto mnie chciał przerabiać, wprzęgać w swój wóz, włączać do swego dworu jako dworaka. Nikomu nie chciałem służyć. Czy dlatego, że uważałem się za takiego nieomylnego mądralę? Nie. Dlatego, że zawsze chciałem być przede wszystkim sobą, to znaczy człowiekiem wolnym, czyli takim jakim go Pan Bóg stworzył”.

Jakże zatem się stało, że znalazł się w obozie komunistycznym i poddał „zniewoleniu umysłu”?

Odpowiada na to: „Przez swoją emocjonalność i porywczosć popełniłem w życiu wiele błędów, narobiłem masę głupstw, wy-

rządziłem wielu ludziom — ale najwięcej sobie samemu — dużo przykrości [...]”.

Opowiada szczegółowo i z wielką szczerością o swoich poszukiwaniach i rozterkach, które — zanim wstąpił na drogę powrotną — przywiodył go, poprzez Związek Polskiej Młodzieży Demokratycznej, do komunistycznego *Życia*, skłoniły do redagowania gazety komunistycznej i działalności podyktowanej zresztą najlepszymi intencjami.

Ta spowiedź „dziecięcia wieku” nabiera szczególnej wartości, bo dokonuje jej człowiek świadomy własnych wad i ułomności. Nie podaje się za kogoś innego niż jest w istocie; nie usiłuje uchodzić za intelektualistę. Przyznaje, że uczuciowość dyktująca jego działalność była zawsze czynnikiem dominującym. Powiada nawet, że należy do ludzi odznaczających się tak bujnym przerostem gruczołów „że dla mózgu niewiele pozostaje już miejsca w ciele i duszy”.

Trzeba sporo odwagi i samowiedzy, aby zdobyć się na tego rodzaju wyznanie, poparte na dodatek oświadczeniem, które może nie podobać się tylko hipokrytom:

„Gdy się tak teraz biję w piersi — własne i cudze — i wyrzekam na swoje głupstwa, to czy chciałbym być kimś innym, gdybym się po raz drugi urodzić miał? Nie [...]. Bo mimo świadomości swych błędów i ułomności, ja siebie faktycznie lubię. Nie odczuwam dla siebie pogardy, nienawiści, obrzydzenia, nic z tych rzeczy. Mam poczucie swych błędów, swojej — co tam owijać w bawełnę — głupoty, ale mam też świadomość swoich zawsze dobrych, szlachetnych intencji”. Pisząc o pobudkach, które pchnęły go do komunizmu wymienia „współczucie dla wyzyskiwanej klasy robotniczej; pragnienie podniesienia całej Polski na wysoki poziom moralny, ekonomiczny i polityczny a więc w gruncie rzeczy patriotyzm; nienawiść do wszelkiego rodzaju szowinizmu i rasizmu, a przede wszystkim do antysemityzmu, który w czasie mojej młodości rozszalał się nad światem i Polską”. Przedstawia z tego okresu wiele interesujących postaci, m.in. senatora Stefana Boguszewskiego, Władysława Bieńkowskiego, Lucjana Szenwalda, Mieczysława Bibrowskiego; wspomina o działalności komunistycznej Dembińskiego, Jędrzychowskiego i Putramenta na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie.

Najciekawsza część książki poświęcona jest „drodze powrotnej”. Zaczęła się właściwie już przed 39-ym rokiem. Pobyt w okresie okupacji we Lwowie i praca w *Czerwonym Sztandarze* dopełniły edukacji autora. W rezultacie trafia do lwowskiego więzienia wojskowego, na celę nr 60, gdzie — nawiasem mówiąc — miałem okazję zetknąć się z nim, dzięki przypadkowi, który mi trudno nazwać szczęśliwym. Kiedy przyprowadzono Janusza nocą „Cela już spała — pokotem na podłodze, ciało koło ciała. Podniosło się kilka głów, położyły twarze, gorejące oczy. Palilo się dość mocne światło” [...].

Od tej chwili upłynęło 35 lat i nagle dzięki Kowalewskiemu odzywają wspomnienia. Ewokuje je sugestywnością opisu, który mam możliwość — nie tylko w tym przypadku — sprawdzić na podstawie znajomości tych spraw z autopsji. Autor odznacza się uderzającą pamięcią szczegółu i — wbrew temu, co niektórzy krytycy pisali — jestem zwolennikiem jego polszczyzny i stylu. Trudno natomiast z nim się zgodzić tam gdzie występuje w roli interpretatora dziejów i gdzie, powodowany — zrozumiałą skądinąd — niechęcią do komunizmu — rozprawia się — na mój gust — w sposób nazbyt zamaszysty i nie całkiem przemyślany z pewnymi zjawiskami i ludźmi. I tak na przykład w związku ze sprawą Sochackiego, komunistycznego posła w okresie międzywojennym, jednej z pośmiertnie „zrehabilitowanych” w 1957 roku „ofiarników prowokacji” autor pisze: „Prowokator, a potem ofiara prowokacji — czysty Orwell... Żonie Sochackiego, Józefinie, która jakoś ocalała, doręczono razem z aktem „rehabilitacyjnym” kartkę, znaną przy zwłokach Sochackiego i włączoną do dokumentów jego sprawy. Kilka słów napisanych własną krwią: „Jestem komunistą, nie zdrajcą. Pozostanę wierny Partii Komunistycznej do końca”.

Kowalewski dodaje od siebie: „Chciałoby się rzec: 'to dobrze ci tak'”.

Może to tylko kwestia gustu, ale wydaje mi się, że byłoby lepiej nie komentować słów Sochackiego. Takich potknięć jest więcej i przykro mi, że przy ostatecznej korekcie autor nie wyeliminował niektórych uwag będących świadectwem jego pasji pisarskiej, ale w ostatecznym rezultacie obniżających rangę książki.

Filip ISTNER

Ziemska kolonia hybrydów ?

Ogłoszona w 1859 roku praca Karola Darwina *O powstaniu gatunków drogą doboru naturalnego* wydawała się wyjaśniać zagadkę pochodzenia Człowieka na Ziemi. Aczkolwiek Darwin nie był „zawodowym uczonym”, a tylko „miłośnikiem wiedzy”, amatorem, i jeden z badaczy jego dzieła doliczył się w nim około 800 zdań w rodzaju: „przypuśćmy że” czy „założmy”, wiele z tych przypuszczeń czy założeń zostało następnie potwierdzonych przez badania metodami naukowymi i, po okresie niezwykle zacieklej i ostrych sporów, teoria ewolucji uzyskała quasi-powszechne uznanie. Toteż gdy w 1925 sąd amerykański w Dayton w stanie Tennessee orzekł, że „człowiek nie pochodzi od małpy” i ukarał

miejscowego nauczyciela Johna T. Scopesa za nauczanie w szkole darwinizmu, wywołało to nie tylko światową sensację ale i ogólne oburzenie.

Tryumf darwinizmu nie był jednak zupełny gdyż niektóre z jego przypuszczeń i założeń wciąż nie znajdowały naukowego potwierdzenia. W szczególności nie zostały ujawnione żadne ślady istnienia „ogniwa pośredniego” pomiędzy istotami człokształtnymi i Człowiekiem oraz nie została wyjaśniona zagadka, w jaki sposób naturalna ewolucja, wyposażająca walczące o byt organizmy tylko w organy konieczne dla ich utrzymania się przy życiu, mogła doprowadzić do powstania mózgu ludzkiego, pełniejsze zastosowanie którego stało się możliwe i potrzebne dopiero w wiele tysięcy lat później.

Dlatego też kalifornijski *State Board of Education* wydał w listopadzie 1969 roku zarządzenie, aby na przyszłość w podręcznikach i nauczaniu szkolnym obok darwinizmu uwzględniane były również i inne teorie o pochodzeniu Człowieka. Obecnie wydana na jesieni 1974 r. książka dwóch amerykańskich autorów, kalifornijczyka Flindta i pochodzącego ze środkowych stanów Bindera*, stanowi próbę przerwania pomiędzy tymi teoriami pomostu i dość zabawnego „pogodzenia” darwinizmu z Biblią. Przyznając się, że podobnie jak Darwin obaj są tylko „amatorami”, uwzględniają oni w swej pracy obszerny materiał z różnych dziedzin wiedzy „ery atomowej” i, nie kwestionując samej zasady teorii ewolucji, zarzucają Darwinowi opieranie się na zbyt ograniczonym, bo tylko ziemskim, materiale doświadczalnym.

Zdaniem współczesnych astronomów, nie tylko nasze Słońce, lecz i wiele innych gwiazd we wszechświecie posiada swoje systemy planetarne, zaś niektóre planety warunki umożliwiające na nich powstanie i rozwój życia. W naszej, jednej z miliardów, galaktyce, gwiazd takich ma być około 100 miliardów, zaś planet mniej więcej analogicznych do Ziemi — 200-400 miliardów. Wiele z nich jest znacznie starszych od Ziemi, gdzie, jak sądzi współczesna nauka, pierwsze objawy życia pojawiły się jakieś 2-3 miliardy lat temu; podział na tzw. królestwo roślinne i zwierzęce nastąpił jakieś 600 milionów lat temu; zaś pojawienie się istot człokształtnych około 30, a Człowieka około miliona lat temu. Analogiczny proces ewolucyjny na starszych od Ziemi planetach musiał się rozpocząć znacznie wcześniej i jest więcej niż prawdopodobne, że wówczas gdy na Ziemi zaczęły dopiero się pojawiać istoty człokształtne, jacyś Planetnicy czy Gwiazdorzy (*Starmen*) osiągnęli już stopień rozwoju ewolucyjnego znacznie wyższy niż Ziemia do dziś. Gdy my ostatnio dopiero stanęliśmy na progu epoki międzyplanetarnych podróży, jacyś Gwiazdorzy mogli już je uprawiać od milionów lat i osiągnąć w nich taki stopień doskonałości, że po „odkryciu” Ziemi odwiedzali ją systematycz-

* *Mankind — Child of the Stars*, Max H. Flindt and Otto O. Binder. Fawcett Publications, Greenwich, Con., 1974, str. 272; cena dol. 1,25.

nie i traktowali jako swego rodzaju laboratorium, „pole doświadczalne”, czy wreszcie swoją „kolonię”.

Na różnych kontynentach przechowywały się liczne podania o przybywających „z nieba” wysłannikach, „Synach Bożych” i Aniołach (m.in. do naszego Piasta), występujących w roli nauczycieli czy instruktorów. W biblijnej księdze *Genezis* jest aż dwukrotna (6: 2 i 4) wzmianka o stosowaniu przez nich metod bardziej radykalnych. Przybywający z nieba „Synowie Boży” interesować się mieli „córkami ludzkimi”, zaś spłodzone przez nich dzieci osiągać następnie stanowiska mężów sławnych i potężnych. Choć autorzy amerykańscy o tym nie mówią, warto w tym kontekście wspomnieć o wschodniej tradycji uważania panujących władców bądź to za „Synów Nieba” bądź bezpośrednich potomków boskich.

Wszelka interwencja z zewnątrz, nawet pośrednia przez nauczanie świadomego stosowania biologicznej selekcji, przyspieszała i w pewnym stopniu zniekształcała „naturalną” ewolucję gatunków ziemskich, zaś interwencja bezpośrednia musiała wywołać skutki wręcz rewolucyjne. Wprowadzenie do krwi obcych pozaziemskich genów, wykształconych w toku wielokrotnie dłuższej niż ziemskiej ewolucji, uczyniło gatunek, w stosunku do którego metoda taka była zastosowana, zasadniczo różnym od wszystkich innych gatunków wytwarzanych przez naturalną ewolucję na Ziemi. Fakt, że ludzie na Ziemi nie byli wynikiem „naturalnej” ewolucji, lecz hybrydami, wynikiem skrzyżowania Gwiazdorów z ziemskimi istotami człokształtnymi, tłumaczyłby brak, wciąż przez naukę poszukiwanego, „ogniwa pośredniego”; z drugiej zaś strony czynił z nich istoty dwoiste, oscylujące pomiędzy „ziemskimi zwierzętami” i „aniołami” (Gwiazdorami), a w istocie nie będące ani jednymi ani drugimi.

Współcześni uczeni doliczyli się przeszło 300 cech fizjologiczno-fizycznych różniących ludzi od genetycznie najbliższych im stojących małą człokształtnych; goryle, szympansov i orangutanów. Cechy te są rozmaitego rodzaju i znaczenia i wiele z nich może być skutkiem wprowadzenia pozaziemskich genów, gdyż są w sprzeczności z podstawowymi zasadami naturalnej ewolucji, której celem było ułatwianie walki o byt. Tak, np., odmiennie od przeszło 4.200 gatunków ssaków lądowych, ludzie są nadzy, aczkolwiek ciepłe futerko ułatwiałoby w wielu wypadkach utrzymywanie się przy życiu i czyniłoby zbędnym zdobywanie skór dla przykrycia nagoci w niełatwej walce ze zwierzętami.

Uzasadnieniem nieznanego innym antropoidom obfitego owłosienia głowy być mogła potrzeba szczególnej ochrony największego daru pozaziemskich genów — mózgu ludzkiego, instrumentu tak precyzyjnego i doskonałego, że nie był on przez lat tysiące, a może i nie jest wciąż jeszcze i obecnie, w pełni wykorzystywany. Zabierał jednak sporo miejsca: trzy razy więcej niż mózg istot człokształtnych, i potrzebował odpowiednio większej czaszki; zachowane czaszki istot człokształtnych sprzed 15-30 milionów lat mieściły nie więcej niż 500 cm³ mózgu, czaszki zaś Neanderlandczyków sprzed około miliona lat temu — około 1.500 cm³. Nieu-

zasadnione przez naturalną ewolucję tak znaczne powiększenie rozmiarów głowy spowodowało że, odmiennie od wszystkich swych „kuzynek genetycznych”, hybrydyczne Ziemianki musiały w bólach i mękach wydawać na świat swe potomstwo. Ponieważ jednak w ziemskich warunkach tak duży mózg był właściwie niepotrzebny, dalsza „naturalna” ewolucja spowodowała jego pewne zmniejszenie i przeciętna czaszka współczesnego człowieka mieści 1.300 cm³.

Aczkolwiek przez długie lat tysiące Ziemianie nie wykorzystywali otrzymanego pozaziemskiego daru, jego posiadanie dało im możliwość różnorodnego porozumiewania się i ujawniania swych przeżyć i uczuć (nie tylko w słowach, lecz także w śmiechu i płaczu, w wyrazie oczu i twarzy, jej rumienieniu się lub blednięciu), oraz przeżywania przyjemności (rozkoszy) w stopniu i formach jakościowo różnych od wszystkich innych gatunków ziemskich. Dotyczyło to m.in. rozkoszy gastronomicznych i erotycznych i odpowiednio się odbiło na specyficznie ludzkich cechach i właściwościach odpowiednich organów.

Zasadniczym naturalnym celem jedzenia jest zaspokojenie głodu. Dlatego też zwierzęta jedzą wszystko co jest jadalne i czynią to jak najszybciej. Człowiek natomiast w jedzeniu szuka przyjemności zarówno smakowych (dzięki odpowiednio rozwiniętym gruczołom) jak i estetycznych. Ze wstrętem odrzuca pożywienie pokryte szersznią lub jeszcze drgające żyłkami, albo też rozkładające się i cuchnące, względnie rojące się robakami, tym zaś co spożywa delektuje się nie spiesząc. W rezultacie, pożywienie przełknięte przez psa natychmiast niemal, w ułamku sekundy, trafia do żołądka, wówczas gdy u ludzi proces ten zabiera około 6 sekund.

Naturalnym celem aktu seksualnego jest zapłodnienie, toteż zwierzęta dokonują go tylko wtedy gdy może ono nastąpić i z reguły nie tracą nań wiele czasu; pawiany np. załatwiają wszystko dosłownie w kilka sekund. Ludzie szukają przede wszystkim rozkoszy, zapłodnienie zaś często uważają za niepożądane i nawet starają się mu zapobiec; poświęcają erotyce wiele czasu i nie znają okresów „naturalnej” wstrzemięźliwości. Fizycznie i fizjologicznie Ziemianka jest zdolna do aktu seksualnego zawsze i wszędzie, nawet wówczas gdy nosi w sobie lub karmi swe małe; jej „genetyczne kuzynki” postępują odmiennie, nawet gdyby, wyjątkowo, były akurat do aktu fizjologicznie zdolne. Pozaziemskie geny widocznie spowodowały przystosowanie ciała Ziemianki do dawania i odbierania rozkoszy w stopniu dotąd na Ziemi nieznanym.

Ukryte w szerści i prawie niedostrzegalne u jej „genetycznych kuzynek” piersi stały się jednym z zasadniczych atrybutów, dającym i odbierającym rozkosz, zarówno erotyczną jak estetyczną; podobnie jak inne harmonijne kształty i wdzięki. Odmiennie niż w całym zwierzęcym świecie, gdzie samcy rywalizują pomiędzy sobą, aby ściągnąć uwagę z reguły skromnych i szarych samek,

Ziemianki uciekały się do różnorodnych środków aby uwydatnić swe wdzięki i, oddziaływując na wszystkie zmysły, pociągnąć ku sobie partnerów. Ponieważ zachowanie się takie stawało społecznie niebezpieczne, starano się, niezbyt skutecznie, uregulować życie seksualne ludzi przepisami moralnych kodeksów oraz wprowadzeniem instytucji małżeństwa.

Stworzywszy na swój mniej więcej obraz i podobieństwo rasę ziemskich hybrydów, Gwiazdorzy wykazywali dalsze zainteresowanie losami swojej „kolonii”. Bez ich bezpośredniej pomocy nie byłoby możliwe nagłe pojawienie się w dzisiejszej Mezopotamii na 10 tys. lat przed naszą erą wysokiej cywilizacji sumeryjskiej, ani sporządzenie na podstawie szkicu wyraźnie zrobionego spopad Ziemi tzw. mapy *Piri Reis*, wskazującej zarysy Południowej Ameryki oraz Antarktyki z okresu przed jej pokryciem powłoką lodowcową; ani sporządzenie niezwykle dokładnego kalendarza Mayów, ani wzniesienie piramid egipskich oraz wielu monumentalnych budowli w innych krajach, a być może także wykonanie rysunków zwierząt w głębokich jaskiniach Hiszpanii i Francji, czy niezwykle rozwój kultury starożytnej Grecji. Być może Gwiazdorom zawdzięcza ludzkość również „wynalazek” ognia, krzesiwa, koła i dźwigni i wiele innych.

Współczesne fotografie z powietrza wykazują w różnych miejscach globu coś co mogło być lądowiskami wehikułów międzyplanetarnych, którymi przybywały większe ilości osób i na czas dłuższy. Być może przywoziły one ze sobą nieznaną dotąd na Ziemi rośliny i zwierzęta, co by rozwiązywało zagadkę flory i fauny pustynnej, których genezy współczesna nauka nie może się doszukać.

W ostatnich paru tysiącach lat lądowanie na Ziemi wielkich wehikułów międzyplanetarnych notowane nie było, co jednak, zdaniem autorów amerykańskich, nie wykluczało, że była ona z nich obserwowana i być może odwiedzana przez poszczególnych Gwiazdorów, wysyłanych z nich na krótkotrwałe wycieczki dla wywiadu i rozrywki. Gdyby odpowiadało to rzeczywistości, sprawa wiedzm średniowiecznych, rzekomo latających „na miotłach” na sabaty z demonami czy wręcz diabłami, stanęłaby w nowym świetle.

Wkroczenie ludzkości w erę atomową oraz międzyplanetarnych podróży spowodować miało wzrost zainteresowania, a może nawet pewne zaniepokojenie Gwiazdorów. Wyrazić się to miało w stosunkowo dużej ilości tzw. „Latających Spodków”, nagle zaobserwowanych nad Ziemią po 1947. Wbrew uspakajającym wnioskom raportu tzw. Komitetu Condon z 1969 roku, kwestionującym realność owych niezidentyfikowanych obiektów latających, autorzy książki nie mają wątpliwości, że są one pilotowane przez Gwiazdorów, wykazujących obok wykonywania swych zasadniczych zadań wywiadowczych również zainteresowania erotyczne. Przytaczają rzekomy wypadek uwiedzenia przez filigranową czterostopową pasażerkę jednego z „latających spodków”, o białej

skórze i skośnych oczach, brazylijskiego młodego farmera Antonio Villas Boasa, któremu, po odbyciu z nim „normalnego” stosunku płciowego, miała wyjaśnić na migi, że spłodzone w niej dziecko zostanie urodzone wśród gwiazd. Owego Antonio mieli następnie badać lekarze i psychiatry, którzy nie znaleźli podstaw do zakwestionowania prawdziwości jego zeznań. W innym wypadku latający spodek w grudniową noc 1973 roku miał usiłować porwać z jej samochodu 20-letnią Lindę Morel, mieszkankę stanu New Hampshire. Ogromnym wysiłkiem woli miała ona przemóc swój stan prawie hipnozy i w miasteczku Goffstown schronić się do domu państwa Carmel Beaudoin, którzy, jak również miejscowy policjant Daniel Jubinville, mieli wówczas widzieć krążący nad domem latający obiekt.

Zdaniem amerykańskich autorów, nie były to wypadki osobnione; przypuszczają oni, że spośród około 100.000 osób, które ostatnio nikną co roku bez śladu, pewna ilość jest porwana przez Gwiazdorów dla celów wywiadowczych, doświadczalnych lub erotycznych. Twierdzą, że odpowiednie władze mają w tej sprawie rewelacyjne materiały, których nie ogłaszają, obawiając się wzbudzenia publicznego zdenerwowania i niepokoju.

Będąc przekonani o prawdziwości zasadniczej tezy książki, jej autorzy publicznie proponują poddanie zebranych przez nich materiałów zbadaniu przez „Mózg Elektryczny” (*Computer*) w celu orzeczenia: „czy jest możliwe by ludzie byli wytworem ziemskiej tylko ewolucji?”. Dopóki to nie nastąpi, ich interesująca i raczej zabawna teoria ziemskiej kolonii hybrydów jest tylko hipotezą i stąd znak zapytania w tytule.

Wiktor SUKIENNICKI

Stanford, Kalifornia, w lipcu 1975

POST SCRIPTUM. Gdy przed kilku miesiącami pisałem tę recenzję, nie sądziłem, że dotyczy ona zagadnienia poważniejszego, niż przypuszczałem. Od lipca bowiem w zachodnich stanach Ameryki Północnej dzieją się rzeczy, które oficer policji stanu Oregon określa jako „zabawne”: „*there's something funny going on*”. Wiąże się to z działalnością nowopowstałej sekty HIM (*Human Individual Metamorphosis* — Indywidualne przekształcenie człowieka). Została ona zapoczątkowana przez parę o szklanym przykliwym wzroku hipnotyzerów, określaną początkowo jako Dwoje (*Two*). Głoszą oni, że w „światlistej chmurze, którą ludzie nazywają latającym spodkiem” przybyli z tego samego „Królestwa” co Jezus Chrystus, by wykazać że śmierć nie jest zjawiskiem nieodwracalnym. Zapowiadają, że w odpowiednim czasie zostaną zamordowani, po czym, po trzech i pół dniach „zmartwychwstaną” by wrócić tym samym środkiem lokomocji tam skąd przybyli. Obiecują, że wówczas zabiorą ze sobą tych co będą chcieli i okażą się tego godni, wyrzekając się wszystkiego co ziemskie i osiągając wyższy stopień doskonałości. Ewentualni kandydaci mają zerwać ze swym dotychczasowym życiem i, zabierając do samochodów

tylko sprzęt kampingowy, rozpocząć okres „próby”, oraz stosując się do otrzymywanych wskazówek, oczekiwać momentu ewentualnego startu.

Gdy w połowie września około 20 mieszkańców miasteczka Newport w stanie Oregon formalnie przekazało swym przyjaciołom cały swój, niekiedy znaczny, majątek, a w niektórych wypadkach także opiekę nad nieletnimi dziećmi, i zapowiedziało, że wyjeżdżają „na zawsze”, sprawa nabrała rozgłosu i zajęła się nią prasa, z tygodnikiem *Time* z datą 20 października łącznie, radio i telewizja. Wyjaśniło się, że „Dwojgiem” są niejacy Marshall i Herff Applewhite oraz Bonnie Lu Trusdale Nettles, w wieku powyżej 40 lat, i że karawany ich zwolenników czy „wyznawców” zbierają się w różnych miejscowościach, ciągnąc ku wschodowi. Miejsce docelowe, ani tryb życia w karawanach dotąd wyjaśnione nie zostały, od kilku jednak „kandydatów” nadeszły karty pocztowe, że mają się dobrze i są szczęśliwi. Ponieważ HIM powstał zgodnie z przepisami amerykańskiego prawa i nikt dotąd nie zgłosił żadnej skargi, władze zajmują stanowisko wyczekujące, natomiast rozgłos nadany sprawie przez prasę i radio spowodował, że wyznaczone na 7 października w 300-tysięcznym San Jose w Kalifornii zebranie odwołano w obawie, aby Dwoje nie zostali zamordowani „przed czasem”. Zamiast zebrania jedna z miejscowych rozgłośni radiowych w niedzielę 19 października nadała nagrany na taśmę wywiad z nimi, który wywołał ożywione komentarze i mieszaną reakcję, głównie z powodu wzorowanego na Biblii języka wywiadu.

W. S.

21 października 1975

Krajowe nowości wydawnicze

opracowała

MARIA DANILEWICZ ZIELIŃSKA

LITERATURA PIĘKNA (UTWORY POWIEŚCIOWE)

KUNCEWICZOWA, Maria: *Natura*. Warszawa, 1975, Instytut Wydawniczy PAX, 80, str. 247 (1).

Nowy tom zbeletryzowanej autobiografii Kuncewiczowej opiera się na dwu fundamentach: 1) powtórzeń („Znacie, no to posłuchajcie”), 2) sypianiu nazwiskami („Kogo ja nie znałam!”).

„Fantomy” miały być według zamierzenia autorki „opisem rozlicznych

mieszkań-namiatów, po drodze do miejsca gdzie się umrze u siebie we własnych ścianach, na własnej ziemi". Zamierzenie to rozchwiało się w wykonaniu i zmieniło w „podwójny autoportret: twarz patrzy na widza a w tle majaczy profil odwrócony w stronę ludzi i spraw minionych”.

„Natura” jest przedsięwzięciem ambitniejszym. Ma wyjaśnić „ pewne cechy natury” autorki i „natury w ogóle”. Pierwsze z tych zadań udało się w pełni. „Pewne cechy natury” autorki, a więc wdzięk i wrażliwość, minoderia, tzw. kobiecość występują tu wyraźnie w oparciu o liczne przykłady jej „głębokich” przeżyć. W większości są to niemal powtórzenia znanych już z poprzednich utworów rozważań i sytuacji. Wzmocnieniu uległy rozumowania, którymi autorka usiłuje wytłumaczyć różnicę między lansowanym w roku 1949 apelem do ONZ w sprawie przyznania uchodźcom obywatelstwa światowego („Republiki globu”?) a obywatelstwem amerykańskim. Nieszczęśliwy traf sprawił, że w wygnańczych tobołkach Kuncewiczowej znalazł się plik listów, dotyczących tego apelu z odmownymi lub grzecznościowo aprobującymi pomysł listami wybitnych pisarzy, molestowanych przez autorkę „Fantomów”. Przedrukowanie ich powiększyło rozmiary „Natury” o kilka stron, naruszając koncepcję całości.

Gdy nie udało się uzyskać obywatelstwa światowego — paszport amerykański narzucił się jako *second best*. Pomogło to, nazywając rzeczy po imieniu, wrócić do ukochanego Kazimierza, w którym — jakby to była rzecz zwyczajna — odzyskała dom, obrastający obecnie legendą typu Harendy. Kuncewiczowa tłumaczy czytelnikowi krajowemu, iż ma dwie ojczyzny: „wewnętrzna” i „zewnątrzną”. Pierwsza z nich jest pakowna i kosmopolityczna. Mieści się w niej wszystko, co piękne, łatwe i wygodne. W jej języku oznacza to „przystosowanie się do natury”. Broń Boże, nie oportunizm! Co za brzydkie słowo! W tej *patrie intérieure* nie ma miejsca na kłopotliwe wspomnienia. Wypadli z niej przyjaciele i znajomi, którzy nie poszli jej śladem i nie zdecydowali się na podpisywanie kontraktów z wydawnictwami krajowymi za cenę ograniczenia wolności słowa i zgody na cenzurę „wewnętrzną” i „zewnątrzną”. Ojczyzna „zewnątrzną” — to „dzisiejszy dzień nowego kraju” i jego swoisty *savoir-vivre*.

Mimoходом wspomniane są w „Naturze” kłopotliwe epizody kariery emigracyjnej Kuncewiczowej. Jednym z nich jest sprawa Centrum PEN Klubu dla Pisarzy Wygnańców, stworzonego przy czynnym udziale autorki „Natury”. W roku 1955, gdy wyjeżdżała z Anglii do Stanów Zjednoczonych „zrobiono ją zaocznie prezesem honorowym nowego Centrum” a przedtem na uroczystym obiedzie pożegnającym wręczono jej zegar pamiątkowy. Wkrótce potem, gdy pogodziła się z PRL'em, zdarzyło się, że — skasowano godność prezesa honorowego, pozbawiając Kuncewiczową w delikatny sposób owego emigracyjnego wyróżnienia, przyznanego jej nie tylko przez rodaków ale i przedstawicieli literatur emigracyjnych wielu innych krajów: Węgry, Czechy, Łotyszów itd. Po minionych zaszczytach pozostał zegar, liczący upływ czasu, pamiątka raczej kłopotliwa dla wiecznie młodej damy.

Emigracja — dowodzi Kuncewiczowa — straciła dla niej sens, gdy zyskała w Kraju „wolność wypowiedzi”. Jeśli nawet tak, co między bajki włożyć, był to przywilej przyznany *ad personam*. Z tym jednak momentem dawni towarzysze „wygnania”, z którymi zakładała międzynarodowe centrum, zamienili się „w maniaków, broniących za wszelką cenę raz powziętej postawy bez uwagi na zmiany w świecie swoim i obcym”. Czytaj: „nie potrafili się przystosować do natury”. Co za wspaniały eufemizm!

Kuncewiczowa nie wyklucza istnienia wygnańców „ideowców”. Większość to jednak wygnańcy „zawodowi”, którzy robią karierę” ze swego upodobańca (sic!), a ludzie „dążących do normalizacji życia” — tj. podobnych do niej — „piętnują jako oportunistów”. Cóż robić, tak się to właśnie na-

zywa! Wśród emigrantów *bona fide*, bo są w jej klasyfikacji i tacy, rozróżnia „misjonarzy i neurasteników”. Klasą dla siebie są próbujący stać się obywatelami świata.

Jest w „Naturze” kilka szczegółowych opisów umeblowania mieszkań autorki i przyjęć, którymi ją podejmowano. Razi przeto, że nie przekazała nam impresji z „małego domku państwa Droźniaków”. Niedosć ambasadorski, nie zasłużył na wejście do literatury.

Mistrzem Kuncewiczowej w eksploatowaniu własnego życiorysu był chyba Iwaszkiewicz. Bo i on rozwałkował na cienko fragmenty własnej biografii powracając wielokrotnie do opisów przyjacieli z Szymanowskim, wrażeń z Sy-cylii itp. — w pamiętniku, opowiadaniach i powieściach. I ona także opracowuje na różne sposoby swoje błaha problemy domowe, kompleksy matki-„cudzoziemki”, mieszkanie na placu Trzech Krzyży — i dom w Kazimierzu. Wynika stąd inny morał: należy zawczasu pomyśleć o zbudowaniu sobie pomnika. „Fantomy” nie wystarczyły. „Natura” uzupełnia i zaokrągla przeszłość.

Jak słusznie zauważył Tadeusz Katelbach w recenzji „Fantomów”, Kuncewiczowa „dopięła swego osiadając w Polsce w idealnie dobrych warunkach życiowych”. „Pewne cechy jej własnej natury” wyraźnie jej do tego pomogły. Na przykład upodobanie do czerwonego rosyjskiego kawioru (na grzance), który to specjał nasunął jej przypuszczenie, że „pewnie na Włodze tak smakuje szkarłatny i soczysty świt”. Porównanie zbydowanie niefortunne!

BIOGRAFIE

WARNEŃSKA, Monika: *Warsztat Czarodzieja*. Łódź, 1965, Wydawnictwo Łódzkie, 80, str. 381 (3).

Jest to popularna, naiwnie ujęta, próba pokazania warsztatu pisarskiego Tuwima i jego wielorakich *hobbies*. Bohater książki nazywany jest stale Czarodziejem, co naprzód bawi a po kilkunastu aplikacjach tego epitetu zdecydowanie nuży. Podobny efekt wywiera nazywanie Łodzi Kominogrodem i — niestety — większość żartów słownych Tuwima. Dane biograficzne ujawniają, co z przykrością trzeba tu stwierdzić, zasadnicze braki podstawowego wykształcenia Tuwima, który w rzeczywistości był raczej dyktantem niż erudytą (jak chce Warneńska) i raczej bibliomanem niż bibliografem czy bibliofilem. Morstin był bardzo dla niego łaskaw, gdy pisał we wspomnieniach, że „Tuwim mówił i pisał nieźle po łacinie”. Była to raczej żonglerska umiejętność operowania skromnym zasobem wycuczonych na pamięć tekstów klasycznych i poezji polsko-łacińskiej „złotego wieku”. Pisząca te słowa stykała się często z Tuwimem w Bibliotece Narodowej, której starodruki mieściły się przed wojną w Pałacu Tyszkiewiczów/Potockich na Krakowskim Przedmieściu. Królował tam Kazimierz Piekarski, nieźrównany znawca literatury staropolskiej i jego — tudzież: prof. Jana Bystronia, prof. Juliana Krzyżanowskiego, późniejszego prof. Uniw. Wrocławskiego Tadeusza Mikulskiego — pomocy zawdzięcza naukowy podkład tekstów i ich dobór antologia fraszki, „Słownik pijacki” itd. Z grzecznościowych pokwitowań rad i pomocy, jakich Tuwim nie szczędził, nie wynika jak zasadnicze znaczenie miała owa zakulisowa współpraca fachowców. Określenie Zrebowicza: „przedziwny księgozbiór Tuwima” miało równie dużo racji, jak zreczenie dobrany tytuł zbiorów osobliwości: „Cicer cum caule”. Ilekroć przedsięwziął wycieczki na pola badań historyczno-literackich ponosił porażki (jak w wypadku domniemanych wierszy Mickiewicza) albo kończył na zapowiedziach obszerniejszych opracowań, jak w wypadku Sygurda Wiśniowskiego.

Opis lat amerykańskich Tuwima obfituje w momenty tragikomiczne. Już w roku 1942 na akademii Stowarzyszenia „Polonia” w Detroit Tuwim pokazał co umie. „Nie chciałem zamieszkać w hotelu — pisze Warnieńska. — Pragnął przyjrzeć się z bliska codziennemu życiu robotnika w tym wielkim przemysłowym mieście. Spełniono jego prośbę, aby mógł przez kilka dni mieszkać u jakiejś rodziny proletariackiej: zatrzymał się wraz z żoną u robotnika fabryki samochodów, Mariana Urbanika”. Na akademii „sala była pełna... (Tuwim) był wzruszony. Kiedy zaczął recytację — a zaczął ją nie od żadnego wiersza politycznego, lecz od tej swojej słynnej „Lokomotywy” — to ludzie zupełnie zamilkli” — relacjonował po latach Franc. Guzal, zecer z Detroit. „Ja jestem łódzkie dziecko, z wielkiego fabrycznego miasta Łodzi” — mówił dalej Kiepusza, nie! Tuwim — „uformowałem się i wzrosłem w atmosferze proletariatu polskiego” — wyznawał dalej, żwawo dostosowując się do zarysowującej się na horyzoncie sytuacji.

Rewelacje tego typu, naiwnie podkreślane przez autorkę książki, ukazują oczywiste słabości charakteru Tuwima. Nie przekreślają, oczywiście, artystycznych walorów jego wierszy. Lepiej jednak smakować je bez znajomości biografii „Czarodzieja”.

NAŁKOWSKA, Zofia: *Dzienniki*. I: 1899-1905. Opracowanie, wstęp i komentarz: Hanna Kirchner. Warszawa, 1975, Czytelnik, str. 442, 1, 31 ilustr.

Racją dostateczną wydania dzienników Nałkowskiej z wczesnej młodości jest to, że stanowią one początek gigantycznego przedsięwzięcia zamkniętego w 67 zeszytach systematycznych zapisków. Gdyby nie świadomość, że dalszymi ogniwami są fragmenty dotyczące Irzykowskiego, Brzozowskiego czy „Dzienniki czasu wojny” (trzy wydania!), można by, wzorem Pawła Hertza, postawić znak zapytania, czy warto było: 1° wydawać je, 2° trząść się nad odmianami tekstu i odtwarzać zyciorysy przygodnie wspomnianych osób. Skoro jednak wydany obecnie tom rozpoczyna kompletne wydanie, firmowane w dodatku przez IBL, trudno protestować przeciw naukowemu poziomowi opracowania.

„Kunszt pisarski tych pierwocin budzić musi zdumienie” — pisze w przedmowie Hanna Kirchner. Czyżby? Nie łatwo jest dopatrzeć się „talentu zaskakującego dojrzałego” w tym wodolejstwie i małpowaniu najgorszych wzorów epoki, szczególnie bogatej w popisy grafomaństwa.

To że 14-letnia pensjonarka i pierwsza uczenica pisała wiersze, budzące podziw koleżanek i rodziny da się zrozumieć i wytłumaczyć. Nie do pojęcia jest jednak, że redakcje pism klasy *Przeglądu Tygodniowego* drukowały takie np. „Wspomnienie”, rozpoczynające się i kończące jak następuje:

*Pamiętam letnią noc... W olszowym ciemnym gaju
Leżałam w trawie mem westchnieniem tylko drżącej.*

*Cudnej harmonii czar przenikał leśne gusze —
I ciszę zmieniał w psalm na bóstwa cześć leśnego...*

*Ale harmonia ta — w mą łałą smutek duszę,
Bo w cichej nocy tej — nie było — jego — jego...*

Sytuacja istotnie smutna. Aby tragizm jej osłabić młoda Nałkowska wymyśliła teorię „niewolnictwa lili”. W siedemnastym roku życia stwierdziła, „iż dzikim przerażeniem napełnia [ją] samo przypuszczenie, że mogłaby się oddać nie [swojemu] mężowi — i postanawia w dniu ślubu być niewinną”. W osobliwy sposób godzi to z oświadczeniem, że „zaczynać historię miłości

od małżeństwa jest bezsens, bo małżeństwo ma rację bytu jedynie jako odpoczynek po naprężonej, pełnej miłości, swobody życia młodości”. Precyzując rzecz ściślej postanawia że „wyjdzie za mąż z zamiarem rozvodu za dwa lub trzy lata” i że uczyni to, jak tylko się jej „kto zdarzy”.

Dzienniki roją się od pochwał samej siebie. Gdy Leon Rygiel, jako narzeczony, nazywa ją „sliczną” i „cudną” Nałkowska ma na serio za złe, że nie „piękną” i że, choć „uważa [ją] za najmądrzejszą z kobiet, jakie znał, za wyjątkową, oryginalną — ale mówi o tym rzadko i bez przejęcia”.

„Najmądrzejsza z kobiet” na rok przed tym zakończyła edukację na szóstej klasie pensji żeńskiej i odtąd, przez całe życie i twórczość, jak za Żeromskim czy Reymontem, wlec się za nią będzie tragicznie, arcywłoskie niedokształcenie, uzupełniane chaotyczną lekturą i zmysłem obserwacji. Nałkowska nie zdaje sobie z tego sprawy: czego się nie tknie — robi lepiej niż inni. Jest nie tylko piękna i mądra, ale wszechstronnie utalentowana — do rysunków, rzeźby, muzyki, tańca itd.

Przebrnięcie przez 400 stron jest trudną próbą cierpliwości. Opłaca ją jednak spotkanie takiego np. *credo* autorki „Dzienników”:

„Wszystko, co spotyka mię w życiu, rozpatruję *literacko*; mam specjalną formę przyjmowania wrażeń, specjalną formę marzeń i wspomnień, w ogóle myśli — formę, że tak powiem, epiczną. Siebie przedstawiam sobie zawsze w trzeciej osobie, akcję — w czasie przeszłym, uczucia w formie wyrazów twarzy, póz i gestów, marzenia — w formie czegoś, co się już stało i jest opowiadane. Najdrobniejszy epizod w mym życiu przyjmuje w mym umyśle formę nowelki, jakiś nowo spotkany typ człowieka jest moim bohaterem powieści, czyjeś trafne lub charakterystyczne wyrażenie — mottem do jakiegoś utworu. W mym życiu nie ma bezpośredniości wrażeń” (str. 195).

Co więcej, już wtedy, w roku 1902, pisze dziennik z „niejasną chęcią”, by „dla ludzi pozostać żyjącą jeszcze po śmierci”. „Gwałtem chcę, by to było moje życie zatrzymane, skostniałe w zesputym kształcie, by to było całe moje życie”. I to niewątpliwie osiągnęła.

W przesadnie dokładnych przypisach wydarzyła się nieścisłość dotycząca ex-księdza Teofila Kowalskiego (str. 178). Hanna Kirchner identyfikuje go, jak się wydaje, z „biskupem” mariawickim, Janem. Teofil, entuzjasta i znawca śpiewów gregoriańskich, po zrzuconiu sutanny, ukończył medycynę i praktykował ze zmiennym powodzeniem w miasteczkach prowincjonalnych.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Biblia otwarta

W niedzielę 16 listopada 1975 w paryskiej Notre-Dame miało miejsce wydarzenie, które zaważy w sposób istotny na przyszłej działalności Kościołów chrześcijańskich francuskiego obszaru językowego. W tym dniu odbyła się oficjalna prezentacja przekładu Biblii na język francuski, uznanego za wspólny tekst (*traduction œcuménique de la Bible*, w skrócie TOB) przez wszystkie wyznania chrześcijańskie. Jest to pierwsze dokonanie tego rodzaju w historii podzielonych Kościołów. W uroczystości wzięli

udział: kardynał Marty (do niedawna przewodniczący Episkopatu Francji), Jean Courvoisier (przewodniczący francuskiej Federacji Protestantckiej) oraz metropolita Meletios (egzarcha Patriarchatu Ekumenicznego). Na czym polega waga tego wydarzenia?

Chrześcijaństwo, jak zresztą judaizm, jest religią Księgi. Słowo „biblia” znaczy po prostu książka. Chrześcijaństwo stoi lub upada z Biblią; to, co zostało w niej zapisane, uważa się za niepodważalne, ponieważ „objawione”. Wedle tego przekonania nie tyle człowiek jest zdolny wznieść się ku Bogu, ile Bóg zstępuje ku człowiekowi objawiając mu swoje Słowo. „Słowo stało się ciałem i zamieszkało wśród nas” — napisze Jan Apostoł (J 1, 14). Taka postawa wyznacza radykalną różnicę pomiędzy judeo-chrześcijaństwem a wszystkimi religiami, zwanymi słusznie „naturalnymi”, czyli usiłującymi wspiąć się od „dołu” ku „górze”, od „natury” do „Absolutu”.

Otóż, jak celnie zauważył teolog prawosławny Ewdokimow, „chrześcijan łączy Biblia *zamknięta*; Biblia otwarta ich *dzieli*”. Dlaczego? Trzeba uświadomić sobie parę elementarnych spraw związanych z Pismem.

Po pierwsze, tekst Biblii formował się na przestrzeni prawie półtora tysiąca lat — nie biorąc pod uwagę wcześniejszej tradycji ustnej, tak zakorzenionej wśród ludów zamieszkujących tereny dzisiejszego Bliskiego Wschodu. Poszczególne części Biblii, spisywane po hebrajsku, aramejsku i grecku, powstawały od XIII wieku przed Chrystusem (najstarsze partie Pięcioksięgu) do I wieku po Chrystusie (Apokalipsa, Listy Jana). Tekst Biblii nie może więc być jednolity. Zbadanie dziejów narastania Pisma przez tak rozległy okres czasu oraz nawarstwiania się poszczególnych sensów znaczeniowych w zależności od kolejnych kontekstów historycznych, jest rzeczą niezwykle skomplikowaną.

Dalej, nie posiadamy żadnego pierwotnego tekstu Pisma. Odpisów było prawdopodobnie niewiele i wszystkie zaginęły. To, co mamy do dyspozycji, to tak zwane „kodeksy”, z których najstarszy pochodzi z IV wieku po Chrystusie. Przez termin „kodeks” należy tu rozumieć spisany tekst Biblii — od początku do IX wieku włącznie. Ale wśród „kodeksów” istnieją poważne różnice. Biblista musi ustalić na podstawie krytyki tekstu, jaką wersję należy uznać za „oryginalną”, to znaczy najbardziej zbliżoną do pierwotnego źródła. Na ten temat toczą się ustawiczne spory, istnieją różne szkoły, uczeni spędzają życie nad rozjaśnieniem paru zdań etc.

Po trzecie, każdy Kościół wytworzył własną tradycję — przyjmując jedną wersję a odrzucając inną. Tak na przykład tekstem oficjalnym Kościoła katolickiego była do niedawna tak zwana „Wulgata”, czyli przekład łaciński pochodzący z IV wieku. Dziś jest rzeczą wiadomą, ile nieścisłości, opuszczeń (dodatków) posiada ten przekład.

Wreszcie, od początku XX wieku rozwinęły się ogromnie badania biblijne. Bibliistyka prosperuje dzisiaj znakomicie jako najlepsza gałąź teologiczna. Ma się rozumieć, studia nad Biblią

podały w wątpliwość liczne jej miejsca, tradycyjnie uznawane za autentyczne.

To tylko pobieżny przegląd problemów, jakie stały przed biblistami francuskimi w wysiłku ustalenia wspólnego przekładu. Prace trwały 8 lat: w roku 1967 ukazał się symbolicznie „List do Rzymian” (jak wiadomo, kamień obrazy między katolikami i protestantami; teologiczna interpretacja Listu dokonana przez Lutra stała się początkiem rozłamu). Następnie cały Nowy Testament (1972), wreszcie cała Biblia (1975).

Praca toczyła się zespołowo (64 najwybitniejszych biblistów) i przy użyciu najbardziej nowoczesnych urządzeń technicznych (komputerów). Regułą gry była ścisłość naukowa i równorzędność trzech ekip: katolickiej, protestanckiej i prawosławnej. Konsultowano biblistów żydowskich. „Niewątpliwie — piszą autorzy przedsięwzięcia — tłumaczenie ekumeniczne nie jest ani najlepsze, ani bardziej ostateczne niż większość przekładów współczesnych. Ale jest ono *jedyne* z samego faktu, że jest w całości wspólne oraz uznane za prawomocne przez różne Kościoły. Jest to na razie *jedyny wspólny tekst*, z którego mogą korzystać podzieleni chrześcijanie”.

Z oczywistością, zamysł tłumaczy był również pastoralny: chodziło o to, by chrześcijanie (może w następnym etapie również Żydzi), wyznawcy tej samej Księgi, pochylił się wspólnie nad Biblią otwartą.

J. S.

Ta zwykłość

Na okładce duża ryba połyka małą rybę. Brzydka i nietrafna dosłowność. W środku:

„On, pan X, szedł blisko mnie, chwilami nawet ocierając się o mnie ramieniem, pozbawiony swojej osłony, bezbranny, miękki jak wyjęty ze skorupy ślimak. Podczas gdy ja miałem na sobie lekki, cienki jak rybia łuska, ale doskonale odbijający wszystkie uderzenia i ciosy stalowy pancerz” (str. 9).

Zacytowałam żeby dać próbkę stylu Filipowicza: upartą staroświeckość, elegancję, minimalizm. W ten sposób, w tej konwencji, nie można pisać lepiej i klarowniej. Może dlatego chwilami odnosi się wrażenie że to pastisz. Lub nawet autoparodia.

Od wielu lat towarzyszę autorowi lekturą i recenzjami. W paru usiłowałam go nawet namówić do większej osobistości stylu. Nie do pierwszej osoby narracji, bo Filipowicz często pisze w pierwszej osobie. Ale robi to po to, żeby się zniwelować. Roztopić w bohaterach.

Usiłowałam go namówić do subiektywizmu, zamiast obiekty-

wizmu maskowanego pierwszą osobą. Teraz wiem, że była to krótkowzroczność i nietakt.

Filipowicz pisze przypowieści. Opatruje je retorycznymi pytaniami, na które daje oczekiwane przez czytelnika — a przez siebie od początku sugerowane — odpowiedzi. W opowiadaniu „Miejsce i chwila” człowiek spieszy do własnej śmierci. Po drodze obserwuje:

„Najspokojniejsze twarze mieli ci młodzi długowłosi i ekscentryczni. Wbrew pozorom wydawali się najlepiej przystosowani do współczesności, do tempa życia i pośpiechu. Nie przejmowali się niczym, byli opanowani i doskonale spokojni, przy tym uważni i spostrzegawczy. Wydawało się że są powolni, ale w rzeczywistości mieli błyskawiczny refleks” (str. 17).

Krumholc postanowił nadrobić pięciominutowe spóźnienie: wyskoczył z tramwaju, wpadł pod ciężarówkę. Oto co czuł umierając:

„Zdażył sobie nawet jeszcze wyobrazić, że przez to fatalne miejsce na jezdni, które on przebiegał, przejechał ten sam wielki ciężki samochód — ale sekundę wcześniej lub sekundę później. A on, Władysław Krumholc, uniknąwszy spotkania z tą górą żelaza i kamieni, siedzi teraz przy biurku i rozkłada wyjęte z teczek papiery. Jest jeszcze trochę zdyszany i czuje drżenie rąk, ale ma już poczucie spokoju i bezpieczeństwa” (str. 20).

Filipowicz jest banalny przez oczywistość i prawdziwość swoich spostrzeżeń. Uparty w banalności. Demokracja: nigdy nie używa sobie większej głębi niż swoim bohaterem. Spłaszczeni, bez blasku, podejrzani w swojej zwyczajności istnieją nie po to, aby nas oczarować, ale po to, abyśmy się wraz z nimi roztopili w pospolitości. W opowiadaniach Filipowicza panuje kolor szary. Jego ludzie w powszedni dzień idą w stronę losu: własną ponurą zwykłość. Często w śmierć. Czasem z pracy do domu. We wnętrzu mają to co na wierzchu. Są w normie.

Czasem bywa inaczej.

Inaczej bywa najczęściej w opowiadaniach rybackich, które w ostatnich zbiorach Filipowicza funkcjonują jak niedziele w egzystencji na wskroś urzędniczej. Opowiadają o duszy i to o duszy męskiej. „Dzień wielkiej ryby, czyli o nienasyceniu”:

„Dopiero kiedy szczupak znalazł się daleko od wody, kiedy dysząc ciężko leżał na zielonej przerośniętej macierzanką i rozchodnikiem trawie — dopiero wtedy otaczający to zdarzenie świat zaczął się na nowo stawać. [...] Świat widzialny wracał do swoich granic, a opustoszały krajobraz napełniał się tym, co w nim przedtem było (str. 31).

Filipowicz, skromny kronikarz przeżyć wspólnych wszystkim, nigdy nie udaje, że opowiadanie samo się pisze, ani też z procesu pisania nie robi bohatera. Poza starym psychologizmem nie tknęła go żadna z nowszych szkół prozy. I tak jest dobrze, skoro on sam nie chce, żeby było inaczej. Jego wiedza o ludziach jest

1. Kornel Filipowicz, *Gdy przychodzi silniejszy*, Kraków, 1974, str. 122.

ogromna i niepodważalna. Niepodważalna przez swoją oczywistość, sprawdzalność. Ale oczywistości chętnie lubią kłamać. Filipowicz nigdy nie napisał kłamliwego zdania. Jego ludźmi rządzi przeraźliwy — i prawdziwy — porządek przyczyn i skutków. Są natychmiast rozpoznawalni.

Ale czasem opowiada historię wielkich ryb, tych, które nie dały się złapać, i teraz — chytre bo doświadczone — ukrywają się w ciemnych głębiach. Czy widział ktoś rybę, która umarła ze starości?

„Czy można powiedzieć że ryby rosną w nieskończoność? Jaki może być największy szczupak? Dwudziestopięciokilowy? Nie złowiliśmy co prawda nigdy takiego, ale widzieliśmy. A więc zapewne może istnieć dwudziestoseściokilowy” (str. 33).

Łowienie jest hazardem. Milczeniem. Odpoczynkiem od codzienności. Od kobiet. Łowienie tworzy mężczyznę i jego odrębność. I Jan zasypiając, myśli o złowieniu jeszcze większej ryby.

Potem wracamy na ziemię, w mały polski realizm. Oto „Imieniny” — obrazek z księdzem, zakąską i byłymi partyzantami, którzy ryczą: „My ze spalonych wsi”. Rozpaczliwy kac, strach, a potem wiadomość o awansie w pracy. Niepotrzebna okazała się udręka na temat głośnego chwalenia Piłsudskiego i ponure refleksje zanim urwał się film:

„Słyszę jakieś śmiechy, syn gospodarzy puścił magnetofon, parę osób tańczy. Do diabła! Do diabła! Ten gówniarz z długimi włosami i obrzmiałą błądą twarzą mógł przecież nagrać wszystko co mówiłem” (str. 42).

W poniedziałek wszystko wraca do normy. Skończył się katzenjammer — święto małej konformistycznej duszy. „Bolesne miejsce w moim mózgu” — pisze Filipowicz — „zagoiło się”.

Jest w nim sporo złośliwości i jadu, które do tej pory umykały mojej uwadze. Może dlatego, że zaśnania je niepodważalna uczciwość, ostry podział na dobro i zło, odróżnienia w rodzaju: delikatność — brak charakteru. Filipowicz portretuje ludzi, których świetnie znamy z sąsiedztwa, albo przynajmniej przypuszczamy, że tacy właśnie są nasi sąsiedzi. Dopóki nas nie dotkną swoją odmiennością. Bohaterem opowiadania „Mój przyjaciel korzenioplastyk” jest pretensjonalny głupiec, inżynier zakochany w sztuce, który z korzeni drzew tworzy rzeźby, zarazem symbole i przedmioty użytku. Filipowicz nienawidzi go. Brzydzi się inżynierem i jego korzeniami. Bardzo to odświeżające znaleźć u pisarza moralisty, że porządek estetyczny góruje nad etycznym. Oto opis świecznika, który narrator otrzymuje w prezencie od inżyniera:

„Pod względem genetycznym rzecz należała do generacji potworów, które rodzą się ze skrzyżowania rzeczywistości z prymitywizmem. Podobne monstra bywają też niekiedy dziełem więźniów skazanych na dożywocie lub istot nieuleczalnie chorych umysłowo” (str. 57).

Niemniej złośliwości w „Pięknym życiu Natana Ruffa”, gdzie powracają postaci z politycznych opowiadań Filipowicza: „Światopoglądu” i „Domu spokojnej starości”. Pisarz, wielki przyjaciel Żydów, gotuje swojemu bohaterowi Omulskiemu niemiłą śmierć. Każę antysemitę dogorywać obok starego Żyda. Mściwie dubluje koszmar: majaczący Natan najpierw długo przeklina, potem długo wychwala swoje żydowskie życie.

W opowiadaniach Filipowicza pali się „sporty”, zjada okazyjnie kotlety, żyje się życiem naprawdę polskim. W miniaturowym opowiadaniu „Prawo łaski” pisarz jest młodym mordercą skazanym na karę śmierci, nosi włoskie buty na podwyższonym obcasie. Dyżurujący milicjant uważnie przygląda się tym butom. Filipowicz bezbłędnie zauważa charakterystyczne detale i coraz bardziej zagłębia się w środowiskowy realizm: w świat urzędników, przestępców, młodych wątkoni skorych do zabójstwa, zgorzkniałych starców. Rozumie wszystkich, we wszystkich potrafi się wcielić. Jeśli nawet oznacza to brak wyobraźni, to w każdym razie nie brak wyobraźni moralnej. Oto jak kończy się „Prawo łaski”:

„On nie żyje, trudno, stało się. Ale dlaczego ja mam też nie żyć. Ten co go zabiłem już nie żyje i nie potrzebuje niczego, ale ja co żyję mnie się należy prawo łaski, bo ja chcę żyć” (str. 105).

Odchodzenie od siebie, wnikanie w innych, roztapianie się w socjologii. Aby na krótką chwilę znów powrócić do źródeł, bo źródła Filipowicza są — jednak! — osobiste i psychologiczne. I choć formalnie niewiele na to wskazuje, jedynym jego bohaterem jest Jan. Jan — a nie kolaborant z „Pamiętnika antybohatera”, nie Nietzsche z „Ogrodu pana Nietzsche”, nie dziewczyna z „Romansu prowincjonalnego” (choć już bliżej, a jeszcze bliżej żołnierz z „Jeńca i dziewczyny”), nie kobieta z „Męczyzny jak dziecko”. Jan z opowiadań rybackich, Jan z tomu „Krajobraz niewzruszony”. I ów tytułowy krajobraz. To co zostaje kiedy odchodzi człowiek. Co jest bytem dla siebie. Samoistnym i niewzruszonym. Samotnym. Ale Jana i krajobrazów udziela Filipowicz czytelnikom i sobie coraz rzadziej, coraz niechętniej.

Chodzi mi o to, że nie można bezkarnie być każdym. To znaczy formalnie można, jeśli się zna geografię społeczną i ludzką tak, jak ją zna Filipowicz. Ale to wszystko odbywa się chyba — chyba powtarzam, bo na pewno nie wiem — jakimś sporym kosztem. Wyrzeczeniem. Od realizmów środowiskowych trzeba czasem odechnąć. Filipowicz pozwala sobie tylko na krótkie odpoczniki „w dziecku”. Opowiada o sobie i ojcu, o rodzinnej posrebrzanej chochli. O starej matce. O nieżyjącej babce. Opowiada z humorem i melancholią o pierwszych lekcjach tolerancji od ojca, o nostalgii za tymi co odeszli. Starzy, urodziwi, kochający i dobrzy.

Pana Kornela Filipowicza najserdeczniej pozdrawiam,

Janina KATZ-HEWETSON

Nadesłane nowości wydawnicze

- Listy Pasterskie Episkopatu Polski 1945-1974.* Str. 846 i 2 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż, 1975).
- BRANDSTAETTER (Roman). *Krąg biblijny.* Str. 166 i 2 nlb. (Wyd. Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa, 1975; cena zł. 35).
- CZERNIAWSKI (Adam). *Akt.* Opracował Józef Zenon Tynicki zgodnie z paragrafami małego kodeksu karnego i cenzury wewnętrznej. Str. 61 i 3 nlb. (Wyd. Oficyny Poetów i Malarzy, Londyn, 1975).
- MAREK (Zdzisław). *Znad rzeki Styx. Poezje.* Str. 37 i 3 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1975).
- PASZKOWSKI (Czesław). *Kaptur i korona.* Tragedia w sześciu aktach. Str. 78 i 2 nlb. (Wyd. nakładem Autora, Londyn, 1975).
- GROT (Tomasz). *Lipiec.* Str. 138 i 6 nlb. (Wyd. Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas”, Londyn, 1975).
- Piąty Kongres Polskiego Stronnictwa Ludowego, Londyn 3-4. V. 1975.* Referaty — przemówienie — uchwały — władze naczelne. Str. 72. (Wyd. Jutro Polski, Londyn, 1975).
- DRZEWIENIECKI (W.M.). *Mobilizacja marcowa, 1939, widziana oczyma dowódcy kompanii 84-go pułku Strzelców Poleskich.* Str. 104-124. (Odbitka fotograficzna z nr 32-go Zeszytów Historycznych, Paryż, 1975 r., wyd. Instytut Literacki, wykonana przez The Polish Cultural Foundation, Buffalo, N.Y.).
- Panorama kaszubsko-pomorska.* Str. 40. (Wyd. pod patronatem Związku Polskich Ziemi Zachodnich, Gryf Publ. Ltd., Londyn, 1975).
- CHABROWSKI (Tadeusz). *Wiersze.* Str. 35 i 5 nlb. (Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1975; cena zł. 10).
- ZORKORT (Aleksander). 3 × 44. *Wiersze pisane w latach 1965-69.* Str. 68. (Wyd. Jedność, Sztokholm, 1975; cena Dol. 3).
- MROŻEK (Sławomir). *Les Emigrés.* Théâtre. Str. 118 i 10 nlb. (Wyd. Ed. Albin Michel, Paris, 1975).
- RUDNICKI (Adolf). *Le matin d'une coexistence.* Nowele w tłumaczeniu Edith Birau, Gilberte Crépy, Jean-Yves Erhel, Simon Laks, Yolande Lamy-Grum, Anna Posner et Joanna Ritt. Str. 106 i 8 nlb. (Wyd. Gallimard, Paris, 1975).
- DABROWSKI (Richard, Dr.) *La dépression dite nerveuse. Un médecin répond à vos questions.* Str. 257 i 7 nlb. (Wyd. Robert Laffont, Paris, 1975).
- ZIELIŃSKI (Adam). *Répercussions littéraires portugaises des luttes pour l'indépendance de la Pologne au XIX^e siècle.* Str. 9-67. (Nadbitka z XIX Antemurale, Rzym 1975, wyd. Institutum Historicum Polonicum).
- Bulletin du Centre International des Syndicalistes en Exil. La vie sociale et culturelle en Tchécoslovaquie „normalisée” vue par un écrivain frappé d'interdiction de publier.* Lettre de Vaclav Havel à Gustav Husak, du 8. 4. 1975. Str. 32 (powielacz). (Paris, 1975).
- Revue d'études comparatives Est-Ouest.* Revue de l'Est. Vol. VI, N° 2, Juin 1975. Numer zawiera m.in. artykuły Mariana L. Piotrowskiego, Stanisława Ehrlicha, Anny Darskiej i Georges Mond'a. (Wyd. Editions du Central National de la Recherche Scientifique, Paris, 1975).

- KOLAKOWSKI (Leszek). *Husserl and the Search for Certitude*. Str. 85 i 1 nlb. (Wyd. Yale University Press, New Haven, Conn. and London, 1975).
- HALICZ (Emanuel). *Partisan Warfare in 19th Century Poland: The Development of a Concept*. Tłumaczenie z polskiego Jane Fraser. Str. 220. (Wyd. Odense University Press, Odense, 1975; cena Dan.kr. 70,00).
- SZYMANSKI (Leszek). *Living with the Weird Mob*. Str. 177 i 1 nlb. (Wyd. Trident International Book Publishers, Los Angeles, Cal., 1975).
- ROMANOWICZ (B. A.). *On the Tesseral-Harmonics Resonance. Problem in Artificial-Satellite Theory*. Str. 47, A-1-A-4 i 1 nlb. (Wyd. Smithsonian Astrophysical Observatory, Special Report 365, Cambridge, Mass., March 1975).
- Women's Voices from Soviet Labor Camps*. Tłumaczenie Lesya Jones. Str. 12. (Wyd. Smolokyp Samvydav Series, No 1, Baltimore, Md., 1975).
- An Interview with Political Prisoners in a Soviet Perm Camp*. Tłumaczenie Taras Drozd. Str. 30 i 2 nlb. (Wyd. Smolokyp Samvydav Series, No 2, Baltimore, Md., 1975).
- MŁOSZ (Czesław) *Bronisława Ostrowska and Miguel Manara*. Str. 293-306. (Nadbitka ze zbioru „For Wiktor Weintraub”, 1975).
- MŁOSZ (Czesław). *Dostoevsky and Swedenborg*. Str. 303-318. (Nadbitka z *Slavic Review*, American Quarterly of Soviet and East European Studies, Vol. 34 No. 2 June 1975).
- MŁOSZ (Czesław). *On Modern Russian Literature and the West*. Str. 171-175. (Nadbitka z *California Slavic Studies*, Volume VI, University of California Press, Berkeley-Los Angeles-London, 1971).
- NANUASHVILI (Jan V.). *What Everyone In The Free World Should Know About Russia*. Str. 386. (Wyd. Vantage Press, New York-Washington-Hollywood, 1975; cena dol. 10,00).
- DEDECIUS (Karl). *Polnische Profile*. Str. 323 i 3 nlb. (Wyd. Suhrkamp, Frankfurt/M., 1975).
- LEWYTYKIJ (Borys). *Sowjetische Entspannungspolitik Heute*. Str. 286 i 2 nlb. (Wyd. Seewald Verlag, seria 14 — *Zeitpolitik*, Stuttgart-Dagerloch, 1976).
- LAUB (Gabriel), RAUCH (Hans-Georg). *Doppelfinten*. Str. 92 i 4 nlb. (Wyd. Rohwolt Taschenbuch Verlag, Reinbek bei Hamburg, 1975).
- LAUB (Gabriel). *Erlaubte Freiheiten Aphorismen*. Str. 103 i 1 nlb. (Wyd. Carl Hanser Verlag, München-Wien, 1975).
- Wer war Janusz Korczak*. 8 Vorträge und ein Feature. Str. 158. (Wyd. przez Erich Dauzenroth i Adolf Hempel, Giessen, 1975).
- JANIW (Wolodymyr). *Die Lage der Ukrainischen Katholischen Kirche*. Str. 16. (Wyd. Verlag Josef Habel, Regensburg, 1975).
- TKOCZ (Zygmunt). *Klassestruktur og sociale forandringer i Osteuropa*. Str. 194. (Wyd. Odense Universitetsforlag, 1975).
- Ostdeutsche Gedenktage 1976*. Str. 126 i 2 nlb. (Wyd. Bund der Vertriebenen, Bonn, 1975).
- Kirche und staatliche Bildungsreform in Polen*. Str. 110 i 2 nlb. (*Dokumentation Ostmitteleuropa*, Wissenschaftlicher Dienst für Ostmitteleuropa. Neue Folge. Jahrgang 1 (25), Juni 1975, Heft 2/3; wyd. J. G. Herder Institut, Marburg an der Lahn).
- Historiska och litteraturhistoriska Studier* 50. Nr 467. Dodatek: *Årsberättelse for 1974* (str. 29). Str. 349 i 1 nlb. (Wyd. Svenska Litteratursällskapet i Finland, Helsinki, 1975).
- LENGYEL (Jozsef). *Licom k licu*. Przekład z węgierskiego. Str. 197 i 3 nlb. (Wyd. Overseas Publications Interchange Ltd., London, 1975).

- Momenta Ukrainae Historica*. Tom XII, vol. (1660-1701). Supplementum. Zebrał Metropolita Andreas Szeptyckij. Str. 652. (Wyd. Editiones Universitatis Catholicae Ucrainorum S. Clementis Papae, Rzym, 1975).
- Switylnyk Istyny*. The Historical sources of the Ukrainian Catholic Theological Academy of Lviv, I vol. 1928-1929-1944. Opr. Dr Pavlo Senyca. Str. 718 i 2 nlb. (w języku ukraińskim). (Wyd. Editiones Universitatis Catholicae Ucrainorum S. Clementis Papae, Toronto-Chicago, 1971-1972-1973).
- KARMAZYN-KAKOVSKY (V. Prof. Dr). *Mystectwo temkiwskoji cerkwy*. Str. 308. (Wyd. Editiones Universitatis Ucrainorum S. Clementis Papae, Rzym, 1975).
- ISAIV (Petro, Prof. Dr). *The Causes of the Fall of the Ukrainian State in Princely and Cossack Times*. Str. 209 i 1 nlb. (w języku ukraińskim). (Wyd. Universitatis Catholicae Ucrainorum S. Clementis Papae, Rzym, 1975).
- BYKOVSKY (Leo). *From Europe to America*. Notes of a Traveler 1946-1948. Str. 136 (powielacz — w języku ukraińskim). (Wyd. Ukrainian Oceanic Institute, Denver, Colorado, 1975).
- LICHTEN (Josif L.). *Ukraińsko-żydowski stosunki w niedawnymu mynulomu ta ich perspektywy na majbutnie*. Str. 22-34. (Nadbitka z *Ukraińskoho Samostijnika*, cz. 2 (603), Lito 1975).
- HEWKO (Denis). *Potoczyszcze*. Z buwalszczyny naszoho sęła. Str. 88. (Wyd. Potoczyszcze, Toronto, 1975).
- RADZYKEVIČ (Julian). *Łupotowi skarby*. Istoryczne opowidannia. Str. 288 i 5 nlb. (Wyd. „Dniprowa Chwyla”, Monachium, 1975).
- THOMPSON (Eva M.). *Il Folle Sacro e le sue trasformazioni nella letteratura russa*. Str. 157-181. (Nadbitka z *Strumenti Critici*, Rivista quadrimestriale di cultura e critica letteraria, No 27, Giulio Einaudi Editore, 1975).
- KARPINOWITZ (Abraham). *Bronislaw Huberman*. Genial violinista fundator de la Orquestra Filarmonica Israeli. Version castellana Isidoro Niborskai. Str. 40. (Wyd. Congreso Judío Latinoamericano, Buenos Aires, 1972).
- KARPINOWITZ (A.). *Bronislaw Huberman — A Portrait in Worlds*. Str. 70 i 2 nlb. (W języku hebrajskim). (Wyd. Amli Central Music Library, Tel-Aviv, 1973).
- LIEBERT (Antoni). *Für Elise (Beethoven)*. Eller ett sökande efter sig själv. II. Str. 150. (Wyd. Kungl. Boktryckeriet PA Norstedt & Soner, Stockholm, 1974).
- ZURAWSKI (Joseph W.). *Polish American History and Culture*. Str. 218 (vartyper). (Wyd. Polish Museum of America, Chicago, III., 1975).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

14-11-75

W Krakowie zmarł, w wieku 56 lat, Jan Rostworowski poeta. Debiutował w 1942 r. w londyńskich *Wiadomościach* i wydał w Anglii 9 tomików poetyckich. W 1972 r. wrócił do Polski.

15-11-75

Antoni Słonimski obchodził osiemdziesięciolecie urodzin. Zostało to odnotowane przez prawie całą prasę krajową i emigracyjną.

18-11-75

Bp Bronisław Dąbrowski, przewodniczący delegacji Episkopatu Polski, w skład której wchodził bp Szczepan Wesoły i ks. Alojzy Orszulik SAC, poinformował Konferencję biskupów polskich o rozmowach z października 1975 roku w Detroit z przedstawicielami Episkopatu amerykańskiego: arcybiskupem Bernardin'em przewodniczącym Konferencji Episkopatu Ameryki, kardynałem Dearden'em arcybiskupem Detroit, biskupem Abramowiczem z Chicago i biskupem Krawczakiem z Detroit na temat duszpasterstwa ośrodków polonijnych i dopływu z Polski odpowiednio przygotowanych kapłanów do pracy duszpasterskiej wśród Polonii. Omawiano także sprawę uregulowania statusu kanonicznego księży przybyłych w ciągu ostatnich kilkunastu lat z Polski do Ameryki. Delegacja Episkopatu Polski była również obecna na XI Zjeździe Ligi Katolickiej dla niesienia pomocy religijnej Kościołowi w Polsce. Konferencja Plenarna Episkopatu Polski pozytywnie oceniła fakt nawiązania kontaktów z Episkopatem Amerykańskim dla rozwiązania problemów duszpasterskich, które interesują obydwa Episkopaty.

Postanowienie Rady Głównej Episkopatu Polski w sprawie wyjazdów księży z Polski do USA

Rada Główna Episkopatu Polski postanowiła w sprawie wyjazdów duchownych, świeckich czy zakonnych, na pobyt czasowy do USA, co następuje:

1) Wyjazd duchownych z Polski do USA może nastąpić tylko za uprzednim pozwoleniem na piśmie Przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski.

2) Duchowny, zamierzający wyjechać do USA, zanim podejmie starania o paszport powinien uzyskać zgodę własnego Ordynariusza, który przekazuje podanie do Sekretariatu Prymasa Polski.

3) Zgodnie z porozumieniem Prymasa Polski z Episkopatem USA, pobyt w USA nie może trwać dłużej niż trzy miesiące i tylko w okresie wakacyjnym.

4) Celem wyjazdu może być odwiedzenie najbliższej rodziny, lub zaproszenie biskupa diecezji, duszpasterza parafii albo przełożonego wspólnoty zakonnej, do pracy duszpasterskiej czy misyjnej.

5) Wykluczone są wszelkie cele komercyjne, kwesty czy zbiórki. Nie wolno podejmować żadnych prac, które nie mają charakteru duszpasterskiego.

6) We wniosku do Sekretariatu Prymasa Polski należy podać adres zamieszkania w USA: u kogo, miasto, ulica, diecezja. Nie jest wskazane zamieszkanie u osób prywatnych.

7) Duchowny, po przyjeździe do USA, powinien przedstawić się w Kurii Diecezjalnej, by uzyskać pozwolenie na pobyt. To samo obowiązuje w razie zmiany miejsca pobytu.

8) Sekretariat Prymasa Polski ma obowiązek powiadomić odpowiednie władze kościelne USA o wyjeździe i miejscu zamieszkania duchownego z Polski.

† *Stefan kard. WYSZYŃSKI*

Warszawa, 18 listopada 1975 r.

19-11-75

W Moskwie rozpoczęto budowę supernowoczesnego budynku ambasady PRL, na trzyhektarowej powierzchni. Zakończenie budowy jest przewidywane w roku 1978. Architekt Jan Bogusławski, kierujący budową, wraz ze swymi kolegami zamierza, w ramach czynu socjalistycznego, zakończyć budowę już w 1977 roku. ■ W Warszawie zmarł Jerzy Jędrzejewicz. Przed wojną urzędnik cenzury w Komisariacie Rządu m.st. Warszawy, literat, tłumacz — przeważnie z języka rosyjskiego i ukraińskiego. ■ Paxowskie *Słowo powszechne* podaje o zagrożeniu Puszczy Niepołomickiej. Na skutek zatrucia puszczy przez kombinat metalurgiczny w Nowej Hucie przyrost drzew zmniejszył się o jedną czwartą. Zarząd Lasów Państw. żądał od huty 55 milionów odszkodowania, Komisja Arbitrażowa przyznała 42 miliony rozłożone na lat 10; orzeczenie to nie jest jeszcze prawomocne.

20-11-75

Jury nagrody im. Wł. Pietrzaka przyznało doroczne nagrody: naukową — R. Kosteckiemu i St. Skwarczyńskiej; naukowo-specjalną A. Klafkowskemu; literacką — Zofii Gerlach i M. Starzyńskiej; publicystyczną — W. Janickiemu i A. Polkowskemu. Nagrody zagraniczne otrzymali: Luigi Santucci, pisarz włoski oraz pisarz sowiecki Władimir Sołouchin. ■ *Jerusalem Post* zamieszcza list urzędniczej ambasady holenderskiej w Warszawie donoszący o zburzeniu przez władze miejskie pozostałości murów, które otaczały getto warszawskie.

24-11-75

W Klubie studenckim „Pod Jaszczurami” w Krakowie wręczone zostały po raz pierwszy nagrody redakcji *Studenta* i ZG SZSP za działalność społeczno-polityczną i aktywność naukową i kulturalną. Jury ponadto wyróżniło nagrodą honorową Leszka Moczulskiego z Krakowa za wkład pracy w rozwój studenckiej kultury oraz działalność literacką.

25-11-75

Nakładem moskiewskiego wydawnictwa literatury politycznej ukazał się zbiór wybranych artykułów i przemówień Edwarda Gierka.

12-12-75

W Warszawie zakończył się VII Zjazd PZPR. Pierwszym sekretarzem został wybrany ponownie Edward Gierek. W skład Biura Politycznego KC weszli: Edward Gierek, Edward Babiuch, Zdzisław Grudzień, Henryk Jabłoński, Mieczysław Jagielski, Piotr Jaroszewicz, Wojciech Jaruzelski, Stanisław Kania, Józef Keppa, Stanisław Kowalczyk, Władysław Kruczek, Stefan Olszowski, Jan Szydłak, Józef Tejchma. Zastępcami członków Biura Politycznego KC PZPR zostali: Kazimierz Barcikowski, Jerzy Łukaszewicz i Tadeusz Wrzaszczyk. W skład Sekretariatu KC PZPR zostali wybrani: Edward Gierek, Edward Babiuch, Ryszard Frelek, Stanisław Kania, Wincenty Kraśko, Jerzy Łukaszewicz, Józef Pińkowski, Jan Szydłak, Andrzej Werblan i Zdzisław Żandarowski; na członka Sekretariatu KC został wybrany Zdzisław Kurowski.

ZACHÓD — EMIGRACJA

15-11-75

P. Pyzik, specjalizujący się w dziejach pierwszych polskich imigrantów na kontynencie południowo-amerykańskim, odkrył w Buenos Aires dokument, z którego wynika, że w 1868 roku Juliusz Olsiewicz zwrócił się do cesarza Francji o zmianę swego nazwiska na Jules Verne i prośba ta została uwzględniona. A więc głośny pisarz jest naszym rodakiem! Grażyna Nowak kazała się kłaniać.

21-11-75

P. Aleksandra Kwiatkowska obroniła tezę doktorską na Université Paris IV z wynikiem dobrym. Tytuł pracy: „Aspects du non-conformisme soviétique dans la presse littéraire post-khrouchtchevienne: le Novy Mir 1965-1975”. ■ W Bibliothèque Marabout, w serii popularnej, wydano „Krzyżaków” („Les chevaliers teutoniques”) Henryka Sienkiewicza. ■ W paryskim wydawnictwie Payot wydano książkę Jana Kotta pt. „Manger les dieux” (przekład z angielskiego J.-P. Cottureau i M. Lisowski). ■ W paryskim wydawnictwie Gallimard ukazała się książka Adolfa Rudnickiego „Lematin d'une coexistence”. ■ W Centre du Dialogue w Paryżu odbył się wieczór muzyczny oraz spotkanie autorskie z Romanem Palestrem. ■ W Galerie d'Egmont w Brukseli otwarto wystawę malarską Alexandry Gaganaszwilli.

22-11-75

W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbył się wieczór poświęcony pamięci Wincentego Witosa. Odczyty wygłosili: prof. Stefan Glazer — „Witos w moich wspomnieniach” oraz Marek Celt — „Witos jako wychowawca chłopów i pisarz”.

25-11-75

Otwarcie wystawy Jana Lebensteina w foyer teatru „Odeon” w Paryżu.

28-11-75

W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbyło się zebranie na temat „Polska i Stany Zjednoczone w chwili uzyskania niepodległości”. Na program złożono się przemówienie prezesa T.H.L., ks. Andrzeja Poniatowskiego oraz odczyty: W. Nowosada „Udział Polski w powstaniu Stanów Zjednoczonych” i T. Samulaka odczyt-illustracja wystawy poświęconej 200-tej rocznicy powstania Stanów Zjednoczonych.

30-11-75

Prof. Manfred Lachs, dotychczasowy przewodniczący Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości został ponownie wybrany na nową, 9-cioletnią kadencję Sędziego tego Trybunału.

1-12-75

Książka Józefa Garlińskiego „Oświęcim walczący”, wydana w Londynie w wyd. „Odnova” w 1974 r., spotkała się z ogromnym sukcesem. Ukazało się szereg przekładów a mianowicie: „Fighting Auschwitz”, wydawca Julian Friedmann Publishers Ltd., Londyn, styczeń 1975; „Fighting Auschwitz”, wydawca Holmes and Meier, New York, listopad 1975; „Fighting Auschwitz”, wydawca Fawcett Publications Inc., New York, wydanie popularne, 200,000 egz., listopad 1975; „Fighting Auschwitz”, wydawca Fontana, Londyn, wydanie popularne, 70.000 egz., styczeń 1976. Wydanie francuskie

ukaze się w styczniu br. nakładem Ed. Elsevier Sequoia w Paryżu. Książka miała ponad 60 recenzji w czołowych pismach anglosaskich. Ostatnio radio australijskie nagrało z autorem audycję o bohaterze książki Witoldzie Pileckim. Zostanie ona włączona do wielkiego programu o ostatniej wojnie.

4-12-75

W Londynie odbyło się doroczne zebranie Instytutu Józefa Piłsudskiego. Ze sprawozdania wynika, że Instytut liczy 254 członków zwyczajnych, w druku znajduje się X-ty tom *Niepodległości*, przygotowany przez płk. Biegańskiego i płk. Charaszkiewicza. W przygotowaniu są również wydawnictwa: „Korespondencja Józefa Piłsudskiego” oraz album „Droga życia J. Piłsudskiego”. Instytut zamierza wybić medale pamiątkowe Aleksandry Piłsudskiej i gen. Kazimierza Sosnkowskiego.

5-12-75

W ramach akcji „ZSSR”, zorganizowanej przez *Amnesty International*, odbyło się w Amsterdamie spotkanie, w którym wzięli udział rosyjscy dysydenci oraz holenderscy prawnicy, psychiatrzy, przedstawiciele partii politycznych, rusycyści jak również A. Krasnow-Lewitin, A. Siniawski, Maryna i Wiktor Fajnbergowie. Obecnych było ponad 1.000 osób. Spotkanie zorganizowano w formie tech-in — mikrofony ustawione były nie tylko na podium, ale i wśród zaproszonych gości, oraz na sali, wśród publiczności. Spotkanie przerodziło się w wiec, atmosfera była gorąca, bez przerwy wybuchaly polemiki między nieliczną, bo może trzydziestą osób liczącą, grupą maistów, trockistów, młodych komunistów i „weteranów walki z faszyzmem” a gośćmi i resztą publiczności.

7-12-75

W tygodniku rzymskim *Espresso* ukazał się wywiad z Aleksiejem Rumiancewem, członkiem KC, wice-przewodniczącym Akademii Nauk i b. redaktorem *Prawdy*. Główny temat wywiadu: słynny artykuł Zarodowa. Rumiancew oświadczył, że przy „poszanowaniu poglądów zachodnich partii komunistycznych zasada dyktatury proletariatu musi pozostać nadal podstawową więzią łączącą je z partią sowiecką”. I dodał, stawiając kropki nad i: „Naukowa metoda marksistowska jest linią prostą, co nie znaczy że dla osiągnięcia celu nie wolno robić zygawków; ale celem jest dyktatura proletariatu”. W tym samym numerze *Espresso* odpowiedzieli mu Manuel Azcarate, prawa ręka Carillo, i Giancarlo Pajetta, jeden z najbliższych współpracowników Berlinguera. Obaj postawili pod znakiem zapytania dogmaty „monopartyjności” i „kierowniczej roli KPZS”.

10-12-75

W Mediolanie powstało nowe wydawnictwo *La casa di Matrona*, nazwa zapożyczona z pięknego opowiadania Sołżenicyna „Zagroda Matrony”. W ramach wydawnictwa, które całą swoją działalność zamierza poświęcić rosyjskiej „kulturze alternatywnej”, planowane są cztery działy. Pierwszy, „Dokumenty i świadectwa”, będzie domeną ruchu dysydenckiego w ZSSR (w przygotowaniu pełny zbiór „Kroniki litewskiego kościoła katolickiego”, dwa tomy dokumentów dotyczących Gałanskowa i Bukowskiego, akty Trybunału Sacharowa). Drugi, „Propyleje rosyjskie”, zapowiada książki i wybory antologiczne następujących autorów: Bierdiajew, Iwanow, Gersenson, Szestow, Bułgakow. Trzeci, „Poszukiwania”, zostanie zainaugurowany przez Jurija Malcewa książką „Inna literatura: od Pasternaka do Sołżenicyna”. Brak szczegółów na temat czwartego działu, w którym ukazywać się mają powieści i opowiadania pisarzy rosyjskich niecenzuralne w ZSSR.

12-12-75

W Centre du Dialogue w Paryżu odbył się odczyt ks. prof. Alberta Krąpca, rektora Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego pt. „Wkład Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego w kulturę polską”.

14-12-75

W pierwszą rocznicę śmierci prof. Romana Wajdy — Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny w Londynie zorganizował zebranie publiczne pod hasłem „Przyszłość POSK-u”.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

1. 11. 75, staraniem sekcji literackiej Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce, odbył się wieczór poświęcony twórczości Aleksandra Janty-Pończyńskiego. ■ Polski Instytut Naukowy w Nowym Jorku, z okazji 20-lecia założenia miesięcznika *The Polish Review*, przygotowuje na 18. 1. 1976 uroczystość dla uczczenia redaktora, prof. Ludwika Krzyżanowskiego. ■ Film Andrzeja Wajdy, „Ziemia obiecana”, uzyskał pierwsze miejsce i statuetkę „Złotego Hugona” na 11-tym festiwalu filmowym w Chicago. ■ Znana dziennikarka pochodzenia polskiego, Charlotte Saikowski, została mianowana w *Christian Science Monitor* Chief Editorial Writer. ■ 5. 11. 75, z polskiego statku rybackiego „Kornel”, zakotwiczonego w Newark, zbiegło dwóch członków załogi. ■ Polskie Towarzystwo Lekarskie „Medicus” z okazji 10-lecia pracy naukowej tego Towarzystwa odznaczyło złotym medalem 1000-lecia Polski kardynała Wyszyńskiego, Zbigniewa Brzezińskiego, Herberta Lehmana i Hilarego Koprowskiego. W 1974 roku takimż medalem został odznaczony prof. Adam Wesołowski. ■ Polskie Muzeum w Chicago ogłosiło bibliografię „Polsko-amerykańska historia i kultura” (*Polish American History and Culture: A Classified Bibliography*), opracowaną przez Józefa Żurawskiego. Bibliografia jest do nabycia w Muzeum Polskim w Chicago; kosztuje Dol. 4,75 plus Dol. 0,25 na koszty przesyłki. ■ W Buffalo zdecydowano rozbiórkę katedry wzniesionej w latach 1912-15 przez Polaków. Koszt bowiem gruntownej naprawy został obliczony na 2.200 tysięcy dolarów. W Buffalo było w swoim czasie 18 wielkich parafii polonijnych — dziś centrum miasta jest prawie całkowicie murzyńskie. ■ Biskup Kenneth J. Povich został następcą zmarłego w maju 1975 roku biskupa Aleksandra M. Zaleskiego w Lansing, Michigan. Bp Povich był od 1970 roku ordynariuszem diecezji Crookston, Minnesota. Przodkowie bpa Povicha zmienili nazwisko — nazywali się Wiśniewscy. ■ 10. 10. 75, zmarł w Detroit, w wieku lat 86, ks. dr Kazimierz Świetliński, T.Chr. W czasie wojny bolszewickiej był kapłanem w armii Hallera i uczestniczył w „Zaślubinach Polski z morzem”. W latach 1930-1936 pracował we Francji, po powrocie do Polski wstąpił do tworzącego się właśnie Towarzystwa Chrystusowego, po II-jej wojnie pracował jako duszpasterz w Szczecinie, w roku 1962 wyjechał do Kanady, a następnie do USA, gdzie był czynny w parafii Św. Stanisława w Detroit. ■ Adwokat Mitchell Kobeliński dyrektor Export-Import Bank w Waszyngtonie, objęcie w najbliższym czasie stanowisko szefa *Small Business Administration* (Administracja drobnego handlu) ■ Ks. Franciszek Róg z Chicago został prowincjałem O.O. Zmartwychwstańców w USA.

KRONIKA AUSTRALIJSKA

W Melbourne wielką popularnością cieszą się produkcje wizualno-dźwiękowe artyści fotografika Józefa Szczepańskiego. Widowiska Józefa Szczepań-

skiego składają się z barwnych przeźroczy wyświetlanych przy pomocy dwóch zsynchronizowanych projektorów ze specjalnym komentarzem i podkładem muzycznym. 30 października odbyło się w domu Polskim im. Tadeusza Kościuszki w Melbourne jedno z takich widowisk, z którego całkowity dochód przeznaczony został na fundusz pomocy utrzymywania kultury aborygenów australijskich. Tematem widowiska były „Dzieci świata”. ■ W listopadzie koncertowała w Australii Orkiestra Kameralna Filharmonii Narodowej w Warszawie. Turnée objęło 21 miast. Krytycy z wielkim entuzjazmem wyrażali się o bardzo wysokim poziomie polskiej orkiestry. Orkiestra wystąpiła pod batutą K. Teutscha. ■ Prof. dr Zdzisław E. Sikorski z Politechniki Gdańskiej rozpoczął w Hobart (Tasmania) roczną pracę w departamencie konserwacji artykułów spożywczych Commonwealth Scientific and Industrial Research Organization. Profesor Sikorski jest specjalistą w dziedzinie technologii przetworów rybnych. ■ 31 października wszedł w życie w Australii „Racial Discrimination Act 1975”. Ustawa ta jest oparta na postanowieniach międzynarodowej konwencji sprzeciwiającej się wszelkim formom dyskryminacji rasowej przyjętej przez ONZ w grudniu 1965 roku. W związku z uchwaleniem przez parlament tej ustawy powołany został specjalny Komisarz do spraw stosunków społecznych. ■ 9 listopada w ramach miesięcznych zebrań Polskiego Koła Kulturalno-Artystycznego w Melbourne odbywających się w Domu Polskim im. Tadeusza Kościuszki, prof. dr Jerzy Zubrzycki z wydziału socjologii Australian National University wygłosił odczyt pt. „Asymilacja i Awans Społeczny Emigrantów Polskich”. Profesor Zubrzycki poruszył m.in. takie zagadnienia jak kwestia życia zbiorowego ośrodków polskich na obczyźnie, polskie getta, problem asymilacji w celu uzyskania awansu społecznego, asymilacja i wynarodowienie. Polacy w Australii — zdaniem profesora Zubrzyckiego — biorą za mało czynnego udziału w życiu politycznym tego kraju. ■ Przyrost naturalny Australii stale spada. Jak podaje Australijski Urząd Statystyczny liczba urodzin spadła z 243.658 zanotowanych w 1973/74 do 239.945 w 1974/75. W tym samym okresie ilość zgonów wzrosła ze 110.179 do 114.607. Obecny stan ludności Australii wynosi 13.506.800 osób. ■ Z dniem 30 listopada wygaś specjalny przywilej obywateli Wielkiej Brytanii i innych krajów Wspólnoty Brytyjskiej, zezwalający im na otrzymanie obywatelstwa australijskiego po jednorocznym pobycie w tym kraju. Od 1 grudnia wszyscy starający się o obywatelstwo australijskie mogą być zakwalifikowani po trzech latach stałego pobytu w Australii.

Jerzy DOBROSTAŃSKI

KRONIKA KANADYJSKA

Dr Bohdan Ławruk, profesor matematyki w McGill University w Montrealu, został zaproszony przez wydział matematyczny Rutgers University, N.Y., na kolokwium. Odbyło się ono 14 listopada. Następnego dnia prof. Ławruk wygłosił na zaproszenie Towarzystwa Naukowego im. Szewcenki, prelekcję na temat swoich studiów na uniwersytecie lwowskim w latach 1947-1958. Prelekcja ta miała charakter osobistych wspomnień. ■ Na walnym zjeździe delegatów Związku Polaków w Kanadzie wybrano 9 listopada nowe władze. Tadeusz Glista, który przez 10 lat stał na czele organizacji, nie kandydował. Na czele nowego zarządu głównego znalazł się pierwszy wiceprezes w poprzedniej kadencji p. Henryk Lopiński. Część członków poprzedniego zarządu weszła również do nowego. ■ Rząd prowincji Alberta zapowiedział przyznanie Dol. 300.000 rocznie dla ukraińskiej instytucji naukowej i badawczej. Przewiduje się takie dotacje na okres co najmniej 5 lat. Rozmowy na ten temat z ukraińskimi pracownikami naukowymi w Kanadzie

są w toku. Chodzi o ustalenie czy w zakresie działalności wejdą publikacje czy tylko badania ukraiноznawcze. ■ National Film Board — państwowe przedsiębiorstwo filmowe wypuściło na rynek film o Kaszubah w Ontario — pierwszej osadzie imigrantów polskich w Kanadzie. ■ Literaturę polską na Uniwersytecie Toronto wykłada w bieżącym roku akademickim dr Louis Iribarne, Amerykanin pochodzenia baskijskiego, który doktoryzował się pracą o powieści „Nienasyceń” St. Ig. Witkiewicza. Jest to zastępstwo tymczasowe wskutek śmierci śp. prof. Danuty Bienkowskiej, która zginęła tragicznie w wypadku kolejki górskiej. Dr Iribarne jest profesorem University of Illinois (Urbana).

KRONIKA NIEMIECKA

Przewodniczący grupy deputowanych CSU w Bundestagu, Richard Stücklen, złożył oświadczenie wzywające wręcz do nieuznawania zaleceń opracowanych przez członków mieszanej komisji PRL-NRF do spraw weryfikacji podręczników szkolnych. ■ Przewodniczący frakcji parlamentarnej CDU/CSU — Karl Carstens krytykował porozumienia zawarte z Polską jako „jednostronne”. Bundesrat przyjął większością głosów chadecką rezolucję, zawierającą 11 „zastrzeżeń” i krytycznych uwag wobec porozumień z PRL. ■ Kardynał Döpfner podczas synodu w Würzburgu raz jeszcze podkreślił gotowość niemieckich katolików do „pojednania z narodem polskim, które stoi ponad wszelkimi partyjnymi sporami”. Jednocześnie kardynał Döpfner umotywował odrzucenie wniosku o wyrażenie poparcia przez biskupów niemieckich układom zawartym z Polską, zasadą „nie mieszania się w aktualną problematykę polityczną”. ■ 39 polskich księży prowadzi pracę duszpasterską wśród Polaków w Republice Federalnej. ■ Sąd przysięgłych w Monachium skazał na 10 lat więzienia b. lekarza obozu koncentracyjnego w Dachau, Sturmabführera — Heinricha Schütz'a. Oskarżonemu udowodniono dokonanie mordu na 11 więźniach. Większość z nich stanowili polscy duchowni, którzy w Dachau poddawani byli zbrodnicy eksperymentom medycznym. W procesie zeznawał b. więzień obozu w Dachau, ks. bp Kazimierz Majdański z Włocławka. ■ Krzysztof Penderecki odniósł wielki sukces dyrygując orkiestrą symfoniczną radia *Südwestfunk* w Bonn. Wykonał własną kompozycję „Przebudzenie Jakuba”. ■ W ciągu 10 miesięcy ub. roku do Republiki Federalnej przesiedliło się 2.548 osób z Polski. *Kölnner Stadt-Anzeiger*, powołując się na oficjalne źródła polskie podaje, że w następnych miesiącach należy się liczyć z 2.500 przesiedleńcami miesięcznie. ■ Przesiedleńcy z Polski będą otoczeni również opieką duszpasterską w języku polskim. Pierwsze duszpasterstwo dla niemieckich katolików polskiego języka powstało już w Berlinie Zachodnim. ■ W Monasterze (Westfalia), odbyło się seminarium polsko-niemieckie poświęcone sprawom polskim, zorganizowane przez zachodni-niemiecką organizację *Pax-Christi* oraz środowisko „Znak”. Delegacji polskiej przewodniczył Andrzej Micewski. Ponadto do Monasteru przybyli: Józefa Hennelowa i Krzysztof Kozłowski z redakcji *Tygodnika Powszechnego* oraz Władysław Bartoszewski, sekretarz PEN Klubu Polski. Bartoszewski uczcił pamięć wybitnego bojownika przeciwko terrorowi narodowo-socjalistycznemu, zmarłego kardynała Monasteru Clemensa Augusta hr. von Galen. Podczas okupacji hitlerowskiej stanął on dla Polaków symbol innych Niemiec — oświadczył Bartoszewski. Organizacja *Pax-Christi* wystosowała apel do *Bundestagu*, domagając się ratyfikacji niedawnych porozumień między Polską a NRF. ■ Ministerstwo Kultury i Sztuki PRL, przyznało znanemu pisarzowi i tłumaczowi, Peterowi Lachmannowi, mieszkającemu w Bochum, odznaczenie „Zastużony dla Kultury Polskiej”. Lachmann tłumaczył m.in. Jerzego Andrzejewskiego, Romana

Ingardena i Tadeusza Różewicza. Obecnie pracuje nad przekładem pism teoretycznych i dramatów Stanisława Witkiewicza. ■ Na początku listopada ub. roku policja bawarska aresztowała dwóch obywateli PRL pod zarzutem szpiegostwa. Legitymujący się paszportem dyplomatycznym Henryk Wróblewicz i jego współnik Zdzisław Butkiewicz, usiłowali w Monachium nakłonić do współpracy z polskim wywiadem jednego z pracowników polskiej sekcji *Radio Free Europe* — píše monachijski tygodnik *Quick*. Oba agenci zostali wydaleny z NRF na początku grudnia ub. roku z zakazem wjazdu do Niemiec w przyszłości. Prasa niemiecka przypuszcza, że polscy agenci zostali wymienieni na obywateli NRF odsiadujących kary w polskich więzieniach. ■ W Düsseldorfie trwa proces przeciwko 14 członkom załogi obozu koncentracyjnego w Majdanku k/Lublina. Akt oskarżenia zarzuca 14 b. funkcjonariuszom SS na Majdanku współudział w popełnieniu zabójstwa przynajmniej 250 tys. osób. ■ Nakładem *Piper Verlag* (Monachium), ukazała się książka Jana Kotta — „Gott-Essen, Interpretationen griechischer Tragödien” (Boska uczta — Interpretacje greckich tragedii). ■ 200 tys. gimnazjalistów w PRL korzysta z nauki języka niemieckiego, w szkołach zawodowych — 400 tys., a w wyższych klasach szkół podstawowych 30 tys. uczni. ■ Domy Młodzieżowe w Dornbusch, Eschersheim i Riederwald (Hesja), zorganizowały „Dni Polskie”. ■ 12 grudnia 1975 r. zmarł, w wieku 75 lat, ks. infułat Edward Lubowiecki, kierujący od 30 lat Kurią Biskupią dla Polaków-katolików, z siedzibą we Frankfurcie nad Menem.

Andrzej J. CHILECKI

KRONIKA GOSPODARCZA

UMOWY MIĘDZYPANSTWOWE

Warszawa, 9 XI. 75

W czasie wizyty rumuńskiego premiera Manea Manescu podpisano polsko-rumuńskie porozumienie handlowe i współpracy naukowo-technicznej. Wartość obrotów handlowych między obu krajami ma wzrosnąć w następnej 5-lacie dwa i pół razy (w porównaniu z okresem 1971-75).

Warszawa, 27. XI. 75

Ministrowie rolnictwa: Earl Butz (USA) i Kazimierz Barcikowski (PRL) podpisali umowę zbożową. W ramach umowy Polska będzie kupować 2,5 miliona ton amerykańskiego ziarna rocznie przez co najmniej pięć lat. Przy tej okazji warto powtórzyć kursującą w Warszawie pogłoskę, że Barcikowski został usunięty ze stanowiska sekretarza PZPR i przeniesiony na pozabawione znaczenia stanowisko ministra rolnictwa z powodu oporów, jakie stawiał w sprawie dostaw polskiej żywności dla ZSSR.

Kair, 27. XI. 75

Sowiecko-egipskie rozmowy handlowe załamały się. Delegacja sowiecka pod przewodnictwem wiceministra handlu I. Griszina odrzuciła egipską propozycję rozłożenia na dalsze lata sum winnych Związkiowi Sowieckiemu przez Egipt. Część tych należności została już przesunięta na przyszłość w czasie wizyty egipskiego ministra finansów Abu Ismaila w Moskwie latem 1975 roku. Należności oceniane są na 3,2 miliarda dolarów, z czego podobno tylko 1,7 miliarda dolarów jest pochodzenia wojskowego. Normalnie Egipt eksportuje do ZSSR dwa razy więcej, niż importuje, ale Rosjanie nie zgadzają się na spłatę długu „niepotrzebnym” eksportem i żądają zapłaty w walutach wymiennych. Są oni skłonni udzielić moratorium tylko pod warunkiem otrzymania odpowiednich gwarancji politycznych.

Berlin Wschodni, 27. XI. 75

NRD, PRL i ZSSR podpisały umowę o wspólnym badaniu geologicznym pobraża bałtyckiego celem poszukiwania ropy i gazu ziemnego. Gdańsk został mianowany siedzibą centrali badawczej utworzonej umową. Obecnie NRD pokrywa 90 % swego zapotrzebowania na ropy importem sowieckim. Zależność Polski od Sowietów w tej dziedzinie jest niewiele mniejsza. Drastyczne podniesienie ceny na ropy sowiecką dotkliwie uderzyło oba te kraje. Dotychczas na Bałtyku nie było jeszcze poważnych badań geologicznych tego rodzaju, choć kilka miesięcy temu Sowiety ogłosiły, że w roku 1975 otrzymają 200.000 ton ropy z pobraża bałtyckiego w okolicy Królewca.

Bonn, 25. XI. 75

Z okazji wizyty prezydenta Bułgarii T. Żiwkova wydano wspólną deklarację, postulującą zwiększenie kontaktów handlowych i politycznych. Jest to pierwsza oficjalna wizyta bułgarska w NRF od czasów wojny. Oba kraje nawiązały stosunki dyplomatyczne w 1973 roku i od tego czasu NRF stało się największym zachodnim partnerem Bułgarii. We wzajemnych obrotach handlowych eksport niemiecki trzykrotnie przewyższa import.

Moskwa, 18. XI. 75

W związku z wizytą włoskiego prezydenta Leone podpisano 5-letnią umowę o współpracy gospodarczej między rządem ZSSR z jednej strony, a rządem włoskim i szeregiem włoskich towarzystw państwowych z drugiej (por. notę w ub. numerze *Kultury*). Włochy są 4-tym co do wielkości obrotów partnerem handlowym ZSSR na Zachodzie. Normalnie handel między obu krajami charakteryzuje się dużą nadwyżką Sowietów, ale w pierwszej połowie 1975 Włochy uzyskały nadwyżkę w wysokości 100 miliardów lir.

HANDEL — CENY

Jugosławia zapowiedziała drastyczne kroki zmierzające do ograniczenia deficytu w bilansie płatniczym. W przyszłości wzrost importu o jedną jednostkę będzie dozwolony dopiero wtedy, gdy osiągnięte się wzrost eksportu o sześć jednostek. Ograniczenia dotyczą szczególnie handlu z Zachodem, gdzie deficyt jest bardzo duży: import z Zachodu wyraża się sumą 4,5 miliarda dolarów, a eksport na Zachód — 1,5 miliarda dolarów. Na froncie wewnętrznym głównym zadaniem jest osiągnięcie stabilizacji przez ograniczenie inflacji.

Budapeszt, 1. XII. 75

Po raz trzeci w ciągu jednego roku ceny w Węgrzech uległy gwałtownej podwyżce. Cukier drożeje o 50 %, materiały budowlane o 22 %, papier o 10-15 %. Jednocześnie ogłoszono, że z dniem 1. 7. 1976 mięso drożeje o 32 %. Podwyżki uzasadniane są koniecznością „zmniejszenia ciężaru subsydiów i zastosowania realizmu do struktury cen”. ■ Od 1. 1. 1976 obowiązuje w bloku sowieckim nowy system cen. Mimo, że wszystkie umowy międzypaństwowe zawiera się na pięć lat, to ceny obowiązują tylko na przeciąg jednego roku, po czym podlegają rewizji. Ceny w handlu między krajami RWPG są na ogół niższe niż ceny światowe, ale analiza cen w umowach na następną pięcioletkę wykazuje przesunięcie się warunków wymiany (terms of trade) na korzyść Sowietów.

Berlin Wschodni, 1. XII. 75

Główny organ partyjny NRD *Neues Deutschland* podał dane ilustrujące inflację w bloku sowieckim. Mianowicie umowa handlowa między NRD a ZSSR na lata 1976-80 wyraża się sumą 28 miliardów rubli (ok. 36 miliardów dol.)

według cen z 1974 roku, a 40 miliardów rubli (51,5 miliardów dol.) według nowych „cen kontraktowych” obowiązujących w RWPG. Za tym 43 procentowym wzrostem kryje się stosunkowo maławyżka cen produktów przemysłowych, eksportowanych przez NRD, i duża, dochodząca niekiedy do 100 %, dla surowców eksportowanych przez ZSSR.

◆
Ekonomiczna Komisja Narodów Zjednoczonych dla Europy ogłosiła wyniki handlu Wschód-Zachód za pierwsze półrocze 1975. W sprawozdaniu czytamy m.in., że: eksport zachodni do Europy Wschodniej росł szybciej, niż w ub. dwóch latach, natomiast import z Europy Wschodniej gwałtownie zwoził swój wzrost, wskutek czego Europa Zachodnia uzyskała dużą nadwyżkę; za pierwsze 5 miesięcy 1975 r. nadwyżka ta wynosi 4 miliardy dolarów, podczas gdy za cały 1974 r. wynosiła ona 3,5 mld. dol., a za cały 1973 r. — 2,7 mld. dol. Spadek importu spowodowany jest kryzysem na Zachodzie i związanym z nim protekcyjnym, który dotknął głównie import żywności z Europy Wschodniej. Jednym z faktów, wyjaśniających wzrost importu do Wschodniej Europy jest katastrofalny stan rolnictwa w Związku sowieckim. obroty towarowe w I-szym półroczu 1975 były wyższe o 26 % niż w analogicznym okresie 1974 (w cenach stałych tylko o 14 %); komisja szacuje, że wzrost ten za cały rok 1975 wynosić będzie 12 % (w cenach stałych 8 %). Widać więc wyraźną tendencję malejącą, która dla państw Europy Wschodniej skompensowana jest wzmożeniem obrotów wewnątrz RWPG. Ogólny wzrost obrotów handlowych dla państw Europy Wschodniej w roku 1975 oceniany jest przez komisję na 23 %. ■ Główny Urząd Statystyczny NRF podał dane dotyczące handlu zagranicznego Republiki w pierwszych 9 miesiącach 1975 r. Handel z Europą Wschodnią (wyłączając NRD) wzrósł o 9 %, osiągając poziom 7 miliardów dolarów, przy czym eksport niemiecki wzrósł o 15 %, a import zmalał o 1 %. Handel z Europą Wschodnią stanowi zaledwie 6 % całości handlu zagranicznego NRF. Głównym partnerem NRF na wschodzie Europy jest ZSSR (40 % obrotów z Europą Wschodnią). W handlu tym NRF uzyskała wyjątkowo dużą nadwyżkę: eksport do ZSSR wzrósł o 63 %, import zmalał o 11 %. Eksport do Polski zmalał o 19 %. ■ Z ogłoszonych w Polsce wyników gospodarki za pierwsze trzy kwartały 1975 r. wynika, że mimo wysokiej dynamiki obrotów w handlu wewnętrznym, skupienia i mleka kształtuje się poniżej poziomu z ub. roku. W handlu zagranicznym eksport wzrósł bardziej niż import, ale nadwyżka ta dotyczy jedynie handlu wewnątrz RWPG; w handlu z Zachodem trwa nadal tendencja deficytowa. Zanotowano wzrost cen artykułów rolniczych. Przeciętą płacą wzrosła o 13,6 % (w porównaniu z analogicznym okresem 1974 r.). ■ Wkłady oszczędnościowe w PKO spadły w październiku 1975 r. o ok. 860 milionów złotych. Uwzględniając, że w tym samym miesiącu 1974 i 1973 r. wzrosły one o 2,2 i 1,6 miliarda zł. odpowiednio, obawiać się należy, że nastąpić może wzmożenie ciśnienia inflacyjnego. Na razie sytuacja nie jest jasna — tak np. w wrześniu 1975 r. nastąpił wzrost wkładów o 1,1 miliarda zł. ■ PRL rozpoczęła eksport obuwia w 1959 roku. W ciągu 16-tu lat (do końca 1974 r.) wyeksportowano łącznie 133,5 milionów par obuwia skózanego, z czego 68 % wzięło ZSSR. Obecnie Polska eksportuje ok. 20 milionów par rocznie. ■ W pięcioletce 1971-75 Polska zakupiła za granicą towarów na rynek wewnętrzny za 448 milionów zł. dewizowych. W latach 1966-70 import tych towarów wyniósł zaledwie 139 mln. zł. dew. Przykładem zmiany polityki gospodarczej z akcentem na konsumenta są cytryny. Jeszcze 10 lat temu były one rzadkością na rynku, ich brak był przysłowiowy. Dziś Polska jest 3-cim (po NRF i Francji) największym w Europie importerem cytryn. W 1975 r. Polska zakupiła 80 tys. ton pomarańcz i 70 tys. ton cytryn, nie licząc soków i ekstraktów.

R Ó Ż N E

Teheran, 30. XI. 75

Po blisko 5-letnich negocjacjach podpisana została ostatecznie umowa trójkątna w sprawie dostaw gazu ziemnego z Persji do Austrii, Francji i NRF za pośrednictwem ZSSR. Dostawy wynosić będą 11 miliardów metrów sześciennych rocznie na przeciąg 25 lat, począwszy od 1983 r. Niemcy wezmą 50 % dostaw, Francja 33 %, Austria resztę. Niezależnie od tego Sowiety zakupią 2 miliardy m.⁶ rocznie na swój użytek. Cena wynosi ok. dolara za 1.000 m.⁶, do czego ZSSR dokłada 63 % jako opłata tranzytowa. Warto zauważyć, że obecnie, na podstawie umowy z 1971 r. ZSSR płaci Persji 57 centów za 1.000 m.⁶ i to już po podwyżce wymuszonej przez Persję w ub. roku. Dostawa gazu do Europy wymagać będzie wybudowania drugiego gazociągu z południowej Persji do ZSSR. Gaz opłacony będzie przez państwa europejskie w dużym stopniu z góry w formie dostaw urządzeń i materiałów potrzebnych do zbudowania gazociągu. ■ Oblicza się, że w roku 1980 kraje RWPG (głównie ZSSR) będą miały nadmiar takowców w wysokości 3 milionów ton. Import nafty przez kraje RWPG wynosi obecnie 16 milionów ton rocznie (1974), i dojdzie do 100 mln. ton w 1980 roku. Wymaga to dodatkowych tankowców o pojemności 3 mln. ton, tymczasem kraje RWPG mają w budowie statki o pojemności 6 milionów ton. Armatorzy zachodni zaniepokojeni są perspektywą „wojny frachtowej”. W chwili obecnej wycofuje się na Zachodzie 20 tankowców miesięcznie.

Moskwa, 2. XII. 75

Pierwszego dnia sesji Rady Najwyższej ZSSR przewodniczący państwowej komisji planowania Bajbakow złożył sprawozdanie o stanie gospodarki i przedstawił plan na lata 1976-80. Najstarsi ludzie nie pamiętają tak nisko wytyczonych celów. W 1976 r. produkcja przemysłowa ma wzrosnąć tylko o 4,3 %, w tym grupa A (przemysł ciężki) o 4,9 %, a grupa B (przemysł lekki, tzn. konsumpcyjny) o 2,7 %. W kończącej się obecnie 5-latec plan ustawiony był frontem do konsumenta i w analogicznym okresie planu (r. 1971) przewidywał wzrost 6,7 % dla grupy A i 7,4 % dla grupy B. Grupa B spadła na drugie miejsce po katastrofalnym nieurodzaju 1972 r. Bajbakow stwierdził, że przyczyni niskich założeń planu leżą „w złych zbiorach i opóźnieniach w wykonaniu inwestycji” — dokładnie tych samych słów użył on w 1972 r. Wielkość zbiorów w r. 1975 nie została podana, co jest normalną praktyką w latach gdy zbiory są złe. Handel zagraniczny wzrosł w 1976 r. o 13,6 %, natomiast budżet wojskowy pozostanie na poziomie r. 1975 (17,4 miliarda rubli), co oznacza, że udział wydatków wojskowych w dochodzie narodowym spadnie z 8,9 % w 1975 r. do 7,8 %. Zadań planu 1971-75 w dziedzinie produkcji przemysłowej nie wykonano: wzrost produkcji wyniósł tylko 40 % zamiast planowanych 47 %.

Pekin, 2. XII. 75

Radio chińskie podało, że tegoroczne zbiory zbóż w Chinach są znacznie wyższe niż zeszłoroczne, które należały do wyjątkowo dobrych. Rok 1975 jest 14-tym kolejnym rokiem dobrych zbiorów w Chinach. ■ Rumuński rocznik statystyczny podaje, że działki przyzgodowe w Rumunii, zajmujące tylko 8 % ziemi ornej, dają więcej niż spółdzielnie produkcyjne i gospodarstwa państwowe: w 1974 r. gospodarstwa państwowe wyprodukowały 553 tys. ton mięsa, spółdzielnie produkcyjne — 474 tys. ton, działki przyzgodowe 625 tys. ton a gospodarstwa indywidualne — 274 tys. ton.

Waszyngton, 29. XI. 75

Rząd amerykański nie pozwolił na sprzedaż sowieckiemu Inturistowi komputera marki IBM wartości 11 milionów dolarów. Poprzednio rząd amerykański nie stawiał sprzeciwu, gdy podobny komputer został sprzedany sowieckiemu przemysłowi samochodowemu. Obecny sprzeciw motywowany jest obawą, że komputer będzie używany do śledzenia turystów zagranicznych w ZSSR.

B. B.

Z OSTATNIEJ CHWILI

W chwili oddawania numeru do druku otrzymaliśmy z Kraju pełny tekst Memoriatu 59-ciu intelektualistów, wystosowanego do władz państwowych PRL 5 grudnia 1975:

„Wytyczne na VII Zjazd PZPR zawierają zapowiedź zmiany konstytucji. Po konferencji w Helsinkach, na której rząd Polski wraz z 34-ma rządami innych państw potwierdził uroczystie Powszechną Deklarację Praw Człowieka uważamy, że wprowadzenie tych podstawowych wolności stać się powinno nowym etapem w historii narodów i w życiu jednostek. Powodowani troską obywatelską uważamy, że konstytucja i oparte na niej prawodawstwo powinny zagwarantować przede wszystkim następujące wolności obywatelskie:

— *Wolność sumienia i praktyk religijnych.* Wolności tych nie ma gdy ludzie przyznają się do wierzeń religijnych lub ujawniający światopogląd odmienny od oficjalnie obowiązującego nie są dopuszczani do znaczących części kierowniczych stanowisk w urzędach i instytucjach publicznych, organizacjach społecznych i gospodarce narodowej. Dlatego należy zapewnić wszystkim obywatelom, bez różnicy religii, światopoglądu lub przynależności partyjno-politycznej, jednakowe prawo do obejmowania stanowisk państwowych. Decydować powinny jedynie: kwalifikacja, indywidualne zdolności i uczciwość osobista. Należy także umożliwić wszystkim grupom wyznaniowym swobodne wykonywanie praktyk religijnych i budowę świątyni.

— *Wolność pracy.* Nie ma tej wolności gdy państwo jest jedynym pracodawcą, a Związki Zawodowe są podporządkowane instancjom partyjnym, sprawującym w praktyce władzę państwową. W tych warunkach — jak wykazują doświadczenia lat 1956 i 1970 — próby obrony interesów robotniczych grożą rozlewem krwi i prowadzić mogą do poważnych zaburzeń. Dlatego należy zapewnić pracownikom możliwość swobodnego wyboru własnej reprezentacji zawodowej, niezależnej od organów państwowych lub partyjnych. Należy zagwarantować również prawo do strajku.

— *Wolność słowa i informacji.* Gdy nie ma wolności słowa, nie ma swobodnego rozwoju kultury narodowej. Gdy wszystkie publikacje przed ukazaniem podlegają cenzurze państwowej a wydawnictwa i środki masowego przekazu są kontrolowane przez państwo — obywatele nie mogą świadomie ustosunkować się do decyzji władzy państwowej, ta zaś nie wie jaki jest stosunek społeczeństwa do jej polityki. Szczególnie groźne następstwa państwowego monopolu publikacji oraz działania cenzury prewencyjnej występują w literaturze i sztuce, które nie pełnią swych społecznie doniosłych funkcji. Dlatego związkom pracowniczym, stowarzyszeniom twórczym, religijnym i innym należy umożliwić powołanie niezależnych od państwa wydawnictw i czasopism. Dlatego należy znieść cenzurę prewencyjną a odpowiedzialność w wypadku naruszenia ustawy prasowej egzekwować tylko w drodze postępowania sądowego.

— *Wolność nauki*. Nie ma wolności nauki wówczas gdy kryteria doboru kadry naukowej i tematu badań określane są przez władze państwowe i mają charakter polityczny. Dlatego należy przywrócić autonomię wyższych uczelni i zapewnić samorządność środowiska naukowego. Zagwarantowanie tych podstawowych wolności nie da się pogodzić z przygotowywanym obecnie oficjalnie uznaniem kierowniczej roli jednej partii w systemie władzy państwowej. Tego rodzaju konstytucyjne stwierdzenie nadawałoby partii politycznej rolę organu władzy państwowej, nieodpowiedzialnego przed społeczeństwem, niekontrolowanego przez społeczeństwo. W tych warunkach Sejm nie może być traktowany jako najwyższy organ władzy, rząd nie jest najwyższym organem wykonawczym, a sądy nie są niezawisłe. Należy zapewnić realizację prawa wszystkich obywateli do wysuwania i wybierania swych przedstawicieli w pięcioprzymiotnikowych wyborach, należy zapewnić niezawisłość sądów od władz wykonawczych, a Sejm uczynić rzeczywiście najwyższą władzą wykonawczą. Uważamy, że nierespektowanie wolności obywatelskiej może prowadzić do zniszczenia zaradności zbiorowej, do rozpadu więzi społecznych, do stopniowego pozbawienia społeczeństwa świadomości narodowej i do przzerwiania ciągłości narodowych tradycji. Jest to zagrożenie dla egzystencji i narodu”.

Podpisali:

Stefan Amsterdamski, Stanisław Barańczak, Ewa Bieńkowska, Jacek Biezin, Irena Byrska, Tadeusz Byrski, Bohdan Chwedeńczuk, Ludwik Cohn, Andrzej Drawicz, Jerzy Ficowski, Kornel Filipowicz, Zbigniew Herbert, Ryszard Herczyński, Maryla Hopfinger, Zdzisław Jaroszewski, Anna Kamińska, Jakub Karpiński, Wojciech Karpiński, Jan Kielanowski, Stefan Kisielewski, Jacek Klejff, Leszek Kołakowski, Julian Kornhauser, Maria Kornilowicz, Marcin Król, Ryszard Krynicki, Jacek Kuroń, Stanisław Leńniewski, Edward Lipiński, Jan Józef Lipski, Zdzisław Łapiński, Ks. Stefan Małkowski, Jerzy Markuszewski, Adam Mauersberger, Adam Michnik, Halina Mikołajska, Jan Nepomucen Miller, Ludwik Muzyczka, Zygmunt Mycielski, Jerzy Narbutt, Jan Olszewski, Antoni Pajdak, Krzysztof Pomian, Józef Rybicki, Ks. Jacek Salij, Władysław Siła-Nowicki, Stanisław Skalski, Antoni Słonimski, Aniela Steinsbergowa, Julian Strykowski, Jan Józef Szczepański, Adam Szczępiński, Kazimierz Szelański, Wisława Szymborska, Jacek Trznadel, Maria Wosiek, Adam Zagajewski, Wacław Zawadzki, Ks. Jan Zieja.

Warszawa, 5 grudnia 1975.

Do Marszałka Sejmu PRL

Wielce Szanowny Panie Marszałku,

Przesyłam Panu odpis pisma w związku z proponowanymi zmianami Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Pismo to podpisało 59 osób. Zaświadczam autentyczność tych podpisów. Upoważniono mnie do zawiadomienia Pana Marszałka, że na ręce Pańskie wpłynęło osobne pismo w tej samej sprawie, podpisane przez około 300-tu pracowników naukowych, studentów i absolwentów wyższych uczelni.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku i poważania,

(—) Prof. dr Edward LIPINSKI

PS. Odpisy tego listu przesyłam Radzie Państwa PRL, klubom poselskim oraz Sekretariatowi Prymasa Polski.

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze!

W *Kulturze* narzeka się na brak literatury poruszającej współczesne problemy naszego kraju. — W odpowiedzi Pan Wirpsza sugeruje, że lansowana kiedyś przez niego poezja lingwistyczna miała dostateczny ciężar gatunkowy aby dać odważną odpowiedź na dramatyczne pytania chwili. — A więc zasztyrowane gry i zabawy lingwistyczne, według Wirpszy, nie były ucieczką w świat izolacji i konformizmu, ale one to właśnie — kruche nimfy — stanowiły jedyną wysuniętą redutę gdy na ulicach Pragi płonęły żywe pochodnie... Nic dziwnego, że na fali takiej „determinacji lingwisty” zwykły barbarzyńca mógł bez przeszkód kierować czołgi na naród, który budził się do wolności. Taką to igraszką werbalną wygodnie uplasowani zamierzali się wybielić i wyjaśnić hanbę polskiego munduru, w który przebrany żołdak plugawił honor narodu.

Nie było na szczęście aż tak źle. Poza akrobatami poezji istniały i były nawet przemycane do druku, wtedy i później, utwory nie lękające się nazywać po imieniu: białego — białym, a czarnego — czarnym. Rzecz jasna że autorzy takich utworów nie byli nigdy oficjalnie popierani, a o ile istnieli, to tylko na marginesie krajowego ruchu wydawniczego. Przeciwnie lingwiści... Byli oni zawsze dla ustroju wygodną zasłoną dymną — namiastką nieujawnionych — pozorowanych zamysłów.

Wróćmy do tych rzeczy prostych, nie udawanych. Tu i tam ukazujące się wypowiedzi, pomijane i niezauważane w kraju — w konsekwencji pozostają niezauważone i przez prasę emigracyjną. Lingwistyczny bełkot Tymoteusza Karpowicza — ponieważ nieodczytany i niezrozumiany — jest zaliczony przez recenzenta paryskiej *Kultury* do poezji „która jest dobra, bo... będzie rozumiana za 100 lat” (cytuje z pamięci określenie Pani Danilowicz o poemacie T. Karpowicza — recenzja z *Kultury* sprzed kilku lat).

CZYTELNIK

Londyn, grudzień 1975.

Szanowny Panie Redaktorze,

W nr. 12/339 *Kultury* p. B. Brodziński w artykule „Co Zostanie z Polskiego Londynu” zacytował tytuł mojej wypowiedzi, „Koniec Świata Szwoleżerów”, która ukazała się w Biuletynie Niezależnej Grupy Społecznej. Tytuł ten, zresztą zapożyczony z książki M. Brandysa, posłużył jemu jako argument do uzasadnienia przeżytku emigracji politycznej.

Treść mojej wypowiedzi była zupełnie inna, wykazałam w niej konieczność działalności politycznej jako jedynego celu naszego pozostania na emigracji.

Poddawałam natomiast w wątpliwość przecenianie znaczenia i zasług — Prezesów — Urzędników Organizacji Kombatanckich, którzy z tytułu od lat piastowanych urzędów uważają się za bezpośrednich spadkobierców zwycięzców od Bitwy Grunwaldzkiej przez Samosierrę do Monte Cassino.

P. Brodziński pisze: „literatura polska jest szczególnie obfita w podchodzące tytuły” zgadzam się w zupełności i dla tego artykuł p. Brodzińskiego to dla mnie „Droga Donikąd”, a zacytowanie mojej wypowiedzi to, „wykorzystując literaturę obcą” jest, „Comedy of Errors”.

Łączę wyrazy szacunku,

Teresa LECHNICKA

Uppsala, 1 grudnia 1975.

Szanowny Panie Redaktorze,

Henryk Grynberg w artykule o sanatorium im. Włodzimierza Medema przypisuje założycielowi tej instytucji narodowość rosyjską. Nie dysponuję autobiografią Medema, wątpię jednak, czy dane autora są ścisłe. Medem był Żydem, czołowym działaczem żydowskiej partii socjalistycznej *Bund*, co dziwniejsze zaś, jego pierwotne nazwisko *Grinberg* tylko transkrypcją różniło się od nazwiska autora artykułu.

Łącząc wyrazy szacunku i uznania dla autora,

Józef LEWANDOWSKI

Houston, Texas, 3 grudnia 1975.

Szanowny Panie Redaktorze,

W 11/338 numerze *Kultury* p. Witold Wirpsza radzi Polakom w kraju, aby wykreślali z kartek wyborczych przy głosowaniu nie te nazwiska, które są im najbardziej wstrętne, lecz te, które są bardziej do przyjęcia, w celu „udzielania zwierzchności mylących informacji”.

Rada p. Wirpszy przypomniała mi o opinii Aleksandra Wielopolskiego, który zauważył kiedyś, że dla Polaków da się czasem coś zrobić, z Polakami — nigdy. P. Wirpsza proponuje, aby Polacy zrezygnowali z jednej z nielicznych możliwości wyrażenia swego protestu przeciw szczególnie nieulubianym biurokratom, i w ten sposób wywarcia pewnej presji na rząd, zmuszenia go do wzięcia pod uwagę, że pewnych ludzi Polacy po prostu nie chcą przyjąć. Żaden rząd, komunistyczny czy kapitalistyczny, nie jest obojętny na niezadowolone ludności, i jeżeli względnie tanim kosztem może je usunąć, rzadko z okazji tej nie korzysta. „Oszukując fałszerza” w tym wypadku, Polak, oszukiwałby sam siebie i postępowałby w myśl zasady „na złość mamie odmrozę sobie nos”.

Wyrobienie polityczne p. Wirpszy nasuwa smutną refleksję, że niektórzy Polacy od czasów Wielopolskiego niewiele się zmienili.

Łączę pozdrowienia,

Ewa THOMPSON
Associate Professor
Rice University

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Pp. Z. Czerniakowski, W. Januszewski i J. Sobieniak — wszyscy z Toronto, w sposób skoncertywany bardzo ostro atakują — a w wypadku p. Czerniakowskiego w formie raczej niestosowanej normalnie w polemikach — artykuł pt. „Wrażenia z pobytu w Polsce” zamieszczony w Nr. 10/337 *Kultury*. Listów tych nie drukujemy gdyż ograniczają się one wyłącznie do potępień o charakterze ogólnym, bez konkretnych zarzutów, nie mówiąc już o niewybrednym atakowaniu przez p. Czerniakowskiego szeregu osób piszących do *Kultury*, mającym wszelkie cechy zniesławienia. P. Wiktor Januszewski w zakończeniu swego listu pisze: „korzystając z gwarancji jaką Redakcja zapewnia wszystkim sparaliżowanym strachem, nie podpisuję mego listu swoim prawdziwym imieniem, gdyż jestem 'sparaliżowany odwagą' może niesłusznie, ale w moim przekonaniu z uzasadnieniem” (!?).

„Zarząd Spółdzielni im. T. Kościuszki w Melbourne” jako wydawca *Tygodnika Polskiego* wyraża ubolewanie z powodu opublikowania „... tendencyjnego i w wielu punktach nieścisłego artykułu p. Jasińskiego, oraz późniejszej korespondencji na ten temat”.

Tunguz oraz *Jan Wierny* — nie zamieścimy. Nadesłane materiały są bardzo słabe.

REDAKCJA

KRZYŻÓWKA

Dwumiesięcznik ukazujący się w Szwecji od roku 1974.
Poświęcony rozrywkom umysłowym.

Prenumerata: rocznie SKr 37, pół roku SKr 19.

Ceny prenumeraty lotniczej na żądanie.

Nagrody pieniężne (300, 100, 75 i 50 SKr) oraz książkowe.

Adres redakcji: KRZYŻÓWKA

Box 9006

S-102 71 STOCKHOLM

SWEDEN.

KRZYŻÓWKA nie pozwoli Ci zapomnieć myśleć, mówić i pisać po polsku!

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI,
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Londyński korespondent „Kultury”: Bohdan BRODZIŃSKI,
87, Park Hill, London, S.W.4. 9NX. — Telefon: 622 17 14.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, 78600 - Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal: 1^{er} Trimestre 1976.

Commission Paritaire N° 21 267.

POLSKA KSIĘGARNIA ORBIS

Przedstawicielstwo **KULTURY** i INSTYTUTU LITERACKIEGO
na Wielką Brytanię.

Wykonujemy zamówienia pocztowe na wszystkie książki polskie,
angielskie i rosyjskie.

Zawsze na składzie duży wybór książek.

Prosimy o odwiedzenie naszego sklepu podczas pobytu w Londynie.

Katalogi książek i polskich płyt gramofonowych wysyłamy na żądanie.

W dziale antykwarycznym posiadamy szereg wyczerpanych tytułów
Instytutu Literackiego.

ORBIS BOOKS (LONDON) LIMITED,
66, KENWAY ROAD, LONDON, S.W.5. ORD. — ENGLAND.
Tel.: 370-2210.

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 258 — ALEKSANDER SOŁŻENICYN

ARCHIPELAG GUŁAG

Tom II (Część III i IV)

PRZEKŁAD MICHAŁA KANIEWSKIEGO

Str. 608.

Cena F. 65 (z przesyłką F. 72,50)



KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffite : Telefon : 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00
ARGENTYNA : Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA , Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013	SA 2,25	SA 12,00	SA 22,50
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14, Tél. 52-40-762	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20 Tel. 218-69-23	F.B. 110,00	F.B. 650,00	F.B. 1200,00
BRAZYLIA : Janina Pomian-Piatkowska, Al Barao de Limeira 1022, apt 74 CELis., 01202 Sao Paulo (SP) tel. 221-1724	\$ US 3,00	\$ US 15,00	\$ US 28,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 11,00	F. 60,00	F. 110,00
HOLANDIA : Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, (01184) 4073, Postgiro 1379176	Fl. h. 8,00	Fl. h. 45,00	Fl. h. 80,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal, Que, H4A 1Z1 Tel 486-2839 ; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4 ; Very rev. Donald Malinowski, Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2 ; Tel. 339-5577 ; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, Tel. 545-2115 ; Henryk Slowikowski, 14 Southern Drive, Ottawa, Ont. K1S 0P4 ; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Zwiakzowiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	\$ Can. 3,00 DM. 7,00 F. 11,00	\$ Can. 15,00 DM. 40,00 F. 65,00	\$ Can. 28,00 DM. 75,00 F. 120,00
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1 —			
NORWEGIA : Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss —			
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F.S. 9,50	F.S. 50,00	F.S. 85,00
SZWECJA : Norbet Zaba, Kallskärsgratan 3/IV, 115 33 Stockholm., Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonta Nr 48 82 34-6.	K.S. 11,00	K.S. 65,00	K.S. 120,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009 ; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046, tel. 876-8868 ; Ada Dziewanowska, 41, Katherine Road, Watertown, Mass. 02172. T. Konopacki, 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 8714847 ; Irena Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, tel. 284-6271 ; V.B. Kwast, 9055 East Lee St., Tucson, AZ 85715, M. Kosciuch, 12331 French Road, Detroit Mich 48234 ; Polish Book Store, 7970 Summerdale Ave. Philadelphia, Pa, 19111 ; The Polish Book Importing Co, 410 Matchaponix Av., Jamesburg, N.J. 08831. POLONIA , Bookstore, 2921 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618. R.J. Sas-Babczynski, 10472 Barnwall Street, Bellflower Cal. 90706 Tél. 867-1857 ; Jan Wojcik 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053 ; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich., 48211 ; Tadeusz Lipien, 800 - 4th Street, S.W., Suite 820, Washington, D.C. 20024	\$ US 3,00 £ 1,20 F. 11,00	\$ US 15,00 £ 7,00 F. 65,00	\$ US 28,00 £ 13,00 F. 120,00
W. BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W. 5. ORD. Tel. (01) 370 2210.			
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241			

lub równowartość

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 120, półroczna — F. 65.
Przesyłka pojedynczego numeru: F. 1,80.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le-Mesnil-le Roi,
par 78600-MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

TOM 259 — ZESZYTY HISTORYCZNE

**ZESZYT
TRZYDZIESTY CZWARTY**

Zawiera m.in. następujące prace: Józef Garliński: *Konferencja w Belgradzie*; Tadeusz Katelbach: *Piłsudski i Sosnkowski*; Roman Buczek: *Udział delegacji polskiej w Konferencji Poczdamskiej w 1945 roku*; Bogusław Miedziński: *Moje wspomnienia (II)*; dział *Dokumenty*: *List Rady Zakładowej Stoczni Szczecińskiej do MSW*; *Przemówienie tow. Wiesława na plenarnym posiedzeniu KC PPR 3. 6. 1948 roku*; *Wyjaśnienia Wł. Gomułki w związku z jego referatem i projektem rezolucji Biura Politycznego*, oraz Działy: **POLEMIKI, KRONIKA, RECENZJE, LISTY DO REDAKCJI.**

Str. 240.

Cena F. 25 (dol. USA 6,75)



TOM 260 — ANDRIEJ SACHAROW

MÓJ KRAJ I ŚWIAT

Przełożył z rosyjskiego
MICHAŁ KANIOWSKI

POSŁOWIE LESZKA KOŁAKOWSKIEGO

Str. 92.

Cena F. 22,00.